2-8017 I 54

ANTONIEGO EDWARDA ODYŃCA

LISTY Z PODRÓŻY

(Z RZYMU).

TOM III.

WARSZAWA.
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA.
1876.

GUBRYNOWICZ I SCHMIDT
WE LWOWIE
KSIĘGARNIA I SKŁAD SZK.

dubl. do zjęc. 14489
70-4

LISTY Z PODRÓŻY.

LISTY Z PODRÓŻY

ANTONIEGO EDWARDA

ODYŃCA.

(Z RZYMU).

TOM III.

WARSZAWA.
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA.
1876.

GUBRYNOWICZ I SCHMIDT
WE LWOWIE
KSIĘGARNIA I SKŁAD NÓT.



65.212

Дозволено Цензурою
Варшава 28 Апрѣля 1876 года.

Druk J. Bergera,
Warszawa, ul. Elektoralna Nr. 14.

LISTY Z PODRÓŻY

(SERYA DRUGA).

1.

Do Juljana Korsaka.

Rzym, 25 listopada 1829 r.

Przysiągłbym, że drżącą ręką otworzyłeś ten list ze stemplem: *Roma,* i radujesz się z góry na opisy cudów, które tu widzę, i wrażeń, których doznaję. Raduj się! nic to nie szkodzi; ale racz najprzód przeczytać anegdotę — nie bajkę, która ma znaczenie przedmowy.

Żył był kiedyś w Wilnie pan Wodźbun—z nazwiska dziki Litwin jak *Budrys,* ale w rzeczy udatny i rozumny kawaler, ulubieniec dam i salonów. Przyjaciel jego, obywatel z Inflant, zaprosił go na lato w gościnę do siebie, a chlubny sam z takiego gościa, zapowiedział go szumnie w całéj okolicy. Czekano go jak fenixa, i gospodarz nie miał nic pilniejszego,

jak powiedzieć mu o tém za jego przybyciem. Gość zmarszczył się, ale zmilczał; zapytał tylko nawiasem która z sąsiadek w parafii rej wiedzie? Była nią pani Chorążyna powiatu, matka trzech pięknych córek na wydaniu. Tam więc najprzód pojechali z wizytą. Gospodyni spotkała gości w pół salonu, panienki z robótkami oczekiwały w głębi. Przyjaciel z tryumfującą miną zaczął już rekomendacyjny frazes, gdy nagle obejrzawszy się postrzegł, że pan W. zatrzymał się u progu i obracając kapeluszem w ręku, stał jak słup ze spuszczonemi oczyma. Przyjaciel oniemiał z podziwu; gospodyni nie wiedziała co począć. Nagle pan W. obcesem przysunął się do niéj, chwycił za rękę, pocałował głośno, i stanął znowu jak wryty. Gospodyni prosiła siedzieć. Usiadł na różku krzesełka i tak z pode łba, milcząc, na panienki spoglądał, że te nie mogąc wstrzymać się od śmiechu, jedna po drugiéj uciekły z salonu. Matka też pod jakimś pretextem musiała wkrótce uczynić toż samo; a skonfundowany przyjaciel, nieświadom słowa zagadki, ulegając machinalnie woli swego gościa, odjechał z nim bez pożegnania.

W kilka dni potém miał być odpust w parafialnym kościele, a całe liczne sąsiedztwo na obiedzie w domu proboszcza. Pan Wodźbun z przyjacielem przyjechał ostatni, kiedy już pani Chorążyna i panny miały czas opowiedzieć wszystkim po kolei sąsiadkom, kto był w istocie ów gość nowoprzybyły, którym jego mniemany przyjaciel chciał widocznie zmistyfikować sąsiedztwo. Wszystkich oczy zwróciły się ku drzwiom.

Otwarły się—i wszedł pan Wodźbun w naturalnéj swojéj postaci. Z uszanowaniem powitał proboszcza, prosił o przedstawienie siebie towarzystwu, i ujął wszystkich obejściem i słowy. Chorążyna i chorążanki płonęły jak w ogniu na stosie, widząc zwracające się ku nim pytające oczy sąsiadek. Tu pan Wodźbun zbliżył się ku nim, i uginając kolano przed matką, rzekł: „Pani! przebacz! Przyjaciel mój tak mię zachwalił, że choćbym nawet mógł być wart tych pochwał, oczekiwaniu pewno odpowiedziećbym nie mógł. Wolałem więc od razu spaść sam niżéj zera, ufny, że pobłażliwa dobroć państwa raczy mię przecież podnieść choćby do znaczenia ułamku.“

Jak rzekł, tak się ziściło,
I dobrze mu z tém było.

A co? rozumiesz sens téj anegdoty? Oczekiwania twoje—to zapowiednia o panu Wodźbunie. Mowa o nim na początku w tym liście—to on sam w domu pani Chorążynéj. Mamże cię również przepraszać za ten żarcik, którym chciałem okupić z góry prawo mówienia daléj, nie co ty chcesz, ale co ja mogę? Inaczéj, przy czytaniu moich listów o Rzymie, mogłoby ci się przydarzyć coś nakształt tego, co nam się przydarzyło przed wejściem do Rzymu. Dochodziliśmy, jak wiész, piechotą; aż tu nagle z za pagórka przed nami, ukazują się jakby ostrza dzid. Adam woła: „Legia idzie!“—a szło to rzeczywiście stado osłów, których uszy tak naprzód wysterkały z za góry. Otóż gdybym ja nieuk, ja profan, chciał albo śmiał się

wdawać w opisy, czyto pamiątek starożytnéj, czyto arcydzieł sztuki nowożytnéj Romy: wszelkie ostrza mojego dowcipu mogłyby ci się okazać przy końcu, czém się nam okazały owe mniemane dzidy. Prócz tego, wyczytuję z pociechą w twym liście, że masz i czytasz właśnie opisanie Rzymu przez Chateaubrianda, a u pani Sołtanowéj w Zdzięciole jest pyszne album ruin, gmachów i widoków rzymskich. Otóż gdy ja wspomnę o którym, jedź do Zdzięcioła i przypatruj mu się w rysunku, z listów moich dodając to tylko, co ci w nich będę mówił o sobie albo o tych, z którymi tu oryginałowi przypatrywać się będziemy. Na tém koniec przedmowy.

Tydzień już cały jak jesteśmy w Rzymie; a opowiém ci najprzód o piérwszéj dobie pobytu.

Już to bodaj, że każdy ideał w zetknięciu się z rzeczywistością, jest jak żarzysty węgiel wrzucony do wody: przestaje błyszczeć, a syczy i dymi. Ideał we mnie, za przybyciem do Rzymu, był rychtyk jak ten Włoch jakiś, rad z czegoś, cośmy go zaraz na wstępie na placu *del Popolo* widzieli: podskakiwał zda się z radości i klaskał w ręce wołając: „*Romae sum!*“ (jestem w Rzymie!) i o niczém więcéj nie myślał. Ale wnet rzeczywistość poszepnęła swoje: że nie dość jest *być*, trzeba przecież gdzieś *mieszkać*, a więc najprzód starać się o mieszkanie. I to najprzód zasępiło Ideał. Przez dwie godziny bowiem, ślad w ślad za wetturą, włóczyliśmy się po ulicach od jednéj oberży do drugiéj, aż nakoniec zaledwie w czwartéj znaleźliśmy przytułek, w *Albergo di Europa*, na *Corso*. Dwa

pokoiki czyste, eleganckie, zielonem suknem wysłane, i *notabene* nie drogie—pięć *paolów* tylko na dobę! Ideał odetchnął swobodnie. Alić zaledwie zrzuciliśmy płaszcze, *zimna* ręka Rzeczywistości porwała nas obu za plecy. Chłód i wilgoć, jak u nas w lodowni; oddech z ust, jak dym od cygara. Oglądamy się — pieca niema; ale jest marmurowy kominek. Prosimy zatém o drzewo; ale nim je przynieśli, termometr krwi spadł niżéj zera. Chcemy się rozgrzać kawą—ale w czterech kawiarniach na *Corso* kawy ze śmietanką już niema. Bywa tylko rano, jak mówią. Czarny ten nektar dobry po obiedzie; a myśmy jeszcze obiadu nie jedli. Ideał mdleje z głodu i dzwoni zębami. Wracamy więc do oberży, ślepi na świetność *Corso,* głusi na gwar i turkot powozów. Zasiadamy w sali jadalnéj, i wybieramy z karty: *cotelette à la Milanese.* Ideał ożywił się nagle—ale nie samą ich wonią lub smakiem; nie materyalnym tylko pierwiastkiem. Nie, wcale! Za pierwszym bowiem kęsem i ja i Adam zawołaliśmy w jedno słowo: „Ach! to kotlety Foka z Pohulanki!"—jakich ani on, ani ja odtąd nie spotkaliśmy nigdy i nigdzie. Ideał zapomniał o Rzymie, skoczył w przeszłość, wstecz o lat siedem, i zaczął po kolei przypominać tych wszystkich, z kimeśmy na ten przysmak chodzili, a nakoniec i siebie samych, jakimiśmy byli naówczas. I wpływ tych wspomnień, więcéj niż chróst na kominku, ogrzewał nas przez cały wieczór—pierwszy wieczór pobytu w Rzymie, cośmy go cały wyłącznie na rozmowach o Wilnie spędzili. Dopiéro przy ostatniém *dobranoc,* Ide-

ał znów, jak kapral szyldwachom na hasło dnia jutrzejszego, szepnął myślom: „*Kapitol! Watykan!*"— i tą razą przynajmniéj nie *twarda* Rzeczywistość pozwoliła nam usnąć marząc o Ideale.

Nazajutrz walna rada, co najprzód iść widzieć w Rzymie? Adam wybrał Kapitol—i przed otwarciem pocztowego biura, jesteśmy już na Kapitolu, z Allanem. (Patrz album)! Mówimy najprzód pacierz w kościele, który widzisz przy placu. Nosi on nazwę *Ara Coeli,* i stoi na miejscu najpierwszéj niegdyś w Romie świątyni Jowisza, któréj niema już dziś ani śladu. Z wierzchu skały Tarpejskiéj, z któréj dziś bez złamania karku śmiało zeskoczyćby można, patrzymy na leżące w dole przed nami sławne *Forum Romanum;* gdzie niegdyś *Ojce Ojczyzny* o losach świata radzili; gdzie potém beczały tylko barany i cielęta, bo tu był rynek na bydło, i nazywał się *Campo Vaccino,* a gdzie dziś, odgrzebane z pod ziemi i gruzów, sterczą ostatnie szczątki najwspanialszych niegdyś świątyń, bazylik i łuków tryumfalnych. Widzimy daléj poza niemi największą i najwspanialszą ze wszystkich starożytnych ruin, *Colosseum;* zaglądamy w głąb strasznych *Mamertyńskich* lochów, gdzie zdrajców i więźniów duszono; i nakoniec odchodząc, składamy hołd nasz Przeszłości przed bronzowym posągiem Marka Aureliusza. Musi on być pewno i w album na placu Kapitolińskim, a więc widzisz, że jedzie konno. Jestto jedyny starożytny posąg, jaki dotychczas zachował się cało, bez najmniejszego w niczém uszkodzenia. Rzecby można, że istny symbol nieska-

zitelnéj chwały tego najcnotliwszego z pomiędzy wszystkich Cezarów Rzymskich, jacy przed nim i po nim po koronę na Kapitol wchodzili. Adam z postaci jego i wyrazu twarzy odgaduje myśl i uczucie, jakie rzeźbiarz chciał w nim przedstawić. Uczuciem tém jest miłość, którą okazuje ludowi, i spokój przekonania że ją wzajem u niego posiada. Jestto jedyny mocarz i filozof pogański, w którym pycha nie zabiła człowieka, i w którym człowiek przeczuł obowiązki chrześciańskiego monarchy i mędrca.

Allan słucha ciekawie, co Adam mówi o jeźdzcu, ale sam, jako artysta, admiruje najwięcéj i uczy nas admirować—konia. Dwa te inne olbrzymie posągi, które pewno i w album sterczą nad wschodami, prowadzącemi na Kapitol, sąto Kastor i Pollux, godła miłości braterskiéj; a więc nie wiém po co oni tu stoją, i co znaczą? Żadna rada na Kapitolu, od czasu bratobójcy Romulusa, nie kierowała się nigdy jéj prawem; to też dzisiaj, w moc tego prawa, rządzi światem nie Kapitol, ale Watykan— dokąd wprost właśnie idziemy.

Z Kapitolu do Watykanu!!! — przyznaj, że kurs nie lada. A przecież jeden i drugi nikną dla nas na chwilę przed punktem środkowym, którym jest: biuro pocztowe. Z biciem serca tłoczę się do okienka, drżącym głosem pytam o listy—Bogu dzięki! nie próżno. Mam je z domu, z Dziewiętni; od ciebie, i od Żegoty; od Witwickiego, i od panny Flory z Warszawy. Adam ma z Petersburga i od pani Göthe z Wejmaru. Allan także odebrał swoje. Przebiegamy je okiem na ulicy, a czytamy z końca w koniec w ka-

wiarni. Wiadomości zewsząd pomyślne—idziemy więc podziękować za to w Watykanie; to jest my tylko we dwóch, bo Allan śpieszy, aby zastać w domu czekających tu na niego przyjaciół.

Plac Ś. Piotra—(Patrz album)! Wyobraź, że już stoimy w środku, obok obelisku, pod brylantową rosą tych cudnych wodotrysków, w których mgle srebrnéj blask słońca gra w tysiączne barwy tęczowe. A widzisz te przepyszne, olbrzymie krużganki, obejmujące plac z obu stron w półkole, jakby ramiona wychodzące z kościoła. Możnaby więc powiedzieć o samym tym kościele, co w Wallenrodzie mówi się o krzyżu:

Czoło kryje w niebie,
Tkliwe ku światu wyciągnął ramiona,
Jak gdyby wszystkie ziemie i *plemiona*
Chciał objąć, garnąć i *tulić* do siebie.

A jednak rzecz dziwna, jak wszelka prawdziwa wielkość, i w budowie snać jak w człowieku, nie odrazu rzuca się w oczy; nie dziwi, nie przeraża, nie przywala, a tylko coraz i coraz rozszerza się i rośnie, przed oczyma i w duszy, jak horyzont przed wchodzącym na górę. Przyczyna tego być musi w doskonałéj harmonii wszystkich szczegółów olbrzymiéj całości, jak np. w doskonałéj orkiestrze, sto instrumentów zdają się jak jeden.

A i wewnątrz to samo, co zewnątrz. Zresztą ani tu, ani tam jeszcze nie patrzyliśmy na nic okiem wojażera. Dość było czuć i myśleć, że się jest w Watykanie, jak pielgrzym w cudownem miejscu. Poklę-

czeliśmy też czas jakiś ponad grobem Ś-go Piotra; popatrzyliśmy w kopułę wznoszącą się nad nim u góry, i nie oglądając po szczególe nic więcéj, obeszliśmy tylko wkrąg cały kościół, i jak na Kapitolu przed Markiem Aureliuszem, tak tu na pożegnanie przed posągiem Ś-go Apostoła złożyliśmy cześć zwykłą pielgrzymów, od których ust, w ciągu wieków, jedna stopa posągu, z lanego bronzu, do połowy już prawie jest starta. Posąg jest w postawie siedzącéj, na tronie pod baldachimem, na piedestale z alabastru. Ma on być przetopieniem statui Jowisza Kapitolińskiego. A i to, czyż nie symbol przelewania się przeszłości w przyszłość? Bronz ten sam zawsze, ale postać inna.

Przeszedłszy za powrotem most Ś-go Anioła, (patrz album)! rozstaliśmy się z Adamem. On poszedł szukać mieszkania xiężny Wołkońskiéj (Zeneidy), które jest w tych okolicach, a ja wróciłem do oberży, mając tam czekać na niego. Ale tu się zaczęła tortura. W izbie niepodobna było dosiedzieć, zimno przenikało do kości. Sensacyi podobnéj nie pamiętam, jak żyję. Musiałem dla rozgrzania się wybiegać co kwadrans na dziedziniec, a w pokoju gestykulować rękami, jak u nas furmani na mrozie. Nakoniec myślałem już że przyjdzie zmarznąć na dobre nim się doczekam Adama, gdy przecież usłyszałem zapukanie do drzwi. Otwieram, aż tu zamiast Adama, wchodzi jakiś nieznajomy młodzieńczyk, z bladawą, szczupłą, panieńską twarzyczką, i rekomenduje się po francuzku—*Szewirew*. Wiedziałem

już od Adama, że to jest uczony literat i poeta rossyjski, dobry jego znajomy z Moskwy, i który się opiekuje wychowaniem młodego xięcia Wołkońskiego. Przyjechał po mnie powozem i z polecenia xiężny, aby mię zabrać na obiad, na który zatrzymano Adama. Missya zatém i znajomość miła. Szewirew zna doskonale i ciągle studyuje starożytne zabytki Rzymu, po którym obiecuje być naszym *cicerone;* nawzajem ja mu przyrzekam dopomagać w uczeniu się po polsku;—i nimeśmy wysiedli z karety, sojusz był już zawarty i przybity podaniem ręki. A byłto jakby prolog uprzejmości, która mię oczekiwała w salonie. Spodziewałem się jużciż zawsze, że ją znajdę, ale myślałem, że będzie salonowa i z *pańska;* tymczasem spotkała mię taka, jaka tylko w szlacheckich naszych dworkach litewskich witać zwykła pożądanego gościa. Ledwom wszedł, xiężna podbiegła na moje spotkanie, przepraszając *„qu'elle a osé m'inviter,“* i exkuzując się przysłowiem: *„que les amis de nos amis, sont nos amis.“* Ledwom się zdobył na podziękowanie, przedstawiła mię siostrze swojéj, pani *Wlasow.* Ale tu Adam, który siedział na kanapie przy niéj, wziął na siebie rolę rekomendatora, i zrozumiałem od razu, że żartując wrzekomo ze mnie, żartował też zarazem i ze swojéj sąsiadki, z którą być musi w najlepszéj przyjaźni.

Żarty te bowiem tyczyły się głównie górno-idealiczno-poetyckiéj sentymentalności, któréj widać ta pani hołduje. Przerywała mu bowiem ciągle śmiejąc się i protestując, kiedy przedstawiał jéj we mnie

jakby jakiegoś dziwoląga, na wzór adoratora Dulcynei, i z tego wyciągał wniosek, że na jéj łaskę i względy zasłużę. Rekomendacya ta miała przedewszystkiém ten skutek, że pani W. podając mi rękę, wezwała mię od razu do odpornego przymierza przeciw wspólnemu, jak widzi, prześladowcy naszemu. Znajomy ci z Warszawy hrabia *Ricci* dopełniał towarzystwa, jakie zastałem w salonie; a że ten przy piérwszém zaraz powitaniu, zaczął wynurzać mi wdzięczność za gościnne przyjęcie w Warszawie i za pamiętne mu miłe znajomości, które tam za pośrednictwem mojém i Waleryana Krasińskiego poczynił:—pojmiesz łatwo, że ani jednéj chwilki nie czułem się obcym, ale owszem od razu przylgnąłem do grona, do którego mię tak łaskawie przyjęto.

Ale muszę zaraz na wstępie sprostować jedno mylne wyobrażenie, które wiém, że i ty dotąd podzielałeś wraz ze mną, w skutek wiersza *„Na Pokój Grecki.“* Myśleliśmy, że *„piękna Nimfa przewodniczka,“* złożywszy *„groźną laskę Merkurego“*, przyzwoliła na obudzenie bożka, który przy wejściu jéj z gościem,

„Drzémał, ssąc rubinowe piersi winogrona.“

Otóż teraz powiadam tobie stanowczo, że tak nie jest. *„Swawolny zbieg Afrodyty“* nic tutaj nie ma do czynienia. Jestto tylko prawdziwa i wzajemna przyjaźń, oparta z jednéj strony na gorącém uwielbieniu dla poety i genialnego człowieka, z drugiéj na uznaniu pięknéj, szlachetnéj, poetyckiéj duszy; a przytém zaprawiona poetyckim urokiem, towarzyszącym zwy-

kle stosunkom przyjaciół z przyjaciółkami, i ożywiona wdzięcznością za wzajemne życzliwe uczucia, na których obie strony polegają z ufnością. Ale bo też niepodobna jest wyobrazić téj delikatności i wdzięku, z jakim xiężna Zeneida zdaje się zgadywać i uprzedzać myśli przyjaciela, który też, przyznać to muszę, z niemniejszą może gracyą prostoty i swobody, przyjmuje to, jak rzecz zwyczajną, ale przecież daje odgadnąć, że umie czuć i oceniać wartość doznawanéj dobroci. Biedni ludzie, którzy tego rodzaju stosunku ani czuć, ani zrozumieć, a tém samém i uwierzyć w niego nie mogą! Toć i zwykł on być tylko udziałem poetów albo Świętych; a jak poeci tak i Święci nawet zarówno czerpią w nim popęd i siłę do postępu, każdy na swojéj drodze. Ś. Hieronim nie waha się wyznać, że przyjaźni ze świętą Paulą w znacznéj części uświętobliwienie swe winien. A któryż z wielkich, a nawet i mniejszych poetów, nie miał swojéj szczególniejszéj patronki?

Ale wracając do xiężny Zeneidy. Nie jest ona, i nawet, jak mi się zdaje, nigdy nie musiała być piękną, we właściwém tego słowa znaczeniu. W wyrazie wszakże jéj twarzy, równie jak w całym układzie, w ruchach, uśmiechu, spójrzeniu, jest jakiś niewysłowiony powab, który pociąga i ujmuje za serce. A jestto niewątpliwie skutek wielkiéj dobroci, a przytém dziwnéj żywości i szczerości myśli i uczuć, które stanowią treść jéj charakteru. Znać w niéj wprawdzie i wielką damę, ale tylko w wyższym nastroju i takcie towarzyskiego obejścia. Dumy albo salonowéj przesady

niema w niéj ani cienia. Siostra jéj, pani Własow, młodsza od niéj, i może nawet kiedyś przystojniejszą, nie mniéj widać jest dobrą i otwartą; ale co do powierzchowności i ogólnego tonu, to podobniejsza jest ona raczéj do naszéj grzecznéj, gościnnéj, powiatowéj szlachcianki, niż do córki wielkiego xiążęcego domu. Przytém i ona także ma podobno pociąg do pióra, wynikły może z naśladownictwa siostry, ale który, jak mówi Adam, nie przeradza się w niéj zgoła w pretensyą, i jest tylko przedmiotem rozrywki.—A jestto już, jak widać, moja dola i rola, w każdém kółku stosunków Adama, stać z kimś jak w drugiéj parze, albo składać chór niższy. Tak było w Kownie i Wilnie, w domu pani Kowalskiéj, z *Berżerką;* tak w domu pani Szymanowskiéj z panienkami; tak w Wejmarze z panną Ulryką, siostrą pani Ottilii Göthe, i tak bodaj, że będzie tutaj z panią Własow. Bo widzę ze wszystkiego, że dom xiężny Zeneidy będzie tu dla nas głównym punktem oparcia; a ten piérwszy obiad i wieczór, (bośmy cały wieczór bawili), zarysował wyraźnie stanowisko moje i podział tego domowego gronka na dwa chóry. Wyższy składają: pani domu, Adam i p. Ricci; niższy, jéj siostra, dwaj młodzi synowie, jéj i xiężny, pan Szewirew i ja. Dom xiężny jest podobno ogniskiem nie tylko jéj rodaków i światłych cudzoziemców, ale téż miejscowych artystów i wyższéj arystokracyi rzymskiéj, która niełatwo, jak mówią, udzielać się zwykła cudzoziemcom, ale z xiężną Zeneidą wiąże ją dawna zażyłość, a zapewne téż i jéj tytuł, nie mówiąc już o przyjemności jéj domu i towarzy-

stwa jéj saméj. Na zakończenie wieczoru pan Ricci odśpiewał na prośbę naszę ową przecudną aryą z Don Żuana: „*Non più andrai farfallone*“, którą tak wszystkim głowy zawrócił w Warszawie; pani Własow zaś parę piosnek ukraińskich, które w miłym jéj głosie więcéj jeszcze wdzięku nabrały. Xiężna sama, która jakoby śpiewa bardzo pięknie, nie czuła się przy głosie, i nie śpiewała. I oto masz, jak nam przeszedł piérwszy dzień pobytu w Rzymie. O dalszych nie spodziewaj się, a raczéj może nie bój się, abym miał równie szczegółowo pisać. Do dzisiejszego zaś dodam jeszcze, że zaraz po obiedzie nie wróciliśmy do salonu, ale przeszliśmy do sypialnego pokoju xiężny, gdzie tylko bliżsi przyjaciele domu wstęp mają, ale gdzie jest piec z białych kafli, sprowadzonych umyślnie morzem z Petersburga, a zbudowany pod dyrekcyą pana Ricci, który się z tą mechaniką piecową podczas pobytu swego w Rossyi obeznał. Słońce nie może być milsze, jak dla nas był ten piec biały; tchnienie wiosny nie rozkoszniejsze, jak ta atmosfera opalonego pokoju. Zato, sama myśl o powrócie do oberży, przy piecu nawet przejmowała nas dreszczem. A cóż dopiéro, gdyśmy rzeczywiście wrócili! Było już po jedenastéj i deszcz padać zaczął. Szewirew odwiózł nas sam do domu powozem xiężny, a odetchnąwszy aurą naszych podwojów, ofiarował się z własnéj litości szukać dla nas nowego mieszkania, mniéj podobnego przynajmniéj do latarni z wielości okien, a do katakumby z chłodu i wilgoci. Adam, położywszy się do łóżka, przypomniał wyrażenie Dan-

ta o skazanych na wieczne marznięcie potępieńcach, że „jak bociany klekocą zębami;“ i cała ta noc pod tym względem była dla nas *iście* piekielna.

Zatoż nazajutrz raniutko zerwaliśmy się i ubrali piorunem, a ogrzawszy się warem czarnéj kawy, odprowadziliśmy najprzód kochanego naszego Allana do nowego jego mieszkania, na które się przeniósł do przyjaciół, a potém puściliśmy się wcwał do Koloseum. Jestto trzeci kardynalny punkt Romy, który Adam chciał zwiedzić najpiérwiéj. Xiężna proponowała wczoraj, że sama nas tam zawiezie; ale Adam oświadczył otwarcie, że są miejsca, które chciałby raz piérwszy oglądać sam jeden. Obecność moja nie zmieniała tezy. Ze mną jak z cieniem, może *sobie* być *sobą* jak zechce, dumać, albo milczeć jak ściana. Tą razą jednak był owszem rozmówny, i opowiedział mi legendę o krzyżu, który stoi na środku areny, a został postawiony na pamiątkę świętego zakonnika, który poświęciwszy się sam dobrowolnie na pożarcie dzikich bestyj, położył rzeczywiście koniec dzikim tego rodzaju widowiskom. Na samo Koloseum patrz w album! a tylko możesz sobie wyobrażać, że się czepiamy po gzemsach i piętrach, i na najwyższym punkcie czernimy się jak kawki. W szczegóły żadne wdawać się nie myślę; chociaż oglądaliśmy wszystko tak pilnie, najprzód tutaj, a potém na *Forum,* że aniśmy spostrzegli jak upłynął ranek. A na południe trzeba już było być w domu, bo xiężna Zeneida obiecała zajechać po nas, i zawieźć nas do posła, xięcia Gagaryna, z którym jest w blizkiéj przy-

jaźni, i który pragnął poznać Adama. Jakoż przyjął go jak można najuprzejmiéj, a reflex téj uprzejmości odbił się naturalnie i na mnie. Xiążę między innemi oświadczył, że się uważa właściwie za posła Króla Polskiego, bo gdyby nie interesa katolików polskich, nie miałby co do robienia w Rzymie. Pozwolił nam korzystać z bogatéj i pięknie urządzonéj biblioteki swojéj, po któréj nas sam oprowadzał. (Adam wziął Liwiusza po łacinie, a ja Gibbona téż w oryginale.) Nakoniec przy pożegnaniu zaprosił nas na dzisiaj na obiad, na który się właśnie wybieramy, a na przyszłą sobotę (d. 28) na bal, które tu zagraniczni posłowie często po kolei wydają. Mamy więc w perspektywie nie tylko stare gruzy i malowane lub kamienne figury, ale i żywe źródła nowych wrażeń, w paradach tego świata i twarzyczkach anielskich, których jest tu podobno chórami. A i towarzystwo polskie, jak słyszę, ma być licznie i świetnie reprezentowane w Rzymie téj zimy. Są już dwaj bracia hrabiowie Potoccy, Artur i Alfred, z Krakowa, z żonami; jest, znajoma już nam z Florencyi, piękna młoda para xiążąt Sanguszków, i nakoniec z Galicyi familia hr. Ankwiczów, którzy prowadzą tu dom otwarty i mają podobno przy sobie dwie młodziutkie, śliczniutkie panienki, córkę i siostrzenicę saméj. Wiém to wszystko od p. Dernałowicza, którego niespodzianie spotkałem na ulicy, a który znudziwszy się w Pizie, przyjechał téż na zimę do Rzymu. Nie miałem jeszcze czasu odwiedzić choréj jego żony, a to samo może cię już przekonać, jak musiałem być ciągle zajęty, a przy-

najmniéj, że ani jednéj godziny do wolnego rozporządzenia nie miałem. Pochłaniało je najprzód szukanie mieszkania, a potém niewyczerpana uprzejmość xiężny Zeneidy, która chce sama koniecznie być piérwszą przewodniczką Adama po Rzymie. W tym celu zajeżdża codzień po nas o południu i obwozi po mieście i po blizkich willach, a nakoniec zabiera na obiad do siebie, gdzie już zwykle cały wieczór bawimy. Wczoraj między innemi byliśmy z nią w pracowni Thorwaldsena, z którym także jest w przyjacielskich stosunkach. Jego samego nie było, ale jakiś grzeczny młodzieniec, zapewne jeden z uczniów, robił nam honory domu, pokazując i objaśniając po szczególe wszystko. Piérwsza to jest pracownia artysty, którą widziałem—a i jakiegóż jeszcze artysty! Thorwaldsen po śmierci Kanowy jest dziś najpiérwszym rzeźbiarzem na świecie. To téż i jego pracownia, to istna świątynia sztuki! Galerye i muzea, w porównaniu z pracownią żyjącego mistrza, wyglądają coś na cmentarze albo katakumby. Posągi w nich i obrazy, to istne pomniki albo nagrobne tablice, uwieczniające pamięć i chwałę swoich twórców. Tu widać jak ta chwała rodzi się, rośnie i wychodzi na świat. Rzekłbyś, że jakaś fabryka Prometeuszowska; tylu tu uczniów po kątach, kopijując mistrza, lepi różnych *człowieczków* z gliny. Tyle ludzkich postaci wyrasta mniéj więcéj z marmuru, pod dłótem ociosujących go robotników, jakby tylko co przeszli tędy Deukalion z Pyrrą. Patrząc zaś na tłum odlewów z gipsu, będących wizerunkami dzieł mistrza, po całéj kuli ziemskiéj

rozsianych, możesz się znów wyobrażać w zaklętym gmachu jakiegoś czarodzieja z bajki, który gości swych w kamień zamienia. Przewodnik nasz pokazywał nam co najcelniejsze, sam gorąco unosząc się nad niemi. Jest tam i nasz Kopernik, mający wkrótce zasiąść przed kościołem Ś-go Krzyża w Warszawie; jest i ów rzymski jeździec na koniu, cośmy go już tam oglądali w modelu, a o którym mała Marynia Zaleska najtrafniejszy może sąd wyraziła, mówiąc: „Jaki on xiążę, kiedy goły?“ — *Gołych xiążąt* zaprawdę nie trudnoby znaleźć; ale co w tym, to rzeczywiście żaden wiarus *swego Xięcia* nie pozna, i dość byłoby zmienić napis na podstawie, aby się zmienił w pomnik jakiegoś rzymskiego Cezara, lub którego ze świętych rycerzy. Adam zgadza się ze zdaniem Maryni, i z tego powodu skruszył kopią z naszym *Cicerone,* dowodząc, że ślepe naśladownictwo starożytnych, jest właśnie najzupełniejszém sfałszowaniem ich pojęć o sztuce, której oni wzór i ideał w prawdzie tylko zawsze widzieli. Stosuje się to także i do nagrobnego pomnika Włodzimierza Potockiego, którego oryginał znajduje się w Krakowie, a który się nam bardzo jako posąg podobał. W ogólności jednakże, ze wszystkich posągów Thorwaldsena, a mianowicie kobiécych, przez porównanie ich z dziełami Kanowy, jakie dotąd widziałem, powstała we mnie myśl, nie wiém czy trafna, że Thorwaldsen względem Kanowy w rzeźbie, jest jak Fenimore Cooper względem Waltera Skotta w powieściopisarstwie.—Ale nie śmiéj się, proszę, ze mnie, że się wdaję w takie uwagi. Toć nie sądzę stanowczo i zdania mego nie

narzucam nikomu, a tylko mówię tobie *incognito* co myślę.

Od dwóch dni już jesteśmy na nowém mieszkaniu, które przecież ledwie nieledwie z pomocą Szewirewa znalazłem. Jest ono na *Via del Orso, Nr* 35, niedaleko od mostu Ś-go Anioła i od pałacu *Feruzzi*, który xiężna Zeneida zajmuje. Składa się z dwóch izb obszernych, na drugiém piętrze, (po wileńsku na trzeciém), piérwszéj o jedném, i drugiéj o dwóch oknach, z dosyć porządnemi meblami, i z posadzką ceglaną. W piérwszéj na środku, jak tu wszędzie, stoją obok dwa ogromnéj szerokości łóżka, na których śpimy, i w kącie komoda na rzeczy. W drugiéj, naprzeciw drzwi i tuż przy nich będącego kominka, stoi stół przed kanapą, zielonym dywanikiem okryty, a na nim mosiężna lampa o trzech ramionach, nakształt żydowskiego świecznika. Zwierciadło między oknami, stolik pod niém, i osiem krzeseł stanowią resztę umeblowania. Kominek byłby częścią najważniejszą, ale cóż, kiedy ciepło od palącego się w nim rano i w wieczór chróstu, nie dosięga, niestety, kanapy, a chłód od okien i cegieł posadzki ogarnia nas z góry i z dołu. A trzebaż jeszcze biedy, że okna obrócone na północ, a więc nie widujemy się ze słońcem. Uprzejma tylko dobroć xiężny ogrzewa nas zamiast niego. Wnosząc się bowiem zastaliśmy już na środku żarzącą się *karbonellę*, a przed kanapą dwa ogromne wory z wojłoku. A wieszże co to jest *karbonella*? Jest to blacha żelazna na nóżkach, z wygiętemi do góry brzegami, na któréj rozpalają się węgle,

jak u nas w samowarach, a ciepło od nich zastępuje miejsce pieca. A oweż worki wojłokowe na co? zapytasz może. Wkładają się one na nogi i sznurują się wyżéj kolan. Adam swojego nie używa, bo nauczył się w Krymie siadać po turecku i siedzi tak na kanapie. Ja tego zrobić nie umiem, i siedzę przez połowę zawiązany w worku. Ależ i ręce niekiedy tak krzepną, że trzeba kłaść rękawiczki, albo okrywać je płaszczem, z którym tak nigdy nie możemy się rozstać dobrowolnie, jak Herkules mimo woli nie mógł z kaftanem Dejaniry. Ot naprzykład i w ciągu pisania tego listu, musiałem ze sto razy przerywać, ażeby rozgrzać palce chuchaniem i tarciem. Boguż dzięki, że na dziś koniec, i chyba może powróciwszy z obiadu od ambassadora, na który już zaraz idziemy, dodam jeszcze jakie *post scriptum*, w kształcie gościńca z wetów obiadowych.

Godzina 11 wieczorem.

Wracam dopiéro w téj chwili z obiadu, ale tak cały owiany i przenikniony nawskróś duchową atmosferą Rzymską, różną wcale od mrożącéj fizycznéj, że chcę koniecznie, abyś wiedział przynajmniéj, co to jest i z czego pochodzi. Jużciż ma się rozumieć, że z wrażeń obiadowych;—a więc masz słówko o nich.

Było nas osób 12 u stołu, a oprócz gospodarza i dwóch domowych urzędników ambassady, byli: panowie *Nibby* i *Lanzi*, professorowie tutejszego uniwersytetu, i najpiérwsi dziś archeologowie Rzymscy; pan *Alexander Turgeniew*, wojażer po całym świe-

cie i badacz etnograficzny krajów, które zwiedził; pan *Brulow*, najsławniejszy dziś, jak musisz wiedzieć, malarz rossyjski, i obiecujący pójść w jego ślady młody pan *Bruni*, doskonalący się obecnie w Rzymie na professora Petersburskiéj Akademii sztuk pięknych. Wpośród tych panów, Adam był jakby punktem centralnym, bo ze wszystkiego widać było, że dla niego to właśnie gospodarz tak złożone towarzystwo zaprosił. To też trzeba było go słyszeć, jak jednocześnie prawie, to jest jak syntetycznie, z archeologami o duchu staréj i nowéj Romy; z etnografem, o wpływie jednéj i drugiéj na wszystkie ludy świata; z malarzami, o pogańskiéj i chrześciańskiéj sztuce rozmawiał. Na wszystkich jego interlokutorach widać było żywe zajęcie, i nawet jakby jakiś rodzaj podziwu. Bo choć sam w niczém nie brał inicyatywy, ale wszystko, co od nich usłyszał, tak zaraz wzajem na nich w nowém świetle odbijał, że rzeczywiście było się nad czém zadziwić. Ciągle mi się nawijał na myśl wiersz jego do pana Joachima, w którym tak zwięźle i jasno skupia się i wyraża treść dziejów całego świata. Treść zaś tego, co mówił dzisiaj, dałaby się może niejako skupić mniéj więcéj w tém: że starożytni Rzymianie, toporami swoich liktorów, trzebili nowe drogi po świecie; włóczniami swoich legij odpychali barbarzyńców, którzy im chcieli przeszkadzać; i rękami swoich niewolników budowali dla nichże samych—jak gdyby wodociągi, po których woda, lustralna i ożywcza, z nowéj dopiéro Romy rozpłynąć się miała;—choć i to

dotąd jeszcze jest tylko chrzest z wody—nim da Bóg, że i duchowe namaszczenie nastąpi.

Sztuka mająca tylko za ideał człowieka, nad ziemię ani sama się podnieść, ani ludzi podnosić nie mogła; a co gorsza, że przez samę swą doskonałość zewnętrzną, odegrała względem sztuki nowéj tę samę prawie rolę, co Febus, czyli słońce, względem Ikara; t. j. słonecznym blaskiem swoim, w tak zwanym wieku Odrodzenia, stopiła nity przyprawionych skrzydeł, któremi duch chrześciańskich artystów zaczął już był ulatać po nad labirynt scholastycznych pojęć, i strąciła go w morze naśladownictwa, z którego już inaczéj wydobyć się nie może, aż chyba znów z niego samego anielskie mu skrzydła wyrosną.—Streszczam rzecz figurycznie, bo i Adam w swéj mowie figur tych używał, tylko że nie tak razem, a przytém z taką naturalną prostotą, że ani cienia przesady albo pedantyzmu nie miały. Na twarzy gospodarza widać było radość, jakby chlubę z takiego gościa. A cóż dopiéro mówić o słuchaczach, na których, chociaż sami nie mieszali się do rozmowy, reflex jednak powodzenia Adama, jako ziomka, lub jako przyjaciela odbijał. Słuchaczów takich było trzech: Szewirew, ja i xiądz Stanisław Parczewski, dobry mój znajomy z Wilna, kolega i serdeczny przyjaciel Ludwika Spitznagla, wnuk po siostrze metropolity Siestrzencewicza, kosztem jego niedawno przysłany do Rzymu, aby tu kończył studya teologiczne, i przez to samo zapewne utorował sobie może drogę do przyszłych kościelnych dostojeństw. Jest on mój jednolatek, i wiedziałem

już w Wilnie, że ma pociąg do pióra. Jakoż przyznał mi się dzisiaj, że pisze historyczną powieść pod tytułem: „*Władysław Biały*,“ którą ma nam tu kiedyś przeczytać. Adama znał już zdaleka w Petersburgu, i jest z gorącém uwielbieniem dla niego. Szewirew zaś tak był dzisiaj rozentuzyazmowany Adamem, że gdyśmy wracając z obiadu wstąpili na herbatę do xiężny, nie mógł się dość naopowiadać przed nią o jego dzisiejszym tryumfie; i pomimo żartów Adama, któremi chciał studzić ten zapał, obie siostry radowały się z tego—jak siostry. I niechże mi teraz kto mówi, że prawdziwa wartość w człowieku nie znajduje uznania u ludzi! Nie znajdzie go ona chyba u tak zwanych literatów i gazeciarskich krytyków warszawskich, których zawiść lub uprzedzenie zaślepia, albo którzy nie wiedzą co czynią. Ale ten, co się wciąż skarży, że go cały świat pojąć i ocenić nie umie, jestto tylko głupi pyszałek—i kwita. Bądź zdrów!

II.

Do tegoż.

Rzym, 5 grudnia 1829 r.

Jestem w humorze i usposobieniu:

Jak ptaszek, gdy na świat szerszy
Wyjrzy przez drzwiczki swéj klatki;
Jak motyl, gdy po raz piérwszy
Po zimie obaczy kwiatki;
Jak kwiat, gdy nań blask jutrzenki
Błyśnie z pod chmur parasolki—
Mam aż dwie nowe panienki,
Dwie przyjaciółki—i Polki!
I jak ów ptak, motyl, kwiatek,
Chciałbym śpiewać, bujam, kwitnę —
Lecz choć treści mam dostatek,
Choć mię nęcą rymy szczytne,

Daję wszakże im krzyżyk na dzisiaj, i wolę prostszą drogą prozy doprowadzić cię krok za krokiem do progów i do poznania tych moich *Wróżek,* których urok nie mnie tylko jednego ogarnia.

Z ostatniego listu mojego wiész, że w przeszłą sobotę, to jest 28 listopada, miał być bal u xięcia Gagaryna, i żeśmy nań byli proszeni. Bal był, i my na nim. Bal był świetny—salony pyszne, oświecenie słoneczne, zgromadzenie gwiazdziste, to jest orderowe, brylantowane, i promienno-oczne. W uprzej-

nym „Kawalerze ambassady“ *(chevalier de l'ambassade),* panu *Kriwcowie,* mieliśmy doskonałego *cicerone,* który nam wszystkie *glorye* i piękności wskazywał. Z ostatnich powiém ci tylko o jednéj, na którą, gdybyś był na tym balu, patrzałbyś pewno niemniéj ciekawie jak ja, a nawet jak Adam. Była to hrabina *Teressa Guiccioli Gamba,* wcielenie Muzy Byrona, (nie wiém które z rzędu, ale ostatnie we Włoszech), która natchnęła mu „*Proroctwo Danta,*“ poświęcone téż jéj przez poetę. I choć to już dziesięć lat temu, gdy „*in the pride of Beauty and of Youth*“ (w chwale piękności i młodości), „dość jéj było rzec słowo, aby mieć posłusznych;“ chwała ta jednak świeci i dziś jeszcze. Widać, że łzy po stracie natchnionego kochanka nie musiały być ani tak gorące ani tak obfite, aby zwarzyć świeżość jéj wdzięków, albo przygasić wesołość; bo wygląda rumiana jak róża, a śmieje się lub uśmiecha się ciągle, kręcąc się i rozmawiając na prawo i na lewo. Sam téż jéj ubiór zgodny z tym humorem. Wygorsowana jak kielich lilii, na szyi miała kanak brylantowy i takąż przepaskę we włosach. Przyszły mi na myśl słowa Childe-Harolda:

„Kochanki, żony płacz mię nie wzruszy,
Bo wiém, nim błyśnie poranek,
Z błękitnych oczu te łzy osuszy
Nowy mąż, nowy kochanek.“

Ale może to na pamiątkę Milorda nosi loki na wzór Angielek; tém bardziéj, że i jasny kolor jéj wło-

sów czyni ją do nich podobną, i dość dziwnie odbija od południowéj żywości pałających jéj oczu. Wzrost mierny, kibić kształtna. Ciekawy byłem bardzo posłyszeć zblizka ten głosik, który tak zachwycał Byrona:

„*So sweet a language, from so fair a mouth!*“

Ale chociaż grzeczny pan Kriwcow chciał mię jéj przedstawić, nie śmiałem z tego korzystać, nie mając nic takiego naprędce, z czémbym się mógł stosownie odezwać. Obserwowałem ją tylko jak mogłem z najbliżéj, mając przytém ciągle w pamięci: „*Heureuse la beauté que le poëte adore!*“, ale przytém i pokutniczą *Duchesse de la Vallière*, i porównywałem je w myśli—wcale nie na korzyść obecnéj.

„Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia.“

Xiąże Gagaryn zbliżył się do mnie z jakimś panem, i wskazując na niego oświadczył: *que le prince Radziwill desire faire ma connaissance.* Był to xiążę Wilhelm Radziwiłł, syn namiestnika Wielkiego Xięztwa Poznańskiego i królewny Pruskiéj. Zaszczyt téj znajomości winienem *Melitelі*, o któréj xiążę zagaił rozmowę po polsku, oświadczając przy piérwszych zaraz słowach, że mu to z trudnością przychodzi, ale że właśnie pracuje usilnie, aby nabyć wprawy i pozbyć się niemieckiego akcentu. Że zaś ma to za wadę swego wychowania, dzieci więc swoje, jak mówił, każe uczyć najprzód po polsku. Po takim wstępie z jego strony, dalsza rozmowa zawiązała się łatwo; a z niéj zaraz odgadłem rzeczywisty powód, jaki miał do poznania się ze mną. Chodziło mu o wiadomość

o stanie włościan litewskich, bo ma w Litwie ordynacyą Nieświeską, w któréj dotychczas nie był, ale się tam wkrótce wybiera. Weszliśmy więc we framugę przy oknie, i ja śród balu w Rzymie, z łona marzeń o kochankach poetów i królów, musiałem przenieść się myślą do chat włościan Giejstuńskich, ażeby, biorąc z nich wzorki, módz przecież odpowiedzieć jako tako na zapytania, które mi mój interlokutor, z wielką znajomością gospodarskich rzeczy, zadawał, i odpowiedzi na nie z interessem słuchał. Trwało to najmniéj dobre pół godziny, i strasznie już zaczynało mię nudzić, kiedy szczęściem jakiś jegomość odciągnął ku sobie xięcia, a ja odzyskałem swobodę przypatrywania się daléj balowi.

Z ciekawych znamienitości widziałem, ale tylko zdaleka: Thorwaldsena, Horacego Verneta, i Cammuciniego, najsławniejszego z żyjących dziś malarzy włoskich. Piérwszy, miernego wzrostu, szczupły, ruchliwy staruszek; a choć włos całkiem biały, jak u Niemcewicza, twarz jednak niemniéj czerstwo i rumiano, jak u twojego cioska Ursyna, wygląda. Znać, że nie z saméj tylko „sztuki poezyi“ *(dichtenden Kunst)*, wytryska, jak mówi Szyller „źródło wiecznéj młodości.“ Tkwić ono musi nie w téj lub owéj sztuce, ale raczéj w początku i celu sztuk wszystkich, to jest w Piękności, któréj zarówno poeci, jak i uczniowie Pigmaliona hołdują. Horacy Vernet, w sile wieku, wysoki i krzepki, z postaci przypomina naszego kochanego „pana Lorenza“ (Puttkamera), tylko że włos nad czołem czerni się jak heban. W twarzy znać siłę, która

macha ręką, gdy z niéj, jak z dłoni Zeusa, wyskakują konie. Cammucini, wysoki, poważny, przyprószony siwizną, ma minę więcéj Niemca niż Włocha. To téż jego obrazy, jak mówią, odznaczają się niemiecką dokładnością rysunku, oraz ścisłém stosowaniem się do prawdy historycznéj, tak w ogólnym układzie kompozycyi, jak i w akcessoryach. Treść ich czerpie on zwykle z dawnéj historyi rzymskiéj. Arcydzieło jego, jak mówią, *Odjazd Regulusa*, (gdy wierny słowu, na śmierć pewną do Kartagi wyjeżdża), nabyła nasza kompatryotka, pani hrabina Ostrowska, wraz z wielu innemi obrazami tegoż autora, którego ma być szczególną wielbicielką. On sam, pomimo siwizny, nie zdaje się mieć więcéj nad lat czterdzieści kilka. A widziałem téż po raz piérwszy aż dwóch *żywych* kardynałów razem. Piérwszy, kardynał *Pacca,* jest jednym z najznakomitszych i najpobożniejszych członków Ś. Kollegium, zastępujący zwykle Papieża, kiedy jest niezdrów, przy wszystkich obrzędach publicznych. To téż i tu na balu widziałem, jak był celem ogólnéj czci i uszanowania. Drugi, kardynał *Vigoni,* ma być, jak powiadają, sławny na całe miasto gastronom, o czém i sama jego objętość zaświadcza. A widzę, że téż i szarmant nie lada; bo ciągle tylko rozmawiał z damami, które albo się same przybliżały do niego, albo on do nich podchodził i coraz przy innéj zasiadał. Przy siadaniu tém zwłaszcza zwracało uwagę, z jak dziwną troskliwością drappował swoję purpurową togę, rychtyk jakby jaka dama robrony, i jak potém usiadłszy wyciągał obie nogi przed siebie, jak

gdyby się lubował w swoich czerwonych pończochach. Patrząc na dwóch tych ludzi tego samego dostojeństwa i stanu, a tak całkiem różnych od siebie, zrozumiałem, jak jest trudno i jak niesprawiedliwie chcieć ze szczegółów o ogóle wnioskować, a cóż dopiero sąd o nim wydawać. Bo sąd ten musi zależeć od trafu, z jakim szczegółem najprzód sądzącemu spotkać się zdarzyło. Niema światła bez cieniu; ale czyż cień ubliża światłu? To, co twój przyjaciel Horacy mówi o dziełach pisanych, może się również stosować i do żywych społeczeństw ludzkich.

„*Ubi plura nitent, paucis non ego offendar maculis*“
(Gdzie wiele błyszczy, plamki mię nie rażą.)

Wszakże i Gwebry zapewne widzieli plamy na słońcu, a przecież nie byli tak głupi, żeby w niém nie czcić i nie błagać Oromaza, aby ich bronił od ciemności wiecznych, w któreby świat zagarnął Aryman, gdyby słońca nie było na niebie.

Ale wracając do balu:—największą jego przyjemnością, a raczéj nabytkiem dla nas, była znajomość z panem hr. Ankwiczem, ojcem i opiekunem tych dwóch naszych wróżek, od których list ten zacząłem, i którego bohatérkami mają być właśnie one. Nie tylko bowiem od p. Dernałowicza i kilku innych ziomków, cośmy już tutaj poznali, ale i w domu xiężny Zeneidy słyszeliśmy o nich tyle pochwał, że nadzieja ich znajomości błyskała mi jak gwiazda w marzeniach. Ucieszyłem się więc *in petto,* gdy tenże pan Dernałowicz, gdyśmy stali obok z Adamem, przystą-

pił do nas z jakimś jegomościem, i na żądanie jego zapoznał go z nami. Był to właśnie pan hr. Ankwicz, człowiek półwieczny, poważnéj postaci i twarzy, i bardzo ujmujący w obejściu. Po wstępnych komplementach i półgodzinnéj rozmowie, zaprosił nas nazajutrz na wieczór do siebie. Mieliśmy być niezawodnie, ale niestety, przy obiedzie u xiężny Wołkońskiéj, (na którym, *inter parenthesim,* była żona i córka Horacego Verneta), ból zębów tak schwycił Adama, że uśmierzywszy je nieco przy białym piecu w gabinecie xiężny, za pomocą woreczka z rumiankiem, który dla niego pani Własow uszyła i sama go nim obwiązała, nie śmiał już narażać się na zimno, i mnie jednego na ten wieczór wyprawił.

Przyszedłem jeden z pierwszych, ale już z oświecenia przedpokoju odgadłem, że czekano na więcéj gości. Z bijącém sercem ująłem za klamkę—ale piérwsze wrażenie w salonie nie było zbyt dla mnie przyjemne. Jakkolwiek bowiem gospodarz spotkał mię bardzo uprzejmie; jakkolwiek pani domu powitała również, a panienki, którym mię z kolei przedstawił, spójrzały na mnie, jak ja na nie, ciekawie: na wszystkich jednak twarzach dostrzegłem cień gorzkiego zawodu, gdy nasamprzód, ma się rozumieć, zacząłem od wytłómaczenia Adama, dla czego razem przyjść nie mógł. Zmieszało to mię i ubodło potroszę, ale wnet....

Czy ty widziałeś kiedy zblizka jak łowią ryby niewodem, i jak niekiedy małą jakąś płotkę napowrót odrzucą do wody? Nieboraczka z początku stoi w niéj jak wryta, aż powoli, powoli, poczuwszy przyrodzony

Wyższa Szkoła Pedagogiczna Biblioteka Główna w Kielcach

element, strzepnie się nagle, i dalejże hulać! Otóż myśl moja była jak ta płotka. Z razu czułem się jak nie swój; ale wpatrzywszy się w panienki—ha! pomyślałem sobie: *bonne mine à mauvais jeu!*—i po pięciu minutach zapomniałem całkiem o sobie. Sama rozmowa po polsku była już dla mnie jak woda dla ryby: dawała językowi swobodę, a głosik z ustek różanych, zachęcał go jak muzyka do tańca. Dość, że po upływie kwadransa byliśmy już jak dobrze znajomi, i przeto jako takiego przedstawiano mię po kolei nowo przybywającym gościom. Był to bowiem wieczór proszony, i sama gospodyni domu, z charakteryzującą ją otwartością, inicyowała mię niejako do familijnych tajemnic, mówiąc, że był to dzień urodzin *Henrysi,* która dziś rok osiemnasty zaczyna. Solenizantka była ubrana różowo, ale jéj drobna twarzyczka przypominała ów wiersz ze Świtezianki: „*Biała jak róży bladéj zawoje, skropione jutrzenki łezką.*“ Bo dla zdrowia to jéj rodzice od siedmiu lat bawią we Włoszech, i chociaż klimat zbawił ją od śmierci, organizm jednak delikatny i wątły odbija się i w wyrazie jéj twarzy. Nie jest ona właściwie piękną co do rysów, ale za to tém bardziéj może poetyczna i interessująca. A podług mnie, powab, to piękność. Co zaś mnie uderzyło szczególniéj, to podobieństwo jéj do Marylli, nie z pojedyńczych rysów, ale z ogółu i wyrazu albo raczéj z wrażenia całéj fizyognomii. Towarzyszka jéj, siostra cioteczna, panna Marcellina Łempicka, to już istna różyczka wykwitająca z pączka, taka świeża, rumiana, i *notabene* ubrana zielono. Może

być starsza o lat parę od siostry i daleko silniejszéj budowy, ale obie smukłe i kształtne. Wraźże je sobie w pamięć wyobraźni, bo przewiduję, że często będziesz miewał relacye o nich. A teraz słówko jeszcze i o pani domu. Lat przeszło czterdzieści; ni piękna, ni brzydka; oczytana i wykształcona, jak wszystkie nasze damy tego stopnia, a co do układu i obejścia, to typ naszych wiejskich obywatelek, w najlepszém tego słowa znaczeniu. Naturalna, wesoła, uprzejma—a co szczerość, to już może posuwa do zbytku. Co się jéj na myśl nawinie, to już pewno nie zatrzyma się w ustach, jak woda w przetaku. Zauważyłem to zaraz przy pierwszém poznaniu, a piszę po całotygodniowéj już znajomości. Dla mnie jest to najmilszy rodzaj charakteru, a że ona widać to czuje, więc i ja zda się nie mylę, że mnie łaską swoją zaszczyca.

Wieczór, o którym mowa, był liczny i świetny. Osób było przeszło trzydzieści, a prócz dwóch czy trzech Włochów, sami Polacy. Słońcem zaś i królową jego była xiężna Iza Sanguszkowa, o któréj ci już z Florencyi pisałem. Dziś nawet zblizka zdała mi się piękniejszą niż tam na balu u xięcia Bacciocchi. W ciemno-karmazynowéj axamitnéj sukni, z różą tegoż koloru w lśniących kruczych włosach, z okiem promieniejącém gwiazdzisto, zdawała się olśniewać jakąś tajemniczą światłością. Co to jednakże za potęga ta piękność! jakkolwiek, do gruntu rzecz biorąc, dla samych jéj posiadaczek jest z niéj więcéj kłopotu niżeli pociechy. Jest to coś nakształt właścicielstwa brylantu, gdy się nim frymarczyć nie myśli.

Właściciel musi czuwać nad nim jak Argus, aby go ustrzedz od złodzieja lub zguby, a skoro go włoży na siebie, drudzy go tylko widzą i lubują się jego blaskiem. Dobrzeż, że w tym razie przynajmniéj piękność posłużyła miłości, a nie rachubie lub dumie światowéj. Mąż xiężny Izy jest jéj blizkim krewnym po matce, i musieli z tego powodu walczyć długo z oporem rodziny, nim się nakoniec pobrali w tym roku. Do Rzymu przyjechali dla odwiedzenia wspólnéj swéj babki, xiężny Stolnikowéj Litewskiéj Czartoryskiéj, która przez długie lata prowadziła tu świetny i otwarty dom, a teraz usunęła się całkiem od świata i mieszka na dewocyi w klasztorze Urszulinek, budując wszystkich swoją pobożnością, jak dawniéj zachwycała uprzejmością i wdziękiem. Xiężna Iza jest także poetką. W albumie panny Henryetty czytałem bardzo udatny jéj wierszyk po polsku, napisany przed dwóma laty w Ischl, gdzie razem u wód bawiły, a w którym odjeżdżającéj do Włoch przyjaciółce, życzy i spodziewa się w nich dla niéj odzyskania zdrowia. Ma także śpiewać jakoby jak anioł. Słowem, jest to jedna z najbardziéj uroczych, nie tylko kobiét, ale nawet Polek. A i tego nie mogę pominąć, że prześlicznie mówi po polsku. Ona i obie panienki tworzyły konstellacyą salonu, około któréj kupili się wszyscy. Ja prócz nich, pana Dernałowicza, i poznanego wczoraj xięcia Wilhelma Radziwiłła, nie miałem znajomego nikogo, ale się zapoznałem z wszystkimi. Nazwisk ich litaniować nie myślę; dla dwóch tylko robię wyjątek. Jeden, Antoni Strzelecki, nauczyciel

i mentor młodziutkiego xięcia Alexandra Czartoryskiego, z Galicyi, z którym podróżuje po Włoszech i na zimę zamieszkał w Rzymie; drugi, Wojciech Sztattler, malarz, jak mówią, wielkiego talentu, z Krakowa, doskonali się tu w swojéj sztuce dla zajęcia katedry malarstwa w uniwersytecie Jagiellońskim. Obaj ludzie mili i światli, namiętnie rozmiłowani w Rzymie, tylko że piérwszy więcéj w gruzach przeszłości, drugi w galeryach i muzeach. Zawiedzeni w nadziei spotkania się z Adamem, przyszli nazajutrz sami aby się z nim poznać, i podobali się sobie nawzajem.

Że zaś dziękujesz mi w swym liście za szkice karykatur albo oryginałów, które mi się spotykać nadarza, więc miejże sobie i tutaj parę tego rodzaju sylwetek.

Za wejściem do salonu zastałem już w nim kilka osób. Na kanapie, obok pani domu, siedziała jakaś dama, już w wieku podeszłym, ale z pełną życia, rozumną i wyrazistą twarzą, a w głębi fotelu przy stole jakiś biały jak gołąb i zgrzybiały staruszek, ale tak elegancko i wytwornie, chociaż ze staroświecka ubrany, że przy nieruchomości oczu jego i twarzy, patrzącemu nań przez stół z drugiego końca, wydawał się jak malowany portret, tylko co zdjęty ze sztalugi i postawiony na krześle. Koronkowa téż chustka na szyi, żaboty i mankiety od koszuli, były tak sfałdowane, tak wyrurkowane, że wyglądały raczéj na dzieło pendzla, niż żelazka. Na piersiach iskrzył od światła wielki krzyż brylantowy maltański. Byłto bowiem

ostatni już może na świecie rzeczywisty kawaler i komandor tego zakonu dla prowincyi polskiéj, dziewięćdziesięcioletni hrabia Dunin. Za młodu, jako oficer gwardyi Ludwika XVI-go, trzymał straż na weselu tego króla z Maryą-Antoniną, o czém podobno najlepiéj opowiadać lubi; po rozwiązaniu zaś swego zakonu, osiadł i mieszka w Rzymie od lat przeszło czterdziestu. Wierny ślubom zakonnym, nie wszedł w śluby małżeńskie, ale jako prawdziwy *Kawaler*, zachował dla płci pięknéj cześć i uwielbienie rycerskie. Niedowidzi już, niedosłyszy, i suwa nogami, jest jednak chętnym gościem na wszystkich liczniejszych zebraniach, gdzie są damy, i to w nim podtrzymuje gasnącą iskierkę życia. Jakoż z początku siedział jak wpółsenny, ale za wejściem xiężny Izy, ożywił się i powstał z miejsca, czekając aż się zbliży ku niemu. Gdy zaś ona, stojąc tuż przy nim, winszowała solenizantce, że zdrowo i hożo wygląda: on téż, z przymilającym się uśmiechem, wskazując na nią i na jéj kuzynkę w zieleni, dodał: „*Rose et bouton!*“ (róża i pączek). Przedtém téż z niemi tylko rozmawiał, a że mówiono o tegorocznym wybuchu Wezuwiusza, który one właśnie widziały, zapytał ich arcy-naiwnie, czy znajdują że był większy lub mniejszy od tego, który w roku 1794 zniszczył wiele blizkich miasteczek i samemu Neapolowi zagrażał? Należy to bowiem do głównych rysów jego charakterystyki, że tak widać stracił w pamięci wszelką perspektywę przeszłości, iż nie umie już odróżnić wczorajszéj, od upłynionéj przed wieloma laty. Nie lubi jednak, gdy go w tém kto

przestrzeże, i gdy siedząca na kanapie dama zrobiła mu uwagę, że tych pań wtedy jeszcze nie było na świecie, zamormoszył się widocznie i zamilkł.

Ta zaś dama, przy któréj ja właśnie siedziałem, jest to pani hrabina Moszyńska, wdowa po jakimś dygnitarzu dworu saskiego, z czasów W. X. Warszawskiego. Córka jéj z piérwszego małżeństwa, panna Teressa Łopuska, cud doskonałości, jak mówią, pod względem rozumu i serca, tak umiała pozyskać przyjaźń dwóch rówiennych sobie xiężniczek (córek xięcia Maxa), że gdy te wyszły za mąż za dwóch braci W. Xiążąt Toskańskich, ściągnęły ją na dwór swój do Florencyi, jako przyjaciółkę. Z nią razem przybyła i matka. Ale gdy córka jéj wkrótce wyszła za mąż, za barona *de Bock*, Inflantczyka, i wraz z nim zamieszkała w Szwajcaryi, pani M. nie chcąc, jak mówiła, stawać się zależną od zięcia, osiadła sama w Rzymie, i stała się nie tylko zależną, ale prawie niewolnicą — czyją? oto psa faworyta, obrzydliwego kudłatego szpica, który mię najokropniéj przestraszył. Zaledwo bowiem usiadłem koło niéj, czuję że mię coś dotyka do nogi. Spójrzę — i omal nie krzyknąłem z przestrachu, myśląc że sowa siedzi mi na nodze. A był to łeb tego potworu, który się z pod nóg swojéj pani wysunął i pysk oparł na nodze mojéj. Panienki się roześmiały, ja się zawstydziłem, a reparując się jako tako, napomknąłem zlekka o sowie, którą, jako godło mądrości, sadzą zwykle u stóp Minerwy. Pani hrabina przyjęła to wdzięcznie—chociaż komplement nie mógł być fałszywszy. *Telasko* wprawdzie (tak się zowie

ten potwór), ma być mędrcem psiego rodzaju, ale co mądrość jego pani—to pożal się Boże! Pomieścićby ją chyba obok pobożności owéj dewotki, o któréj biskup Krasicki w swojéj bajce powiada:

„Uchowaj Panie Boże takiéj pobożności!“.

A przecież rozumu jéj nie brak. Oczytana, bystra, dowcipna, posiada wszystkie warunki miłéj towarzyskiéj rozmowy; ale że się Telasko bez niéj w domu nudzi, więc się ona, przez wzgląd na niego, towarzystwa ludzkiego wyrzekła, i bywa tylko u państwa Ankwiczów, bo mieszka w tymże samym domu na górze, i Telasko jest zawsze z nią razem. I trzebaż, że ta właśnie jego obecność pozbawiła nas przyjemności słyszenia śpiewu xiężny Izy. Xiążę Radziwiłł w imieniu towarzystwa już miał prosić ją o to, gdy panna Henryetta z przestrachem uprzedziła go, aby tego nie czynił; Telasko bowiem tak niecierpi i nie znosi muzyki, że niezawodnie zacząłby szczekać i wyć pod kanapą. To téż i pani jego, znakomita jakoby muzyczka, całkiem dla niego zaniechała swego talentu. Sądź więc z tego o jéj mądrości—a może i o dziwactwach serca ludzkiego.

Wieczór zresztą istotnie mógł się nazwać polskim: był ożywiony, wesoły i gwarny, aż go dopiéro przy końcu zamąciła dość szczególna okoliczność, o któréj ci wspomnę dla tego, abyś z niéj poznał lepiéj gospodynią domu. Od dni kilku cierpiała ona na ból w uchu, i operując je sama szpilką, szpilkę tę upuściła gdzieś z ręki. Było to tego dnia z rana, i wcale

wtedy na to nie zwróciła uwagi. Ale nagle, przy końcu wieczora, zapewne skutkiem gorąca, ból tak dalece się powiększył, że pacyentka uroiła gwałtem, iż to ta ranna szpilka musiała jéj wpaść w głąb' ucha, i niezawodnie o śmierć ją przyprawi. Daremne były perswazye wszystkich. Rzewne łzy jéj świadczyły, że ból być musiał gwałtowny; ale przytém to urojenie, a nadewszystko dobroduszna naiwność, z którą jakby poraz ostatni żegnała się ze wszystkimi, miały swoję stronę zabawną. Skończyło się, że mąż sam, pomimo spóźnionéj pory, pojechał po najsławniejszego chirurga, a goście rozeszli się powarzeni. Co do mnie jednak, wyznaję, że mię właśnie ta scena mianowicie dla niéj ujęła; gdyż musi to być jakaś dobra, szczera, naiwna natura, a wnoszę i zkąd inąd, że jest tak, a nie inaczéj.

Nazajutrz, ma się rozumieć, przyszedłem rano dowiedzieć się o zdrowiu; a że się dowiedziałem, że doktor i ciepłe okłady zmniejszyły ból i uleczyły wyobraźnię, więc i Adam na drugi dzień wybrał się także z wizytą, i tą razą przynajmniéj raczył mi przyznać za powrótem: „że nie przesadziłem w pochwale panienek". Bo już to ja wiecznie na tym punkcie doświadczam losu Kassandry; nie dla tego, iżbym w istocie przesadzał, ale tylko, że jak nie ma soboty, podług mniemania ludu, w którejby słońce choć na chwilę nie błysło, tak dla mnie nie ma młodéj panienki, byle nie pysznéj, nie złośliwéj, i nie paplającéj wciąż po francuzku, którąby w oczach moich właściwéj sobie piękności i wdzięku nie miała. Że zaś sam na to

przedewszystkiém patrzę i o tém tylko rad mówię, ztąd niewiara w moje pochwały i obwinianie mię o przesadę. Adamowi wszakże najwięcéj podobała się tą razą sama pani, a to w skutek własnego jéj opowiadania o sobie, o owéj nieszczęsnéj szpilce i o gotowaniu się na śmierć. Sam pan Ankwicz nazajutrz oddał nam wizytę i zaprosił na czwartek, to jest na wczoraj, na „skromny polski obiadek“. Byliśmy— i na relacyi o tym obiadku zakończę mój list niniejszy, mający jedynie na celu wprowadzić cię i zapoznać z domem tych państwa, który, wraz z domem xiężny Zeneidy, dziś już nawet stanowi dla nas jakby drugi biegun, śród których krążyć tu mamy. Obiad zaś ten jest najdoskonalszym kontrastem obiadu u xięcia Gagaryna, pod względem stanowiska i roli, jakie na nich zajmował i odegrał Adam.

Gośćmi oprócz nas byli: p. Moszyńska, Strzelecki, ze swoim elewem, i x. Zajączkowski, missyonarz z Warszawy (wysoki, barczysty, rubaszny). Widziałem go już u państwa Dernałowiczów, ale z Adamem tu się poznał dopiéro. Z razu szło wszystko dobrze, rozmowa i harmonia; ale gdy się panienki unosiły nad Rzymem, Adam swoim zwyczajem zaczął się im przekomarzać u stołu, zestawiając bardzo dowcipnie Rzym nowy ze starym, i porównywając go do parweniusza, któryby z gruzów magnackiego zamku zbudował sobie sklep lub kamienicę, a zajęty w niéj spekulacyą czy handlem, chciał naśladować wspaniałość i powagę dawnych panów zamku. Xiądz Zajączkowski nie podobał tego; ale wszakże bardzo spokojnie przeciwne zdanie swoje objawiał.

Dopiéro gdy pani domu, chcąc podnieść znaczenie Rzymu, wszczęła rzecz o świetności religijnych obrzędów, a Adam upatrywał w tém więcéj teatralnéj wystawy niż istotnego ducha pobożności, i wpływ raczéj na wyobraźnię niż uczucie i moralność ludu: podrażniona tém żarliwość xiędza Zajączkowskiego, wybuchła z wulkanicznym zapałem. Mówił o płochych i zuchwałych sądach młodzieży; o półmędrkach i niedowiarkach; a mówił to takim tonem, jakby widział przed sobą reprezentanta wszystkich tych kategoryj, i jakby ten stał przed amboną, albo nawet u konfessyonału. Gospodarze byli skonsternowani; ja także obawiałem się w duchu, aby tego rodzaju filippika nie wywołała repliki w tymże tonie. Ale tu Adam zadziwił mnie, a może i wszystkich, dziwnym taktem i panowaniem nad sobą. Xenofont w sławnéj swojéj rejteradzie nie mógł manewrować rozumniéj, aby i nie okazać się porażonym, i napastnika oporem nie drażnić. Odpowiadał spokojnie i krótko, i to tylko *rykoszetami*, zwracając mowę do panienek, tonem wpółżartobliwym, ale bez cienia goryczy lub ironii, zostawując przeciwnikowi wolne pole do rozwijania kaznodziejskiéj wymowy. A i to dodać trzeba, że xiądz Zajączkowski mówił istotnie bardzo dobre rzeczy, tylko że je niesłusznie do Adama stosował. Z tego téż punktu widzenia przyszła mu najprzód w pomoc pani Moszyńska, tłómacząc i wykazując rzeczywistą myśl i znaczenie słów jego, które były początkiem dysputy. Nie pomogło to z razu stanowczo; tylko że xiądz Zajączkowski, nie ustając w zapale, obrócił front atta-

ku ku damom, które przez względy światowe, lub aby ujść za rozumne, potakują fałszywym teoryom rozumu, zwłaszcza gdy te są w modzie lub wyznawane przez ludzi znaczących i sławnych. Ale tu znowu Strzelecki przerzucił rzecz na pole czysto naukowe, dowodząc stanowczo i z mocą, dogmatycznie i historycznie, że same zewnętrzne obrzędy, oprócz głównych i zasadniczych, nie były i nie są wcale uważane przez Kościół za integralną część wiary; że są wprost ustawą ludzką, wynikiem okoliczności czasowych, i stosowane zawsze mniéj więcéj do charakteru i obyczajów narodu, śród którego najprzód powstały. Brać je przeto za jedno z wiarą, jest to grzeszyć przeciwko duchowi samejże wiary i przekrzywiać intencye Kościoła. Napadniony w ten sposób znienacka, xiądz Zajączkowski złagodniał; Adam zaś, wziąwszy assumpt ze słów Strzeleckiego, skreślił tak śliczny i poetyczny obraz prostoty i powagi religijnych obrzędów kościelnych i domowych zwyczajów u nas, że sam jego antagonista zmuszony był pod tym względem przyznać im wyższość nad włoskiemi, a więc nie mógł i temu zaprzeczyć, że są odpowiedniejsze świętości swojego celu.

Tym sposobem tęcza przymierza zabłysła na burzliwéj chmurze dysputy. A jak po burzy ptaszęta, tak i głosy panienek ozwały się znowu w rozmowie, która téż przy końcu obiadu stała się znów słodka jak deser; nektarowe zaś „*Lachrymae Christi*“ w zastępstwie szampańskiego, posłużyło gospodarzowi za temat do wzniesienia polskiego toastu: „kochajmy się!“ — który ostatnie ślady chwilowego nieporozumienia za-

gładził. Adam owszem, po wyjściu już xiędza Zajączkowskiego, wziął stanowczo jego obronę przeciwko pani domu i pani Moszyńskiéj, mówiąc, że dobry żołnierz na pikiecie, powinien dobyć szabli lub strzelić z pistoletu, choćby mu się tylko zdawało, że nieprzyjaciela dostrzega. — Deszcz ulewny nie dozwolił nam odejść, jakby może etykieta kazała; zostaliśmy więc na herbacie. A że i pani Moszyńska z nieprzyjacielem muzyki, faworytem swoim, odeszła: córka domu, na prośbę Adama, usiadła do fortepianu. Gra jak artystka, biegle i z uczuciem. Przez lat kilka była uczenicą Moschelesa i innych znakomitych mistrzów. Adam zaraz po piérwszéj sztuce wstał z miejsca i stanął przy grającéj. Muzyka trwała długo, a w przerwach, ożywiona rozmowa z obu stron. Kiedy zaś po herbacie sama pani domu odegrała kilka melodyj starych piosnek, o których właśnie toczyła się mowa, a między innemi *Filona;* z twarzy Adama widziałem, że byłby w téj chwili improwizował z pewnością, gdyby go kto śmiał o to poprosić. Zatoż wyszedłszy był bardzo rozmówny i zachwycony całym tym domem, muzyką, a bodaj że i samą muzyczką, którą znajduje „miłą i rozumną". A ja powiadam tobie toż samo o pannie Marcellinie, z którą towarzystwo, jak dzisiaj, tak bodaj że i nadal na mój dział zwłaszcza przypadnie. Obie widać dużo czytały, a mianowicie są biegłe w archeologii Rzymu, któréj formalne lekcye brały u sławnego archeologa *Pietro Visconti.* Obiecują téż być przewodniczkami naszemi; chociaż wielka kwestya, czy nam przy nich zechce się patrzéć na stare

gruzy i kamienie. Zaproszeni jesteśmy tak szczerze i serdecznie, abyśmy często bywali, że pewno temu uczynimy zadość. Tymczasem, koniec na tém; bo nie chcę nawet ani zahaczać myślą o to, cośmy w Rzymie przez te dni widzieli; gdyż w zbytniém może rozmarzeniu, takby jéj trudno było dójść w tym liście do *Vale*, jak ta mała senna dziewczynka, w *Rozrywkach* panny Tańskiéj, nie mogła trafić w paciorku do *Amen*. Na dziś zatém *Vale*, i *Amen*.

III.

Do Ignacego Chodźki.

Rzym, 16 grudnia, 1829 r.

Roma, ego et Adamus
Omnes tres te salutamus.

A wstrzymywałem się umyślnie z tym listem w nadziei, że go będę mógł zacząć od przesłania wam apostolskiego błogosławieństwa Ojca Świętego, o które miałem prosić go dla was na posłuchaniu, od tygodnia codziennie spodziewaném. Otrzymać je można nie inaczéj jak za pośrednictwem posła, i xiążę Gagaryn był tak łaskaw, że je chciał dla nas wyjednać. Ale dopiéro onegdaj odpowiedziano mu urzędownie, że stan zdrowia Jego Świątobliwości nie dozwala mu w téj chwili przyjmować nikogo. Musicie zatém poprzestać tymczasem na prostém pozdrowieniu przyjaciół, którzy, choć już od miesiąca są w Rzymie, nie widzieli jeszcze Papieża.

Zatoż dokoła siebie rozglądamy się co oczu stanie; ale dla was korzyść ztąd żadna. Owszem, im bardziéj oceniam wartość tego, co widzę; tém mniéj czuję sił i śmiałości do mówienia o tém. Zresztą, dość już o tym przedmiocie pisałem ztąd w liście do Juljana, i chyba dodam jeszcze to jedno, co wczoraj właśnie Adamowi mówiłem, i co mu się dość podobało: to jest, że Rzym względem swych gości jest jak stary

opowiadacz gaduła (np. twój Kaczanowski), który im od rana do nocy prawi wciąż rzeczy tak ciekawe i piękne, ale zarazem tak stare, że chociaż oni sami słuchając zapominają dla nich o dzisiejszych, powtórzyć ich jednakże nie mogą nikomu: bo każdy wié o nich i bez tego, a opowiadać tak, jak ten staruszek, tego nikt z młodszych nie potrafi na świecie. Pozostaję więc przy moim programie pisania wam tylko o sobie. Żeby zaś nie powtarzać nic z tego, coście już może dotąd w listach do Juljana czytali, opowiém wam o nowéj całkiem znajomości, która i dla was, jak sądzę, obojętną nie będzie, a co szanowny i kochany pan Krzysztof, to jestem najpewniejszy, że i jako kawaler Legii Honorowéj i jako, niestety, heretyk, przyjmie ją daleko ciekawiéj, niżby nawet wiadomość o samym Papieżu. — Zgadłeś może, że mówię o Napoleonidach.

Jak niegdyś Sztuartowie, Wazowie, Sobiescy, których tu groby po kościołach widuję, osiadali na dewocyi w Romie, aby na gruzach tronu téj „królowéj świata“, medytując o znikomościach jego, łatwiéj mogli o stracie własnych koron zapomnieć: tak dziś matka i krewni byłego Cesarza, Rzym téż sobie za przytułek obrali. W liczbie tych ostatnich jest były król Westfalski, Hieronim, i była królowa Hollenderska, Hortensya Beauharnais, córka Józefiny, a żona Ludwika Bonapartego, wraz z dwóma swoimi synami: Napoleonem-Ludwikiem i Ludwikiem-Napoleonem. O synach tych powiém najpierwiéj, bo i sam codzień prawie ich widzę, i aż mi uszy więdną, tak codzień

słyszę o nich rozmaite sądy i zdania. Sławni są bowiem w Rzymie—ale z czego? Oto z cygańskiego jakiegoś upodobania w koniach i popisywania się niém na ulicach. O każdéj porze dnia można ich widzieć na *Corso*, to razem, to pojedyńczo; to konno, to w rozmaitych powozach i powozikach, to na dwóch, to na czterech kołach; to z *dżokejami*, to bez nich; to z furmanami na koźle lub z tyłu, to powożących samych siebie; słowem, jak gdyby jakichś deputatów z cyrku, dających próbę spektaklu, na który chcą publiczność zachęcić. Jedni się z tego gorszą, drudzy śmieją, ale z téj właśnie przyczyny wszyscy codzień gadają o nich.

Współzawodnikiem ich do tego rodzaju sławy jest jakiś bogacz Anglik, siwy już i poważny z pozoru, ale widać oryginał i dziwak, chcący się excentrycznością odznaczyć. Mieszka w jednym z najpiérwszych hotelów na tak zwanym Placu Hiszpańskim (*Piazza di Spagna*), i codzień o godzinie czwartéj daje tam z siebie widowisko *gratis*, nie tylko ulicznikom rzymskim, ale i wielu ludziom porządnym, którzy się na nie zbierają. Ledwo albowiem czwarta godzina uderzy, otwiera się brama hotelu, i wyjeżdża z niéj najprzód czterech galowo ubranych *dżokejów*, w ponsowych axamitnych kurtkach, na pięknych angielskich koniach, i szykuje się po dwóch przed bramą. Wtedy dopiéro zaczyna z niéj wychodzić istna trzoda psów gończych, pstrokatych, posforowanych, po dwie sfory w rzędzie, a jest ich w ogóle sfór osiem. Nakoniec, w ślad za niemi, ukazuje się z bramy sam ów Ne-

mrod, na przepysznym arabskim koniu. I żebyż jechał przynajmniéj na polowanie! ale gdzie tam! Jedzie, ażeby przeprowadzać psów swoich na spacer, który jest im do zdrowia potrzebny. Jeden z dżokejów poprzedza ten orszak; dwóch, z harapami w ręku, strzeże go po bokach; czwarty jedzie z tyłu za panem. I trwa ten spacer około dwóch godzin, tak, że zawsze około szóstéj mnóstwo ludzi stoi znowu na placu, aby się powrótowi tego grona przypatrzyć. Pomimo wielkiéj mojéj ciekawości, nie mogłem dotąd dowiedzieć się z pewnością, kto jest ten: czy *gentleman*, czy *esquire*, czy *milord*, i co on tu właściwie z temi swemi psami porabia? Ale jest on, jak powiedziałem, pod względem excentrycznéj śmieszności, drugim tomem młodych Bonapartych; o których zresztą powiadają, że wiodą rej pomiędzy liberalną młodzieżą rzymską i mają wziętość u ludu, z powodu swojéj hojności, a może i téj nawet oryginalności, która do włoskiéj wyobraźni przemawia. Obaj są ładne chłopcy i nie zdają się mieć więcéj jak po dwadzieścia kilka lat wieku. Matka, jak widać, nie musi mieć dość władzy nad nimi, aby ich od tych studenckich wybryków powstrzymać; sama albowiem, równie jak pani Letycya, używa tu powszechnéj czci i uszanowania. Xiężna Zeneida, która jest z nią w dobrych stosunkach, powiedziała jéj o Adamie; ona życzyła go poznać, i skutkiem tego ja także, jako *satelles*, dostąpiłem zaszczytu być jéj przedstawionym z nim razem.

W przeszłą tedy sobotę, 12 grudnia (30 listopada u was), o godzinie piérwszéj z południa, wyruszyliśmy na tę wizytę, pod patronatem xiężny Zeneidy. Ex-królowa, czy raczéj xiężna Saint-Leu, (bo to jest officyalny jéj tytuł), czekała już widać na nas; bo wpuszczono nas bez meldowania, i tylko kamerdyner francuz przeprowadził nas przez salon do drzwi gabinetu, w którym nas *incognito* przyjęła. Musi mieć lat przeszło czterdzieści. Postać kształtna i pełna godności. W twarzy wprawdzie nie widać już tych wdzięków, któremi niegdyś słynęła, ale jest wyraz uprzejméj dobroci, a przytém wielkiéj powagi i spokoju. Ubrana była czarno, w sukni zapiętéj pod szyję. Za wejściem xiężny Zeneidy podniosła się i postąpiła ku niéj parę kroków, a gdy ją obok siebie sadzała na kanapie, my téż zbliżyliśmy się do stolika, aby jéj pokłon nasz złożyć. Stolik ten stał przed kanapą, na rozesłanym szeroko dywanie, a wkrąg niego kilka krzesełek, plecionych ze słomy ryżowéj, delikatnych i lekkich jak piórko. I trzebaż, że o jedno z nich właśnie zawadziłem w przechodzie. Krzesełko się przewróciło, a ja—a ja, niestety, czułem jak cała krew zbiegła mi do twarzy, gdy się musiałem schylić, ażeby je podnieść. Nie wyszło to mi jednak na złe; owszem, *la mine pitoyable*, jaką musiałem mieć w téj chwili, wzbudziła widać litość w gospodyni domu; gdyż do mnie najprzód obróciła mowę; chociaż słowa grzecznego komplementu, w liczbie mnogiéj mówione, stosowały się właściwie do Adama, i dla niego zapewne były przeznaczone. Odpowiedziałem

więc tylko milczącym pokłonem; Adam zaś w krótkich słowach tak zręcznie, ale razem z takiém uczuciem wyraził cześć dla pamięci Cesarza i jego rodziny, że Królowa z widoczném zadowoleniem wyciągnęła ku niemu rękę, i gdy usiadł na krzesełku tuż przy niéj, zaczęła od ubolewania, że nie będzie nas mogła przedstawić pani Letycyi, która w tych dniach uległa smutnemu przypadkowi, to jest, powstając z krzesła we własnym pokoju, zaplątała się w suknię, upadła i złamała nogę. Przez dni parę była obawa o jéj życie; ale teraz już niebezpieczeństwo minęło, i musi tylko czas zwykły nieruchomie w łóżku przeleżéć. Po kilku minutach rozmowa stała się tak swobodną, a przytém tak ożywioną, że i ja, zapomniawszy o swojéj niezgrabności, mogłem do niéj po razy kilka swoje trzy grosze dorzucić, odpowiadając zwłaszcza na pytania o Warszawie i o Królestwie Polskiém. Adam bardzo delikatnie i zlekka, ale dał jednak poznać głębokie swoje przekonanie, że gwiazda w którą Napoleon wierzył, nie zagasła na zawsze; na co była Królowa odpowiedziała tylko niemém schyleniem głowy. Mówi zaś żywo i prędko; z poruszenia rąk nawet widać, że radaby gestykulować, gdyby się nie miała na straży. W ogólności wszystko w niéj zdradza Francuzkę, a może nawet i kreolkę po matce: tyle życia i energii w ruchach, spójrzeniu i głosie. Przytém dźwięk głosu miły, a sposób tłómaczenia się dziwnie naturalny i prosty. Mówiąc np. o Napoleonie, (którego zawsze tylko nazywa *L'Empereur*), w domowém jego pożyciu, rzekła: „*Il est difficile de s'imaginer comme il était*

bon enfant". Na zapytanie xiężny Zeneidy o pani de Stael, odpowiedziała: że była to w gruncie serca dobra kobieta, tylko tak zazdrośna o sławę, że nienawidziła Cesarza za to, że o nim więcéj niż o niéj świat mówił. Cesarz téż nie miał ku niéj żadnéj rzeczywistéj niechęci, ale go drażniła jéj próżność, „*et il ne voulait pas lui permettre de se pavaner trop à ses dépens*". Po półgodzinném może trwaniu wizyty, xiężna Zeneida już się była podniosła, aby odejść, ale ją pani domu zatrzymała, mówiąc: „*Qu'y a-t-il de si pressé?*" A było to właśnie w téj chwili, kiedy Adam, jak powiedziałem, o swych proroczych nadziejach napomknął. Zabawiliśmy więc pewno około trzech kwadransów, a kiedyśmy nakoniec ostatecznie powstali, oświadczyła nam bardzo uprzejmie, że przyjmuje wieczorem w soboty i wtorki, i „*qu'elle sera toujours charmée de nous voir*". Nie dość na tém, przeprowadzając xiężnę do drzwi gabinetu, obróciła się ku nam i dodała: „*qu'elle veut nous faire voir ses souvenirs posthumes*". I wprowadziła nas do ośmiokątnego salonu, wyłożonego białym marmurem, na którego ośmiu ścianach wisiało osiem ogromnych obrazów, nie malowanych, lecz gobelinowych, ale tak doskonale naśladujących malowidło, że sam byłbym się tego pewno nie domyślił. A były to portrety w całéj postaci: Napoleona i Józefiny, w stroju koronacyjnym; Ludwika i saméj Hortensyi, w mantyach królewskich; dwóch małych jéj synów, także w purpurze i gronostajach; xięcia Eugeniusza Beauharnais, w mundurze Gidów, na koniu, i nakoniec, nad kominkiem,

portret konny Napoleona, w historycznym szarym surducie, podług obrazu malarza *Le Gros*, jeśli dobrze dosłyszałem nazwisko. Oglądaliśmy wszystko w milczeniu; gospodyni zaś, z powodu portretu brata, wspomniała, że jednemu z Polaków, generałowi Klickiemu, (wymawiała *Klikki*), winien on był ocalenie życia śród bitwy, i ztąd bardzo życzliwie wyrażała się o Polakach w ogólności, dając przytém delikatnie do zrozumienia, że z tego to zwłaszcza tytułu mieliśmy zaszczyt oglądania tych „pogrobowych pamiątek“, których, jak wyraziła się sama, „nie zwykła pokazywać *każdemu (à tout le monde)*“. Przy pożegnaniu nakoniec przypomniała nam łaskawie raz jeszcze wtorki i soboty, i dziękowała xiężnie za miłą znajomość. Wyszliśmy zachwyceni tém wszystkiém, unosząc bardzo miłe i wdzięczne wspomnienie.

Wczoraj zatém, to jest w najpiérwszy wtorek po owéj wizycie, aby okazać skwapliwość w korzystaniu z tak uprzejméj dobroci, z Szewirewem i młodym xięciem Wołkońskim wybraliśmy się na ten wieczór o godzinie dziesiątéj, paradując w powozie xiężny. Trzy obszerne salony oświecone były rzęsiście. W średnim siedziała sama pani domu, w gronie kilkunastu dam, bardzo strojnych. Powitała nas grzecznie, podnosząc się nieco, ale tylko zwyczajnym frazesem „*Charmée*“ etc.; młodego zaś Wołkońskiego zapytała o zdrowie matki. My przestaliśmy na milczącym pokłonie, i wmieszaliśmy się w tłum nięznajomych, gdzie ja wkrótce spotkałem pana Władysława Zamojskiego, który świeżo przybył do Rzymu, i zapoznałem go

z Adamem. Przedtém zaś, kiedyśmy jeszcze stali w pobliżu dam, zaanonsowano: „*le Duc et la Duchesse de Rovigo!*“ Historyczne to imię dziwnie jakoś zabrzmiało mi w uszach. I weszła para w poważnym już wieku. On sam sporego wzrostu, siwy i nieco łysy, rumianéj i wesołéj twarzy, na któréj wszakże, zwłaszcza w ściśnionych ustach, wyraz ironii przebija. Toaleta jéj saméj wcale nie balowa, kontrastowała dziwnie z toaletą dam innych. Królowa postąpiła ku nim parę kroków; podała rękę xięciu, a ją samę sadzając przy sobie, dziękowała jéj głośno, (może dla wyexkuzowania jéj stroju), że będąc już w podróży przyszła ją jeszcze odwiedzić. Ale wszystkie dalsze szczegóły tego wieczoru, czyli *rautu*, zgasły dla mnie przy mojéj własnéj przygodzie, o któréj wam zaraz opowiém. Stałem sobie w ostatnim salonie rozmawiając coś z Szewirewem, kiedy widzę, że młody xiążę Wołkoński, rozpatrując się wprzód naokoło, idzie wprost i pośpiesznie ku nam, prowadząc obok jakiegoś pana w czarnym fraku, z dwiema gwiazdami i z długim rzędem miniaturowych orderów, zawieszonych na sprzączce w pętlicy. Zbliżywszy się, usunął się z uszanowaniem na stronę, wskazując na mnie i mówiąc do tego pana: „*voilà un des polonais*“. Ukłoniliśmy się sobie nawzajem, a ten pan zapytał mię grzecznie, z jakich stron Polski przybywam? Na odpowiedź, że z Warszawy, dodał: „*Ne pourriez vous pas me donner quelques renseignements sur mes anciennes connaissances?*“ Milcząc skłoniłem się powtóre, na znak, że czekam na pytania. Jakoż za-

czął mię rozpytywać o różnych generałach, a mianowicie o Izydorze i Wincentym Krasińskich, o Stanisławie Potockim, i o kilku innych. Na to wszystko mogłem mu odpowiedzieć zadowalniająco, bo albo znałem osobiście, albo dobrze wiedziałem o każdym. Trwało to może z kwadrans; poczém podziękował mi pięknie i odszedł. Byłem pewny, że to jest jakiś francuzki generał, który chce wiedzieć o dawnych kolegach, i przeto nie mówiłem do niego inaczéj, jak: *Monsieur*. Ale zaledwo odszedł—Adam, który tymczasem zbliżył się i stał przy mnie podczas téj rozmowy, porywa mię za rękę i mówi: „Wiész-że ty z kim gadałeś?“—„No, pewno jakiś generał“.—„A czyż ty ślepy, że nie widziałeś podobieństwa?“—„Jakiego?“ — „Toż jest Hieronim Bonaparte, podobniuteńki do Cesarza, jak dwie krople wody.“—Aż mi się gorąco zrobiło; nadewszystko pożałowałem, żem go nie nazwał *Sire* i *Votre Majesté*, co on podobno, jak słyszałem, lubi, i jak go grzeczni nazywają w rozmowie. Adam zaś, widocznie wzruszony, opowiedział powód wzruszenia, który tu wam w treści powtórzę.

W roku 1812, kiedy armia króla Westfalskiego szła pod Słonim przez Nowogródek, dom rodziców Adama, jako najlepszy w miasteczku, przeznaczono na kwaterę królewską. Mieszkańców, ma się rozumieć, wypędzono; ale Adam, czternastoletni naówczas, zakradł się do własnego ogrodu przed domem, i położywszy się na ziemi, przez sztachety okręcone powojem i chmielem, które go zakrywały, przypatrywał się przybyciu królewskiego gościa. Wszystkie szcze-

gołv, jak powiadał, stanęły mu dziś tak żywo w pamięci, jak kiedy je naówczas przed oczyma oglądał. Ruch nadzwyczajny w całym domu, w chwilach oczekiwania, ustał nagle, gdy jakiś oficer przyleciał w galop na koniu i zapewne o zbliżaniu się króla oznajmił. Oddział straży w dziedzińcu i na ulicy, z bronią w ręku i ze sztandarem, uszykował się w szpaler od bramy do ganku. Adam mówi, że mógłby narysować, tak je widzi wyraźnie, ogorzałe, wąsate twarze grenadyerów, w ogromnych czarnych bermycach, z tornistrami i blaszankami na plecach. Odgłos trąb, bębnów, piszczałek, i okrzyk ludu na ulicy zwiastowały przybycie króla. Adam nie mógł obaczyć, jak zsiadał z konia przed bramą, ale widział jak szedł przez szpaler, salutując na obie strony prezentujących broń przed nim żołnierzy. Tłumny orszak lśniących od złota, w kaszkietach i kapeluszach z piórami, szedł za nim, i zatrzymał się przed gankiem, z którego król ich pożegnał. Adam mówi, że gdyby Anioł zstąpił z nieba w promieniach, nie mógłby go był przejąć większą czcią i podziwieniem. „A dziś—powiadał daléj—widzieć tego samego człowieka we fraku; być z nim w tym samym salonie; słyszeć jak mówi z tobą, i jak ty go nazywasz: *Monsieur!!!*“

Ten *Monsieur* zatém tém bardziéj wiercił mi jak gwóźdź w sercu, i postanowiłem *coûte que coûte* naprawić to mimowolne uchybienie. Ale musiałem manewrować długo, nie myśląc już więcéj o niczém, nim upatrzyłem stosowną sposobność. Widząc, że ma przechodzić z jednego salonu do drugiego, stanąłem we

drzwiach, i gdy przechodził koło mnie, ukłoniłem się bardzo pokornie, i rzeczywiście z wielką nieśmiałością wyjąkałem ułożony już wprzód w myśli frazes: „*Sire! je demande pardon à Votre Majesté de n'avoir pas su auparavant, à qui j'ai eu l'honneur de parler.*“—Zatrzymał się i spójrzał na mnie bystro, ale znać bez obrazy; bo owszem skinął głową uprzejmie i odezwał się tonem łagodnym: „*Au contraire, vous m'avez fait grand plaisir en me parlant de mes connaissances, à qui j'ai eu l'honneur de commander autrefois.*“ — Pokłoniłem się jeszcze niżej i rozumiałem, że już sobie pójdzie—ale on stał jeszcze i dodał: „*Et dites moi encore, est-ce que les dames de Varsovie sont toujours aussi belles, comme autrefois?*“—Ośmielony tą niespodziewaną dobrocią, odpowiedziałem swobodnie: „*Pardon, Sire! mais les dames d'aujourd'hui me paraissent plus belles, que celles d'autrefois.*“—Widać, że mu się to podobało, bo zaśmiał się i podał mi rękę, której ja, ma się rozumieć, zlekka tylko i z uszanowaniem dotknąłem. Na tém koniec stosunku mego z *Królem*, chyba, że go kiedy znów jeszcze w salonie *Królowéj* obaczę.—

A co? moja królowo myśli! nieubłagana nieraz panno Anielo dobrodziko! Czy będziesz mię tak zawsze musztrować i sztrofować byle za co, widząc jak ja tu z realnemi majestatami obcuję? Jeśli mię w tém nadzieja nie zwiedzie, nie będę mógł o sobie powtórzyć z Karpińskim, co on o swojém widzeniu się z królem powiada:

„Nic się z moim lepszego nie zrobiło stanem,
Prócz marnego wspomnienia, że gadałem z panem.“

Adam nie mógł się wydziwić mojéj śmiałości, kiedy mu powiedziałem o téj nowéj rozmowie; gdyż przewidując oppozycyą z góry, nic mu wprzód o projekcie moim nie mówiłem.—Wyjechaliśmy zaraz po północy, ale że jeszcze światło było w oknach salonu xiężny, wstąpiliśmy więc na minut parę, a zabawiliśmy z parę godzin, zastawszy w nim kilku gości i pijąc herbatę z przekąską; co mi bardzo było na rękę, gdyż na wieczorze, czatując na króla, nie tylko ciasta z winem, które roznoszono, ale nawet ani lodów nie tknąłem.

A teraz skończywszy to opowiadanie, czuję, że podług wszelkich prawideł estetyki, powinienbym i list na tém zakończyć; bo słabszy koniec osłabia początek, a gdzież znaléźć treść równą jemu? *Quis ut rex?* Ależ znowu prawidła ekonomii mówią, że mogąc za jedném *porto* posłać cały łót listu, szkoda na połowie poprzestać. A więc *computandis computandum*, biorę treść jakby z nad świata, i ciąg dalszy, jakby list nowy, zwracam całkiem do czcigodnego waszego proboszcza, którego najprzód z czcią należną pozdrawiam. Nie mogę ja wprawdzie zapomnieć, jak był niegdyś niesprawiedliwym dla mnie, zowiąc mię wilkiem na swoje „*owieczki*“, kiedy ja chciałem tylko sam być jego barankiem. W dowód wszakże trwania téj chęci i usposobienia baranka, wolę pamiętać tylko na mą obietnicę, że mu coś o kościołach tutejszych i obrzędach kościelnych doniosę. Wiém ja, że lepiéj może i właściwiéj byłoby wstrzymać się z tém przynajmniéj do chwili, aż samego Papieża i celebrę jego obaczę. Ale panujący dziś Pius VIII tak jest ciągle

cierpiący i słaby, że nie można przewidzieć kiedy to nastąpi; a powtóre, wrażenie ówczesne tak może być sprzeczne z dzisiejszém, że je całkiem potłumi i zatrze; ja zaś dla samego historycznego ciągu moich wrażeń chcę i o niém wzmiankę zostawić.

Rzym nie na darmo jest stolicą Państwa Kościelnego; tylu co w nim i takich kościołów, nie ma w żadném mieście na świecie. One same złożyłyby miasto. O ich ogromie, wspaniałości, architekturze; o artystycznych ich skarbach i historycznych pomnikach, tomy już popisano i pisać się będzie. A wszakże co do głównego celu wszelkich świątyń, do obudzania w nich i przez nie uczuć żywéj, serdecznéj, duchowéj pobożności.... Nie posądzaj mię, Ojcze, o pochlebstwo, ani obwiniaj o bluźnierstwo, gdy powiém: że pod tymto właśnie względem, twój malutki, skromniutki, drewniany kościołek w Wojstomiu, może się mierzyć śmiało nawet z Watykanem. Mówiąc to, jużciż biorę miarę z siebie; a Bóg niech nie raczy pamiętać, jeśli nie same tylko niewidzialne lub malowane anioły, tak zbawiennie wpływały w nim na mnie. Ale gdy sobie przypomnę rozmaite uroczystości, jakich bywałem w nim świadkiem; gdy widzę, zda się, ten lud bogobojny zalegający krzyżem podłogę kościoła, a klęczący wkrąg na cmentarzu; gdy słyszę, zda się, jak tłocząc się za tobą w processyi na Boże Ciało, powtarza serdecznym chórem:

„Idzie, idzie Bóg prawdziwy,
Idzie Sędzia sprawiedliwy.“

tak, że człowiek ani spostrzeżesz, jak masz rękę na piersiach i myślisz: „Nie sądź mię, Panie, w surowości Twojéj!“ — Otóż gdy to wszystko przypomnę sobie i wyobrażę, znajdując się w kościołach rzymskich, mimowolnie przychodzą mi na myśl słowa Zbawiciela o *wielkich* i *maluczkich*, czém są na ziemi i w Królestwie Bożém. Sama ilość i wielkość tutejszych kościołów to sprawia, że wszystkie prawie wydają się puste, a zaś sama ich piękność i ciekawość przedmiotów sprawia to, że trzy czwarte obecnych przychodzą tylko aby je oglądać, a nie żeby się w nich modlić. I patrząc na te pary lub grona turystów, snujące się po bokach z lornetami w ręku, gdy się w środku nabożeństwo odprawia; słysząc głośne ich gwary lub śmiechy, które wtenczas chyba zamilkną, gdy się muzyka z chóru, albo śpiew artystyczny odezwie; nie dziw, że nie jeden z gorliwszych chrześcian poczuje się do herezyi Ikonoklastów, i radby wygnać z kościołów wszystkie sztuki piękne, byleby razem z niemi i tych ich amatorów wypędzić. A gorzéj jeszcze, że nie tylko ze strony gości, ale i samych gospodarzy, można w nich spotkać wiele takich rzeczy, które nam, nienawykłym do nich, zdają się być obrazą czci i świętości miejsca. Na usprawiedliwienie tego co tu mówię, opowiém wam parę faktów, których byłem naocznym świadkiem.

Raz w niedzielę, przechodząc koło jakiegoś kościoła, słyszę w nim jakieś osobliwsze krzyki. Wchodzę więc, aby widzieć co znaczą, i trafiam na tak zwaną „naukę religii“, odbywającą się po nieszporach.

We wszystkich trzech nawach kościelnych stoją kółka większych i mniejszych dzieci, samych chłopców, i słuchają stojącego w pośrodku młodego kleryka w komży. Słucham i ja wszystkich trzech po kolei, i zarówno jestem zgorszony oschłością i niedbałością wykładu nauczyciela, jak i nieprzyzwoitém zachowaniem się uczniów. Śmieją się, szturchają się, kłócą, a nauczyciel, jakby tego nie widział, ciągnie daléj, z widocznym pośpiechem, samo suche wyliczanie formułek katechizmowych, które każe powtarzać słuchaczom, bez dodania żadnych objaśnień lub nauk, bez namaszczenia, bez serca, bez ducha. Ale to wszystko nic jeszcze w porównaniu z przyczyną tych krzyków, które mię do kościoła ściągnęły. Przed najbliższym od wejścia ołtarzem, stoją naprzeciw siebie dwie wysokie ławki, a na tych ławkach po czterech wyrostków, od 12 — 14 lat wieku; a za nimi szeregiem inni, którzy ich po kolei zastępują na ławkach. Jest to tak zwana: *Disputa Christiana.* Jakiś jegomość w czerni, zapewne zakrystyan, stoi między ławkami z grubą xiążką w ręku i czyta z niéj temat dysputy, to jest po prostu pytania z katechizmu, które stojący na ławkach mają sobie zadawać nawzajem. Odpowiedzi już do nich samych należą. Rzecz z siebie mogłaby być i dobra; ależ sposób jéj wykonania! Pytający wrzeszczy tak strasznie, że choć uszy zatykaj; odpowiadający trzepie tak prędko, że słowa zrozumieć nie można. Wymawiając zaś ostatnie wyrazy, głos formalnie podnosi do krzyku, i zaraz sam takimże tonem zadaje następujące pytanie stojącemu naprzeciw siebie

koledze. Przytém znać po nich wszystkich, że uważają to raczéj za jakąś grę lub zabawę, a nie za poważną naukę, a tém bardziéj nie za święty obrządek. Nie mogąc pohamować mego oburzenia, zapytałem stojącego tuż przy mnie, dla czego oni tak wrzeszczą? „Taki zwyczaj!“—odpowiedział ścisnąwszy ramionami. Taki zwyczaj!!! A od czegóż jest zwierzchność i władza, jeśli nie ma prostować złych, a rozkrzewiać dobrych zwyczajów? Nasz biskup niezawodnie usunąłby proboszcza, coby raz w swoim kościele podobną komedyą wyprawił. Ale i kaznodzieja u nas wyszedłby nie lepiéj, gdyby go wzięła ochota naśladować kaznodziejów rzymskich—możeby wypadało raczéj powiedzieć w ogólności *włoskich*, tylko że ja w północnych i środkowych Włoszech nie widziałem nic podobnego jak w Rzymie. Co niedziela albowiem uczęszczam regularnie na kazania, i to coraz w innym kościele, aby się i z językiem osłuchać i powziąść wyobrażenie o mówcach. Otoż to wyobrażenie dotychczas spada coraz niżéj pod zero, w porównaniu z kazaniami naszemi: z duchowém namaszczeniem żarliwego zapału x. Jakóba Falkowskiego, albo z pełną godności i powagi dykcyą x. Ignacego Borowskiego. Tu treść sama zazwyczaj sucha i deklamacyjna, a brak istotnego zapału zastępuje się gorączkową jakąś mimiką gestów i niemniéj rażącą a ciągłą modulacyą głosu, od szeptu aż do wykrzyku. Do jakiego zaś stopnia ta metoda dochodzi niekiedy, opowiém wam pokrótce treść jednego kazania, które sam na własne uszy słyszałem. Było to w jednym z większych kościołów w środ-

ku miasta, niedaleko placu *Navone*. Przed kaplicą poboczną, oddzieloną od kościoła kratą żelazną, stał uszykowany półkolem we dwa rzędy oddział żołnierzy, do których z kaplicy przez kratę przemawiał kaznodzieja stojący na ziemi, i który się w ciągu mówienia z końca w koniec wzdłuż kraty przechadzał. Nie było to bowiem właściwe kazanie, ale rodzaj rekollekcyjnéj nauki; zawsze jednak możecie ją uważać za próbkę kaznodziejskiéj wymowy tutejszéj. Mówca z góry zapowiedział słuchaczom, że opowié im jedno zdarzenie, z którego pożytek dla siebie każdy z nich wyciągnąć powinien.—„*Era un soldato*“, to jest, był żołnierz, śmiały i waleczny na wojnie „*ma un birbante*“ etc., to jest, łotr, pijak, gbur, zawadyaka, nieposłuszny, krnąbrny, zuchwały. (To się mówi głosem grubym, podniesionym, z podnoszeniem rąk i zaciskaniem pięści). „A miał żonę poczciwą, bogobojną, pobożną, łagodniutką, cichutką, milutką“. (To się mówi głosem cichym, słodziutkim, ze składaniem rąk i kiwaniem głową.) W dalszym ciągu powieści, mówca przedstawia obrazowo, zmieniając ton i gesta, kilka scen domowego pożycia, w których *questo birbante* (ten łotr), poniewiera dobrocią *di questa pia donna* (téj pobożnéj niewiasty), która wszystko znosi cierpliwie i modli się za nawrócenie grzesznika. Jakoż razu jednego ów żołnierz, przechodząc mimo kościoła, widzi że jest otwarty i wchodzi, ażeby się pomodlić. Przy wszystkich bowiem swoich niecnotach, miał on wszakże tę jednę zaletę, że był nabożnym do N. Panny. Nad ołtarzem ujrzał Jéj obraz z dzieciąt-

kiem Jezusem na ręku; ukląkł więc i zaczął się modlić. Nagle słyszy głosy nad sobą. Podniósł wzrok... *e che vede?* (i co widzi?) Dziecina (*il bambino*) trzepoce się na ręku matki i woła, (głosem podniesionym i gniewnym): „Nie, nie, najmilsza matko! dłużéj czekać nie mogę. Grzechy tego człowieka dopełniły swéj miary. Jestem Bogiem sprawiedliwości; nie proś mię za nim więcéj, sprawiedliwość musi być domierzona“.—„Synu najmilszy!—odpowiada matka (głosem słodkim i błagającym): „pomnij żeś jest zarazem Bogiem miłosierdzia, i że miłosierdzie twoje bez granic. Nie chcesz śmierci grzesznika, ale aby się nawrócił i żył.“—„Ależ, najmilsza matko!—odpowiada Pan Jezus,—„ten człowiek o nawróceniu się nie myśli. Niema w nim ani skruchy, ani żalu.“—„Prawda, niestety, niema, ale ja ci ręczę, że będzie, jeśli mu czas do pokuty zostawisz.“—Pan Jezus wzbrania się jeszcze; ale się daje ubłagać nakoniec i mówi: „Matko najmilsza! wiész, że tobie nic odmówić nie mogę. Ale mi przyrzecz nawzajem, że jeśli on i teraz jeszcze się nie poprawi, nigdy już za nim wstawiać się nie będziesz.“— N. Panna przyrzeka, Pan Jezus się uspokaja, obraz znowu jest tylko obrazem.—„*Ma questo infelice?*“ (ale ten nieszczęśliwy?), zapytuje patetycznie kaznodzieja, i odpowiada cichym, przytłumionym głosem: „Struchlał, skamieniał, oczu nie śmie podnieść do góry, ale przypadł do ziemi i zaprzysięga poprawę“. Jakoż wrócił do żony, przeprosił ją, przejednał, poprawił się, i żyli już daléj szczęśliwie. Amen.

Nie wiém jakie wrażenie sprawiła na słuchaczach ta arcy poetyczna legenda. Ale co do mnie!!!.. Wprawdzie mówił mi jeden bardzo rozumny człowiek, że przez tego rodzaju nauki, sławny jakiś kaznodzieja w Neapolu wpłynął bardzo skutecznie na umoralnienie tamecznych lazzaronów. Winszuję. Ale co do mnie — spodziewam się, że nie jest grzechem, kiedy chcąc zmówić pacierz, albo słuchając mszy św., zamykam nieraz oczy, nawet w Watykanie, i marzę o kościołku w Wojstomiu.

Bo on to moich wspomnień bazyliką,
On świętych miejsc ideałem;
W nim się to z panną Zofią i Ludwiką
Przy bierzmowaniu poznałem.
I gdy żeglując po życia odmęcie,
Z masztów Nadziei wierzchołku,
Marzę o jakim drugim Sakramencie,
To zawsze w tymże kościołku.

A propos zaś tych wspomnień i marzeń, a razem i téj improwizacyi, przepiszę wam tu jeszcze ostatni mój wiersz na urząd, pisany z myślą o was i dla was, a do którego przedmowa jest taka:

Przed kilkunastu dniami, korzystając z pogody, poszliśmy z Adamem za miasto, za *Porta Pia*, gdzie kraj pusty, pagórkowaty, nieuprawny, przypomina okolice nasze, i gdzie zwłaszcza znaleźliśmy drogę, podobniuteńką do wiejskich dróg naszych, to jest z dwiema głębokiemi kolejami, ze ścieżką wydeptaną środkiem przez konia, i z dwóma zielonemi pasami murawy. Adamowi ta droga tak się podobała, że nie

tylko nie mógł się nią dosyć nacieszyć tą razą, ale już dwa razy potém proponował mi spacer w tę stronę, mówiąc: „Chodź! pójdziem na drogę litewską!“ — Otóż chodząc po niéj onegdaj, skleciłem właśnie ten wierszyk, który mam tu zaraz przepisać, pożegnawszy was najprzód prozą, to jest ciebie, drogi Ignacy, serdecznym braterskim uściskiem, a czcigodnego xiędza Proboszcza i damy, (licząc w to i małą twą Stasię), ucałowaniem ręki, rączek i rączątek. *Vale.*

Dumanie za Porta Pia.

Dziwne to ptaszę, to serce nasze!
Raz mu nie dosyć nieba przestrzeni,
To znów po chwili, tęskni i kwili
Do najcichszego gniazdka śród cieni.

Dawnoż me myśli, istne jaskółki,
Gdy już im u nas brak tchu i słońca,
Jak one w lotne wiążąc się półki,
Rwały się tylko w kraj-świat bez końca.

A otom dzisiaj, jak ptak w przelocie,
Gość w grodzie Romy, w świata stolicy,
Idę znów szukać ulgi w tęsknocie,
Gdzie?—w najsmutniejszéj tu okolicy.

Któréj najpierwszą dla mnie ozdobą
Pustynna dzikość, samotność cicha,
Tam się znów jakoś czuję sam sobą,
Tam znów przeszłością dusza oddycha.

Dalekich dzwonów dźwięk mię dolata,
Kraj przypomina obrazy Litwy:

Wspominam moje dziecinne lata,
Mówię dziecinne moje modlitwy.

I tę myśl najprzód, ku swéj nauce,
Czerpię z pobytu między obcymi,
Że gdy do swoich da Bóg że wrócę,
Chcę już żyć tylko i umrzeć z nimi.

IV.

Do Juljana Korsaka.

Rzym, 23 grudnia 1829 r.

Jeśli się może gniewasz, że nie pisałem tak dawno, to radzę ci, daj temu pokój! bo ja nie tylko nie myślę przepraszać, ale owszem, jak Sozio w Amfitryonie Zabłockiego, który dziwił się sam męztwu swemu mówiąc:

„Prawda, że się boję,
Lecz kto inny ze strachu zdechłby—a ja żyję.“

tak i ja mógłbym w téj chwili dziwić się raczéj pracowitości własnéj, mówiąc także *à la Sozio:*

„Prawda, że próżnuję,
Lecz kto inny z znużenia spałby—a ja piszę.“

A więc zkąd to znużenie? zapytasz. Zkąd? A czy młyn, gdyby nie był z drzewa i kamienia, nie byłby w końcu znużony, mieląc wciąż to to, to owo, choćby nawet sam wiatr lub plewy? Czy kołowrotek, gdyby miał głos i gardziel, nie musiałby ochrypnąć, frucząc bez ustanku? Czy wół lub osieł po zejściu z deptaku nie kładzie się wnet aby odpocząć? Otóż głowa moja, to młyn, (dajmy nawet że wietrzny!); język mój, to kołowrotek, (ma się rozumieć pod ręką i u stóp płci pięknéj); a stopy moje przez dzień cały udepcą pewno

więcéj, niż ten wół lub osieł. A przyczyna tego wszystkiego? Sława!!! I gdybyż przynajmniéj własna— ale cudza! W pamiętnikach Byrona czytałem, że bawiąc całą jednę zimę w Londynie, po powrócie z Grecyi i po wydaniu dwóch piérwszych pieśni *Childe-Harolda*, nic innego nie robił, jak wybierał się, ubierał się, i przebierał się tylko, na wizyty, obiady i bale, i chyba zasypiając lub budząc się niekiedy, miał czas sklecić jaki komplement lub deklaracyą damom, które go tak rozrywały. Towarzyszący mu wtedy nieodstępnie autor *Lalla-Rooki*, odegrywałby kubek w kubek dzisiejszą rolę moję tutaj, gdyby téż sam przez siebie nie miał praw równych do tychże samych owacyj i względów tego świata. Mnie brak tych praw zastępuje brak pretensyi do nich; i przeto śmiało i bez skrupułu ruszam wszędzie z Adamem na obiady, wieczory i rauty, (bo balów w adwencie tu nie ma), na któreby mnie może nie proszono bez niego. Przykro mi tylko niekiedy, że idąc tu lub ówdzie, gdzie nas officyalnie zaproszą, nie ma czasu pójść tam bez proszenia, gdzie serce ciągnie a za przyjście zawsze dziękują. Adam niecierpliwi się tém jeszcze bardziéj, i to z tego samiutkiego powodu. Bo obu nas jedna i ta sama *droga łaski* (*Via Mercède*) prowadzi do tego samego punktu, gdzie ja przynajmniéj czuję się jak w raju.

Bo na niczém tam nie braknie,
Czego myśl i serce łaknie.
Drzwi ci na oścież otwiera,
Gościnność uprzejma, szczera.

U progu zaraz cię spotka
Życzliwość miła i słodka;
Myśl budzi, duszę przenika
Rozmowa albo muzyka.
A jak od blasku jutrzenek,
Od lic i oczu panienek,
Chmurny się nawet nanowo,
Humor wnet barwi różowo.
I czegóż więcéj potrzeba
Do raju—nie mówię nieba?

Tém bardziéj że jest w nim i Adam i Ewa, (drugie imię panny Henryetty), a nawet bodaj, bodaj!...

Czy ty wiész tę zagadkę:

Trzy laseczki w jednéj lidze,
Czwarta po nich z kropką idzie, i t. d.

a w któréj przed końcem *wije się wąż misterny*, a na końcu *świeci miesiąc niezupełny?* Otóż bodaj, bodaj, czy dla uzupełnienia podobieństwa raju, nie wśliźnie się do niego i ów gość *misterny*, ze słowem właśnie téj zagadki, jak z jabłkiem! A że nie na mnie pewno będzie ostrzył zęby, więc téż i nie o siebie się boję. Dotąd wszakże jestto tylko mój domysł, i dla tego mówię ci o nim zagadkowo tylko, i pod sekretem. Ale nie uwierzysz jak Adam od niejakiego czasu jest słodki, miły, rozpromieniony, poetyczny!! a jak łaskaw i czuły dla mnie! jak mię często całuje i gładzi—nie wiém za co! Wyraźne wezbranie serca! Albo może chyba dla tego, że widzi, jak sama pani domu jest na mnie łaskawa, albo jak z panienkami jestem w harmonii braterskiéj. Bo on sam, choć z niemi

zwykle wesoło i żartobliwie rozmawia, do poufałości się jednak nie zbliża. To też obie panienki mówią mi, że się go boją; a nawet sama pani domu, pomimo całéj swojéj szczególnéj otwartości, nie jest z nim tak jak z drugimi, i tylko za pośrednictwem mojém zrzuca czasem z serca sekreta, które jéj ciężą widocznie, a których przed nim samym wprost wyjawić nie śmie. I tak np. wiém od niéj, że panna Henryetta, spodziewając się poznać Adama, wyobrażała go sobie podobnym do Mojżesza, (posągu Michała-Anioła), a chodzącym w długim surducie, jak jaki pastor albo lord angielski. Teraz zaś upatruje w nim podobieństwo do profilu Antinousa. Wiém także, że obie panienki, w skutek zapewne dysput i przekomarzań się Adama, przedsięwzięły nowennę na intencyą nawrócenia jego i odmawiają ją codzień rano i wieczorem. Ostatnia ta wiadomość została mi udzieloną pod największym sekretem, i nawet pod słowem honoru, że się z nią przed panienkami nie zdradzę. O Adamie mowy nie było. On zaś, gdy mu to powiedziałem, przyjął ten dowód życzliwości wcale nie tak, jak je niekiedy przyjmuje od innych, to jest, kiedy się częściéj niemi niecierpliwi niż wzrusza. I tak np. niedawno, na niedzielném zebraniu u xiężny Zeneidy, był on nieco zakatarzony i ochrypł. Natychmiast wszystkie damy—a było ich kilkanaście—zaczęły jedna przed drugą doradzać mu różne lekarstwa. Widziałem, że go to już nudziło okropnie. Ale gdy w końcu przy herbacie sama pani Własow przyniosła mu całą szklankę ubitych przez siebie żółtek, zaczął

formalnie kaprysić jak rozpieszczone dziecko, które nie chce przyjąć lekarstwa, twierdząc, że go znosić nie może. Ja więc tedy, wychodząc w roli *grzeczniejszego braciszka*, żeby się praca dobréj pani Własow nie zmarnowała przecież napróżno, domieszałem do tego romu, i przyrządziłem sobie pyszny *hogel-mogel*. Nazajutrz zaś, jeszcześmy spali, słyszę pukanie do drzwi. Otwieram, aż to lokaj od xiężny Dietrichstein, oddaje mi bilecik i jakiś kosz zakryty. Bilecik był do Adama, a w koszu cztery słoje — nie słoiki — konfitur. Ledwie ten odszedł — stuk, stuk znowu; i wchodzi drugi lokaj od xiężny Galicyn, także z dwoma słoikami konfitur i z tyluż butelkami malinowego soku, który ma być bardzo pomocny na chrypkę, jak to wyraża zaperfumowany bilecik do pacyenta. Nie upłynęło godziny, aż jak trzeci Budrys z synową, zjawia się trzeci posłaniec od pani Klustin, z pudłem cukierków i paczką *skórki panieńskiéj*, a także z bilecikiem od panny Anastazyi (o któréj niżéj), a która w nim, z ujmującym dowcipem i wdziękiem, igra jak Leda z łabędziem — przyrównywając do niego poetę i grożąc mu pieśnią ostatnią, którą kraj i przyjaciół zasmuci, jeśli sam głosu swego szanować i leczyć nie będzie. Na żaden z tych bilecików Adam nie tylko nic nie odpisał, ale owszem, za całą wdzięczność, zły był tylko, że będzie musiał iść z podziękowaniem. Ja zaś śmiałem się w duchu, że nie mając potrzeby dziękować, najwięcéj wszakże z tych łakoci skorzystam; bo on, jak komplementowych *duserów*, tak i cukierków i konfitur nie lubi. Ale coto jednak za

szczęście ta życzliwość ludzka! To dopiéro prawdziwy kwiat sławy—ma się rozumieć poetyckiéj; bo dziękuję za bohaterską, którą głoszą gazety i wąsale, a płeć piękna najczęściéj płacze tylko na nią! A proszęż téj płci pięknéj nie kochać, kiedy ona razem tak dobra! I nie czekałem ja wcale na te konfitury i cukry, aby to zdanie sformułować w sobie. Kilka dni temu, rozprawiając szeroko z panną Anastazyą o miłości ogólnéj ludzkości, skleciłem sobie potém następujący *jamb*, który, co się mnie tyczy, jest istotną prawdą:

Kiedym wchodził w świat,
Kto żyw, był mi brat;
I dla wszystkich ogółem,
Braterską miłość czułem.
Lecz skutkiem różnych zmian,
Zmienił się ten mój stan.
Wprawdzie czuję, jakem czuł,
Tenże sam jéj zasób:
Tylko że dla braci w pół,
Dla sióstr—we dwójnasób...

Otóż do grona tych miłych i najmilszych siostrzyczek, przybyła nam niedawno nowa, właśnie owa wspomniana wyżéj panna Anastazya Klustin, o któréj trzeba i warto powiedzieć nieco obszerniéj. Wystąpiła tu ona na naszę scenę rychtyk jak Achilles w Iliadzie, który choć długo nie wychodzi z namiotu, jest w niéj ciągle, przez samę swoję nieobecność, obecny. Tak było i z panną Anastazyą, w kółku, w którém tu zwykle żyjemy. Była ona cierpiącą, kiedyśmy przyjechali; ale zaraz piérwszego dnia razy z dziesięć sły-

szeliśmy z ust xiężny Zeneidy i jéj siostry: „*A! quel dommage, qu' Anastasie n'est pas avec nous!*“ i że nie może poznać zaraz Adama. Przy piérwszéj téż wizycie u państwa Ankwiczów, i sama pani i panienki pytały mię i dziwiły się, że dotąd jeszcze nie znamy panny Klustin. Szewirew mówi o niéj z entuzyazmem, jako o znawczyni poezyi; Strzelecki z podziwieniem, o jéj archeologicznych wiadomościach; pan Ricci unosi się nad jéj muzyką; Brułow zasięga jéj rady co do planów przyszłych swoich obrazów; o starym zaś Thorwaldsenie powiadają, że jest w niéj formalnie zakochany, równie jak jakiś osiemdziesięcioletni filozof genewski *Bonstetten*, który umyślnie dla niéj przyjechał do Rzymu. O tém wszystkiém słyszeliśmy ciągle. A więc któż jest ta wróżka? ta Muza, dziewięć razy jedna? ta jakaś nowa Safo czy Korynna? — któréj właśni ziomkowie nadają właśnie to imię „Korynny z nad Donu“ (*Corinne du Tanaïs*), gdyż jest obywatelką gubernii Tambowskiéj. Jestto córka możnéj rodziny, z matką wdową, od lat kilku podróżująca po całéj Europie, a tak rozmiłowana w naukach i sztukach pięknych, a nadewszystko w mistrzach ich, ludziach sławnych, że ci nawzajem, jak Thorwaldsen w Rzymie albo Bonstetten w Genewie, kochają się w niéj lub admirują ją tak dalece, że nie ma prawie na lądzie Europy sławnego poety, uczonego, albo artysty, któryby nie był jéj korrespondentem. Otóż ta panna Anastazya, jak nam powiadano, pałała gorączkową chęcią poznania Adama, o którym już tyle słyszała. Co do mnie, możesz być pewny, że

pomimo tych wszystkich jéj uczonych zalet, nie zaniedbałem zapytać: czy ładna? A kiedy mię i o tém jeszcze zapewniono, nie dziw się, że mi serce zapukało mocniéj, gdy nakoniec przed kilku dniami wyczytałem w bileciku xiężny do Adama: „*Venez diner aujourd'hui chez moi: Anastasie sera des notres*". Adam udawał obojętność; zauważyłem jednak, że ubierając się zawiązywał chustkę przed lustrem i musztrował po wielekroć kołnierzyk, aby równo wystawał z obu stron. Ja nie mogłem się pozbyć obawy, że „pończoszeczka błękitna" (*bas bleu*) musi u niéj z pod koturna wyglądać. Tymczasem wcale przeciwnie. Tak jest pełna naturalności i wdzięku, jakby zgoła, (jak niegdyś wielcy rycerze), nie miała do czynienia z xiążkami. To też prawda, że o samych xiążkach albo obrazach nigdy prawie nie mówi, a idzie jéj przedewszystkiém o źródło wszystkich sztuk i xiążek— o myśl i ducha ludzkiego. To jest główny przedmiot jéj rozmów, a ten już tak się widać z naturą jéj umysłu zespolił, że nie psuje bynajmniéj uroku prostoty i naturalności panieńskiéj. Sława zaś, jak mi się zdaje, musi działać na nią podobnie, jak na mnie np. piękność. Każdy nowy sławny przyjaciel, tak musi ją podnosić i uszczęśliwiać w oczach własnych, jak elegantkę nowy strój lub klejnot, albo jak mnie znowu np. nowa ładna przyjaciółeczka. Szkoda tylko, że ja do takich przyjaciółeczek nie mam snać tyle szczęścia, co ona do sławnych przyjaciół; chociaż i ona, jak widzę, nie jest w wyborze wybrydniejszą odemnie. Nie szuka samych tylko róż albo lilij, ale i fijołkiem nie

gardzi. Ledwośmy bowiem weszli do salonu i gdy się piérwsze przedstawienie odbyło, z nieśmiałością zdaleka powitawszy Adama, zaraz do mnie odezwała się uprzejmie, że już mnie zna przez panią Własow. A wiedzieć trzeba, że—nie chwaląc się — mam szczęście być w łaskach u téj pani, tak, że jak wiém pod sekretem od xiężny, zaczęła pisać nową powieść, któréj bohater nie tylko ma moje imię, ale nawet z opisu ma być do mnie podobny. Okazuję więc moję wdzięczność autorce, nie mówiąc za co; a to powiedzenie panny Anastazyi obowiązuje mię jeszcze do nowéj, bo się stało piérwszém ogniwem miłéj od razu i ożywionéj rozmowy, która téż, o ile wnosić mogę, stanowi piérwszy zasiew życzliwości wzajemnéj. Lecz i to w większéj części trzeba odnieść na *conto* Adama, z którym sama z początku, i przez cały czas siedzenia obok niego u stołu, była bardzo nieśmiała i jakby zmieszana, on zaś niezmiernie poważny i zimny. Ale czarowny wpływ białego pieca, przy którym po obiedzie podawano kawę i cygara, tak wkrótce obie strony rozcieplił: że nim przyszła kolej herbaty, (bośmy cały wieczór bawili), panna Anastazya była już w uniesieniu extazy, a Adam w pełni dobrego humoru. I gdybyśmy nie piérwiéj poznali pannę Henryettę; i gdybyśmy nie piérwiéj jéj muzykę słyszeli: to Bóg wié, coby być mogło. Dość, że Adam, pomimo uzbrojenia się swego *à priori*, jest. także pod urokiem téj nowéj Armidy; ku czemu przyczyniło się nie mało, że mu nie powiedziała ani pół słówka komplementu, o poezyi ani wspomniała; a tylko *dans toute sa manière d'être*

dawała odgadnąć wrażenie, jakie na niéj jego znajomość i rozmowa czyniły. Jeżeli to jest sztuka—to arcydzieło; jeżeli zaś, jak sądzę, istotny objaw nastroju jéj duszy: to w tém jest i rozwiązanie zagadki, przez co ona umié tak pociągnąć i ująć. Sztuka sama, nawet przy pomocy piękności, nie długo starczyłaby na to. A piękność u niéj jest na drugim planie. Nie jest to piękność rysów, ale tylko ogólnego wyrazu twarzy, podobnie jak u panny Henryetty. A wyraz ten, rozumny i myślący, jest razem dziwnie naiwnym, zwłaszcza kiedy słucha mówiących. Jest w tém coś nakształt ciekawości dziecka. A przytém owal twarzy kształtny; płeć delikatna i biała: chociaż jak u „Pani Jeziora“, *slightly tinged with brown*, to jest smagława; czoło otwarte, a oczy, chociaż pałające i czarne, mają wszakże ten przymiot błękitnych, że zamiast wbijać się w drugich i przenikać jak ćwieki, łagodnym tylko blaskiem wabią same ku sobie. Największym zaś jéj powabem i wdziękiem jest postać, wysoka, lekka, powiewna, i o tyle podobna do palmy, o ile palmy, podług słów Tomasza Moora, podobne są do kształtnych dziewic:

„*when sleep descending,*
Warns them to their silken beds.“
(gdy snem rozmarzone,
Chwiejąc się, idą na łoża jedwabne).

Ale zmiłuj się, nie myśl żem zakochany w pannie Anastazyi, że tak długo piszę ci o niéj. Chcę tylko abyś mógł ją sobie wyobrazić, gdy o niéj znów kiedy wspomnę, co się często zapewne przydarzy. Bo od

owego piérwszego poznania, dom ich, (to jest jéj i matki), jest jednym z głównych punktów naszego tu oparcia, tak nas w nim i gościnnie i serdecznie przyjmują. Zaraz nazajutrz byliśmy tam na obiedzie, z całém gronem xiężny Zeneidy, a muzyka i śpiewy zatrzymały nas aż do północy. Panna Anastazya gra jak artystka; całe sonaty Beethovena na pamięć. Adam stał ciągle przy grającéj, i—dzięki Bogu, powtarzam, żeśmy wprzód pannę Henryettę poznali! Sama pani, (hrabianka Tołstoj z domu), skromna i cicha, żyje dla córki tylko i przez córkę; choć i jéj saméj nie brak wcale nauki i niepospolitego rozumu, który się w sądzie o rzeczach objawia; tylko że się z nim popisywać nie lubi; i co w niéj najwydatniéj uderza, to ujmująca dobroć i słodycz charakteru. W ogólności nie masz wyobrażenia, jak i ja dotąd nie miałem, jak te „córki Północy“, z wysokich sfer towarzyskich, któreśmy u xiężny Zeneidy poznali, są także wykształcone wysoko: i to nie tylko umysłowo i uczuciowo, ale i religijnie duchowo. Prawda, że wszystkie prawie są już jakby przez pół, jeśli nie całkiem Rzymiankami, to jest, albo oddawna przebywają w Rzymie, albo w nim na zawsze osiadły. Pomiędzy temi ostatniemi piérwsze miejsce zajmuje xiężna Dietrichstein, z domu xiężniczka Szuwałow, o któréj już wyżéj wspomniałem. Jestto już bardzo sędziwa matrona, ale pełna jeszcze życia i wdzięku w rozmowie, a całkiem pobożności i miłosiernym uczynkom oddana. Ma np. przy sobie bardzo znakomitego lekarza, pana *Pasqualini*, którego drogo opłaca, ale którego obowiązkiem nie jest

czuwanie nad jéj tylko zdrowiem, (bo owszem sama w medycynę nie wierzy), ale bezpłatne udzielanie rad wszystkim ubogim, którzy się przeto tłumnie do niego udają, a za których aptekę sama xiężna opłaca. Pomocnicami jéj w tych dobrych uczynkach są dwie jéj przyjaciółki, xiężniczki Worońcow, Marya i Katarzyna, siostry rodzone, które téż stale zamieszkują w Rzymie. Xiężna Gagaryn, żona posła, a rodzona siostra pani Swieczyn, o któréj może słyszałeś, oraz xiężna Helena Galicyn, liczą się téż do najbliższych przyjaciółek xiężny Zeneidy, i odznaczają się zarówno pobożnością jak i towarzyskim urokiem. Otóż wszystkie te panie formalnie *każolują* i rozpieszczają Adama. Ale co mnie zastanawia najwięcéj, to, że jest w tém jakiś pewny odcień, którego nie spotykałem śród swoich; to jest, że przedmiotem tych owacyj nie są ani same jego pisma, ani nawet osobista genialność, ale jakby ogólny duch jakiś, którego on niejako jest przedstawicielem. I to mi rozwiązuje zagadkę, nad którą nieraz głowę sobie łamałem: jakim sposobem młody człowiek, bez wielkiego imienia lub fortuny, bez żadnych wyższych protekcyj i wpływów, owszem, w najniepomyślniejszych warunkach, mógł sam przez siebie, i to w tak krótkim stosunkowo czasie, pozyskać taką przychylność i wziętość w społeczeństwie, które, nie rozumiejąc języka, samych pism nawet jego nie czytało. Prawda, że i on w tém towarzystwie jest jakoś niby inny, niż śród swoich. Jest w nim zawsze taż sama prostota i swoboda w obejściu i w słowie; ale jest téż zarazem i jakaś pewna godność i powaga,

któréj nie przybiera ze swymi. A nie jest ona i tutaj przybrana; tylko że sama przez siebie, z rozumnego poczucia stanowiska swego wynika. Nie usuwa to wszakże zupełnie chwilowych czasem nadymań się lub fochów zepsutego dziecka; ale to tylko wtedy, kiedy mu zbytnią grzecznością lub troskliwością dokuczą. Jest więc widać w ludziach jakaś tajemnicza potęga, któréj ani okiem nie dójrzysz, ani rozumem ściśle nie określisz, ale którą czujesz wyraźnie, i albo się jéj z miłością poddajesz, albo uciekasz od niéj z obawą lub wstrętem. Co to jest? Bóg wié jeden; a może chyba magnetyzm lepiéj to kiedyś rozjaśni. A możnaby to, jak mi się zdaje, zastosować także mniéj więcéj i do rzeczy pisanych. Czytasz np. czyjś list albo xiążkę (a cóż dopiéro wiersze), bardzo dobrze i gładko napisane, a przyjmujesz je tylko jak papiér litery. Czytasz drugie, mniéj zgrabne, a od razu ci idą do serca. W kim np. najmędrszy traktat religijno-moralny, obudzi taką żarliwość lub skruchę, jak czasem jeden rozdział Tomasza à Kempis? A czemu to tak? Nie wiém coby odpowiedział filozof; ale ja „mały żaczek, jako robaczek“, tłómaczę to sobie przez ową piosnkę o koniu Kiejstuta, która, jak wiész, powiada:

„Bo moc, co ramię na cięcie wytęża,
„Przechodzi i do oręża;
„Bo serce jeźdźca na wojennėm błoniu,
„Po połowie bije w koniu.“

A więc czyżby nie można powiedzieć, że:

Uczucie, którėm myśl i serce gorą,
W piszącym przechodzi w pióro,..

a zaś w żyjącym między ludźmi, w twarz, wzrok, głos, ton, ruch, jedném słowem w całego zewnętrznego człowieka, przez którego wewnętrzny objawia się i działa na drugich. Niedawno czytałem w Piśmie św. xięgi Danielowe, które ogromne na mnie zrobiły wrażenie. Gdybym się czuł wielkim poetą, napisałbym z nich poemat czy dramat; a gdyby kto rzeczywiście zrobił to, a dobrze, oddałby wielką przysługę nie tylko literaturze, ale i całéj społeczności naszéj. Szeroko o tém mówiliśmy z Adamem. Każdy człowiek, a może i naród, jak ma w sobie ducha Bożego, tak ma téż i tajemnicze źródło jego siły, któréj żadna moc ludzka ani bramy piekielne nie przemogą, chyba że wprzód w nim samym źródło się to zamąci lub wyschnie. Otóż biéda, że nie we wszystkich jest ono w jedném i tém samém: ten je ma w sercu, ten w głowie, ten w ręku; Samson miał np. we włosach. Druga zaś i największa biéda jest w tém, że ludzie, a może i narody, nie znając zwykle *se ipsos* (samych siebie), źródła tego sami w sobie nie widzą, a zapatrując się na drugich, szukają go i myślą znaleźć w tém raczéj, przez co ci drudzy mają wyższość nad nimi, nie zaś w tém, przez coby sami osiągnąć ją mogli. Człowiek, znający w sobie to prawdziwe źródło siły ducha Bożego, to mędrzec; człowiek znający je w swoim narodzie, to prorok. Izrael nie był mędrcem w ogólności; wybujał w pychę, i oślepł do reszty jak Samson; a proroków, którzy mu kataraktę zdjąć chcieli, kamienował albo piłował. Popadł więc w biédę, na którą zasłużył; i trzeba było łez wielu pokoleń, nim to bielmo ócz jego przegryzły. Daniel przej-

rzał najjaśniéj. Nie nienawidził on Chaldejczyków, ale miłował tylko Pana Boga swego, ze wszystkich sił serca i duszy swojéj. Wzór w nim téj miłości i wiary, owych jedynych źródeł wszelkich dawnych cnót i sił Izraela, zatarł niejako pamięć płochości i pychy, owych źródeł wszystkich win i grzechów jego plemienia, a wzbudziwszy ku prorokowi cześć i miłość w sercu Cyrusa, uczynił go dla całego Izraela narzędziem miłosierdzia Bożego, jak poprzednicy jego byli narzędziami kary Bożéj. To byłaby treść duchowa tego poematu czy dramatu o Danielu, do napisania którego chciałem nakłonić Adama. Ale myśl jego w tych czasach zajęta jest innym przedmiotem. Jest zaś nim ni mniéj ni więcéj jak tragedya: *Prometeusz*. Adam myślał już nad nim, jak mówi, oddawna; ale przy dzisiejszym nastroju i poetyczném usposobieniu swojém, o którém wzmiankowałem już wyżéj, wziął to znowu żywiéj do serca, a oto z jakiego powodu. Ja pożyczyłem dla siebie od Szewirewa dzieło Brumoy „O teatrze greckim“, które i Adam od niechcenia przeglądał, zajęty ciągle jeszcze czytaniem Liwiusza. To jednak przypomniało mu widać Prometeusza; bo kupił sobie Eschylesa po grecku; i gdy raz powróciłem z teatru, na który on iść nie chciał, zastałem go siedzącego z podkurczonemi nogami na kanapie i kiwającego się jak rabin nad tą xiążeczką, rozłożoną na stole, któréj właściwie nie czytał, ale snać tylko medytował nad nią i ustawicznie do niéj zaglądał. Wyraz jego twarzy przypomniał mi ową pamiętną chwilę w Wilnie,

o której ci tyle razy mówiłem, a od której się nasz bliższy stosunek zaczyna: kiedy przyszedłszy raz w wieczór, znalazłem go siedzącego z fajką przed piecem, a blask z pieca padając mu na twarz, nadawał jéj jakiś urok nadziemski. Pisał on wtedy właśnie, jak wiész, czwartą część *Dziadów,* o któréj dowiedziałem się wtenczas po raz piérwszy. Otóż przypomniałem mu ową chwilę, a on mi zaczął mowić o Prometeuszu, i nakoniec tłómaczyć, a raczéj deklamować z zapałem, *à livre ouvert* z greckiego, scenę jego z Merkuryuszem, przysłanym doń przez Zeusa, który już go był przykuł do skały, ażeby wymódz na nim wyznanie tajemnicy, od któréj miało zależeć utrwalenie potęgi Zeusa, albo wyzucie go z niéj przez jednego z potomków, jak on sam wyzuł ojca swojego Kronosa, czyli Saturna. A cóż to za przecudowna scena! co za moc! co za prostota! co za prawda! Groźby Merkuryusza grzmią jak gromy Zeusa; ale w słowach skutego Tytana, tchnie pycha wyższa nad potęgę bogów. Gotów on jest uczynić zadość ich woli; lecz niech Zeus piérwiéj rozkuje go z kajdan. Inaczéj, on sam wyzywa dalszą jego zemstę; on sam kréśli obrazy dalszych swoich męczarni; ale urąga z nich i z potęgi wroga; bo wié, czuje i woła nakoniec: „Zabić nie zdoła on mnie!“—Chór, który z razu namawia go do uległości, wzruszony tą jego odwagą, sam staje przy nim i trwa aż do końca: chociaż już całe niebo grzmi i gore ogniem piorunów; choć cała ziemia wstrząsa się i pęka, i on sam, wraz ze swą skałą, zapada się w przepaść. Nie znam żadnéj sceny w Szekspirze, a cóż

dopiéro w innym jakim tragiku nowszym, coby z tą najdawniejszą porównać się mogła. Adam tak był wzruszony, że twarz i usta mu drgały, a łzy świeciły się w oczach, gdy nie już siedząc, ale zerwawszy się z kanapy i fajkę na stół rzuciwszy, kończył czytanie przy lampie, któréj światło padało na niego. Skończywszy, zaczął mi opowiadać główny zarys swojego planu. Nie będzie to ani tłómaczenie, ani nawet proste naśladownictwo poety greckiego; ale tylko daleka parafraza jego idei, zastosowana do chrześciańskich pojęć duchowych. W treści zaś, jestto odwieczna historya ducha ludzkiego, nie bez dobréj woli w gruncie, ale obłąkanego przez pychę, w zapasach z potęgami wyższemi, a raczéj silniejszemi tylko od niego, których on ani uznać, ani im uledz nie chce, i nie może. To téż zbawcą i oswobodzicielem Prometeusza jest u Adama nie kto inny, jak Chrystus, syn Boga prawdziwego, który sam jest Duchem — najwyższym, najpotężniejszym, ale zarazem i najlepszym; źródłem Prawdy i Miłości, w których tylko jest pokój, swoboda i szczęście, o które Prometeusz walczył z fałszywemi bogami, ale które z rąk prawdziwego ze czcią i wdzięcznością przyjmuje [1]).

Taka ma być główna treść tego dramatu; daj Boże tylko, aby go autor mógł rzeczywiście przyprowa-

---

[1]) Przekonany jestem najmocniéj, że scena *Improwizacyi* jest zabytkiem i odbiciem głównej treści tego dramatu, który głęboko tkwił w duszy autora, ale nigdy napisanym nie został. *(P. A.)*

dzić do skutku, to jest, aby ten wir dwóch światów: staro i nowo-rzymskiego, który go tutaj w koléj porywa i kręci, zostawił mu dość czasu do przelania myśli na słowa, jak szkła na paciórki, i do ponizania ich w wiersze. Bo chociaż widzisz z tego, że — jak powiada Göthe w jednéj ze swoich elegij rzymskich:

Es wird doch nicht immer geküsst, es wird auch vernünftig gesprochen;

to jest, że nie tylko się ciągle bawimy, ale się też przecież coś czyta, i nie myśli się tylko o panienkach; zawsze jednak jestto zbyt wielka pokusa, aby się jéj oprzeć na długo. A tymczasem dzień za dniem upływa; i kiedy człowiek codzień przed zaśnięciem przypomni sobie co wczoraj zamierzał na dzisiaj, a co dziś znowu odkłada na jutro, to czasem aż rozpacz ogarnia. Ale darmo! są pewne okoliczności i względy towarzyskie, które zmniejszają winę tego literackiego *farniente*, przez to, że same pochłaniają czas cały. Dam ci tu np. dla ciekawości dziennik, a raczéj godzinnik, trzech dni poprzednich, i program trzech następujących, a z tego sądź sam, czy nasza wina, że na właściwą robotę chwilki jednéj nie było, i prawdopodobnie nie będzie. *Dnia 20, Niedziela.* Dobrze, że rano poszedłem do kościoła; bo ledwo powróciłem około 11, mając właśnie pisać do ciebie, kiedy wszedł nasz kochany, poczciwy Allan, który nas zawsze parę razy w tydzień odwiedza. Tuż za nim x. Parczewski, wracający z kościoła; tuż za nim xiążę Radziwiłł; tuż za nim p. Władysław Zamojski; tuż za nim Strzelecki

z elewem; tuż za nimi pp. Rembowski i Olszewski, (znajomości z domu państwa Ankwiczów), nakoniec zacny i szanowny przyjaciel nasz Stattler, i kolega mój i sąsiad wiejski, Juljan Karczewski, malarz;— słowem *raut!* A tu trzeba już na godzinę pierwszą być ubranym i iść na śniadanie do xięcia Gagaryna. Szczęściem, że xiążę R. i p. Wł. Z., byli także proszeni, a więc wczas dali hasło do wyjścia. Śniadanie to, a właściwie obiad (*déjeuner dinatoire*), było ku czci i ugoszczeniu nowego francuzkiego posła, hrabiego *de la Ferronnaye*, który tu od niedawna miejsce Chateaubrianda zastąpił. Ma to być święty człowiek z pobożności i cnót chrześciańskich. To też oprócz kolegów-posłów: austryackiego, hr. Lutzow, hiszpańskiego, hr. Gomeza Labrador, i innych, których nie pamiętam, były aż trzy *Eminencye*, kardynałowie: *Pacca*, *Albani* i *Odescalchi*. Ten ostatni jest tu także *en odeur de sainteté* w opinii publicznéj, i przepowiadają powszechnie, że kiedyś dostąpi tyary. On sam wszakże nie tylko że do tego nie wzdycha, ale owszem, jak powiadają, chce się wyrzec kardynalskiéj purpury, a przywdziać prosty habit zakonnego mnicha. W istocie, z jego twarzy tchnie taka pokora i skromność, że Adam patrząc na niego, przypomniał o św. Stanisławie Kostce, tém bardziéj, że xiążę Odescalchi, chociaż starszy wiekiem od niego, jest przecież najmłodszym ze wszystkich tegoczesnych kardynałów. Że zaś hr. de la Ferronnaye był przedtém posłem w Petersburgu, a kiedyś, jako emigrant, przez długi czas mieszkał w Polsce, w Tulczynie: reszta

przeto towarzystwa składała się z samych Rossyan i Polaków, między którymi był hrabia Alfred Potocki, i słyszałem, jak p. de la Ferronnaye wynurzał przed nim wdzięczność swoję dla rodziny Potockich. Inni też goście byli mu przedstawiani przez gospodarza domu, ale się to pospolicie na niemych ukłonach kończyło. Kiedy jednak xiążę Gagaryn, przedstawiając z kolei Adama, wymówił z wyraźnym naciskiem: *célèbre poète polonais*, jubilat odezwał się do niego, że znał dawnych sławnych poetów polskich: Trembeckiego, i—i... Nie mógł przypomnieć nazwiska. Adam poddał mu imię Bończy Tomaszewskiego, i on to z grzecznym ukłonem potwierdził. — Śniadanie trwało do godziny piątéj; a że trzeba było koniecznie być dziś jeszcze na wieczorze u xiężny Zeneidy, a przedtém niemniéj koniecznie chciało się choć zajrzeć na *Via Mercède*: wyszliśmy więc jedni z najpiérwszych, chociaż z powodu ulewnego deszczu, musieliśmy stać na dole jakie z pół godziny, nim szczęściem nadjechał dorożkarz, który nas zawiózł do celu. Deszcz ten ciągły służył nam za exkuzę, żeśmy się już do xiężny na herbatę spóźnili; za toż ledwo o drugiéj wróciliśmy do domu.— Tak przeszła niedziela; a teraz masz *Poniedziałek*. Zaledwo zdążyliśmy się ubrać, zajechali po nas, wedle umowy, państwo Ankwiczowie z panienkami, i pojechaliśmy razem do Watykanu. Karetę mają tak obszerną, (spacerowe *lando*), że sześć osób mieści się wygodnie. Oglądaliśmy najprzód muzeum, a potém *Loże* i *Izby* (*loggie e stanze*) Rafaela. Ale żeśmy to wszystko nie piérwszy raz już widzieli, a z panienka-

mi byliśmy tam raz piérwszy: więc nie dziw, że też panienki brały przedewszystkiém piérwszeństwo. A wreszcie, mój kochany! co ty chcesz, żebym ja tobie mówił o Watykanie? który sam jest jakby stolicą królowéj wszystkich stolic tego świata—Romy; który oprócz najpiękniejszych i najsławniejszych w świecie muzeów, galeryj, biblioteki, i tylu a tylu różnych arcy-dziwów sztuki, mieści w sobie ni mniéj ni więcéj jak 13,000 sal i pokojów, rozmaitéj wielkości; 20 dziedzińców, 208 wschodów; a co do krużganków, ganków, kurytarzy!!! Aj, mój kochany! Na samę myśl, żebym kiedyś musiał pisać o tém, w głowie mi się jak w garnku przewraca! Dziś zaś właściwie to ci chcę tylko powiedzieć, że bawiliśmy tam aż do obiadu; że na obiad pojechaliśmy razem do państwa Ankwiczów, i że wnet po obiedzie musieliśmy wracać do domu, ażeby się przebrać na wieczór do xięztwa Sanguszków. Towarzystwo świetne i miłe; osób ze 30, sami Polacy; a między nimi i nasze panienki, ma się rozumieć z rodzicami, którzy nas, także około godziny drugiéj, w powozie swoim do domu nakoniec odwieźli. *Wtorek, 22 grudnia.* Raniutko liścik od xiężny Zeneidy, że korzystając z pogody chce nas zawieźć do *Villa Pamphili*, a potém do galeryi *Borghèse*, a potém na obiad do siebie, po którym razem mamy jechać na herbatę do xiężny Dietrichstein, na którą nas zaprosiła w niedzielę. Stało się wszystko podług tego programu, i znowu wróciliśmy po piérwszéj. Zważ więc, czy nie mieliśmy prawa spać dzisiaj prawie do południa. A oto za godzinę, o piątéj, musimy iść na

obiad do xięcia Radziwiłła w hotelu, a ztamtąd do Strzeleckiego na herbatę, i na *faraona* lub *kixa;*— bo się bawimy także niekiedy i w tę szlachetną rozrywkę, poniterując po bajoku do banku, w którym jest parę skudów rozmienionych na drobne. Adam wszakże lubi najlepiéj kixa, który mu przypomina nasze niegdyś partye wileńskie, z *berżerką* i ze starą panią Kowalską (matką), która się z nim do upadłego kłóciła, że kręcił, choć graliśmy tylko na boby. Tu gramy niby na bajoki, (na krédkę), i zwykle tak wesoło, że się wszyscy naśmiejemy do woli, najczęściéj z kosterskich figlów Adama, który ma w nich szczególne upodobanie.

Masz więc tedy przeszłość i teraźniejszość; a teraz spójrzyj na trzydniową przyszłość, którą składają święta Bożego Narodzenia. Jutro, jako w dzień imienin Adama, solenizant powiada, że chce rano uciekać z domu od powinszowań i wizyt, i że jest zaproszony na kawę do xiężny. Pójdę więc i ja w *podwódce* — ma się rozumieć najprzód do kościoła. Potém grzeczność i zwyczaj każą pójść przecież łamać opłatek ze swoimi, i podziękować między innemi państwu Potockim za inwitacyą na wigilią jutrzejszą, z któréj nie możemy korzystać dla tego, żeśmy już przedtém zamówieni na *Via Mercède*, gdzie także jest vice-solenizantka, drugo-imienna Ewunia. A mamy téż i pierwszorzędną w osobie pani Eweliny Dernałowiczowéj, którą ja zwłaszcza, najczęściéj jak mogę odwiedzam. A dzieje się to nie tylko ze względów światowych, ale téż w części, nie

chwaląc się, *et per charitatem*. Zdrowie jéj coraz gorsze; tęsknota coraz większa; a mąż nudząc się z chorą, rad szuka pociech w salonach przy weselszych i zdrowszych. Ja więc, jako dawny znajomy, który jéj przypomina szczęśliwe chwile warszawskie, czując się zawsze pożądanym, mam téż za obowiązek być jéj częstym gościem. Zdarza się wprawdzie czasem, że mi się iść nie chce; ale nigdy nie pożałowałem żem przyszedł. Wigilia zaś u państwa Ankwiczów ma być zwłaszcza ku uczczeniu Adama, jako solenizanta, i ma być całkiem podług rytuału polskiego. O północy mamy pojechać razem na *Pasterkę*, do *Santa Maria Maggiore*, gdzie się ona najuroczyściéj odprawia. Na piérwszy dzień solenne nabożeństwo w kościele św. Piotra, gdzie może przecież obaczymy Papieża, jeśli mu zdrowie celebrować dozwoli. Na obiad zaproszeni jesteśmy do xięstwa Sanguszków, a wieczorem wszyscy Polacy mają być u państwa Ankwiczów. Drugiego dnia obiad u pani Klustin, jako w oktawę dnia urodzin xiężny Zeneidy, a wieczorem *grand bal* u państwa Potockich, na którym ma być cała *Signoria* rzymska, i mają śpiewać najsławniejsi śpiewacy tutejsi. Boję się, czy sił nam starczy na te wszystkie fety. A cóż dopiéro będzie w karnawale? który ma być świetniejszym niż kiedy, dla wynagrodzenia za przeszłoroczny, którego wcale nie było, z powodu śmierci Papieża, Leona XII-go. Wszyscy posłowie mają dawać bale; a że każdy poseł ma zwykle po kilkanaście biletów do rozdania ich komu zechce, choć-

by ci goście wcale gospodarzy nie znali; a zwłaszcza, że panna Henryetta ma właśnie odbywać na nich piérwsze swoje *entrée dans le monde;* rzecz zatém naturalna, że będziemy woleli assystować jéj na te bale, niż się męczyć z Prometeuszem przy skale. *Sat sapienti*—i *Vale.*

V.

Do tegoż.

Rzym, 28 grudnia, 1829 r.

Obowiązku, ni potrzeby
Ani mam, ni czuję, żeby
Pisać znów do ciebie dziś.
A że jednak chcę i będę,
Przyjm to więc wprost za kolędę,
A nawzajem pomnij, byś
Przy *kucyi* i opłatku,
Pomyślał też o mnie, bratku,
I napisał zaraz list,
Z ciekawemi nowinami,
Jako sztrucel z rodzenkami,
Jak kiełbasa—nie jak glist.

To znaczy: długi, a nie ckliwy. Bo ten mój, jak się spodziewam, dójdzie cię jeszcze przed świętami waszemi, a widzisz zeń, jak ja tu Święta Rzymskie i zacząłem i kończę, sztyftując epistoły do ciebie. Program świąt, zawarty w ostatniéj z nich, ziścił się co do joty. Ale każdy program ludzki na przyszłość, jest bodaj zawsze mniéj więcéj jak ów zasiew w przypowieści ewangelicznéj, do którego w nocy, gdy człowiek sam zaśnie, los, jak aniół lub djabeł, dosiewa mimo niego, albo nasiona kwiatów, które kiedyś uwieńczą żniwo, albo kąkol i blekot, które ludzki zasiew

zagłuszą, albo samemu siewcy zawrót głowy sprawią. Najfatalniejsza rzecz jednak, że z kiełka, a nawet z runi, natury ziółka nie poznać; a tu czasem ni ztąd ni z owąd spada na człowieka powinność, aby je pielęgnować w zarodku — i to nie tylko dla siebie samego, ale nawet, co gorsza, dla drugich. Otóż jestem w kłopocie tego ogrodniczka, i ten kłopot jest właśnie przyczyną, że nie mogąc tu z nikim o nim na otwarte pomówić, uciekam się do korrespondencyi z tobą, abym przez to może sam w sobie natłok różnych a sprzecznych myśli rozwikłał jakoś i uporządkował. Z poprzedniego już listu mojego — „*if thou art wise and guessest well*“ (jeżeliś mądry i umiész zgadywać), — powinienbyś już, a przynajmniéj mógłbyś się domyśléć o co idzie. *Wąż misterny* wśliznął się już istotnie i wije się po raju naszym; i mnie, który go nie chcąc dostrzegłem, rajski dotychczas pokój i swobodę myśli zamącił. Opowiém ci wszystko jak było.— W przeszły czwartek, t. j. w dzień imienin Adama, odbywszy wszystkie wizyty, zamierzone na rano, o piątéj stanęliśmy jak w porcie na *Via Mercède*. Solenizant, przy łamaniu opłatka, odbierał podwójne życzenia, i sam podobneż składał pannie Ewie. Ja przystępując z kolei tuż po nim, wpół *seryo*, wpół żartem, ale zawsze bez żadnéj stanowczéj myśli, powiedziałem —powiedziałem jéj, ot tak sobie: „Pani zapewne nie wątpisz, że nikt na kuli ziemskiéj nie życzy pani szczerzéj ode mnie spełnienia Jéj życzeń w téj chwili.“ — Zarumieniła się cała jak róża, i po chwili, podnosząc oczy, spójrzała na mnie — ale jak!!! Gdy-

bym sto lat żył jeszcze, to tego wzroku nie zapomnę nigdy. Blask meteoru jest niczém w porównaniu z tém światłem, które mię nagle oświeciło wewnątrz. Odgadłem i zrozumiałem wszystko—i przeraziłem się jak błyskawicą. Dusza przemówiła spójrzeniem. Była w niém i nieśmiała konfidencya siostry, i jak gdyby błagalne odezwanie się do brata: „dopomóż“! — Miły Boże! gdybymże mógł, jak pragnę! Ale ten obowiązek spadł na mnie jak kamień. Nie żebym się chciał od niego usuwać, ale cóż ja pocznę, niestety? Biję się z myślami jak z falą, po któréj pływać nie umiém. Widzę szczęście tak blizkie, i na pozór tak łatwe! Aniołowie je zda się wskazują. Ale świat! ale ludzie!... A najprzód ten sam piérwszy, o którego rzecz idzie! Jego samego boję się najwięcéj, dla niego samego;— może dla tego, że go znam najlepiéj, a o drugich marzę tylko sobie jak zechcę. I gdybymże mógł z nim choć pomówić! Ale gdzie tam! Nie wiém nawet co myśli w istocie; bo że myśl jest zajęta, to widzę. Porównywając go z sobą, cieszę się z mojéj małości, jak owa rybka w bajce Krasickiego. Mogę sobie patrzéć na *wszystkie* jak mi się podoba, i nie bać się, by która z mojego powodu spójrzała tak na kogo, jak dziś *ona* na mnie! Bo jeżeliż *on* tylko patrzy *po mojemu*, to cóż ja *jéj*, niestety, na to jéj spójrzenie odpowiém? A jeśliż się w nim Gustaw obudzi na nowo: — to czyż tylko ma przybyć nowa jaka część *Dziadów?* — Ach, mój ty drogi! teraz dopiéro poznaję z doświadczenia całą psychiczną głębokość owéj mitologicznéj bajki o balwierzu króla Midasa: co to za straszny ciężar

tajemnica cudza, o której z nikim pomówić nie można! Ten mój list, jest to ów dół w ziemi, w który *tamten* wyszeptał swoję, aby mu, jak zamknięta para, nie rozsadziła serca. Bo chciéj wejść tylko w położenie moje, a sam uznasz, jak ono jest trudne i fałszywe. Nigdy własnego szczęścia nie pragnąłem tyle, jakbym pragnął aby tych „*ludzi dwoje*“ szczęśliwemi być mogło; a cóż, gdybym się jeszcze i ja mógł ku temu przyczynić! A właśnie myśląc o tém, i z tego jedynie powodu, widzę się niejako zmuszonym odegrywać tu między nimi rolę jakiegoś dyplomaty-intryganta, który z nikim na otwarte nie mówi, (bo nie może i nie śmie), jakby chciał ich wszystkich oszukać. I trzebaż żeby ten ciężar spadł na mnie!—i to wszystko z racyi tego głupiego frazesu, kiedy mię licho pociągnęło za język, i który to jéj spójrzenie wywołał! Ale darmo! Słowo, jak mówią, wylatuje ptakiem, ale go nazad i wołami nie wciągnąć. Dla tego też, piérwszy raz może w życiu, tak jestem od tych dni kilku ostróżny w słowach, że mi to odejmuje całą swobodę i wesołość humoru, bez których jestem „jako ptak bez skrzydeł“. A także, z drugiéj strony, wbrew zwyczajowi i naturze mojéj, zaczynam tu i ówdzie *sonder le terrain*, jak inżynier przed fortecą; i nie wiém czy mi się zdaje, czy też może i w rzeczy saméj grunt ten nic obiecuje być tak twardym,

Iżby zgoła nie było nadziei,
Przekopać w nim jakiéj transzei.

Sądź sam o tém, jak i ja sądzę, z różnych drobnych szczegółków i słówek, które ja, jak zwinna ja-

skółka, chwytam w lot na powietrzu jak muszki, i—otwórz dziobek w gniazdeczku! — będę niemi podzielał się z tobą.

Otóż wigilia była bardzo wesoła—dla wszystkich, prócz dla mnie; chociaż nadrabiałem humorem, jak mogłem, bo mię zewsząd o powód zamyślenia pytano. Ona jedna musiała go odgadywać, bo i nie łączyła się z pytającymi, i sama jakoś była żenowaną. Widocznie połączeni jesteśmy węzłem tajemnicy, o której wiemy, że myślimy oboje, a czujemy, że mówić z sobą nie możemy. Ale masz tobie, co znaczy jedno czasem niewczesne słowo, albo może mimowolne spojrzenie!

Uczta była całkiem po polsku. Stół był nakryty na sianie, nad nim w środku kręciła się gwiazdka z opłatków. Od dwóch zup: grzybowéj i migdałowéj, aż do śliżyków, grochu i pszenicy z sytą, żadnéj z potraw obrzędowych nie brakło. Adam jadł wszystkie i unosił się nad niemi, jak drudzy goście nad morskiemi rybami. Osób było jak raz dwanaście. Oprócz gospodarzy i nas: pani Moszyńska, Strzelecki z elewem, Sztattler, xiądz Zajączkowski i x. Parczewski, którego ja zapoznałem z tym domem. X. Zajączkowski i Adam, *comme les deux preux chevaliers*, którzy kiedyś skruszyli kopije, w szrankach, współubiegać się zdali w grzeczności, aby pamięć tego starcia zagładzić. Po toaście na cześć solenizanta, wzniesionym przez gospodarzy, i toaście na cześć solenizantki, wzniesionym przez gości; xiądz Zajączkowski wzniósł trzeci wspólny: „Adama i Ewy!“ który też

oboje rodzice uprzejmie i wesoło spełnili. Piérwsze *bonum signum*. Poczciwy Strzelecki, jak gdyby nastrojony przeze mnie, a w rzeczy saméj, jak sądzę, sam przez się w téjże myśli działając, przy rozmowie o arystokracyi, wystąpił z tak gorącą apoteozą piérwszych twórców i protoplastów rodowéj chwały imienia, w jakimkolwiek bądź zawodzie, że wszyscy przystali zgodnie na jego ostateczne *dictum:* że Napoleon musiał mieć bardzo nizkie wyobrażenie o rozumie ludzi w ogólności, jeśli istotnie żałował, jak mówią, że nie był wnukiem lub prawnukiem siebie samego. Sam pan hrabia szczególnie podniósł tę uwagę i dodał do niéj kilka historycznych komentarzy, wykazujących głupotę wnuków, pyszniących się wprost zasługami dziadów. Że zaś przed kilku dniami, z ust saméj pani hrabiny słyszałem takie zdanie o bogactwie: że ono o tyle tylko przyczynić się może do szczęścia kobiéty, o ile sercu swobodę wyboru zapewnia; — zestawiając więc w jednę konstellacyą wszystkie te trzy okoliczności, nic dziwnego, że dobry z nich wyciągnąłem horoskop, który przed końcem obiadu i mój także humor rozchmurzył. O ile bowiem słowa są obrazem myśli, to czyżby z tych słów obójgu nie można było wyprowadzić wniosku: że dwa na pozór najtrudniejsze szańce, nie są wcale *do niezdobycia*, i że ich wzięcie od sposobu wzięcia się ku temu najwięcéj może zależeć. Ztąd ta obawa we mnie, o któréj wspomniałem najpiérwiéj, a która mię dziś trapi najbardziéj. Ale co począć z naturą dębu, gdzie trzeba raczéj giętkości topoli? Cała nadzieja w przeznaczeniu Bożém, a do-

bra wróżba w humorze Adama, który w dniu tym szczególnie był godzien solenizanta. Sam mówił, że się czuje odmłodzonym o lat sześć, to jest o całą przeszłość po wyjeździe z Wilna. Po obiedzie, sama pani, na prośbę jego, grała ciągle najmniéj przez kwadrans melodyą pieśni: „*Aniół pasterzom mówił*“, któréj że żadna z panien nie umiała, Adam tak je z tego względu zawstydzał, że obie przyrzekły poprawę. Ztąd wywiązała się nader miła i ożywiona rozmowa o różnych przypomnieniach, przygodach i anegdotach, odnoszących się do dnia wigilii u nas, a w któréj solenizant prym trzymał. Aniśmy się spotrzegli, jak nadszedł czas iść na *pasterkę*. Deszcz ciągły i chłód na dworze zmieniły program wspólnéj z damami wyprawy; sam pan hrabia także pozostał. Młodsi więc tylko ruszyliśmy piechotą, brnąc literalnie po wodzie i błocie.

Kościół *Santa Maria Maggiore* jest jedną z największych i najwspanialszych siedmiu bazylik rzymskich (patrz *Album*); piérwszeństwo zaś przed innemi, co do uroczystości *Mszy pasterskiéj*, zawdzięcza znajdującéj się w nim relikwii, którą jest *Żłobek (presepio)* z Betleemskiéj stajenki, w którym Dzieciątko Jezus było najprzód złożone, i gdzie mu pastuszkowie piérwszy hołd oddali. Są to cztéry szczątki spróchniałego już, jak widać, drewna, zamknięte w kryształowém pokryciu, i złożone w zagłębieniu wspaniałéj bocznéj kaplicy, zwanéj przeto kaplicą *Żłobku*, albo N. Sakramentu, i gdzie się znajdują grobowce dwóch wielkich i świętych papieżów: Syxtusa V-go i Piusa V.

Relikwią tę po mszy Pasterskiéj obnoszą w uroczystéj processyi, śród szpaleru szwajcarów papiezkich, i stawią na ołtarzu w innéj bocznéj kaplicy, kratą od kościoła zamkniętéj, gdzie przez cały czas świąt Bożego Narodzenia zostaje. To właśnie ściąga tłumy pobożnych i ciekawych, i musiało czynić ten kościół polem popisu modnych strojów i wdzięków, kiedy edykt, w tym roku wydany, zabronił pod karą stu skudów balowego strojenia się damom, a głośnych rozmów i śmiechów mężczyznom, czego, jak nam mówiono, Anglicy się zwłaszcza dopuszczali. Ale gdyby też samę karę nałożono na śpiących, skarb publiczny miałby dochód nie lada! Kiedyśmy przyszli, kościół był jeszcze słabo oświecony, a pomiędzy zapełniającemi ławki, połowa przynajmniéj strojnych główek, nie z samej tylko pstrocizny kapeluszów podobną była do kwitnących makówek, ugiętych pod ciężarem plonu Morfeusza. Oburzało mię to z początku; ale mądrze mówi przysłowie:

„Nie urągaj cudzéj biedzie,
Bo twoja za tobą jedzie.“

Ledwo bowiem, obszedłszy kościół, usiadłem pod jakimś pomnikiem, skupienie ducha było tak zupełne, że zapomniałem nawet sam o sobie; i dopiéro dźwięk trąb, huk bębnów, połączony z brzmieniem organu, wyrwał mię z tego błogiego zachwytu. Cały kościół gorzał już ogniem, a nabożeństwo, wraz z processyą żłobka, trwało prawie do pół do drugiéj. Tymczasem upusty niebieskie tak ciągle stały otworem, że wole-

liśmy zapłacić sześć paolów fiakrowi, niż wbród, albo i wpław gdzie może, dostawać się do domu.

Grom armat z zamku św. Anioła, wesoły odgłos dzwonów, i najniespodziewańszy pogodny blask słońca, zwiastowały nam ranek „*tego dnia wesołego*“, w którym, na solennem nabożeństwie w kościele św. Piotra, mieliśmy niewątpliwą nadzieję obaczyć nakoniec Papieża. Nadzieja wszakże i tą razą zawiodła. Pius VIII był słaby, jak zwykle; zastępował go kardynał *Pacca*. Wszystko jednak odbywało się tak samo, jak kiedy celebruje sam papież. Wiész może, że wielki ołtarz tak jest tu urządzony, że odprawujący przy nim mszę św. twarzą jest obrócony do ludu, to jest, że wchodzi nań od strony presbyterium i do niego się we mszy odwraca. Ściany téj części kościoła, okryte na ten dzień czerwonym adamaszkiem, połączone były z sobą takiémże czasowém przepierzeniem, w środku którego, naprzeciw ołtarza, wznosił się tron papiezki—próżny. Wzdłuż obu tych ścian bocznych, nie w miękkich i złoconych *stallach*, jak u nas prałaci w katedrze, ale na prostych drewnianych ławach, siedzieli Xiążęta Kościoła: po prawéj stronie od ołtarza, kardynałowie-kapłani, po lewéj, kardynałowie-dyakoni, w liczbie sześciu. Takież ławy, u stopni papiezkiego tronu z obu stron, zajmowali dalsi dygnitarze Kościoła: Patryarchowie, Arcybiskupi, Biskupi, i nadworni papiezcy Prałaci w fioletach. Celebrant, aż do Ofiarowania, siedział ciągle na krześle przed ołtarzem, jak u nas Biskupi *in partibus*, kiedy tron dyecezyalny wakuje. Wszystkie téż dalsze szczegóły mszy św. nie różniły

się niczém od naszych przy celebrze biskupiéj. Majestatyczniejszego zgromadzenia nie ma pewnie na kuli ziemskiéj; sam nawet dawny senat światowładnéj Romy nie mógłby się z niém mierzyć, jeżeli nie w zewnętrznéj powadze, to przynajmniéj w godności znaczenia. Roma ruszała tylko ciałem tego świata; Kościół ożywia i kieruje go duchem. I trzebaż, że właśnie w chwili Podniesienia, słońce snać nagle wyszedłszy z za chmury, pełnym blaskiem padło na ołtarz, i odbiło się w podniesionym kielichu. Wierz mi, że nie byłoby to tylko retoryczną figurą, gdybym dodał: że odblask ten powtórzył się w chrześciańskich sercach tych wszystkich, co go wraz ze mną w téj chwili widzieli. Ale mimo tego wrażenia i całéj świetności obrzędu, to niezajęte miejsce Papieża psuło jakoś harmonią całości, jak niezamalowany środek w obrazie, albo jak brak szczytu w budowie. Adam, gdy była o tém mowa na wieczorze u państwa Ankwiczów, przyrównał to wrażenie do protestantyzmu: bez spójni środkowéj wewnątrz, i bez szczytu na zewnątrz.—

O! bo co na nim samym, pod względem ortodoxyi, to już chyba nowenna panienek wyraźnie skutkować zaczyna! Język przynajmniéj trzyma jak za kratą, którym kiedyś przy lada sposobności, tak im zwykle przekomarzać się lubił. — Na drugi dzień świąt, jako w dzień św. Stefana, państwo Ankwiczowie, podług wczorajszéj umowy, zajechali po nas i zawieźli na nabożeństwo do *San Stefano Rotondo*, na *Monte Celio*, (patrz *Album*). Ma to być piérwszy typ kościołów okrągłych, z epoki Konstantyńskiéj, przerobiony z ja-

kiéjś dawnéj świątyni, a odznaczający się jedynie freskami na ścianach, cennemi może z pendzla, ale tak obrzydliwemi dla oka a wstrętnemi dla wyobraźni, że strach iżby się czasem kiedy nie przyśniły. Są to obrazy rozmaitych męczeństw, wzięte całkiem ze strony fizycznéj. Gdybym pisał co kiedy o męczennikach, samo wspomnienie tych fresków byłoby mi już zbawienną przestrogą. A i nie zawadziłoby wielu naszym romantycznym kolegom, aby je choć w rysunku widzieli; to jest, jeżeli obrzydliwa potworność nie wyda się im raczéj siłą i nie zachęci do naśladownictwa, jak się i to niekiedy przydarza. Po nabożeństwie, sama pani zaproponowała pojechać do *Ara coeli*, na Kapitolu, dla obaczenia sławnych w tym kościele jasełek. Ale tu panna Henryetta wystąpiła z tak żywą oppozycyą, że nawet moja mozgownica pojęła, iż nie chce ich narażać na krytykę profanów. Adam tedy na przekór uparł się koniecznie aby jechać, i opponentka nakoniec musiała uledz większości. Była jednak nie w swoim humorze; i dopiéro kiedy się oględziny w milczeniu, ze wszelką czcią i powagą odbyły, widać było że odetchnęła swobodniéj. Spektakl ten stanowi gruppa, a gruppę składają: najprzód Dzieciątko Jezus, we żłobie i w pieluszkach, naszywanych perłami i klejnotami, a potém pięć figur naturalnéj wielkości: N. Panny, św. Józefa i trzech pasterzy. W oddali poza niemi daje się widzieć zwierzątko, którego nawet imienia wymieniać tu jakoś nie wypada. Samo Dzieciątko, przywiezione tu niegdyś z Jerozolimy, wyrzeźbione jest, jak mówią, z drzewa z Góry Oliwnéj, i po-

malowane jakoby przez samego św. Łukasza. Inne figury są z wosku, i ubrane jak w gabinecie figur woskowych: N. Panna w bogatéj materyalnéj sukni, z pierścionkami na palcach i z dużemi brylantowemi kolczykami w uszach. O wszystkiém tém, w innym czasie, wieleby może dało się powiedzieć; ale tą razą nikt z nas nic nie mówił. Kiedy zaś już w powozie sam p. Ankwicz opowiadał nam, że to Dzieciątko, uważane za cudowne, wożone bywa niekiedy do chorych, a mianowicie do kobiét, i uczynił przytém uwagę, że to nieco na bałwochwalstwo zakrawa: Adam owszem wziął w obronę ten zwyczaj, jako środek wzbudzenia wiary, która sama sprawuje cuda. Panna Henryetta spójrzała z pod czoła z wdzięcznością, a panna Marcellina uśmiéchnęła się znacząco; za co wnet przypłaciła rumieńcem, kiedy ją zapytałem znienacka: dla czego tak się uśmiécha? — Wszyscy my tu bowiem, jak widzę, rozumiemy się między sobą na wylot, i odgadujemy nawzajem, w jakiéj myśli co kto mówi lub czyni; chociaż każdy z największą skrupulatnością strzeże w sobie „*sekretu komedyi*“, która Bóg wie jak się zakończy, ale któréj ty jeden dotąd jesteś—jeśli nie spektatorem, to przynajmniéj zakulisowym konfidentem. Że zaś w tém to jest właśnie główny powód i cel tego listu, a nic już więcéj o tém do dodania nie mam: mógłbym go więc i skończyć na tém, gdyby nie chęć powiedzenia ci jeszcze słów kilku o nowéj znajomości *sławnego* człowieka, i o wieczorze u państwa Potockich, na którym cały *wielki* świat Rzymski widziałem.

Człowiekiem tym jest pan Karol Bonstetten z Genewy, znakomity, jak mówią, filozof, psycholog, archeolog, i pisarz we francuzkim i niemieckim języku, a najrzeźwiejszy i najmilszy staruszek, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Ma już lat 84, ale w ruchach i w rozmowie—młodzieniec. A co za szarmant i galant! najmłodszego w kątby zapędził. I w tém też to podobno jest źródło téj jego wiecznéj młodości. Wspominałem ci już o nim, pamiętam, jako o adoratorze panny Anastazyi, który dla niéj przyjechał do Rzymu; a oto ona właśnie oskarża go o niewierność, mówiąc: że wszystkie młode panienki kochają się w nim w Genewie, a on dla żadnéj niewzajemnym nie jest. Staruszek śmieje się do łez, i za całe usprawiedliwienie całuje po ojcowsku swoję oskarżycielkę, niekiedy tylko zowiąc ją: niewdzięczną. — Trzeba ci bowiem wiedzieć gdzieśmy go poznali. Oto u pani Klustin, na obiedzie w drugie święto i w oktawę dnia urodzin xiężny Wołkońskiéj. Przy toaście więc za jéj zdrowie, gdy i Bonstetten z kolei życzył jéj okrągłych lat stu, xiężna odpowiedziała z uśmiéchem, że życzenie to wtedy dopiéro miałoby rzeczywistą wartość, gdyby życzący nauczył ją zarazem swego sekretu, jak tak młodość umysłu i serca zachować? — „Damom w tém nic radzić nie śmiem, odpowiedział, bo one same lepiéj to umieją. Ale gdyby mię pytał mężczyzna, powtórzyłbym bez wahania słowa Apostoła: *kochajcie się, kochajcie, kochajcie!* a tylkobym dodał od siebie: *i umiejcie kochać!*“—Ja zatém pozwoliłem sobie zapytać: na czém właściwie ta umiejętność zależy?

„*Aimez toujours ce qui est beau et immortel, et vous vaincrez le corps et le temps.* Serce nasze, jak całe ciało, jest z gliny; ale póki w niém miłość kwitnie, jak kwiat w wazonie, kwiat ten zakrywa szczerby, które czas w niém czyni". — To były słowa i treść odpowiedzi. Kiedy zaś po obiedzie, po raz może dziesiąty całował w czoło pannę Anastazyą, a ja na to uśmiéchnąłem się z boku; postrzegł to, i śmiejąc się także, zawołał: „*Ah! ah! Messieurs les jeunes gens! vous croyez que l'amour est le monopole de votre age!* Otóż ja wam powiadam przeciwnie: że miłość dopiéro na starość dosięga najwyższego szczytu doskonałości: jest całkiem wynikiem duszy i wolna od wszelkiego ziemskiego egoizmu. *C'est l'avant goût des amours des anges.*"— Przypomniał mi się Oleszkiewicz, który mówił prawie to samo; tylko że mówiąc po religijnemu, cudowny ten wpływ miłości, do duszy zwłaszcza i do przyszłego jéj życia stosował. W każdym razie, recept ten Bonstettena na szczęśliwą starość, choćby jéj człowiek nie dożył, dobry jest jak winogronowa kuracya; mniejsza o skutek, kiedy ona sama tak miła! Bo jużciż myślę, że słodkie *winne i niewinne* jagódki, nigdy się człowiekowi nie sprzykrzą.

Ale zmiłuj się, proszę, niech te słowa moje nie rzucą w twoim umyśle ani cienia jakiéjkolwiek śmieszności na szanowną postać tego najmilszego staruszka, jakby on tylko w żarcikach i o miłości tylko rozmawiał. Nie! Jestto tylko jak kwiatek przy poważnéj delii mędrca i dostojnego męża stanu, przypadający do niéj nie jak *do kożu-*

cha. Bo że był jednym i drugim, w dziełach swoich i życiu publiczném, na ważnych urzędach w ojczyznie, to i słyszę od drugich, i sam widzę i czuję w obejściu się jego i w słowach. Adam zna i wysoko ceni najnowsze dzieło jego: *L'Homme du Nord et l'homme du Midi,* a panna Anastazya ma nam dać do przeczytania: *Voyage sur la scène du dernier livre de l'Eneïde*, gdzie ma być ciekawe opisanie ówczesnych okolic Rzymu. Słyszałem jak rozmawiał w tym przedmiocie z Adamem, i obydwaj byli z siebie kontenci. Ale najkontentniejszą, jak widziałem, była sama panna Anastazya, że mogła tak na obie strony przyjaciółmi się swoimi pochlubić. Oprócz albowiem Bonstettena, byli jeszcze na tym obiedzie dwaj inni uczeni z Genewy: p. *de Luc* i p. *Douby*, starszy pastor, rodzaj kalwińskiego biskupa. Obaj bardzo poważni, grzeczni i uprzejmi; ale ja oczy i uszy miałem tylko dla mojego ukochanego staruszka, który jest odtąd moim ideałem na starość, jeśli Bóg da dożyć starości. Wiele zdań jego i myśli zanotowałem sobie w dzienniczku, jako prawdy kardynalne, które po raz piérwszy słyszałem. I tak np. mówił między innemi: „że największe dobrodziejstwo, jakie człowiek może wyświadczyć drugiemu, chociażby nawet mimowolnie, jest to: jeżeli go pobudzi lub zniewoli do kochania siebie, nie dla upatrywanéj w tém tylko przyjemności albo korzyści, ale przez poczucie i uczczenie w nim ogólnéj ludzkiéj zacności lub piękności moralnéj. Człowiek bowiem, który raz tym sposobem drugiego szczerze pokochał, nigdy już ani całkiem złym, ani

całkiem nieszczęśliwym nie będzie.“— Przypomina to nieco ów wiersz Trembeckiego:

„Ktokolwiek czuć jest zdolny prawdziwe kochanie,
Albo już jest cnotliwym, albo się nim stanie.“

Kwestya tylko, na czém ta *prawdziwość* zależy? Walter-Scott powiada w swoim *Ostatnim Minstrelu*, że *duchy ziemskie* nie umieją tego oznaczyć:

„*But earthly spirit could not tell*
The heart of them, that loved so well.“

I sam przeto określa ją w tych słowach, które kiedyś przetłómaczyłem do jakiegoś sztambucha:

„Nie jestto płochy ognik wyobraźni,
Co póty gore, dopóki się drażni;
Nie z ziemskiéj żądzy swéj mocy nabiera,
Nie przez nią żyje, i nie z nią umiera.
Lecz jestto związek ducha z duchem, który
Spaja się tajném ogniwem natury,
I łączy węzłem niezrywnéj jedności,
Dwa serca w życiu, dwie dusze w wieczności.“

Bonstetten zaś wypowiedział to swoje zdanie w bardzo poważnéj rozmowie przy obiedzie, zestawiając i porównywając między sobą dwa najbardziéj może wrażliwe i wpływowe geniusze swojego czasu: Woltera i Byrona, których obu znał osobiście; pierwszego, gdy mieszkał w Ferney, za czasów młodości Bonstettena, a drugiego, podczas jego podróży po Szwajcaryi i pobytu w Genewie. „Byron chciał, ale nie umiał kochać. Kochał to tylko, co mu robiło przyjemność,

i tak na to zużył swe siły, że mu już ich nie stało na miłość prawdziwą, kiedy ją czuć zaczął przy końcu. Wolter ani chciał, ani umiał kochać nic i nikogo, prócz siebie. Nasycenie próżności było dlań jedyną rozkoszą. Obaj nienawidzili ludzi; ale Byron zwłaszcza dla tego, że w oczach jego nie byli warci kochania; Wolter tylko dla tego, że albo go nie dość wielbili, albo przeciw niemu stawali. Byron nie poniewierał nigdy świętością i cnotą w idei, tylko, że jak jéj sam w sobie nie ufał, tak w szczerość jéj w drugich nie wierzył. Objawy jéj brał za hypokryzyą, któréj mianowicie niecierpiał, a wojując z nią słowy i czynem, sam, przez ducha przekory, przesadzał w pozorach złego, które umyślnie i z ostentacyą przybierał, aby urągać przez to przeciwnikom swoim. Wolter, wróg jawny świętości w wierze, nie mógł być przyjacielem cnót z niéj wypływających; a jeśli je niekiedy udawał, to chyba aby pokazać, że się cnota może obejść bez wiary. U obydwóch nienawiść była głównym pierwiastkiem i bodźcem natchnienia, któremu jeden i drugi zawdzięczają najwymowniejsze karty dzieł swoich. Źródło tylko téj nienawiści było w obu odmienne. Byron mścił się, zda się, na ludziach, za skażony ideał ludzkości; Wolter mścił się tylko za siebie, a ideał w śmieszność obracał. Geniusz u Byrona, był jak orzeł Jowisza, który ciska pioruny z góry; u Woltera, jak wąż Laokoona, który z dołu wspina się i dusi. Obaj, prócz upojenia rozkoszy lub pychy, nigdy nie byli szczęśliwymi w sobie. W Byronie znać to było po wybuchach gniewu, w Wolterze po swarliwéj

zgryźliwości humoru, który poważnił go nawet z królewskim jego przyjacielem, Fryderykiem Prusskim. Obu im brakło wewnętrznego pokoju, który jest pierwszym warunkiem do szczęścia, ale który miłość tylko dać może.“

Słuchając tych słów Bonstettena, brała mię wielka ochota zapytać, czy on sam, który tak hołduje miłości, był przez nią tak istotnie szczęśliwym w całym ciągu życia, jak widzę, że jest nim na starość, lub jak wiém z doświadczenia, że w młodości być można? Ale mi na to zapytanie w myśli, odpowiadał stanowczo sam wyraz jego fizyognomii, tak spokojnéj, tak pogodnéj, tak słodkiéj, jak gdyby po niéj żadna nigdy burza, żadna gorzka boleść nie przeszła. I gdy jeszcze dodałem do tego, co o nim panna Anastazya mówiła, że go wszystkie panienki kochają: widziałem w nim jakby obraz tych błogosławionych, o których mówią legendy, że się ich leśne ptaszątka nie bały, i siadając im na ramionach, wtórowały w śpiewaniu psalmów.

Pod wpływem tego uczucia, prosiłem przy końcu obiadu, aby mi wolno było wznieść jeszcze na cześć jego, jako Patryarchy miłości, rodzimy nasz toast: „Kochajmy się!“ którego, ma się rozumieć, objaśniłem mu najprzód znaczenie. Spełniono go ruszając się od stołu, i wszyscy kołem otoczyli staruszka; panna Anastazya zaś, z kieliszkiem w ręku, przyklękła przed nim na jedno kolano; — i tu się zaczął ów szereg ojcowsko-poetycznych całusów, o których wspominałem już wyżéj.

Raut u państwa Potockich był co się zowie świetny, pyszny, wspaniały. Obaj bracia zajmują razem ogromny pałac *Gregorio*, i przyjęcie to było wspólne. Osób musiało być ze dwieście. Nie tańczono, ale chodzono. Balowe stroje dam roiły się i migały po salach, jak kolibry w świetle słonecznem. Rozmowy były ożywione i gwarne. Przerywała je muzyka lub śpiewy. Najsławniejsi śpiewacy z różnych tutejszych teatrów, występowali koleją w solach, duetach, tercetach; chóru tylko ani razu nie było. Z głosu i wdzięków pani *Testa* była najpierwszą: słowik i róża w jednéjże osobie, któréj same oczy i rysy natrącają tę myśl o Wschodzie. Po niéj szły panie: *Camporesi*, *Boccabadati*, *Marini*. Z mężczyzn śpiewali najlepiéj pp. *Ronconi*, *Cortoni*, *Angiolini*, i t. d. Niejaki *Trentanove* śpiewał dziwnie soprano (jakieś *solo buffo*), nie piersiami ale gardłem, nakształt tyrolki. Koncert ten musiał ogromnie kosztować gospodarzy, ale to wszystko i w teatrze można posłyszeć. Zatoż takiego zgromadzenia razem tylu znakomitości miejscowych i zagranicznych, nie wiém czyby gdzieindziéj dało się zobaczyć. Ale co nas cieszyło najwięcéj, i co nawet zostało jako główne wrażenie tego wieczoru, to, że wśród tego tak licznego grona piękności i wielkich dam z całego świata, Polki nasze trzymały piérwszeństwo, i to pod każdym względem i we wszystkich kategoryach wieku. Osiemdziesięcioletnia już może xiężna stolnikowa Czartoryska, siwiuteńka jak gołąbek staruszka, była jakby idealnym obrazem tych świętych starodawnych matron naszych, z których chyba

opisów życia można sobie wymarzyć taką postać, jakąśmy tu na jawie widzieli: tak pełną razem wdzięku i powagi wieku; słodyczy i mocy charakteru; skromności i prawie pokory, a zarazem takiéj godności, jak się to wszystko w wyrazie jéj twarzy i w całém jéj obejściu maluje. Ona to właśnie była tym środkowym punktem, około którego zebrało się tak ochoczo i licznie grono najpiérwszéj arystokracyi tutejszéj, która, jak powiadają, nie rada udzielać się cudzoziemcom, i nie łatwo ich do siebie przypuszcza. Ale xiężna stolnikowa przez lat wiele prowadziła tu niegdyś dom świetny i otwarty; a chociaż na resztę życia zamknęła się teraz w klasztorze, pamięć dawnéj jéj uprzejmości i wspaniałości światowéj, połączona ze czcią dla jéj wieku i cnót chrześciańskich, czyni ją dotąd celem ogólnego szacunku i uszanowania, jakiém ją na tym wieczorze wielki świat Rzymski widocznie otaczał. Córka jéj, pani Alfredowa Potocka, wespół z bratową swoją, panią Arturową, czyniąc wspólnie honory domu, odznaczały się obie zarówno taką jakąś królewską powagą i wdziękiem, (w czém i wspaniała postać ich obu niepoślednią odegrywała rolę), że się w istocie czuło jakby chlubę, że się jest ziomkiem w tym domu, który na obcych gościach tak imponujące sprawiał wrażenie. A cóż mówić o xiężnie Izie, o téj, jakby reprezentantce trzeciego pokolenia?— bo jest wnuczką rodzoną xiężny stolnikowéj, a siostrzenicą pani Alfredowéj Potockiéj. Była ona najpiękniejszą na tym raucie, jak niegdyś we Florencyi, na balu u xięcia Bacciochi. Ale tyle już razy pisa-

łem ci o niéj, że nic nowego do dodania nie mam. Wprawdzie piękność ma to podobieństwo ze słońcem, że choć codzień widziana, nie powszednieje nigdy, a zawsze rozwesela i ożywia nanowo. A ma także i to podobieństwo z xiężycem, że choć sama świeci najjaśniéj, żadnéj z gwiazdek niebieskich nie gasi. Otóż temi gwiazdkami dla nas, które nam bodaj najmiléj świeciły, były na tym wieczorze obie nasze panieneczki z *Via Mercède*, godne przedstawicielki wdzięku dziewic naszych. Był to piérwszy ich występ na horyzont wielkiego świata, a już jedna z nich, choćby nawet przed słońcem, mogłaby się ze swego *satellesa* pochlubić. Ale oba nie odstępowaliśmy ich prawie, bo pychę z serca złożywszy, same nas o to prosiły, przyznając się do nieśmiałości w tém tak licznem a obcém dla nich zgromadzeniu. Ubrane były balowo, błękitnie, i wyglądały prześlicznie w lokach, które im pierścieniami spadały na szyję. Adam ujrzawszy pannę Henryettę, powiedział: „Jabym pani dzisiaj nie poznał; taka pani strojna, światowa!“— Ona biédaczka zmieszała się na to; ale ja dobrze widziałem, że go ten strój i światowość nie razi. — A poznaliśmy także jeszcze jednę Polkę, którąby może we wrażeniach moich zajęła miejsce blizko xiężny Izy, gdyby sama samochcąc nie zepsuła uroku, który jéj uroda sprawiała. Jest to pani Gr... z Podola, P....ska z domu, piękna istotnie z twarzy i z postaci, ale strojna aż do przesady, a i jéj piérwsze odezwanie się, niestety, przypomniało mi bajkę o pawiu. Nie żeby głos był niemiły — gdzie tam! Głosik jest godny ko-

ralowych ustek; ale to też tém większa szkoda, że z nim chętka do rozmowy nie bierze. Bo gdy mąż jéj, poznawszy się z nami, przedstawiał jéj najprzód Adama, ona przybierając widocznie pozę *„wielkiéj damy,“* i zapewne chcąc ujść przed nim za taką, przemówiła do niego najprzód — po francuzku. Nie umiém ci wypowiedzieć, jak na te proste słów kilka, termometr piérwszego wrażenia spadł raptownie do zera. To też Adam nie odpowiedział jéj ani słowa na powitalny komplement, a i ja, zaprezentowany z kolei, poprzestałem na zimnym ukłonie. Zawód, jak sądzę, był z obu stron równy. Ma prawo nas posądzać o brak grzeczności, albo francuzczyzny, jeżeli braku taktu nie poczuje w sobie. Ale ciekawy byłbym miny jakiego francuzkiego poety, dajmy np. Lamartina, gdyby mu jaka paryżanka, na cześć jego *Medytacyj*, wypaliła komplement po hollendersku, i chciała się przed nim popisać, albo zaimponować mu przez to, że przemawia obcym językiem. To też bodaj że nigdzie, oprócz u nas, niestety, śmieszności téj nie ma w zwyczaju.

Ale przebóg! czyżbym tym ciemnym rysem skończyć miał obraz idealności niewieściéj w rodaczkach, który sam czuję tak jasno, i chciałem go tu odbić na ciebie? Otóż szczęściem mam jeszcze do wspomnienia dzieweczkę, dziecko jeszcze, ale tak miłe i mądre, jak ten Rafaelowski aniołek, co to u stóp Syxtyńskiéj Madonny zamyślił się i patrzy ku górze. Jest to mała Alexandryna Potocka, rodzona siostrzenica pani Arturowéj i blizka kuzynka samego, która się przy nich

wychowuje. Nie była ona jeszcze na tym raucie w salonie, ale musiała nieraz ze swojego pokoiku wyglądać. Nie przeto jednak tylko, że jest jedyném dzieckiem polskiém w Rzymie, mógłbym ją też wziąść śmiało za typ tych naszych dziewczątek, z których, za czasem i za łaską Bożą, rosną takie dziewice, młode niewiasty, damy i matrony, których nam świat może i powinien zazdrościć, a my za nie Panu Bogu dziękować. Bądź zdrów!

VI.

Do Ignacego Chodźki.

Rzym, 31 grudnia 1829 r.

Bankiery, kassyery, kontrolery, sknery,
Liczą dziś pewno złoto, srebro i papiery,
By do budżetów roczne dopisać latusy.
A więc i ja podobnież jak ziemskie Plutusy,
Kończąc dzisiaj młodości piérwszy lat dziesiątek,
Obliczam w sercu skarby uczuć i pamiątek,
Co doń, jak do kościelnéj u progu szkatułki,
Wrzucili przyjaciele albo przyjaciółki,
Bym szczycąc się, nie wstydząc, téj serc ich jałmużny,
Wiedział najprzód, co komu i ilem jest dłużny,
A potém dług ten w duszy, sumiennie i święcie,
Ulokował na wiecznéj wdzięczności procencie.

A wiész-że co wypadło z tego obrachunku? Oto, że jesteś jednym z głównych—ba! nawet najgłówniejszych — wierzycieli, czy dobrodziejów moich; bo sam nie wiém jak was mam nazwać, was, od których, albo za pośrednictwem których, najwięcéj mi tych drogich uczuć i pamiątek przybyło. Owóż, kiedy najgłówniejszemu, to jest Adamowi, sam dziś dźwięczną monetą słowa, ów należny mu procent wypłacam: tobie, jako assygnatę czy wexel, chcę posłać przynajmniéj ten mój list, ażebyś sam zeń może, ku podziwieniu własnemu, dowiedział się po raz piérwszy, ile twojego jest w téj

skarbonce serca, którą ja dzisiaj, jak zakrystyan przed plebanem w sobotę, otworzyłem przed Adamem i liczę.

Otóż tedy wiedz najprzód, że przez ostatnie lata szkolnego mego dzieciństwa w Borunach, byłeś dla mnie, jak ów indyjski Wisznu, piérwszém wcieleniem poetycko-literackiego ideału, o czém ty naturalnie ani wiedziałeś, ani wiedzieć nie mogłeś, tak jak np. młode i piękne sąsiadki Boruńskie, modląc się w ławkach w niedzielę, nie wiedziały ile strzelistych westchnień i affektów wznosiło się ku nim ze studenckich ordynków. Żeby zaś to nie miało blichtru komplementu, wytłómaczę ci wszystko jak było. *Primo:* X. Martynian Komar, mój i twój niegdyś professor wymowy, który i mnie jak ciebie uczył też prócz tego po francuzku, prześwidrował mi najprzód uszy twojém imieniem, stawiąc mi cię zawsze za przykład, jako wzorowego swojego ucznia, a dziś *sławnego* literata, przynoszącego zaszczyt Borunom, Bazylianom, i jemu. *Secundo:* Wuj mój pan Onufry, czynny aktor amatorskich teatrów, urządzanych przez stryja twojego, lubił, opowiadając o sobie, opowiadać też cuda o twoim talencie na scenie, a zwłaszcza za kulisami, gdzieś grał zawsze role kochanków. *Tertio:* Gdziekolwiek była mowa o „*Wiadomościach Brukowych*,“ imię twoje obijało mi się o uszy, jako jednego z najpiérwszych *Szubrawców*, których koncepta, chociaż bezimienne, poznawano po treści i sposobie pisania. Potrzebaż było więcéj, aby cię w wyobraźni studenta, wzdychającego *in petto* do autorskiéj sławy, jak na

szczycie kolumny postawić? Nakoniec uderzyła mię raz, pamiętam, i zastanowiła szczególniéj tajemnicza jakaś mina jednéj twojéj sąsiadki, krewnéj naszéj, która do nas przyjechała w gościnę, i gdy była mowa o tobie, chwaląc ciebie z rozumu i przyjemności w towarzystwie, ciągle przytém spuszczała oczy i wzdychała głęboko. Zapytałem więc co to ma znaczyć? i dowiedziałem się, żeś — *Farmazon*. Nie wiedziałem ja wtedy, jak podobno i nikt jeszcze nie wiedział, co to było za głupstwo w gruncie, ta cała wasza masonerya litewska, która tyle lat i tyle młodzieży zmarnowała na próżniactwie i fanfaronadzie: aż pan Tomasz dopiéro kres temu położył. Ale co wtedy, to sama nawet ta mniemana herezya twoja, jeszcze ci więcéj w oczach moich blasku i interessu przydała, łącząc do sławy literackiéj znaczenie obywatelskie, które natenczas jeszcze tytuł *Masona* nadawał. To téż nie dziw, że piérwsza chwila poznania cię osobiście, tak mi dotąd tkwi żywo w pamięci, jak gdyby to było wczoraj. — A ty? „*T'en souviens-tu?*“ Pewno nie. Otóż ja ci przypomnę: nie dla ciebie, ale dla siebie samego; a jeśli chcesz, to może i dla tych, co razem z tobą list ten czytać będą:

I może téż na przeszłość myśl zwróciwszy baczną,
Marząc o mnie rok stary skończą, nowy zaczną.

Było to tedy w roku Pańskim 1817, dnia 14 sierpnia, t. j. w wigilią N. P. Maryi Zielnéj, i bierzmowania w kościele Wojstomskim, przez xiędza biskupa Kundzicza, na które mię matka moja umyślnie przy-

wiozła do Horkol, gdzie w dniu tym, na cześć Jego Excellencyi, dany był świetny wieczór dla całéj parafii, na którym i ty być miałeś. Czekałem cię jak kania deszczu. A gdy jeszcze i wszystkie panienki, a między niemi i śliczna moja kuzyneczka Horsia, szeptały wciąż między sobą i wyglądały przez okno: czy Chodźko z Dziewiętni nie jedzie?—znaczenie twoje w mojéj wyobraźni stanęło na wierzchołku zenitu. I gdyś sam wszedł nakoniec, ubrany balowo, w białéj chustce i białych rękawiczkach, zarumieniłem się niemniéj może jak Horsia; chociaż w téj nawet chwili, ten jéj nagły rumieniec, coś jak zazdrość we mnie obudził. Mimo to wszakże patrzałem na ciebie jak w tęczę, i prawdziwie z bijącém sercem, dałem się zaprowadzić i zaprezentować tobie przez jéj ojca, a wspólnego krewnego naszego, który téż z tego tytułu wziął tę rekomendacyą na siebie. Bóg ci zapłać, za uprzejme słowo zachęty, którém mię raczyłeś powitać, gdy ci on mnie jako wierszopisa przedstawił; a gdy potém, w zastępstwie matki, zasiadłem razem z tobą do partyi *ćwika*, czułem się ciągle w takiém podniesieniu, jakbym znalazł cztéry tuzy w *azardzie*.

I gdy przed dwiema godzinami to samo prawie co tu piszę opowiadałem o tym wieczorze Adamowi, on sam zgodził się na to, że możnaby go uważać niejako za emblematyczny obrazek ówczesnego stanu naszego wiejsko-szlacheckiego społeczeństwa. Biskup obok z Proboszczem, obaj z białemi włosami, na piérwszém miejscu u wieczerzy. Przy nich po obu stronach, dwaj siedemdziesięcioletni bracia, Polonusowie w kon-

tuszach; nie licząc trzeciego, starszego jeszcze od nich wiekiem gospodarza, który sam do stołu nie siadał. A wszystko to ludzie światli, obywatele i urzędnicy poważni; a przecież podochoceni przy końcu wieczerzy, chórem we trzech, dla zabawy biskupa, „*Kurdesza nad Kurdeszami*“ śpiewali.— Czyż nie byli oni jakby obrazem téj już znikającéj naówczas przeszłości, w któréj dobroduszna uprzejmość i towarzyska wesołość zapominały tak łatwo o światowéj swojéj powadze, a serdeczna, ojcowska życzliwość, pociągała ku sobie młodzież, nie dając jéj zapomnieć o powadze wieku?— A i żony téż ich wszystkich, każda w swoim guście, czyż nie wyobrażały w sobie jakby głównych typów ówczesnych naszych wiejskich obywatelek-szlachcianek: od gospodarnéj wesołéj kumoszki, jaką była moja ciotunia, do cichéj i skromnéj dewotki, i nieco sztywnéj sensatki i literatki, za jakie w całym Zawilejskim powiecie, nie tylko w waszéj parafii Wojstomskiéj, uchodziły obie bratowe: z Dobótowek i Wyholeniąt? — A znowuż szanowny pan Krzysztof: kapitan Napoleoński, kawaler Legii Honorowéj, świeżo obrany Prezydentem Grodzkim! z młodziutką swoją małżonką, wnuczką i siostrzenicą xięcia, wychowaną z francuzka po pańsku! i ty—ty drukowany autor i poeta! ty *Szubrawiec* i *Mason!* a przytém młody dziedzic majątku; a przytém *szarmant* i *galant*, przedmiot westchnień i rumieńców panieńskich!... Czyż nie koncentrowaliście w sobie niejako wszystkich dodatnich rysów nowego pokolenia, które już rej wiodło w powiatach, i przed którém starsi usuwali się z respektem,

choć może nie bez żalu; a młodsi, jak ja z szarego końca u stołu, wlepiali w was wielkie oczy, i brali z was wzorki dla siebie?— Ale czyż ja mogłem wtedy przeczuwać, że jestem już jakby źdźiebełkiem tego nowego posiewu, który już musiał bezwiednie kiełkować wtedy po szkołach, kiedy się w kilka lat potém, tak bujnie i tak od razu, w uniwersytecie naszym rozwinął? Czyż ja mogłem wtedy pomyśleć, że gdy z tego źdźiebełka wywiąże się ziarnko: z ziarnka tego wykwitnie najprzód względem ciebie—literacki antagonista? Względem ciebie! który od téj pamiętnéj gościny w Horkolach, stałeś się dla mnie stanowczo, na całą resztę szkolnego w Borunach pobytu, idealnym *kawalerem* wszystkich moich literacko-światowych myśli i marzeń: żeby tak kiedyś o mnie, jak o tobie gadano; żeby mię tak panienki wyglądały przez okno, i tak się rumieniły na spotkanie moje, jak się Horsia zarumieniła na twoje!...

Ale patrz, jak Opatrzność łaskawa! Jeszcze mi się ani o romantyzmie, ani o antagonizmie z tobą ani śniło, kiedy już, nie mniéj bezwiednie, błysły mi przed oczyma nazajutrz, jakby piérwsze promyki nowéj, dalszéj epoki życia, w któréj ty znowu miałeś stać się dla mnie — nie już koniecznie ideałem, ale serdecznym, szczerym przyjacielem, dla którego wzajemność i wdzięczność stały się integralną cząstką mego serca. I niechże mi tu jaki filozof dowiedzie, że się Opatrzność do spraw naszych nie miesza! że wyższe przeznaczenie nie kieruje nami!—Któż to zrządził, że gdy nazajutrz, w roli gościa, stałem na piérwszém miejscu

w rzędzie chłopców, czekających na *akkoladę* biskupa; tuż przeciw mnie, na czele dziewczątek, stały dwie jakieś panieneczki w bieli, z błękitnemi szarfami i takiemiż wstążeczkami w warkoczach? Po sto razy spuszczałem oczy, żeby na nie nie patrzeć: bo mi to przeszkadzało w pacierzu; a przecież jakaś nieprzeparta siła przeciwiła się wciąż woli mojéj. Ale mógłżem wtedy przewidzieć, że biorąc z rąk kapłańskich bierzmo religijne, mam już i widzę przed sobą tę przyszłość, która mię z woli Bożéj w życiu rzeczywistém, z wyrostka na młodzieńca, a z młodzieńca na człowieka *passować* kiedyś miała? Że te dwa małe aniołeczki w bieli, staną kiedyś pomiędzy mną a tobą (ówczesnym ideałem moim), aby nas, jak pośrednie ogniwa, węzłem przyjaźni i braterstwa połączyć?

A i w dalszym naszym stosunku, ileż to chwil niemniéj może charakterystycznych i nie mniéj prowidencyonalnych! bo wszystkie tak logicznie wypływały jedna z drugiéj, a wszystkie tak do jednego dążyły!— Nie mówię tu już o tych żarliwych, gwarliwych, a przecież nie swarliwych dysputach, które za każdym twoim przyjazdem do Wilna, staczaliśmy jak w szrankach, na wieczorach u pana Tomasza, o klassyczności i romantyczności, o balladach i odach, lub, jak się ty wyrażałeś: o Febie i Belzebubie. Dysputy te rzeczywiście były pewnym rodzajem turnieju, w którym, aspirujący do złotéj ostrogi giermkowie, jak np. ja i Oleś, wprawiali się i zaprawiali do walki, krusząc kopije lub goniąc na ostre z passowanymi rycerzami, jakimi byłeś np. ty i Rosołowski. Ale zatoż po stro-

nie naszéj był cały prawie zastęp publiki spektatorskiéj, ktory nam siły i odwagi dodawał; a wy we dwóch, pomimo stentorowego głosu pana Stanisława i ostrza twoich konceptów; pomimo nawet niekiedy pomocy pana Tomasza albo Czeczotta, którzy jako bezstronni sędziowie turnieju, „wiatr i słońce“ po równo obu stronom dzielili i zbyteczny zapał nasz hamowali; wy, mówię, coraz widoczniéj traciliście grunt pod nogami, tém bardziéj, że i wasze literackie sumienie nieraz pewno *in petto* przemawiało za nami. A przecież, ile sobie przypominam, te spory, które mię najprzód względem ciebie na pewny stopień równości podniosły, a pomimo całéj pozornéj szorstkości lub gwałtowności w słowach, serca nigdy nie zajątrzyły: same owszem te spory były jakby dalszym szeregiem ogniw, z których się stosunek nasz splatał, i które nas—mnie przynajmniéj w myślach z tobą łączyły. Kiedy zaś je porównam z Warszawskiemi, które tam potém z miejscowymi klassykami staczałem, mój Boże! cóż to za różnica! Z nas każdy do upadłego bronił swojéj tezy, ale że przytém nie myślał o sobie: w przeciwniku téż widział nie nieprzyjaciela, który chce plon jego podeptać, ale tylko współpracownika, który chce wspólną niwę po swojemu uprawiać, ale zawsze zarówno dla jéj dobra pracuje. Ztąd téż i ta różnica stosunku między dysputantami, i nakoniec skutku tych dysput. Nasze dałyby się przyrównać do studenckiéj gry w śnieżki, w któréj guz od lodówki choć bolał, ale nie gniewał, i w któréj porażony nawet, był zawsze w końcu jak ów kolega Karpińskiego,

o którym on we wspomnieniach swoich szkolnych powiada:

„I od nas zdrapany cały
Całował nas Tomcio śmiały "

U nich, to jest w Warszawie, rzecz inna! Tam wszystko nastrojone na ton salonowy. Osobistość, a nie rzecz sama, stoi zawsze na piérwszym planie. Otwarta sprzeczność zdania, poczytuje się za niegrzeczność, i jako taka, sprawia zwykły swój skutek— obrazę. To téż u nich rozdział obu obozów jest dziś daleko większy, niż był na początku: niezgodność wyobrażeń przerodziła się w osobistą niechęć. U nas przeciwnie, osobista przychylność wpłynęła nawet na zmniejszenie różnicy w zdaniach, jeśli nie na ich całkowitą przemianę. Ty np. chociaż zawsze Belzebuba i ballad nie lubisz, dla autora wszakże *Grażyny*, *Dziadów* i *Wallenroda*, wspólne nasze uwielbienie podzielasz, i po naszemu kochasz jego samego. Szydłowski zaś i Rosołowski, jak słyszę, tłómaczą już coś podobno z Byrona, chociaż tylko z prozy francuzkiéj. Kiedy tymczasem w Warszawie, w opinii np. Koźmiana i Osińskiego, Adam stoi zawsze niżéj od Jaxy, a Byron kwalifikuje się do czubków!

Ale dosyć tych wspomnień o dysputach! Inna scena stoi mi w oczach. — Względem początku naszego stosunku, jest to odwrotna strona medalu; względem przyszłego — początek; i którą ja przeto za punkt środkowy, a ze względu na siebie samego, za najbardziéj prowidencyonalną uważam. „*T'en souviens-tu?*“

pytam więc znowu, gdy przyjechawszy do Wilna na kontrakta w r. 1823, wprost z bryczki, jako synowiec p. Jana, wpadłeś na scenę amatorskiego teatru, właśnie podczas ostatniéj próby żywych ruchomych obrazów z „Jerozolimy Wyzwolonéj“ Tassa?— Pomimo wszystkich twoich cnót, zalet, przymiotów i zasług, byłeś w téj chwili nic więcéj, jak kontraktowy Zawilejski szlachcic. A ja! — ja w roli i w kostiumie Torquatta! ja pomiędzy Armidą a Kloryndą! w pośród grona rycerzy we zbrojach! ja byłem jakby punktem środkowym—bo słów moich wszyscy słuchali, ażeby do nich, jak do muzyki w tańcu, swoje pozy i ruchy stosować! Mów co chcesz, mój dobrodzieju! ale byłem — a przynajmniéj powinienbym był być w oczach twoich w téj chwili, czém ty niegdyś dla mnie w Horkolach!—I gdy w dniu saméj reprezentacyi nazajutrz, Rustem moich słuchaczów poustawiał w ramach, a ja *solo* na przodzie sceny, z piórem w ręku, jako Tasso zasiadłszy, słowy Piotra Kochanowskiego tłómaczyłem uszom szanownéj publiczności to, na co poza mną jéj oczy patrzały; i kiedy grzmoty oklasków jak huragan przelatywały przeze mnie; azaż nie miałem prawa czuć radości i chluby, choćby tego dziada-dzwonnika, który dzwonił na piękne kazanie?— Gdy więc pomimo téj miłéj, i nawet arcy miłéj sensacyi, ja sam, z własnego natchnienia, zaproponowałem ci piérwszy, ażebyś mnie na drugiéj reprezentacyi zastąpił; zastanawiając się dziś nad tym faktem, nie umiem go przypisać czemu innemu, jak chyba podszeptowi dobrego mojego Anioła, który mnie, we mnie samym, do zwycięztwa

przyjaźni nad próżnością dopomógł. Bo kto wie, czy ty bez tego zapraszałbyś mię tak uprzejmie, abym ciebie podczas wakacyi odwiedził? Bo gdyby nie ta, i nie taka inwitacya twoja, nie byłbym pewnie gościem twoim w Dziewiętni, a więc i współgospodarzem owego pamiętnego podwieczorku na nowym twym *Helikoniku*, dla pięknych sąsiadek z Ruskiego Sioła, które z tych moich niegdyś współbierzmowanek wyrosły! [1]) A gdybyż słońce i xiężyc dnia tego nie świeciły były nad nami, to kto wie, czybyś ty dotąd nie siedział sam jak puszczyk w pustym swoim domu, lub jak Symeon Słupnik na swoim Helikoniku? a mnie —aż strach pomyśleć, jakby mogło być ciemno i zimno na świecie, kiedy Adam wkrótce odjechał, a i ja także znalazłem się śród obcych! — Otóż tobie ja to właśnie winienem, że dom twój, przez lat siedem Jakóbowéj służby, był dla moich myśli i marzeń jak słońcem, koło którego one jak planety krążyły, a ja sam, jak ziemia do słońca, zbliżając się raz na rok do niego, rozkwitałem jak ona po zimie, i brałem zeń nowy zapas ciepła i siły na zimę.— A gdybyż nie ostatnia bytność moja u was! gdyby nie przyjacielskie pośrednictwo twoje! czyż mógłbym tak swobodnie i spokojnie, jak teraz, używać chwil obecnych w podróży, nie wiedząc co mię spotka za powrotem do was, i czy mię powitacie i przyjmiecie jak swego? — Wiém ja wprawdzie, co są ludzkie nadzieje; ale śmieléj się

[1]) Obacz. „*Dwie Konwersacye z Przeszłości*“, przez Ignacego Chodźkę. Wilno. 1857 r.

jakoś ufa Opatrzności, mając zabezpieczenie i pewność od ludzi.—Otóż tedy, drogi mój benefaktorze! latusując dziś długi wdzięczności i chcąc ci od twojego uczciwy procent wypłacić, nie dziw się, a może i nie gniewaj, że tém całkiem i jedynie zajęty, nic ci nawet w tym liście nie wspominam o Rzymie; chociaż w istocie, sama ta myśl, że w nim rok i nowy lat dziesiątek zaczynam, tak mię często elektrycznie przebiega i wstrząsa, że tylko w myśli o was mogła znaleźć rywalkę, która nad nią górę wzięła w téj chwili.

A teraz co mam życzyć?—Obyśmy! obyście!
Z wszystkiego byli radzi – i przestali na tém!
A ja w tym nowym roku mógł cię nazwać iście,
Jako dziś kończę stary, pisząc się twym bratem.

VII.

Do Juljana Korsaka.

Rzym, 1 Stycznia 1830 r.

Nowy Rok bieży,
W Rzymie śnieg leży,
Tyber się wzdyma,
We Włoszech zima!
Przyjechał sanną
Il Capo d'Anno.

Wszyscy tu go dziś sobie winszują i życzą aby był *buono* (dobrym), choć wszyscy są przerażeni tą jego niezwyczajną, trupią, to jest białą i zimną fizyognomią. Starzy kardynałowie, bogacze i elegantki, leżą, jak słychać, w łóżkach, aby *szlachetnego zdrowia* i wdzięków nie narażać na oddech zimy, która dla nich jest białém widmem. Bo zima jest tu formalna, jakiéj od niepamiętnych lat nie pamiętają. Po słotach przed świętami i po świętach, Tyber najprzód tak wezbrał i rozlał, że na naszéj *Via del Orso*, niedaleko od mostu św. Anioła, powozy brnęły w wodzie po kłódki, a dla pieszych kładziono kładki zamiast trotoarów po bokach. Z mostu zwłaszcza był widok ciekawy i piękny. Fale *płowego* Tybru, żółto-szarawego koloru, pieniąc się, szumiąc, rycząc koło arkad mostu, tryskały jak fontanny do góry, albo wrąc i wi-

rując jak Scylle i Charybdy, wzbierały i wylewały na brzegi. Wprawdzie mniéj więcéj to samo można widzieć i u nas z *Zielonego Mostu*, kiedy „naszych strumieni rodzica“, wyrywa się z pęt zimy, jak z pod straży groźnéj mistrzyni, aby biedz na spotkanie „Niemna oblubieńca.“ Ależ to Tyber, Mości Dobrodzieju! i możemy teraz powtórzyć z twoim przyjacielem Horacym:

„*Vidimus flavum Tiberim retortis violenter undis*“, i t. d.

Ale tymczasem po tych słotach nastąpiły przymrózki od 5—6 stopni, i na ulicy naszéj chłopcy ślizgali się po rynsztokach, jak my niegdyś z xiążką pod pachą, by się rozgrzać idąc do szkoły. Na placach, a zwłaszcza na Hiszpańskim (*Piazza di Spagna*), śmiech brał słysząc kwakanie przerażonych kaczek, które chodząc piechotą po miednicach fontann, przysiadały co chwila na przejrzystym lodzie, i zrywały się z krzykiem, czując chłód i twardość pod sobą. Aż tu nakoniec i śnieg padać zaczął. Pan Potocki Artur na wieczorze u siebie mówił do kilku Signorów Rzymskich, że kazał już robić sanki, w których chce odbyć szlichtadę po Rzymie, i jak w tryumfie wjechawszy na Kapitol, tam je jako trofeum na pamiątkę zostawić. Wprawdzie jeden z tych panów zrobił mu uwagę, że będzie musiał chyba, jak niegdyś Ossoliński, dosypywać do śniegu miałko tłuczonego cukru, aby polskiéj fantazyi dogodzić; ale gdyby on miał istotnie ten zamiar, a sanki były już na dzisiaj gotowe, toby się i bez tego expensu obeszło. Śnieg na ulicy naszéj jest głęboki po kostki. Nas nie tylko to nie przeraża,

ale owszem rozwesela prawie i bawi. Bonstetten opowiadał, że będąc w Kopenhadze, gdzie wiatr zwłaszcza był dla niego nieznośny, spotkał jakiegoś Lapończyka, który się właśnie na brak wiatru uskarżał. My wprawdzie nie wzdychamy tak bardzo do zimy, ale jakoś nam rzeźwiéj i ciepléj, (przynajmniéj na ulicy), przy sześcio-stopniowym mroziku, niż przy téj, do szpiku kości przenikającéj wilgoci, któréj dzisiaj Włosi żałują, i nie mniéj może życzą sami sobie pozbyć się co najprędzéj téj śniegowéj białości, jak białych Austryackich mundurów.— Ale najgorszym horoskopem na ten rok nowo-zaczęty jest przepowiednia śmierci panującego Papieża, w którą wszyscy tu wierzą jak w pewnik, a i sam Pius VIII, jak mówią, wiarę tę podziela. Jest to prosta, ale dowolna kombinacya liczbowa, złożona z roku śmierci i tytułowych numerów dwóch jego poprzedników, na których już się ziściła, a do trzeciego tylko ma się jeszcze stosować. Oto jest ona: Pius VII nastąpił po Piusie VI: 7+6=13; dodać do tego (niewiadomo dla czego?) 10, będzie 23. Pius VII umarł w r. 1823. Po Piusie VII, nastąpił Leon XII: 7+12=19, a *plus* 10=29. Leon XII umarł w r. 1829. Że zaś panujący dziś Pius, ma numer VIII, a 8+12=20, a +10=30, więc Pius VIII *musi* umrzeć, jak mówią, w roku dzisiaj zaczętym, 1830. Obaczymy, jeśli sami dożyjem, czy umrze? [1]) Tymczasem zaś jestem bardzo ciekawy, ale się u nikogo dopytać nie mogę, kiedy ta przepowiednia na-

[1]) Umarł istotnie w Listopadzie 1830 roku.

stała, i czy o niéj dzisiejszy Papież wiedział już piérwiéj, czy téż dowiedział się dopiéro po przybraniu już nazwy Piusa VIII? Skoro albowiem wybór tytułowego numeru zależał wprost od jego woli, to któżby mu zabronił przybrać np. imię Jana, który już byłby podobno XXIII czy XXIV-tym z rzędu, a więc na mocy téj proroczéj rachuby, mógłby przynajmniéj połowę lat Piotrowych spokojnie na stolicy jego przesiedzieć. Wprawdzie ma on być tak bogobojny i święty, że go myśl blizkiéj śmierci wcale nie przeraża; Rzymianie zaś najbardziéj lękają się o to, aby znów nie przypadła na czas karnawału, jak w roku zeszłym śmierć Leona XII, która ich pozbawiła téj najmilszéj im dorocznéj fety. Dla nas byłaby to podwójna fatalność: być w Rzymie, a nie widzieć Papieża, i karnawału!— Ale źle może nawet że piszę ci o tém na początku noworocznego listu! Szczęście tylko, że nie z tą myślą brałem się do pióra, i tylko odblask śniegu z sąsiedniego dachu, przypomniał mi żakowską noworoczną piosenkę u nas, którą wziąłem za motto listu.

Bo ty wiész, że ja wierzę we wróżby i przepowiednie, i to nie tylko *in verba magistri* (np. samego Adama), ale i z doświadczenia własnego. I tak np. nie szukając daléj: Rok przeszły ja sam zacząłem w roli czarodzieja, i sam nań sobie wywróżyłem horoskop, w którym, jak dziś uważam, jest coś nakształt prawdy. Było to w Warszawie, na balu u pani hr. Potockiéj, wdowy po byłym ministrze oświecenia, koryfeuszu niegdyś klassyków warszawskich. Była na nim cała Warszawa; a ja w osobnym gabineciku, śród

dwudziestu może panienek, pod patronatem pięknéj pani Katarzyny Lewockiéj, topiłem dla nich nad fajerką cynę, którą każda z nich po kolei, rączką własną, wylewała z żelaznéj łyżki do srebrnéj miednicy z wodą, na wróżbę dla saméj siebie. Było pełno gwaru i śmiechu, ale może i cichych westchnień, jeśli wróżba nie po myśli wypadła. Bo choć to officyalnie miał być tylko żart i zabawa, nie obeszło się pewnie i bez skrytéj wiary w rzecz samę! Dowód tego mam sam na sobie. Bo gdy w końcu stopiłem i wylałem cynę dla siebie, utworzyła się z niéj jakaś bryłka podłużna, w któréj najprzód wesoła panna Rozalia Biszpink upatrzyła istotnie podobieństwo do kształtu trumny. Nie obeszło to mnie bynajmniéj; ale gdy już w godzinę może po północy, po uroczystém wesołém spotkaniu Nowego Roku, spójrzałem na mój zegarek: oba indexy stały nieruchomie jeden nad drugim, na samym czarnym punkciku godziny 12-téj, i jakby tylko czekały na spójrzenie moje, poruszyły się same i poszły daléj, bo zegarek był nakręcony i one nie zaczepione o siebie [1]). To już, w połączeniu z ową bryłką cyny, wyznaję, że mi dało nieco do myślenia, i nieraz potém, w ciągu zwłaszcza piérwszego kwartału, lada mocniejszy ból głowy zdawał mi się początkiem ziszczenia się wróżby. Następnie wszakże zapomniałem o niéj zupełnie, ale przypomniawszy

[1]) Okoliczność tę, z mojego opowiadania, Mickiewicz przytoczył potém w ostatniéj części *Dziadów*, stosując ją do kogo innego.

znowu dziś w nocy, wiesz, że nie uważam jéj za całkiem fałszywą; tylko, że jak zazwyczaj każda przepowiednia, miała sens dwuznaczny — duchowy. Nie umarłem wprawdzie, bo kto umarł, ten, jak mówi Fredro:

„...już więcéj nie żyje,
I już więcéj nie chodzi, nie jada, nie pije;“

a zaś w krainie duchów, jak baby u nas pod kościołami śpiewają:

„Ani na pocztę listów oddają,
Ani też piszą, jak się tam mają.“

Ja zaś chodzę, jém, piję, piszę do ciebie i donoszę, że się, Bogu dzięki, mam dobrze. Ale żart na bok!— kiedy wspomnę sam siebie, jakim byłem przed rokiem, i porównam go z sobą, jakim jestem i czuję się dzisiaj: istotnie miałbym prawo powiedzieć, że ten dawny *ja* umarł we mnie, a inny jakiś przywdział moję postać, jak np. Merkury Sozyi w Amfitryonie. Nie myślę porównywać obu tych ichmościów, ani żadnego z nich ganić lub chwalić: bo i ta metamorfoza, o któréj mówię, odbyła się całkiem bez ich łaski, to jest bez woli lub pracy ich samych, a tylko wprost ze zrządzenia i łaski Opatrzności, za ktore Jéj téż tylko dziękuję. Człowiek moralny, równie jak fizyczny, sam nie wié i nie czuje jak rośnie. Z dawnych tylko swych wyobrażeń i poczuć, może chyba, jak ze staréj odzieży, poznać sam ile urósł, albo czy zmizerniał lub utył. Otóż cała moja garderoba warszawska, która tam była dość modną, wydaje mi się dzisiaj tak czer-

kieską i kusą, że się wstyd w niéj ludziom pokazać;— a tymczasem nowa, niestety! zaledwie się fastrygować zaczyna.

Pomimo jednak tylu zmian ciągłych i wrażeń, od piérwszego mojego listu z podróży, to jest z Brześcia, do ciebie, ostatni tydzień wczorajszego roku, kto wié czy nie najwięcéj może przyczynił się do ich skupienia i samopoznania, jeśli nawet nie do postępu naprzód. Część przyczyn wiész już z mego poprzedniego listu; ale i ostatnie trzy dni tego tygodnia przeszły mi w tak szerokim i górnym nastroju myśli i serca, że możnaby je nazwać latusem, czy koroną całego roku. *Finis coronat opus.*

Panna Henryetta zrobiła projekt, aby dni te poświęcić wyłącznie obejrzeniu samych tylko najgłówniejszych pamiątek *staréj*, i samych tylko arcydzieł *nowéj* Romy, tych zwłaszcza, które na kimkolwiek z nas, przy piérwszém ich widzeniu, największe sprawiły wrażenie; a to, ażeby w ten sposób wrażenia te ożywić i zsumować w pamięci. Projekt ten znalazł żywe poparcie w Adamie, i skutkiem tego, w ciągu tych trzech dni ostatnich, zwiedziliśmy razem: najprzód, wszystkie większe stare ruiny, zaczynając od *Forum* i od *Colosseum;* potém, wszystkie bazyliki i najpiękniejsze kościoły, zaczynając od św. Piotra, i nakoniec wszystkie prawie galerye i muzea, zacząwszy od Watykańskiego. W tych, ostatnich, postanowioném było, zatrzymywać się i patrzeć na to tylko, co było objęte programem, ułożonym z góry przez Tryumwirat: w którym, pod prezydencyą twórczyni

projektu, zasiadali Strzelecki i Adam. My drudzy byliśmy tylko jak klienci owych dawnych Tryumwirów Rzymskich, zanoszący instancye za tym lub owym obrazem albo posągiem, aby nań można było popatrzeć, jak tamci za tym lub owym przyjacielem czy nieprzyjacielem swoim, aby ocalić lub ściąć jego głowę. Gdybym więc zdał ci sprawę z tych naszych wycieczek, miałbyś całą *ekwintessencyą* Rzymu;—co wszakże, jak wiesz dobrze, w program listów moich nie wchodzi. Powiem ci więc chyba przelotem, np. *à propos* Apollina Belwederskiego: że nie widząc go, nie miałem pojęcia, ażeby piękność męzka była rzeczywiście tak piękną; i ztąd przyszedł mi pomysł, czy koncept, że towarzyszka pierwszego człowieka, przez nic innego jak przez zazdrość, (ma się rozumieć po wygnaniu z raju), zaczęła się tak wdzięczyć sztucznie i stroić, aż przywłaszczyła nakoniec płci swojéj wyłączną nazwę *pięknéj*, i zaszczepiła w niéj gust do elegancyi i strojów, które jéj saméj do zwycięztwa pomogły. Nie pisnąłem ani słówka o drugim, silniejszym jeszcze w téj walce orężu, t. j. o kokieteryi, chociaż o niéj istotnie myślałem; a mimo to obie panienki sfukały mię okrutnie za to moje *dictum*, i panna Henryetta zagroziła nadto, że za każdém wspomnieniem o Apollinie, przypomni téż i o tém mojém „dubeltowém“ bluźnierstwie.—„Byle razem i o mnie samym,“ odpowiedziałem; i groźba nie zdała mi się tak straszną. Zatoż przy oglądaniu Mojżesza, posągu Michała Anioła, w kościele św. Piotra w okowach, (*S. Pietro in vincoli*), całe grono z łaskawym uśmie-

chem przyjęło moję uwagę: że jeżeli jest prawdą, co mówią, że Napoleon brał lekcye chodzenia od Talmy, aby i przez to jeszcze imponować światu; to mocarze wszystkich krajów i wieków, powinniby się uczyć od tego, chociaż bez-ocznego posągu, jak mają spoglądać na ludzi, aby ci się im oprzeć nie śmieli. — Przytaczam ci tę parę żartów dla tego, aby ci dać wyobrażenie, w jakim zwykle nastroju humoru i myśli odbywał się ten przegląd arcydzieł. Ani pedantycznych rozpraw, ani deklamatorskich wykrzykników nie było; chociaż nieraz ogólne milczenie było wyrazem głębszego, ogólnego wrażenia.— Przed sławnym *Gladyatorem*, w muzeum Kapitolińskiém, panna Henryetta przedeklamowała z pamięci, przecudne o nim strofy z *Childe-Harolda* Byrona, a Adam, na wezwanie Strzeleckiego, aby coś podobnego napisał o Rzymie, odpowiedział: że Byron, jak Horacyusz Kokles, stanąwszy na moście, wszystkim przyszłym poetom drogę do opisów Rzymu zagrodził.

A więc *quod non licet Jovi*,
Miałożby *licere bovi*?

To jest, jaż miałbym daléj pisać tu o Rzymie? Nic z tego. Miéj dość na tém, co już napisane; tém bardziéj, że nie samo to oglądanie Romy stanowiło ów urok i górność dni, o których mowa. Po nasyceniu się rano duchowie, architekturą, rzeźbą, malarstwem; na posiłek cielesny, przez wszystkie te dni byliśmy zaproszeni z góry na *Via Mercède*, gdzie zaraz po obiedzie, o szaréj godzinie, przychodziła na wety

muzyka. Panna Henryetta siadała do fortepianu, Adam przy niéj na krześle, a ja na małéj sofce z panną Marcelliną w kąciku, pozwalając sobie niekiedy półsłównych i półgłośnych rozmówek, aby i harmonii nie mącić, i samemu przy niéj nie usnąć. Wniesienie światła było zwykle hasłem odejścia, i albośmy wstąpili na godzinkę do xiężny Zeneidy, albo wprost powracali do domu, ażeby też przecie odpocząć. I ten to odpoczynek właśnie był najbardziéj korzystnym i najmilszym dla mnie. Adam był ciągle w doskonałym humorze, i możnaby powiedzieć, w natchnieniu. Reassumowaliśmy wspomnienia kończącego się lat dziesiątka, który i osobiście dla nas, i dla wszystkich naszych przyjaciół, i dla literatury naszéj był tak obfity w wypadki i zmiany. Adam, prócz Gustawowych i sonetowych wspomnień, których zgoła nie tykał, — rozpowiadał szeroko o sobie, o wrażeniach i wpływach, po wyjeździe z Wilna, i o swoich wewnętrznych w skutek tego przemianach; co też i myśl moję na siebie pod tym względem zwróciło. Ale on nie przestając na tém, a ogarniając myślą świat cały, a przynajmniéj Europę, tak przytém jasno i treściwie obecny stan jéj moralny i umysłowy malował, i takie zeń wyciągał horoskopy na przyszłość: że to myśl i wyobrażenia moje rozciągało jak zsuniętą lornetkę, tak, żem tysiąc rzeczy albo wyraźniéj i jaśniéj, albo nawet po raz piérwszy obaczył. Do tych należy mniéj więcéj i ta moja metamorfoza własna, którą sam w sobie postrzegłem. — Ale mamże potrzebę dodawać, że mówiąc o przyjaciołach i o wpływie przyjaźni, nie

mogłem zapominać o tobie, i sam, opowiadając Adamowi, odnowiłem z rozkoszą w duszy całe pasmo naszego stosunku: od owéj pamiętnéj mi wiecznie chwili w Wilnie, gdyś ty, w pośród najszkaradniejszéj, ciemnéj, dżdżystéj, burzliwéj nocy, wpakował mi się gwałtem do ciasnéj furmańskiéj budki, aby mię przeprowadzić o całe siedem mil do Oszmiany, gdy ja, wezwany do chorego ojca, do jutra nawet, dla wzięcia pocztowéj *podorożnéj*, wyjazdu zwłóczyć nie mogłem. Odtąd to, mój drogi Juljanku! stałeś się dla mnie tém, czém jesteś dotąd: przyjacielem, o którym przekonany jestem, że mię nikt szczerzéj na tym świecie nie kocha, i któremu ja równąż wzajemnością odpłacam. A że mię zaś, jak mówisz, uważasz za człowieka przeznaczenia dla siebie: to niechże i ten mój list noworoczny

Kończą życzenia—i Bóg daj wróżba,
Bym twój przyjaciel i brat od serca,
Mógł cię też kiedyś, jak swat lub drużba,
Z piękną a miłą wieść do kobierca. Amen.

VIII.

Do Juljana Korsaka.

Rzym, 25 Stycznia 1830 r.

Rozpieściłem cię i zepsułem, jak widzę, kiedy śmiesz stroić fąfry, że przez jakieś dni kilkanaście nie pisałem do ciebie; chociaż w tym właśnie czasie wyexpedyowałem list do Ignacego, który, podług umowy, miał też dojść i do rąk twoich. Nie aby jednak cię skarcić i od napierania się oduczyć, tą razą dwa razy dłużéj nie wziąłem pióra do ręki. Ale dość niech ci napiszę summaryusz dni tych ubiegłych, a obaczysz czy był czas kiedy odszpuntować kałamarz.

Otóż najprzód, byliśmy o włos od śmierci. Potém, byłem — czy raczéj miałem być wyzwany na pojedynek. Potém, zacząłem uczyć się na seryo po włosku, a na wpół żartem uczę pannę Anastazyą po polsku, i sam nawzajem uczę się od niéj – czego? Nie bój się, myśląc może o lekcyach Alfa z Aldoną! — chociaż dla odegrania to właśnie roli jéj kochanka, którą mi sama narzuciła gwałtem, musi mię teraz uczyć lepszéj pronuncyacyi francuzkiéj: *je, de, que* i t. d., z którą mam się popisywać niezadługo na przyjacielsko-amatorskim teatrze u xiężny Zeneidy. A cóż dopiéro mówić o innych niemniéj ważnych zatrudnieniach: o bieganiach, patrzaniach, i wizytach dziennych; o balach,

rautach i spektaklach wieczornych; po których gdy się wróci do domu, to tak już oczy się mrużą, że do niczego nie służą. Ranki zaś są wyłącznie poświęcone czytaniu, albo *solo* Gibbona, którego już przecie domęczam; albo razem z Adamem, Aryosta. To jest, ja czytam głośno, kiedy on pali fajkę przy kawie; on mi tłómaczy czego nie rozumiem; a czego nie rozumiemy obydwa, to już ja muszę wertować dykcyonarz, aż sens wyjdzie jak szydło z worka. I tym sposobem przeczytaliśmy już całe pięć pieśni. A pisało się też i swoje wierszydła. — Słowem, czasu na list nie było. Codzień tylko notuję tytuły treści, o czém kiedyś potém mam pisać. Ale tego rodzaju notatki, to są tylko jak kądziel u kołowrotka:

Który wprzód musisz kręcić jak wiewiórka,
Nim za pomocą piórka,
Jak wrzeciona i wiórka,
Uda ci się wyprząść nić,
I na kłębek listu zwić.

A i dziś pewno jeszcze nie zabrałbym się do tego, gdyby nie deszcz jak z wiadra i nie ból zębów Adama, dla których przez dzień cały nie ruszamy się z domu.

A więc dla porządku wątku,
Czytam z notat od początku.

O włos od śmierci. Na trzeci dzień po Nowym Roku takie było szkaradne zimno, że gdy ani worek na nogach, ani rękawiczki na rękach nie broniły ich od zmarznięcia: przypomniałem o *karbonelli*—(pisa-

łem ci już kiedyś, co to jest karbonella); i wkrótce blacha napełniona żarem, stanęła na środku pokoju. Widać, że i nos także był zdrętwiał od zimna, żeśmy swędu węgli nie czuli. Ja owszem przez oszczędność cieplika, zamknąłem drzwi od drugiego pokoju. Rozkoszna aura otoczyła nas; i pogadawszy ze czcią o naszych piecach, a złorzecząc klimatowi włoskiemu, zatopiliśmy się: ja w zbrodniach, Adam w cnotach Romy; to jest, ja w czytaniu Gibbona, a on—Liwiusza. Po niejakim czasie dopiéro poczułem jakąś szczególniejszą senność; ale że mi się to często nad poważną xiążką przydarza: nie zwróciłem na to uwagi, i tylko usiłowałem przemódz Morfeusza. Z Adamem było toż samo. Aż gdy wreszcie wszelkie usiłowania okazały się daremne, zaczęliśmy obaj drzemać w najlepsze. Nie wiem jak długo trwała ta drzemka; ale bodaj iżbyśmy się już z niéj chyba aż na tamtym świecie ocknęli, gdyby szczęściem nie przyszedł do nas xiądz Parczewski. Na kilkakrotne pukanie, jak mówił, nie odbierając żadnéj odpowiedzi, otworzył drzwi, i krzyknął z przerażenia, poczuwszy gaz zabójczy napełniający powietrze. Głos ten obudził nas przecie; ale ja, gdy chcąc powstać, chciałem najprzód rozwiązać worek, który mi nogi krępował: poczułem że mi ręce nie służą; Adam zaś, siedzący po turecku, gdy się podniósł z kanapy, zatoczył się, jakby mu nogi pocierpły. Obaj byliśmy zupełnie jak pijani. X. Parczewski otworzył wnet oba okna; a widząc, że się nie możemy poruszać, zawołał gospodyni, i z jéj pomocą wyprowadził nas za drzwi na wschody. — Nie

będę opisywał symptomatów dalszych; ale były one tego rodzaju, że przestraszona gospodyni sprowadziła jakiegoś felczera, który mieszkał na naszéj ulicy, a ten kazał nam zlewać głowę zimną wodą z octem, pić rumianek, i położyć się do łóżka; co zresztą i bez niego musielibyśmy uczynić, bo sił do chodzenia nie było.— Poczciwy Parczewski siedział przy nas aż do wieczora, i nie wprzód odszedł, ażeśmy zasnęli. Ale gdyby był przyszedł o godzinę późniéj, to kto wié, czyby już nas nie znalazł uśpionych snem wiecznym. I ludzie jeszcze gotowi byliby myśléć, żeśmy się dobrowolnie *zaasfixiowali*. — A coby to był za przedmiot do ballad dla przyszłych romantyków! jak np. nasz p. Bogdaszewski, który i tak już — niech mu Bóg nie pamięta!— straszną o mnie balladę napisał, gdy, jak wiész, przed czterema laty rozeszła się była pogłoska, (może nawet zmyślona przez niego), o zabiciu mnie jakoby przez zbójców.

W balladzie téj, jeśli pamiętasz, figuruję jak jakiś zdradziecki Don Juan, którego duch mściwéj kochanki, w postaci ptaka, na zasadzkę zbójecką wprowadza. Ztąd téż i tytuł ballady: „*Ptak złéj wróżby.*“—Ale jakiby to być mógł z tego wyborny wodewil, a przynajmniéj farsa romantyczna, pod tytułem np. *Ballada,* gdyby dodać do tego tę arcy tragiczno-komiczną scenę, jaką z rzeczy téjże pogłoski miałem z Muzą romantyczności naszéj: Maryllą, i jéj mężem. Mniejsza, że ci to może opowiadałem już kiedy! Teraz plan wodewilu snuje mi się w głowie. Słuchaj więc, i gwiżdż albo klaskaj!—*Scena I. Karczma w Bolciennikach.*

Ja—(w wodewilu poeta) —jadąc wprost z Giejstun, zajeżdżam, aby się przebrać z podróży, i poetyczniéj od razu we dworze zaprezentować się oczom Marylli. (W wodewilu, ma się rozumieć, Marylla byłaby nie cudzą żoną, nie gospodynią, ale córką domu; zawsze jednak żarliwą zwolenniczką romantyczności i ballad, i celem westchnień — nie jednego tylko, ale aż dwóch na raz romantyków i balladystów, z których jeden jest w Wilnie, a drugi to wszystko w karczmie wypowiada poetycznie w monologu). *Scena II.* Wchodzi jakiś nieznajomy staruszek — (w rzeczywistości, poczciwy pan komornik (geometra) Sadowski; w wodewilu zaś mógłby to być jakiś intrygant, przyjaciel owego drugiego poety w Wilnie). Nowy ten gość przybywa wprost z Wilna, i na zapytanie: Co tam słychać? opowiada pytającemu całą długą, tragiczną historyą o własnéj jego jakoby śmierci. (W wodewilu, narrator mógłby odczytać i ową balladę—któréj *geneza* musiałaby być taka: Autor jéj, ucieszony z pozbycia się rywala, ale bojąc się jeszcze żalu po nim, napisał ją właśnie w tym celu, aby i pamięć jego w oczach wspólnéj bogdanki ohydzić, i przesyła jéj tę swoję ramotę przez swego powiernika, który, przez romantyczne zrządzenie wyroków, odczytuje ją najprzód żywemu jéj bohaterowi). Ale i w wodewilu nawet nie trzeba byłoby nic dodawać ani zmieniać w dyalogu, jaki miał rzeczywiście miejsce między mną a szanownym panem komornikiem: gdy ja—po wysłuchaniu powieści i ubolewań jego—dziękuję mu za to współczucie i rekomenduję się kto jestem, a on z największém oburzeniem porywa

się z miejsca wołając: „Mój panie! nie na to doczekałem białych włosów, żeby ze mnie lada młokos żartował!“ — i porwawszy za czapkę, zatrzasnął drzwiami i wyszedł. *Scena III.* W wodewilu—poeta przed wyjazdem z karczmy układa najprzód satyryczną replikę na balladę rywala i arcy-sentymentalny sonet do bogdanki.— W rzeczywistości zaś—ja wprost siadam na bryczkę, i w drodze do dworu duszę się od śmiechu, myśląc, jak tę przygodę gospodarzom opowiem.—Aż tu widzę, że już przed gankiem stoi bryczka pana komornika; wewnątrz zaś domu tymczasem odegrywa się *Scena IV* — tragiczna, (w wodewilu i w rzeczywistości taż sama), to jest, gość nowo-przybyły opowiada gospodarzom śmierć moję.- A wtém— *Scena V*—ja wchodzę.— Marylla, cała drżąca z wrażenia powieści, postrzegłszy mnie wchodzącego, podbiega ku mnie z dziwnym jakimś wykrzykiem radości czy strachu, i łzy, na które już się było zebrało, wypłakuje ze łkaniem, jak na ramieniu brata; pan Lorens zaś, przerażony i blady gdy wszedłem—powraca raptem do zwykłéj swojéj miłéj wesołości, i wita mnie jak upiora. (W wodewilu, to wejście bohatera powinnoby może nastąpić w środku czytania ballady, a wywołane przez nią wrażenie, odkryłoby właśnie wchodzącemu uczucia, o których sam dotąd z pewnością nie wiedział, a których mu jego rywal zazdrościł. Tym sposobem *Ptak złéj wróżby*, stałby się owszem piérwszym zwiastunem *dobréj;* i w tém to właśnie byłby główny sens i dramatyczny węzeł akcyi wodewilu). Na zakończenie — konfuzya pana komornika

w rzeczywistości, mogłaby posłużyć za model aktorowi, któryby w wodewilu grał rolę czytelnika ballady. Gdyż chociaż niby się cieszył, winszując mi rezurrekcyi mojéj: znać było jednak po nim, że mu szkoda tak ciekawéj powieści, któréj już z dobrą wiarą nie będzie mógł opowiadać przed nikim.—A co? czy plan wodewilu nie dobry?— A cóżby się w nim nie dało pomieścić poetyczno-romantycznych sentymentów—i śmieszności! — Doprawdy, nie żal mi wcale, że przerwawszy pisanie listu, z godzinę przeszło przemarzyłem o tém: jeśli czytanie rezultatu tych marzeń, sprawi ci choć dziesiątą część téj przyjemności, jaką mi one same sprawiły. — Adam tymczasem śpi sobie spokojnie, i może da Bóg, że prześpi ból zębów. Ja zaś wracam do kontynuacyi treści moich notat.

Pojedynek. Do nowych tu znajomości naszych przybył niedawno młody Alexander Wodzicki, z Krakowa, synowiec tamecznego Prezesa Senatu, o niewiele starszy ode mnie, wesoły, żywy, miły chłopak—ale troszeczkę przy tém junak i latawiec. Był już przedtém lat parę w Grecyi i służył tam w wojsku powstańców, zkąd go ojciec nakoniec odwołał. Teraz przyjechał do Rzymu jako podróżujący po Włoszech. Poznaliśmy się z nim przez Strzeleckiego, który go zna od dziecka i lubi, ale jako dawny znajomy i starszy, traktuje bez ceremonii, swobodnie, co się może i na nas odbiło. Ja byłem z nim w najlepszéj zawsze komitywie, nastrojonéj zazwyczaj na ton żartobliwy, i przezwałem go *Macedończykiem*, jako Alexandra i Greka. Owóż d. 9 t. m. w Sobotę, byliśmy wszyscy razem

wieczorem u Strzeleckiego. Adam z xięciem Olesiem grał w szachy, a pan Władysław Zamojski założył nam bank w faraona. Była to gra wprost dla zabawy. Poniterowaliśmy po *bajoku*, a wyższéj nad *paola* (nasz złoty) stawki być nie mogło. Mnie karta szła jak rzadko kiedy; Wodzickiemu przeciwnie. Ja przeto byłem wesół, a on widać zły wewnątrz, choć to, ma się rozumieć, pokrywał. Że zaś stawił upornie na damy i króle, to mi dało assumpt do żartów: stosując damy do dam, a brodate króle do Turków. Śmiech słuchaczów dodawał mi weny, a i on sam nie zdawał się gniewać. Rozstaliśmy się jak zwykle, t. j. jak mi się zdało, serdecznie. Ale nazajutrz, gdy wróciłem do domu z kościoła, Adam spotkał mię z jakąś dziwną miną i z pytaniem: co zaszło wczoraj między mną a Wodzickim? Widząc zaś moje zdziwienie, oddał mi list od niego, który sam był już przeczytał. Nie pamiętam go już teraz dosłownie, ale sens był taki: że ponieważ podobało mi się żartować wczoraj z niego, on przeto *ma honor* zapytać, jaki był powód tych żartów? aby wiedział, jak ma dalej postąpić. — Śmiech i złość wzięły mię razem; chciałem był nic nie odpowiedzieć; ale Adam zrobił uwagę, że właśnie takie milczenie byłoby rzeczywistą obrazą; — przyczém sypnął mi miarkę duchowego obroku: że nie można być zawsze studentem i chcieć wszystkich po koleżeńsku traktować.— Poszedłem więc po rozum do głowy, i załączywszy list Wodzickiego, napisałem sam do Strzeleckiego wierszem:

Macedończyk, jak widzę, nie zna się na żarcie,
Snać bez *soli Attyckiéj* jadł *czerninę* w Sparcie,
I tak się rozłakomił na krew, jak ów Drakon,
Co rylcem w krwi maczanym pisał tam swój zakon.
Ty więc go upamiętaj, kochany Antoni!
A jeśli ma świerzbiączkę bohaterskiéj dłoni,
To niech sobie znów jedzie kłóć i rąbać Turka,
Lub wraca do Krakowa, strzelać tam do kurka.
Bo ja mu na te hece nie dam się wywabić.
Wiém, że grzech jest zabijać; głupstwo, dać się zabić,
Kiedy człek nie wié za co?—A więc, niech się dowiém
O tém chyba z ust twoich—wprzód niż mu odpowiém.

List ten miał taki skutek, że rozgniewany Strzelecki wsiadł z góry na Macedończyka i okiełznał go jak Bucefała. Że zaś to w gruncie dobry i poczciwy chłopiec: więc dał się Strzeleckiemu przyprowadzić do nas nazajutrz rano, a na stwierdzenie szczeréj zobopólnéj zgody, obu nas, i całe grono faraonowych graczów, na obiad we Wtorek zaprosił. Tak tedy co się zdało zaczynać groźnie pod znakiem *Lwa* czy *Tygrysa*, skończyło się wesoło—*pod Zającem.*

Zając ten nie jest tu żadną alluzyą do mojéj rycerskiéj odwagi, albo skórki zajęczéj; ale jest to po prostu nazwa sławnéj na cały Rzym restauracyi, (*Trattoria del Lepre*), w któréj cała średnia klassa miejscowa, oszczędniejsi wojażerowie, a zwłaszcza wszyscy literaci i artyści jadają. I my téż należymy zwykle do ich grona, kiedy nas kto nie zaprosi na obiad.—Jest tam kilkanaście pokojów, zastawionych stołami i stolikami, jak u nas. Obyczaj téż restauracyjny nie różni się od naszego; chyba, że usługują chłopcy, nie dziew-

częta. — O kuchni włoskiéj pisałem ci już, zdaje się, kiedyś, że jest wielce podobna do naszéj, to jest, że nasza za królowéj Bony wiele od niéj nie tylko potraw, ale nawet ich nazwisk przejęła; np. sztufada (*stuffata*), miszkulancya (*mescolanza*) i t. p.—Tuż naprzeciw *Zająca*, jest kawiarnia *Caffé del Greco*, którąby można uważać za zbiorowy punkt wszystkich artystów. Nie zauważyłem jednakże, aby im miała służyć za punkt zjednoczenia; bo albo siedzą poosobno i milczą, albo sąsiad z sąsiadem pocichu tylko rozmawia. Rozmowy głośnéj, ogólnéj, ja przynajmniéj nigdy świadkiem nie byłem; ale zatoż napatrzałem się mnóstwa zakazanych figur tych panów, (szczególniéj Niemców), z hiszpańskiemi bródkami *à la Vandyck*, z włosami *à la Raphael*, a mianowicie z burszowską miną i zarozumiałością w wyrazie twarzy. — Malarze nasi pod tym względem stanowią, Bogu dzięki, wyjątek. Wprawdzie jest ich dwóch tylko: Karczewski i Stattler. Piérwszy robi dobre pejzaże i udatne rodzajowe obrazki; ale co drugi, to już mistrz: malarz-poeta, nie artysta tylko i technik. To téż i jego wyobrażenia o sztuce wybiegają daleko poza zakres techniki sztuki. Widzę to z jego rozmów z Adamem, który go ceni wysoko. *Sztuka dla sztuki*, ten koncept estetyków niemieckich, jest dla niego takiém samém *absurdum*, jak dla nas. Wié on, że celem sztuk wszystkich jest wpływ ich na ducha ludzkiego; inaczéj będą to tylko czcze cacka, z tą chyba jedynie różnicą, że się w nie starsi a nie dzieci bawią. Dwa jego wielkie obrazy: *Mojżesz*, już wykończony,

i *Machabeusze*, nad którym właśnie pracuje, dają dowodne świadectwo, że teoryą swoję praktykować umié. Oba nie tylko są wielkie rozmiarem, ale i kompozycyą i stylem. Mojżesz na górze Synai przyjmuje sam tablice przykazań, na które lud zebrany czeka u stóp góry. Trzej bracia Machabeusze, otoczeni rodziną, słuchają poselstwa Antyocha, który się od nich hołdu i posłuszeństwa domaga. Taka jest treść tych obrazów. Allan, który je oglądał razem z nami, wielkie ich autorowi oddawał pochwały. Adam zachwyca się także portretem pięknéj jego narzeczonéj, Włoszki, z którą się wkrótce ma żenić, i nas z nią obiecuje zapoznać. Bo jest on szczerym przyjacielem naszym i domu państwa Ankwiczów, gdzie się z nim spotykamy najczęściéj. Towarzyszy nam także przy zwiedzaniu różnych galeryj, i ja przynajmniéj wiele z uwag jego korzystam.—Z pomiędzy teraźniejszych malarzy w Rzymie, ceni on mianowicie *Overbecka*, Niemca, który się, zdaniem jego, w pojęciu sztuki i w metodzie malowania najwięcéj do Rafaela przybliża. Wypędzono go nawet z akademii wiedeńskiéj za to, że do pojęć i metody jéj koryfeuszów, jako uczeń stosować się nie chciał. Dał więc krzyżyk Germanii, i na zawsze zamieszkał w Rzymie. Byliśmy u niego ze Stattlerem. Musi mieć lat około 40. Chudy, blady, fizyognomii przyjemnéj; z rysów zaś twarzy, ze sposobu noszenia włosów i axamitnéj czapeczki, zdaje się nawet nieco do portretów Rafaela podobny. Był dla nas niezmiernie uprzejmy, a gdyśmy mu powiedzieli o Allanie, oświadczył, że byłby bardzo szczęśliwy, gdyby on go

chciał także odwiedzić. Zdaje się, że być musi łagodny i skromny, o co tu między artystami nie łatwo. Portrety, obrazy i kartony jego roboty, które nam pokazywał, odznaczają się dziwną dokładnością rysunku, wyrazistością w twarzach, a prostotą i wdziękiem w układzie.

A byliśmy też z paniami Klustin, z panem Douby i Bonstettenem w pracowni Cammuciniego, najsławniejszego dziś w Rzymie malarza, o którym ci już przedtém kiedyś wspominałem. To już nie skromna pracownia Overbecka, ale raczéj formalna galerya, składająca się z czterech izb większych i dwóch mniejszych. W jednéj z nich jest właściwa pracownia mistrza. Widzieliśmy tam ze dwadzieścia kartonów lub małych kopij rozmaitych wielkich jego obrazów, które się w różnych krajach obecnie znajdują. Największe są: *Odjazd Regulusa,* kupiony przez hr. Ostrowską za 2,000 skudów; *Śmierć Wirginii, Śmierć Cezara*, *Horacyusz Kokles broniący mostu, Wesele Psychy w Olimpie, Chrystus umarły*, i w. i. Właściwy obraz olejny był tylko jeden: *Św. Franciszek z Assyżu*, wskrzeszający, czy tylko uzdrawiający chorego; a na staludze jeszcze, nawpół wykończona Madonna, mająca podobieństwo do młodziutkiéj pięknéj jego córeczki, któréj prześliczny portret wisi obok na ścianie. Widzieliśmy też sztychy różnych jego obrazów, za które Papież, jak nam powiadano, zapłacił 30,000 skudów. Nie dziw więc, że tu malarze mają, albo mieć mogą, nie tylko malowane pałace, tak, jak je też sobie sławni śpiewacy i śpiewaczki tu-

tejsze, samym swym głosem, na wzór Amfiona, budują. — Sam Cammucini, poważny i zimny z pozoru, dla panny Anastazyi był pełen galanteryi i affektu, a więc i jéj przyjaciół z wyraźném odznaczeniem traktował. Rozmawiał długo z Bonstettenem i Adamem, o duchu dawnéj historyi Rzymskiéj, i o ile ten dziś jeszcze w rzeczywistości i w sztuce się przejawia. Mówią, że jest żarliwym patryotą włoskim, ale się z tém nierad wydawać, i nawet stroni od tych, którzy jawnie za takich uchodzą, i nie rzadko z tego powodu bywają wydalani z Rzymu: co się zwłaszcza kilku młodym poetom za Leona XII zdarzyło. Do właściwości jego jako malarza, ma jakoby należeć, że studyuje nie żywą wprost naturę, ale już uidealizowaną w antykach; w czém się różni wręcz z Overbeckiem. W korytarzach też między izbami znajdują się odlewy z gipsu najsławniejszych posągów greckich.

Wprost od Cammuciniego, udaliśmy się do pracowni drugiego malarza, pana Ferdynanda *Cavalleri*, słynącego zwłaszcza z portretów. Portret teraźniejszego Papieża, naturalnéj wielkości, w postaci klęczącéj, jest rzeczywiście prześliczny, a ma być jakoby podobny jak dwie krople wody. Inne portrety są mniejszych rozmiarów, ale wszystkie prawie w całéj postaci, i wyglądają jak żywe. Pracuje nadzwyczaj prędko, tak, że od połowy Listopada, jak sam mówił, zrobił już 32 portrety, za które bierze sowito. Za obraz przedstawiający Chór Kapucynów, a będący nie kopią, ale tylko naśladowaniem sławnego „Chóru Kapucynów“ Graneta, jenerał Pac zapłacił mu przed

kilku laty tysiąc dukatów. Sam artysta nie zdaje się mieć więcéj nad lat trzydzieści kilka, i zrobiłby na mnie dobre wrażenie, gdyby nie fatalna historya, którą wprzód już o nim słyszałem. O ile prawdziwa— nie wiém, bo potwarz z muchy umié zrobić wielbląda; ale *relata refero*. Jest on rodem z Turynu i na koszcie rządu piemonckiego odbywał studya w Rzymie. Kolega jego i ziomek, niejaki *Biscari*, starszy wiekiem i wyższy talentem, powziął ku niemu szczególniejszy affekt i wiele mu w nauce pomagał. Tymczasem rząd piemoncki nakazał pensyonaryuszom swoim wymalować obrazy na konkurs, który miał o dalszéj dla nich protekcyi rządu stanowić. Obydwaj przyjaciele wspólnie ułożyli karton; ale gdy obraz Biscari'ego był lepszy, Cavalleri tak dalece dał się opętać zawiści Kaima, że posunął się aż do jego zbrodni, i chciał poprostu zabić przyjaciela. Szczęściem cios, który mu zadał, nie był śmiertelny; Biscari zaś tak dalece posunął wspaniałomyślność czy słabość względem ulubieńca, żu mu zbrodnicze uniesienie przebaczył i całą rzecz puścił w niepamięć. Czy to prawda? — powtarzam raz jeszcze, że nie wiém. Ale rzecz dziwna, jak między artystami plastyki zawiść i niechęć wielką grają rolę. O poetach mówią zazwyczaj, że są *irritabile genus;* a przecież w różnych czasach i krajach było mnóstwo przyjaciół-poetów, których nawet imiona sława łączy w pary, jak Oresta z Pyladem: np. *Boileau* i *Racine*, *Schiller* i *Goethe*, *Zabłocki* i *Kniaźnin*, i t. p. Tymczasem pomiędzy malarzami i rzeźbiarzami, nie tylko że o podobnych parach nie

słychać, ale owszem o każdym prawie ze sławniejszych wiadomo, że miał zawsze kogoś ze współczesnych, z którym współzawodnictwo przeradzało się w nieprzyjaźń albo w nienawiść. Czyżby więc ciało, będące głównie przedmiotem ich sztuki, pobudzać miało raczej krewkość serca, niż miłość duchową? Ja tego rozstrzygnąć nie umiém. Ale słyszę tu mnóstwo anegdot o téj artystycznéj zawiści, która się objawiała niekiedy przez dowcipne satyry i epigrammy, wyrażone nie piórem, ale pendzlem lub dłótem. I tak np.: na placu *Navonne* jest kościół św. Agnieszki, zbudowany przez architekta *Borominiego*, którego rzeźbiarz *Bernini* niecierpiał. Mając więc powierzone sobie zbudowanie na tymże placu fontanny, (która jest jedną z najpiękniejszych w Rzymie), posadził po jéj rogach cztéry olbrzymie figury, mające wyobrażać cztéry największe rzeki świata: Nil, Ganges, Laplatę i Dunaj; ale wszystkie z takim gestem i w takiéj postawie, jak gdyby się lękały upadku kościoła;—dając przez to do zrozumienia, że był źle zbudowany. Kościół wszakże dotąd nie runął, ale myśl Berniniego w tradycyi została.—Michał-Aniół częściéj może niżeli kto inny, używał téż tego rodzaju kamiennych pocisków, i sięgał niemi zuchwaléj poza zakres artystów i sztuki. Papież Pius IV, z familii Medyceuszów, polecił mu budowę bramy, która dotąd nosi nazwę Bramy Piusa (*Porta Pia*), i kazał aby na wierzchu umieszczony był herb jego rodu. Herb ten składa się z siedmiu gałek. Otóż Buonarotti, mając wprzód za coś ansę do Papieża, zrobił te gałki

w kształcie mydlanych baniek. Sens zaś tego konceptu jest ten, że sam Pius IV, czy też ktoś z jego przodków, miał być jakoby balwierzem.—Papież zrozumiał przytyk; odjął artyście korzystne przedsięwzięcie—ale, przez dumę czy skromność, herbu zmienić nie kazał.

Ale wracając do siebie — widzę w notatkach, że następuje z kolei nauka języków i bale. Nie bój się wszakże, nie będę ci mówił o grammatyce. Powiem tylko, co do włoskiego, ciekawe, jak mi się zdaje, doświadczenie własne. Czytam z moim nauczycielem „*Promessi Sposi*" Manzoniego, gdzie jest mnóstwo scen i dyalogów ludowych. Otóż nie umiem ci wypowiedzieć, jak to czytanie, niezależnie od treści, robi na mnie szczególniejsze wrażenie. Wiesz, że wjeżdżając do Włoch nie umiałem ani słowa po włosku. Teraz już umiem tyle, że się mogę rozmówić. A nauczyłem się tego wprost z praktyki; bo poezye, które z Giampim czytałem, na nic mi się w potocznej mowie nie przydają.— Czytając więc te sceny ludowe, spotykam mnóstwo wyrazów i wyrażeń, które już znam ze słyszenia: a każde z nich, jak ton muzyki, przypomina mi razem mimowolnie, i niejako stawi przed oczy, okoliczności i miejsca, w których je po raz piérwszy słyszałem. Tym sposobem, samo brzmienie wyrazów budzi we mnie całe szeregi obrazów, a wraz z niemi wspomnień i uczuć, żadnego z ich znaczeniem związku niemających. Sprawia to osobliwszą jakąś sensacyą, jakiéj dotychczas nigdy nie doznałem. — Wyciągam zaś z tego ten wniosek: że tajemniczy ów urok, jaki czujemy nieraz w samych słowach mowy ojczy-

stéj, pochodzić musi nie zkąd inąd, jak z owych, chociażby zapomnianych, ale zawsze gdzieś w duszy żyjących uczuć albo wrażeń, jakie na nas kiedyś w dzieciństwie słowa te po raz pierwszy sprawiły. Ztąd też to tłómaczenia poczyj obcych, jeśli są dobre, (to jest, jeżeli tłómacz nie jest zdrajcą autora, jak mówią Włosi: *traduttore—traditore*), milsze są dla krajowców od oryginałów; bo czują oni w nich urok wyrazów, kiedy tymczasem czytając choćby najlepiéj rozumiane oryginały, mogą czuć tylko urok myśli, obrazów lub stylu.—Kommunikowałem te moje myśli Adamowi, który ich za bezzasadne całkiem nie uważa. Na próbę zaś wrażenia przekładu i oryginału, odczytywaliśmy wiele strof *Jerozolimy Wyzwolonéj*, porównywając je z tłómaczeniem Piotra Kochanowskiego, które ja, albo on, umiemy na pamięć; i niektóre z nich, chociaż nie wszystkie, wytrzymały rzeczywiście tę próbę na korzyść mojego twierdzenia.— Ale sprobujże czytać w oryginale *Amfitryona* Moliera, po tłómaczeniu Zabłockiego, albo *L'enfant prodigue* Woltera, po *Synu Marnotrawnym* Trembeckiego; a obaczysz, jak wiersz francuzki blednieje i mdleje przy polskim. Samo nawet *Pożegnanie Childe-Harolda* z Byrona, czyż nie miléj brzmi dla nas w przekładzie Adama?— On sam na to zgodzić się nie chce, ale ja obstaję przy swojém, i spodziewam się, że znajdę wkrótce popleczniczkę w pannie Anastazyi, z którą właśnie wiersz ten czytamy; jeżeli nie z powodu języka, to *à conto* samego tłómacza. Bo dla niego to właściwie, nie dla polonizmu, miewam teraz parę razy w tydzień przyjemność

siedzieć obok po całych godzinach z piękną moją uczeniczką, nachyleni razem nad jego tomikiem—którego maleńki format najbardziéj wtedy oceniam i lubię.

Początkiem zaś tych lekcyj był bal u xięcia Gagaryna d. 6 t. m., to jest w dzień Trzech Króli tutejszych, a świąt Bożego Narodzenia u was. Był to bal pod tytułem *dziecinnego*, bo było z kopę *bambinów*, różnego wzrostu i wieku, a dla nich były drzewka z cackami i profuzya słodkich łakoci. Dzieci też rozpoczęły tańce; ale gdy jedne z nich wkrótce wyniesiono, a drugie po kątach posnęły: zaczął się bal prawdziwy dla starszych, których było osób ste najmniéj. Ale co dla mnie, to był on rzeczywiście we trzech tylko osobach — tak przy nich nie zważałem na inne. Panienki nasze z *Via Mercède* i panna Anastazya składały owo *trio*. Znały się już one i lubiły nawzajem od czasu wspólnych kursów archeologii rzymskiéj u Viscontego: ale po naszym przyjeździe do Rzymu, na tym balu dopiéro spotkały się raz pierwszy. Przybyło zaś im nowe, (wcale nie martwe i nie zimne jak marmur), ogniwo stosunku — żywy *bard*, jak między sobą nazywają Adama. On sam także często był przy nich: i ja wtedy byłem sobie jak piąte koło u wozu. Ale za toż skoro on odszedł—ja występowałem w rozmowie jak xiężyc po zachodzie słońca: mając pole, przed trzema razem, mówić o nim obszerniéj i więcéj, niżby może było właściwém, mówiąc pojedyńczo przed każdą. Bo on to był wyłącznym przedmiotem rozmowy. A kiedy panna Henryetta, z wielkim prawdziwie wdziękiem i talentem, opowiadała treść *Dziadów;*

a panna Anastazya słuchając, ubolewała, że sama tego czytać, choćby bardzo chciała, nie może; ja chwytając w lot sposobność przysługi, oświadczyłem się — i zostałem przyjęty—jako instruktor czytania po polsku.— Co zaś do wzajemnego uczenia mię przez nią lepszej nieco pronuncyacyi francuzkiéj, to się także odnosi niejako do drugiego balu u tegoż xięcia Gagaryna, który się odbył dnia 13 t. m., to jest w dzień Nowego Roku ruskiego. Był to już bal dyplomatyczny; bo byli wszyscy Posłowie, Sekretarz Stanu, Kardynał Albani, i cały wielki świat rzymski. Mówiono mi, że było zaproszonych 400 osób, i zapewne musiały przyjść wszystkie, bo tłok był jak na kiermaszu. Tańce poprzedził teatr amatorski. Urządzenie sali i dekoracye prześliczne. Dwie sztuczki francuzkie: „*Manie des proverbes*“ i „*Les deux cousins*“, udały się przewybornie. Truppę aktorów składała sama *grandezza*, rzymska i cudzoziemska. Między innemi występowała xiężna Iza, wraz z mężem, który grał rolę kochanka, i hr. Alfred Potocki, w roli opiekuna. Ściany drżały od grzmotu oklasków, ilekroć xiężna Iza ukazała się na scenie. Świat bowiem tutejszy, jak Parys, jéj przysądził jabłko i berło piękności podczas teraźniejszego karnawału. A podobieństwo do sądu Parysa tém większe, że współzawodniczkami jéj były dwie Angielki: Lady Seymour i Lady Gladstone, piękne, majestatyczne, jak Juno i Pallas, ale też dumne i sztywne jak one.— A xiężna Iza!!! Jest i tu majestat godności; ale ten gaśnie przed urokiem wdzięku. Jest to owa królewskość, która daje swobodę. W osobistości

tchnie tu jeszcze zarazem jakby duch jéj rodowéj tradycyjnéj przeszłości!—Dobrze, że mąż jéj nie dał nikomu innemu grać roli jéj kochanka na scenie: bo cóżby ten nieborak począł z sobą po zapuszczeniu kortyny?

Owóż to powodzenie amatorskiego teatru na tym balu, podało myśl xiężnie Zenoidzie: urządzić coś podobnego u siebie, choćby tylko na miniaturową skalę; a to tém bardziéj, że już przez trzy niedziele z rzędu, odegrywała się u niéj *de facto: Manie des charades en action*, w których zazwyczaj i ja figuruję. Pan Ricci powiada, że aby się taka szarada udała, potrzeba albo wiele osób, albo wiele dowcipu. Otóż cała nasza szaradowa truppa składa się najwięcéj z dziesięciu osób, a cały expens dowcipu w pomysłach, ponosi zwykle albo sama xiężna, albo panna Anastazya. Dla mnie najmilszą jest rola automata, zwłaszcza w garderobie, gdzie z nas—to jest z nas mężczyzn—jak z niezgrabnych kloców, piękne nasze współ-artystki, (odwrotną metodą Cyrcy), wytwarzają rycerzy lub bożków, (zły język mógłby powiedzieć: *bałwanów*), kostiumując nas same, i nadając nam posągowe pozy. A to wszystko nie obywa się bez śmiechów, żartów, sporów, lub karcenia nas za zbytnią wdzięczność. A jest komu ją okazywać! Bo oprócz panny Anastazyi, do grona szaradowéj truppy należą zwykle dwie ładne panny Siemionow, i młodziutka, śliczniutka, milutka Francuzeczka, panna Luiza Vernet, córka Horacego, o któréj bodaj, że ci kiedyś wspomniałem. Ale było to chyba wtedy, kiedy za piérwszém widzeniem jéj na obiedzie u xiężny, nie sprawiła na mnie

tego wrażenia, pod jakiém teraz zostaję.—Ale bo z panienkami, to jak z poezyą lub z muzyką! Niekiedy jakaś sztuczka nie podoba ci się od razu, a potém jak się wpatrzysz albo wsłuchasz lepiéj, ani spostrzeżesz jak wpadnie do serca. Przyczém i sama nieraz toaleta odegrywa rolę deklamacyi lub exekucyi muzycznéj. — Dość, że dziś pannę Luizę mógłbym porównać do najwdzięczniejszéj piosnki Beranżera, śpiewanéj z całą żywością i naiwną wesołością francuzką. Obok panny Anastazyi, jest ona jak Amorek przy Muzie; i jak gdzieś widziałem w obrazie, że Amorek u stóp Muzy rysuje, tak ona wykonywa na nas pomysły panny Anastazyi, układając i fastrygując draperye, albo komenderując jak kto ma stanąć, poruszyć się, czy klęknąć—co zresztą i bez komendy często przed nią wykonywamy sami: t. j. młody xiążę Wołkoński, Szewirew i ja.— Ale byłbym bardzo niewdzięczny, gdybym ci przy tym opisie nie wspomniał nic o najlepszéj pani Własow. Jest ona westyarką naszą, to jest, wyciąga z szaf, szuflad i pudeł rozmaite mantylle, pióra, festony, a niekiedy i kapelusze, które nam służą za królewskie płaszcze lub za kryzy i hełmy rycerskie. Ale że jak zawsze i wszędzie, najogólniejszym objawem niewdzięczności ludzkiéj, jest lekceważenie dobroci, która się gniewać i mścić się nie umié: tak i tu, sama gorliwość, z jaką ona chce usłużyć każdemu, wystawia często na próbę jéj niewyczerpaną łagodność; bo się wszyscy albo kapryszą, lub się jéj przekomarzają umyślnie. Ja jeden stanowię wyjątek. Ztąd też po każdém prawie widowisku, szerzy skargi przed sio-

strą i przed publicznością na wszystkich, i mnie tylko jednemu oddaje pochwały; co znowu z drugiéj strony ściąga na nią nowe prześladowania i żarty, za które się także nie gniewa, i dobrodusznie śmieje się z nich sama.

Chciałbym, żebyś z tego opisu powziąść mógł mniéj więcéj wyobrażenie o tych prawdziwie poetycznych, niedzielnych naszych wieczorkach u xiężny, które, oprócz tych szarad, urozmaica jeszcze muzyka i śpiewy, wykonywane zwykle przez xiężnę i przez pana Ricci—nad którego nie ma śpiewaka!—Dla Adama jest to największy powab tych wieczorów; bo co nasze szarady, to mają w nim nie tylko ciągłego recenzenta, ale nawet prawdziwego zoila; przyczém ja zwykle służyć muszę za pierwszy cel pocisków, dla rykoszetu ich na panienki, które z nim o to się kłócą. To też gdy powstał projekt przemiany szarad na teatr, a moje współ-artystki zmuszały mię przyjąć w nim udział: ja nie tylko przez niepewność talentu, a pewność pronuncyacyi litewskiéj, ale i przez obawę sarkazmów Adama, broniłem się dopóki mogłem. Ale gdy wreszcie panna Anastazya wybrała mię na swego *miłego* na scenie, i ofiarowała się sama pronuncyacyą jakoś podstroić, a instancyonowany przez nią Adam — chociaż umył ręce jak Piłat — lecz przecież wyraźnego *veto* nie położył: ujrzałem się zmuszonym zrobić ofiarę z mojéj miłości własnéj, dla uciechy towarzystwa, w którém sam tyle przyjemności znajduję. Tak więc tedy w dzień 3 tutejszego Lutego, (22 Stycznia u was), w Niedzielę, mam debiutować

w komedyjce p. t. „*J'ai fait mes farces*," i bodaj, że ten mój *debiut* będzie *une farce de plus*. Ale mniejsza o to! Tyle już sam pod tym względem nagadałem złego o sobie, że nikt drugi nic gorszego nie powié.— A tymczasem lekcye prommcyacyi przechodzą mi bardzo przyjemnie. Adam zaś, przez wzgląd na siebie, (jak mówi), to jest, żeby się za mnie nie wstydzić—musztruje deklamacyą i pozy, gdy głośno przed zwierciadłem rolę moję powtarzam.

Ale teraz jeszcze o jednym balu—który zasługuje na wzmiankę, z powodu komicznych i tragicznego wypadku, które się na nim zdarzyły. Był to bal u sławnego tutejszego bankiera, xięcia Torlonia, który jest xięciem dla tego, że kupił od xiążąt Odescalchi, za 10 milionów franków, dobra i zamek *Bratiano*, do których tytuł xiążęcy jest przywiązany [1]). Jest to zatém najwyższy model, (nie profanuję wyrazu *ideal*), i zarazem niejako symbol wzrostu arystokracyi pieniężnéj, na ruinie i gruzach rodowéj. Bo sam Rotszyld jest tylko dotąd *baronem;* a zaś ta mitra xiążęca spadła na głowę bankiera dla tego, że już w rodzinie dawnych jéj posiadaczy nie było widać komu i na czém jéj nosić. Kłaniajże się więc teraz przed mitrą, którą można kupić za pieniądz! Chcesz w niéj uczcić pamiątkę dawnych zasług i chwały, a nie wiesz, że się kłaniasz *cielcowi złotemu!* — I niechby u nas wolno było podobnież tytułami i ma-

[1]) X Livio Odescalchi, ożeniony z Zofią z hr. Branickich, zamek i dobra *Bratiano* odkupił w r. 1840.

jątkami frymarczyć! to kto wie, czyby połowa dyplomatów hrabiowskich, na wagę złota niegdyś kupowanych od Niemców, nie przeszła może w końcu do naszych lichwiarzy, lub arendarzy gorzelni i karczem, aby tam figurować obok *dziesięciora!*—Bal wszakże był prawdziwie xiążęcy.

„Bo że nie tylko sam naród prostaczy,
Lecz i starszyzna za takocią goni" —
Więc się na bale bankiera Torloni,
Zbiera tłum Duków, Grafów, i bogaczy.

Mimo to jednak, są te bale demokratyczniejsze od innych: bo każdy cudzoziemiec, mający wexel, czy kredytywę do bankiera, jest już *de jure*, jeśli zechce, gościem na balu u xiecia, z czego najwięcej korzystają Anglicy. Myśmy byli za biletami, które nam dał xiążę Gagaryn; a że przyjechaliśmy sami i nie mieliśmy nikogo, coby nas gospodarzowi przedstawił; więc się jakoś i bez tego obeszło. Błąkaliśmy się zatém jak w lesie wpośród tysiąca nieznajomych osób, krążąc ciągle około wejścia, aby spotkać zaraz na wstępie nasze panie z *Via Mercède*, o których wiedzieliśmy że będą. Jakoż zabłysły nam wkrótce, jak dwie gwiazdki we mgle błękitu, którym obie były owiane. Odtąd już nie odstąpiliśmy od nich. Panna Henryetta dla zdrowia, a panna Marcellina z pobożności, jak sądzę, nie mogą i nie lubią tańcować. Pląsaliśmy więc sobie we dwie pary myślami tylko i sercem: ja z panną Marcellina taktem poloneza, a pierwsza para bodaj czy nie walca, który głowy tancerzom zawraca.

Otóż komicznym wypadkiem na tym balu było: że się Anglicy pobili formalnie, tłocząc się do sali wieczerzy, gdzie były stoły na kilkaset osób, i że niektóre Angielki, bez żadnéj ceremonii, całe talerzyki cukierków zgarniały do ogromnych worków, które widać umyślnie na ten cel przyniosły, i wydzierały sobie wzajem ów łup pożądany. To samo mówi już dosyć, z jakiego piętra hierarchii towarzyskiéj musiały być te damy; i powiadano, że sam gospodarz domu był tém wielce zgorszony i zawstydzony.— A ujrzeliśmy też na tym balu naszego znajomego bohatéra z podróży, pana Izaaka *Mocatta*, który wszakże nie musiał być rad z tego spotkania; bo gdy poznawszy przywitałem go pierwszy: on mi zaledwo odpowiedział słów parę, i zaraz zniknął gdzieś w tłumie.—Tragiczny zaś wypadek był taki. Znany i szanowany powszechnie prałat, Monsig. *Testa*, przybywszy na bal w najlepszém zdrowiu i humorze, zasłabł nagle przed samą wieczerzą, i zaledwo wyprowadzony do sypialnych pokojów xięztwa, tamże zaraz żyć przestał. Tajono to, ma się rozumieć, przed gośćmi; i kiedy przyjaciele i krewni zmarłego płakali lub modlili się nad nim: tuż obok muzyka brzmiała w najlepsze, i taniec szedł coraz raźniéj, ożywiony nadzieją wieczerzy. Powoli jednak wieść o tém zaczęła się rozbiegać po sali, a ten i ów, co ją posłyszał, wątpię, aby nie stracił nieco apetytu, albo ochoty do tańca. Bal jednak trwał aż do dnia; ale co nas, to zaraz po wieczerzy, państwo Ankwiczowie zabrali i łaskawie odwieźli do domu.

Aleś ty pewnie ciekawszy dalszych losów pary, o której możnaby powiedzieć z Walter-Skottem:

„A pary siebie godniejszej wzajemnie,
Na świecie szukać byłoby daremnie.“

Otóż nic jeszcze nowego do powiedzenia nie mam; a co kiedy być może—nie wiém. Najbliżsi krewni nie mogliby być dla nas życzliwsi, jak się zdają być państwo Ankwiczowie. Humor panny Henryetty w tych czasach kwitnie i świeci różowo, jak jutrzenka dnia pogodnego. Czyżby więc było jakie porozumienie między nią a rodzicami, a przynajmniéj pewność tego z jéj strony?— Złote pasmo tych moich marzeń i nadziei plącze mi tylko i miesza zimna — nie powiém obojętność — ale jakby pewna surowość panny Marcelliny, z jaką ona widocznie na to wszystko spogląda. Bo o jéj życzliwości dla ich obojga, nie wątpię; w rozum jéj wierzę; i dla tego téż właśnie boję się jéj przewidzeń czy przeczuć. Jestto bowiem pod każdym względem i ze wszech miar niepospolita osoba. Adam nazywa ją *świętą*, i rzeczywiście jest w niéj coś legendowego. Sam wyraz jéj twarzy i postać są tego rodzaju, że dodać tylko aureolę i palmę, a możnaby je żywcem przenieść na obrazek. Jest w tém jak gdyby odblask charakteru i stanu jéj duszy, który téż chyba tylko w ten sposób przez nią się samę objawia. Jak bowiem tysiące innych silą się okazać, tak ona właśnie usiłuje ukryć przed ludźmi, jak pobożność tak i uczoność swoję — którą rzeczywiście posiada. Bo modlitwa i nauka—to całe jéj życie. Wiém pod

sekretem od saméj pani Ankwiczowéj, że ostatecznym jéj celem jest zostać zakonnicą, siostrą miłosierdzia; ale że się chce pierwiéj uiścić z obowiązków względem społeczeństwa i kraju, przez wychowanie w nim za powrótem kilku młodych panienek, przeto ciągle się uczy i pracuje sama nad sobą.— Ale mój miły Boże! jak to ziarna cnót w duszach ludzkich, w różnych kształtach wychodzą na jaw! Czyż to nie istna rozmaitość kwiatów? Porównać ją np. z panną Anastazyą. Co za kontrast! A przecież ani jedna, ani druga, nic na tém porównaniu nie tracą. Są to jak gdyby równo-cenne: brylant i perła. Co za różnica blasku i migotania na zewnątrz! a przecież wartość wewnętrzna ta sama.— Co zaś do mojéj przyjaźni i stosunku z panną Marcellinią, ten jest taki. Mam dla niéj taki respekt, że kiedy mówię z nią samą, wstyd mi każdego pustego słowa: a tém mniéj śmiem ją częstować liczmanami, które bez skrupułu gdzie indziéj wydaję za dobre dukaty. Że zaś tych prawdziwych dukatów jest we mnie, niestety, zbyt mało; poczuwszy się więc przez nią do braku, nieraz biorę ztąd pochop do nauki i pracy. Ale za toż przy ludziach, pozwalam sobie często jak student przy rodzicach, gdy ośmielony ich obecnością, chce z lekka, tém lub owém, swemu panu guwernerowi dokuczyć. Przekomarzam się więc jéj umyślnie, i mam w tém zawsze pomoc saméj pani domu; zkąd wnoszę, że i ona, gdy jest z nią sam na sam, musi podobnego nieco jak ja wpływu doznawać.— Niedawno z niemi tylko dwiema jechałem do kościoła na nieszpór. Ja siedziałem,

ma się rozumieć, na przedzie, i zaczęliśmy z samą panią prześladować naszę towarzyszkę, z powodu jéj surowéj powagi, którą ja nazwałem *kardynalską*. Tu pani Ankwiczowa przesiadła się nagle obok mnie na przednie siedzenie, i panna Marcellina pozostała sama w głębi karety, tak, jak zwykle jeżdżą kardynałowie, mając naprzeciw siebie dwóch swoich assystentów. Odtąd wzięła początek nazwa *kardynała*, którą ja i pani hrabina tytułujemy zwykle pannę Marcellinę, ilekroć ją chcemy podrażnić. — Otóż przed kilku dniami ciotka ofiarowała jéj śliczny nowy sztambuch, do którego ja miałem wstępny wiersz napisać. Właścicielka, w przeczuciu mojéj przekory, prosiła bardzo poważnie i zastrzegła z góry, żeby w nim wzmianki o *kardynalstwie* nie było. Owocem tych zastrzeżeń jest właśnie wiersz, który ci chcę tutaj przepisać. To zaś co już napisałem, uważaj za przedmowę, abyś właściwy sens jego zrozumiał — bądź zdrów.

MÓJ KARDYNAŁ.

Każdy człowiek musi przecie
Mieć cel dumy na tym świecie.
Otóż moja duma cała,
Moje szczęście, moja chwała,
Mieć patronem Kardynała!—

Więcież kto jest mój Kardynał?—
Ni Watykan, ni Kwirynał
Nie ozdobił go sygnetem,
Nie przyodział fioletem.

Nie opasał paliuszem,
Nie uwieńczył kapeluszem.
Lecz Ten, który różę wdzięki,
Lecz Ten, który twarz jutrzenki,
Lecz Ten, który w głębi fali
Umalował pierś korali:
Tego dłoń w szkarłat odziała
Lica mego Kardynała.

Choć on dla ludu pocieszeń,
Błogosławieństw, ni rozgrzeszeń
Nie rozdziela na wsze strony:
Kto go zna—błogosławiony!
Sam jego wzrok i uśmiechy
Wypędzają z myśli grzechy.
I choć na nóżce, święcony
Nie lśni trzewiczek czerwony,
W każdym wiernym żądza pała
Klęknąć u stóp Kardynała.

Mój Kardynał miejsc nie bierze
W Kapitule, ni w Kamerze,
Ni śród Watykańskich chorów
Nie śpiewa mszy, ni nieszporów.
Kapitułę jego składa
Jasnych Serafów gromada.
W ich on chórze nieustanne
Nucił hymny i hozannę.
Nim go Święty Ojciec świata
Posłał do nas za Legata,
By na ziemi mój Kardynał
Ludziom Niebo przypominał.

O! gdybyż on chciał, jak może,
Umieścić mię na swym dworze—
W jakimkolwiekbądź honorze,

Byle niedaleko siebie—
Byłbym już jak gdyby w Niebie!

Bo choć on, jak życzę, będzie
Sto lat bawił na urzędzie:
Ja zaś wkrótce, jak znać muszę,
Kuryerem w podróż ruszę:
Ale nim się przez komorę
Z pakiem grzechów mych przebiorę;
Nim odbędę przepisany
Czas czyscowéj kwarantanny;
Może da Bóg, że u bramy
Rajskiéj, w sam czas się spotkamy.

Wtenczas—choć tam tłok niezmierny,
Choćby surowy odźwierny,
Święty Piotr, czy Święty Michał,
Po sto razy mię odpychał:
Pójdę naprzód z sercem śmiałém,
Tuż za moim Kardynałem.
Raj mię pewno nie ominie!—
O! widziałem ja w Sykstynie,
Nikt tym wejścia nie zagrodził,
Kto za Kardynałem wchodził.—

Ztąd więc moja duma cała,
Moje szczęście, moja chwała,
Mieć patronem Kardynała!

IX.

Do tegoż.

Rzym, 8 lutego, 1830 r.

Jak aerolit z powietrza spadła na mnie wiadomość, żeś jest w Petersburgu. Wiedziałem, że siostra twoja zaraz po ślubie miała tam jechać z mężem, dla jakiegoś interessu czy sprawy: ale ani mi w myśli postało, abyś ty się mógł do nich wybrać w odwiedziny! Cieszy mię to jednakże, i to z wielu względów. *Primo:* że mąż twojéj siostry musiał widać zaskarbić względy twego ojca, kiedy taki drogi klejnot, jak ciebie, opiece jego powierza. Dotąd był to mój tylko wyłączny przywiléj. Bez zazdrości go wszakże ustępuję drugiemu, byleś ty tylko przez to więcéj świata obaczył. Bo jużciż ufam przecie, że *niezaradny Julś* powróci tak bez szwanku z nad Newy, jak z pod skrzydeł mojéj opieki po dwakroć z nad Wisły powracał. *Secundo:* raduje mię wielce, że choć nie razem, to przecież jednocześnie wojażujemy oba: to jest, ty zbijasz bruki Petersburskie, jak ja tu po Rzymie gawronię; i że jesteś tam razem z Olesiem, jak ja tutaj z Adamem; a więc, że przeto tém częściéj musicie wspominać o nas, jak my nawzajem wspominamy o was. Obok atoli tych pociech, jest na *Tertio* i *ale*, a to *ale* ściąga się mianowicie do dalszéj mojéj korres-

pondencyi z tobą. — Chcesz czy nie chcesz, skoroś wziął pióro do ręki, nie możesz nie pomyśleć kto cię czytać będzie; i ta myśl warunkuje mniéj więcéj maniérę, jeśli nawet nie samę treść listu. Inaczéj byłbyś chyba jak owo galicyjskie grafiątko, o którém ci w tym liście opowiem, a które rzeczywiście jest jak cielę w bajce: papla, jak gdyby zamrużywszy oczy, co mu ślina do ust przyniesie, bez względu przed kim i do kogo; do Polaków nieraz po włosku, a do cudzoziemców po polsku.

Otóż ja pisząc dotąd do ciebie, mogłem prawie policzyć na palcach, kto z tobą lub z Ignacym list mój czytać będzie, i często owszem do tych lub owych czytelników — a bardziéj jeszcze czytelniczek — stosowałem ton i przedmiot pisania: aby jednę z nich zaciekawić, drugą zabawić, z trzecią się troszkę podrażnić, a wszystkim, ma się rozumieć, podobać się wedle możności. Ale cóż ja wiem komu ty w Petersburgu list mój możesz pokazać, i czy ten ktoś, znajdując w nim ten sam ton i maniérę, nie pomyśli, choć może nie powié: „A cóżto być musi za młokos, czy półgłówek! Jest w Rzymie! jest z Mickiewiczem! A tu ani opisów Romy! ani sądu o rzeczach! ani odblasku natchnień geniusza! Plecie tylko o sobie, o drobiazgach, o głupstwach! i t. d.“ I kto wié, czy ten jegomość, ze swego punktu widzenia, nie miałby nawet racyi tak mówić? Skoro bowiem jest czytelnikiem, ma prawo być sędzią; a nie znając osoby i stosunków autora, musi sądzić o rzeczy z niéj samej.

Ale cóżbyście wy pomyśleli o mnie, znajdując raptem w listach, czegoście nigdy nie słyszeli z ust moich: patetyczne np. frazesy, albo uczone rozprawy? Czyżbyście nie mogli posądzić, że przyczepiłem sobie wojażerski kolczyk do ucha, i chcę wam imponować jak fanfaron lub pedant, albo że jak papuga cudze tylko słowa powtarzam? — Wybierając więc z dwojga złego, wolę, niech mię już obcy mają sobie za głupca; bo wy przecież nie możecie przypuszczać, ażebym widząc tyle rzeczy sławnych, słuchając tylu ludzi mądrych, i nakoniec będąc ciągle z Adamem, nie poczuł też i nie pomyślał czasem czegoś na seryo o tém, co widzę lub słyszę; a jeżeli z tém zaraz nie popisuję się przed wami, to dla tego: że albo nie chcę zrywać niedojrzałych gruszek; albo nie chcę się zmieniać w wyobraźni waszéj — aż da Bóg może kiedyś, w nowéj na pozór postaci, zjawię się sam oczom waszym, i najprzód was o niezmienności serca ku wam przekonam. Zawsze jednak, dopóki będziesz w Petersburgu, nie mogę spuszczać całkiem z uwagi tych osób, o których wiém z pewnością, że list mój pokazany im będzie, i wzgląd ten nie zostanie pewnie bez wpływu, choćby tylko na wybór przedmiotu. I tak np. Widzisz od czego mam zacząć właściwie ten list teraźniejszy? Oto od przepisania ci niektórych wyjątków z listu onegdaj odebranego z Ufy. Myśl dzika na pozór! nie prawdaż? Ale oto jéj wytłómaczenie. Jestto list od Czeczotta, mojego najukochańszego Mentora, z daty czerwcowéj, który pisząc go jeszcze nie wiedział o mojéj podróży z Adamem, a sądząc, że jak co rok, przez lato waka-

cyuję w domu, adressował go do mego ojca, który mi go teraz dopiero wraz ze swoim odesłał. Jestto odpowiedź na ostatni mój list do niego z Warszawy, dziękujący mu za kolędę, którą mi przysłał na początku roku. A był to cały arkusz maxym, wybranych i wypisanych przezeń umyślnie dla mnie z Xiąg Mądrości, Przypowieści i Ekkleziasty, z Pisma Ś-go. Odtąd arkusz ten mam zawsze przy sobie i umiem go już prawie na pamięć. List zaś ten onegdajszy, tak nam obu żywo przypomniał i samę postać najmilszego naszego guleracza, i szczęśliwe nasze czasy wileńskie: że pod wpływem miłych tych wspomnień, tak nam przeszedł rozkosznie cały dzień wczorajszy, iż gwoli szanownego p. Franciszka, *kudłatego* Maryana, i kochanego Olesia, z którymi pewnie codzień nierozerwalnie obcujesz, przyszła mi myśl przesłania ci z tego listu wyjątków, aby przez to myśli i serca wasze choć chwilowo na wczorajszy ton naszych nastroić. Adam nie ma nic przeciw temu, i mówi: że jak sam Mentor, tak i listy jego, są może najwybitniejszym wyrazem naszych niegdyś koleżeńskich i przyjacielskich stosunków: i że samo przeczytanie jednego z takich listów, lepiéj może komuś obcemu da poznać nastrój ducha owéj naszéj epoki, niż długie historyczne wywody i określenia. Masz więc tedy owe wyjątki.

„Edwardzie! Nie mogę cię nazwać *kochanym*, bo nie jeszcze nie zrobiłeś *kochanego;* nawet nie pisałeś tak długo do mnie *kochanego;* a jak słuchy dochodzą, historyi, prawa, łaciny nie umiesz, nie uczysz się, i cały romantycznością romantyczną odurzony, klassyków

prawdziwych nie znasz, a przeciw klassyczności powstajesz; piszesz wierszyki niepomyślane, niewyważone, i niemi kolumny dzienników zapełniasz. A zatém jeszcze Edward nie *kochany*, póki historyi, prawa i łaciny nie umié, póki czego *kochanego* nie zrobi, a skromniejszym się jeszcze nie stanie.

„Ach, Telemaku! nie wiém czy tylko piszesz, czy i sądzisz? Jeżeli tylko piszesz, to jeszcze pół biedy; bo źle napiszesz, to choć komu czas darmo zabijesz, ale wolniejszy jesteś na sumieniu; ale jeżeli źle osądzisz, to choćbyś za swém nie pociągnął zdaniem, nie jesteś wolny od grzechu. Sędziego ciężki jest urząd! Długo się trzeba sposobić, wiele znać, wiele umieć; mieć zdanie zdrowe, czyste, wysokie; mieć rozum wielki i siły olbrzymie. Wszyscy sądzą, to prawda; ale też przeto prawda mało na tém wygrywa. Nie sądź więc bardzo drugiego; nie sądź więc bardzo ogółu; sądź najprzód siebie samego; a jak się siebie nauczysz, to będziesz może mógł coś prawdziwszego wyrzec i o podobnym sobie. Jeżeli więc krzyczysz za romantycznością, to nie wiém czy masz pewne zasady, i czy ją dobrze pojąłeś? i czy wszystkie przeciwne strony zrozumiałeś? Nie eryguj się nigdy na sędziego! Bóg zda się ani ciebie, ani twego Mentora na to nie przeznaczył. Skromny im pracy jest wydział; może wątpliwa jéj wartość; ale o tém niech inni sądzą! Oni, chociaż jak drudzy sądzić mogą w kącie: publicznie powinni tylko występować z pracą, a nie z sądami.

„A i ciężka to bardzo dla *publicum* praca! Przyznam ci się, że ja dla niego pracować nie śmiem, czyli

raczéj, nie mogę; bo prawie chciałbym zawsze pracować nad siły, tak mię drażnią i gorszą hultaje. I dla tego wolałbym być zawsze skrybentem niż autorem. Dość mi nie być dla społeczności ciężarem; lecz żeby ją memi sądami i xięgami oświecać—to na moje siły za wiele! — Telemak śmielej coś marzy; Telemak więcej coś pisze; niechże więc będzie autorem, ale autorem bez braku. Jedna niech będzie xiążeczka, ale dobra; jedno zdanie, ale zdrowe! Lepsze jedno ziarnko pożywne, od korca plew niepożytecznych! Poczciwych ludzi zadaniem być powinno: nczyć się i myśleć co najwięcej, a mówić i pisać jak najmniej. Szczęśliwy geniusz, który co powié, to prawdziwe; co piórem potrząśnie, to myśli i zdania wysypią się złote! Ale takich ludzi nie wiele; a być pomiędzy pisarków motłochem, jestto być w jakiéjś szynkowni, gdzie pełno gwaru i swaru, a nic prócz dymu i czadu! Jestto haniebnie oszukiwać współziomków, którzy druk radzi kupują, a dosyć pono ubodzy, żeby tak drogo za pusty papier płacili, albo, co gorsza, złą myślą lub złém słowem dusze swe zarażali! Ciężkie więc twoje, panie autorze! panie dziennikarzu! panie wydawco almanachów! rzemiosło! Pamiętaj, że ciężkie są nauczycielów narodu grzechy! a kto na się bierze za wiele, nie wiém jak wszystko wykona.

Pszczółka miód tylko robi, a kadzidło mrówka;
Nad jedném więc a dobrem niech pracuje główka.

„Otóż masz i wiersze, których tak bardzo żądałeś. Powiedzieć ci jednak muszę, że wierszy teraz nie pi-

szę, bo nie mam żadnego natchnienia. Zbyt moja kochana Muza daleko, a może zapomniała o mnie zupełnie. Wierszy dziś nawet nie tak bardzo lubię; coś one dla mnie za poziome:—prawda, że poziomie piszecie. Czytałem „*Nowy Rok*“ Adama, w *Bibliotece*, i trochę za serce uszczypnął; choć i ten ma coś zbyt w sobie dzikiego. Czytałem potém i wiele innych, ale ach! nie ma w nich tego, czego duch i serce pożąda! A i ty twojemi piosnkami nie wielką mi czynisz przysługę. Zmiłujcie się, wzmagajcie chwałę narodową! ale niechaj nie gwałtem nie kwitnie; a jeśli laury przekwitły, umiejmy przynajmniéj kosztować słodyczy, w tych, jakie z nich mamy, owocach. Bo pisać tylko wiersze dla tego, żeby je potém drukować, dalipan, czyby nie lepiéj pójść glinę wozić taczkami.

„A więc, Telemaku szanowny! nie kończ i nie sztukuj swych kusych do mnie listów wierszami; bo ja chcę listów, a nie żurnałów. A listów jeśli można chcę częstszych. Boję się, żeby się nie rozpuścił Telemak, a ja, nie stracił tytułu i władzy Mentora. Oddawnaśmy już na różnych kołatani morzach; a skały i Kalipsy są wszędzie! — Spodziewam się jednakże, że ten list zastanie cię w domu; musiałeś już, podług twéj obietnicy, przyjechać do ojca. Ciesz się więc za siebie i za mnie, a ja ci będę prawił choć cudze morały; bo nie chcę, żebyś się tylko jedynie z drogiemi dziewicami naszemi bawił, ale chcę byś też pomyślił czasami, co czynić z sobą potrzeba, aby być lepszym na świecie.

„*Un jeune homme qui aime à se parer vainement comme une femme, est indigne de la sagesse et de la gloire.*"

„A wiele przywiozłeś z sobą krawatów i kamizelek z Warszawy? Proszę mi zdać o tém rapport, a obaczymy, czy ten *homme* jest godny *de la sagesse et de la gloire.*

„*Quand tu seras le maître des autres hommes, souviens-toi que tu as été faible, pauvre et souffrant comme eux; prends plaisir à les soulager, aime ton peuple, et déteste la flatterie.*"

„Czy byłeś przyjechawszy do domu w chacie choć jednego swojego wieśniaka? Czy masz dzieci i starców znajomych? (bo nie mówię o dziewczętach, z któremi owszem znajomość masz mieć daleką;) i czy przywiozłeś im lub kupiłeś w Oszmianie gościńca, albo obwarzanków w Smorgoniach? Denieś mi o tém wszystkiém, a zaraz poznamy, jak to ty lubisz ludzi, twoich bliźnich braci?

„*Quiconque est capable de mentir, est indigne d'être compté au nombre des hommes; et quiconque ne sait pas se taire, est indigne de porter ce nom.*"

„Trzeba więc zawsze i we wszystkiém prawdę mi mówić, a z dziewczętami twéj wioski nie wiele gadać. Nawet gościńce i obwarzaneczki lepiéj ich matkom lub babkom do podziału między nie oddawać.

„*Quand est-ce, o! Télémaque! que vous serez assez sage, pour ne parler jamais par vanité?*"

„Powiedz mi, kiedy? — to jest, kiedy przestaniesz pisać wiersze dla tego tylko, żeby pisać i drukować,

a nie dla tego, żeby prawdziwie cel jakiś pożyteczny miały? Bo że damom, a czasem i Mentorowi komplementa prawisz, w tém jest więcéj pochlebstwa raczéj niż próżności. Ale i tego nie trzeba.

„*Personne ne souhaitera plus que moi, que vous gouticz des plaisirs, mais des plaisirs qui ne vous passionnent, ni ne vous amolissent. La sagesse n'a rien d'austère ni d'affecté. La sagesse n'a point de honte de paraître enjouée, quand il le faut.*“

„Baw się więc wesoło i przyzwoicie, czy to w Warszawie, czy w Wilnie; ale strzeż tego, co tu powyżéj powiedziano, *pilnie*. Otóż masz i wiersze tak żądane, proszone i oczekiwane.

„*Vous ne m'aurez pas toujours. Il faut que ce soit la sagesse et la vertu, plutôt que la présence de Mentor, qui vous inspirent ce que vous devez faire.*“

„Nie ma tam już i dzisiaj przy tobie pana Mentora! A co to będzie, jeśli Telemak rad jego i przestróg zapomni?

„Zmiłuj się więc, bądź skromny w odzieniu, mówieniu, czynieniu, pisaniu, dziennikowaniu, recenzowaniu, sądzeniu! Lepiéj słuchaj, a myśl; a potém będziesz sądził romantyczne i klassyczne narody. Bądź zdrów!“—

A co? czy list ten nie wart trudu przepisania? nie mówiąc już o obroku duchownym, który i ty i Oleś, możecie zeń wyciągnąć dla siebie.

A teraz zwracam się myślą do pani Szymanowskiéj, i do panien Heleny i Celiny, z któremi już być

musisz znajomy. Z kusych listów Adama, które pisze do nich niekiedy, ale zawsze jakby z napaści, nic wiele bardzo muszą wiedzieć o nim. Ty więc, który wiesz wszystko, masz pole opowiadać przed niemi— pamiętaj tylko że nie wszystko. Damy w ogólności nie lubią, kiedy ten, kogo one lubią, lubi też drugie, choćby do nich podobne; a zwłaszcza, gdy im o tem ktoś trzeci powiada. Mów więc lepiej, co jest najświętszą prawdą, że Adam o nich zawsze jak najczulej wspomina, i uważa samę panią za jednę z najlepszych swoich przyjaciółek, które jak opiekuńcze duchy stoją wzdłuż drogi jego życia, i na każdym jej nowym zakręcie przekazują go jedna drugiej. Dzieje się to zaprawdę z całym ludzkim rodzajem. Daj tylko Boże, żeby z naszym *Adamem* mogło stać się całkiem na opak! Ród ludzki zgubiła Ewa, a pocieszyła Marya. Jemu młodość goryczą zaprawiła Marylla, obyż pociechą stała się Ewunia! Ale ty o tem nie paplaj! Za toż możesz dodać najsumienniej, że choć Adam i tutaj pływa jak delfin w potokach melodyi: cała gamma fortepianów tutejszych nie zastępuje mu jednego pani Szymanowskiej, ma się rozumieć z akompaniamentem śpiewu dwóch stojących tuż obok, jak na obrazku św. Cecylii, aniołków. Bo muzyka dla niego, to już jest widać tajemniczy łańcuch, który go łączy zawsze z płcią piękną. Mówiłem mu nawet kiedyś, że i ta jego ochota pokręcania za ucho, kiedy mu kto coś o tem napomknie, nie zkąd inąd musi pochodzić, jak że jego samego Amor najczęściéj za ucho pociąga. Dla mnie ucho jest niczem; dla oczu tylko oczki i ustka, to grunt!

Tych mowę i bez ucha rozumiem, a harmonia głosu miléj brzmi z za perłowych ząbków, niźli z pod kościanych klawiszów. Ale i to co mówię, możesz przed panienkami za swojemi zębami zatrzymać. Powiedz im owszem, że na operach często bywamy, i że ja, jako prawdziwy znawca, słucham tylko najlepszych aryj albo passażów — to jest, kiedy mię oklaski obudzą. Objaśnienie to jest *tibi soli;* a zaś exkuza moja w tém, że się tu teatr dopiéro o godzinie 10 zaczyna, a opery prawie zawsze te same. Nie tak też bardzo ochoczo wybieramy się na nie sami, ale nas zwykle państwo Ankwiczowie zapraszają z sobą do loży, i tam się jakoś budzimy wzajemnie. Mówię *wzajemnie*, bo raz wyszedłszy na pół godziny do loży pani Klustin (gdzie Adam na dłużéj pozostał), za powrótem wśród aktu, ujrzałem główki obu panienek schylone jak kwiaty pod rosą, a widząc że i oczki zamknięte, szepnąłem z cicha między niemi: „budzę panie"! Obudziły się protestując, że nie śpią; ale gdyby tak było, toćby przecie mogły zapytać: „w jakim kolorze?" Że zaś przytém na twarz ich obu kolor wstydu wystąpił: więc ja trwam przy mojém twierdzeniu, i bronię się tém jak puklerzem przeciw ustawnym ze mnie z tego względu żartom.—W istocie wszakże, za własny miły grosz wolę chodzić niekiedy na komedye do teatru „*Metastasio*", bo je Włosi grają przedziwnie.

Teatrów publicznych jest tu cztery. Największy i najpierwszy jest tak zwany „*Teatr Apollina*" albo „*Tordenone*", od ulicy przy któréj stoi. Ma 6 pięter lóż, w każdym po 29. Bilet do krzesła kosztuje 6

paolów, na parter połowę tego. Loża 2-go i 3-go piętra, na cały *sezon* skudów 120. Dają tu same tylko opery i balety: przez cały sezon dwie i dwa te same. Opery tegoroczne są: *Eroina del Messico*, Riccego, i *Romeo e Giulietta*, Vaccai, którąśmy już w Bolonii słyszeli. Prima-donną jest pani *Pavelli*, w wielkich łaskach u publiczności. W istocie śpiewa prześlicznie, a i sama także jest śliczna. A nuż to, taż sama publiczność umie trzymać na wodzy, i nawet skarcić swoję faworytkę. Obok niej, w roli Romea, występuje pani *Ek-Kerlin*, którą pani Pavelli, przez zazdrość, chciała zaraz na wstępie jakoś skompromitować. Romeo uniknął zasadzki; uwiadomiona zaś o tém publiczność, która się z całym zapałem polityką sceny zajmuje, takiém sykaniem i gwizdaniem nazajutrz powitała zazdrośną Juliettę, że odtąd czuła para na scenie zdaje się kochać jak w libretto. Po pierwszym akcie opery występuje balet: *Gabriella di Vergy*, albo jakiś morlacki, którego tytułu nie pamiętam, ale piękniejszy od pierwszego. Na drugim większym teatrze, *Teatro Valle*, dają także opery, a zamiast baletu komedye. Prima-donną jest pani *Testa*. Na trzecim, *Metastasio*, same komedye klassyczne. Na czwartym zaś, *Aliberti*, operetki i komedyjki pomniejsze. Ale oprócz tych czterech teatrów stałych, funkcyonuje tu jeszcze w tym karnawale aż sześć teatrzyków amatorskich, ale także publicznych; a mianowicie w towarzystwach: Filo-dramatyczném, Filarmoniczném, z tytułem Akademii, i Anti-filarmoniczném, które wciąż emuluje i kłóci się

Tych mowę i bez ucha rozumiém; a harmonia głosu miléj brzmi z za perłowych ząbków, niźli z pod kościanych klawiszów. Ale i to co mówię, możesz przed panienkami za swojemi zębami zatrzymać. Powiedz im owszem, że na operach często bywamy, i że ja, jako prawdziwy znawca, słucham tylko najlepszych aryj albo passażów — to jest, kiedy mię oklaski obudzą. Objaśnienie to jest *tibi soli;* a zaś exkuza moja w tém, że się tu teatr dopiéro o godzinie 10 zaczyna, a opery prawie zawsze te same. Nie tak téż bardzo ochoczo wybieramy się na nie sami, ale nas zwykle państwo Ankwiczowie zapraszają z sobą do loży, i tam się jakoś budzimy wzajemnie. Mówię *wzajemnie*, bo raz wyszedłszy na pół godziny do loży pani Klustin (gdzie Adam na dłużéj pozostał), za powrótem wśród aktu, ujrzałem główki obu panienek schylone jak kwiaty pod rosą, a widząc że i oczki zamknięte, szepnąłem z cicha między niemi: „budzę panie"! Obudziły się protestując, że nie śpią; ale gdyby tak było, toćby przecie mogły zapytać: „w jakim kolorze?" Że zaś przytém na twarz ich obu kolor wstydu wystąpił: więc ja trwam przy mojém twierdzeniu, i bronię się tém jak puklerzem przeciw ustawnym ze mnie z tego względu żartom.—W istocie wszakże, za własny miły grosz wolę chodzić niekiedy na komedye do teatru „*Metastasio*", bo je Włosi grają przedziwnie.

Teatrów publicznych jest tu cztery. Największy i najpiérwszy jest tak zwany „*Teatr Apollina*" albo „*Tordenone*", od ulicy przy któréj stoi. Ma 6 pięter lóż, w każdym po 29. Bilet do krzesła kosztuje 6

paolów, na parter połowę tego. Loża 2-go i 3-go piętra, na cały *sezon* skudów 120. Dają tu same tylko opery i balety: przez cały sezon dwie i dwa te same. Opery tegoroczne są: *Eroina del Messico*, Riccego, i *Romeo e Giulietta*, Vaccai, którąśmy już w Bolonii słyszeli. Prima-donną jest pani *Favelli*, w wielkich łaskach u publiczności. W istocie śpiewa prześlicznie, a i sama także jest śliczna. A mimo to, taż sama publiczność umie trzymać na wodzy, i nawet skarcić swoję faworytkę. Obok niéj, w roli Romea, występuje pani *Ek-Kerlin*, którą pani Favelli, przez zazdrość, chciała zaraz na wstępie jakoś skompromitować. Romeo uniknął zasadzki; uwiadomiona zaś o tém publiczność, która się z całym zapałem polityką sceny zajmuje, takiém sykaniem i gwizdaniem nazajutrz powitała zazdrośną Juliettę, że odtąd czuła para na scenie zdaje się kochać jak w libretto. Po piérwszym akcie opery występuje balet: *Gabriella di Vergy*, albo jakiś morlacki, ktorego tytułu nie pamiętam, ale piękniejszy od piérwszego. Na drugim większym teatrze, *Teatro Valle*, dają także opery, a zamiast baletu komedye. Prima-donną jest pani *Testa*. Na trzecim, *Metastasio*, same komedye klassyczne. Na czwartym zaś, *Aliberti*, operetki i komedyjki pomniejsze. Ale oprócz tych czterech teatrów stałych, funkcyonuje tu jeszcze w tym karnawale aż sześć teatrzyków amatorskich, ale także publicznych; a mianowicie w towarzystwach: Filo-dramatyczném, Filarmoniczném, z tytułem Akademii, i Anti-filarmoniczném, które wciąż emuluje i kłóci się

z piérwszém. Dyryguje niém *Marchese Rafaele Muti-Papazzuri*, który sam jest fortepianistą. Byliśmy po kolei we wszystkich. W dwóch ostatnich dają same tylko opery, a raczéj wyjątki z oper. Oprócz tego, co tydzień są w obydwóch wieczory muzykalne. Na jednym z nich, w Akademii, jakiś Niemiec grał cały koncert na flecie. Ale byłto prawdziwie „*flet czarnoxięzki*.“ Publiczność szalała z zapału. Frenetyczne oklaski i okrzyki, zdawało się, że mury rozsadzą. Tak chyba musiał grać kiedyś Marsyasz, gdy śmiał Feba do walki wyzywać. Ale co ten, to wcale nie ma buty Marsyasza, i owszem niceby nie stracił, gdyby go z téj jego skóry odarto, a w jaką pokaźniejszą obszyto. Od miesiąca jadam z nim zwykle przy jednym stole *al lepre*, ale nigdy mi ani na myśl nie przyszło, aby ten chudy, maleńki człowieczek mógł mieć w sobie takie cudowne tchnienie, a może i natchnienie.

Lecz to widać ogólne jest prawidło ducha,
Że im on w kim tchnie wyżéj, ten sam mniéj w nos dmucha.

Powiedz to wszystko pani Szymanowskiéj, bo dla niéj to ja zwłaszcza te *musicalia* piszę.—Tyś sam pewnie ciekawszy teatru u xiężny Zeneidy, i jak ja „*j'ai fait mes farces*?“ Bo to jest, jeśli pamiętasz, tytuł sztuczki, w któréj miałem i w któréj występowałem rzeczywiście w przeszłą niedzielę. Otóż poszło to jakoś nie tak bardzo źle, jak się bałem; a tém samém już bardzo dobrze. Nie ręczę, czy ze zbytniéj gorliwości o pronuncyacyą, z *je* nie stałem się niekiedy *jeu*, albo czy *que* nie przerosło w *queu*. Ale to jakoś uszło. *Verba volant*. A zresztą część tych

usterków tłumiły też czasem i oklaski, dawane mojéj *miléj*, kiedy była ze mną na scenie; chociaż, Bogiem a prawdą, oklaski te zaczynała zwykle sama gospodyni, któréj grzeczni goście wtórzyli. Bo i nasza „*dziesiąta Muza*“ nie zdaje się być w tak ścisłych stosunkach z siostrzyczką *Talią*, jak z innemi. Ale co w drugiéj sztuczce „*Michel et Cristine*,“ to obie tytułowe osoby: młody xiążę Wołkoński i panna Luiza Vernet, warte były istotnie publiki; a zaś publika, *per suam qualitatem*, jeśli nie *quantitatem*, mogłaby zadowolnić choćby nawet samego Talmę czy Garrika. Cały środek salonu kwitł jak ogród kwiatowy różnobarwnemi strojami poważnych dam i ładnemi twarzyczkami panienek, a wkoło ścian, jak hebanowe ramy uroczego tego obrazu, czerniły się dwa rzędy spektatorów frakowych, między którymi: Thorwaldsen, Cammucini, dwaj Vernetowie, Craffonari, Bruni, daléj Visconti, Nibby, Bonstetten, Adam, i t. d. A co gwiazd i wielkości światowych! Moja największa korzyść z roli aktora była ta: że mnie xiężna, po skończeniu spektaklu, prezentowała po kolei wszystkim tym panom, których dotąd po większéj części z daleka tylko widziałem, i że mię przytém p. Horacy Vernet na herbatę we wtorek wieczorem do siebie zaprosił. Jest on tu dyrektorem francuzkiéj Akademii malarstwa, w któréj się kształcą wszyscy młodzi malarze francuzcy, przebywający w Rzymie. Mieszka w prześlicznéj *Villi Medicis*, na Monte Pincio, gdzie się też mieści i Akademia. Villa ta jest własnością rządu francuzkiego od czasów Ludwi-

ka XIII, który ją odziedziczył po matce swojéj, Maryi z Medyceuszów. Wieczór wtorkowy był wprost dla xiężny Zeneidy, którą Vernet zaprosił dla obejrzenia najnowszego swojego i tylko co wykończonego obrazu. Jestto portret teraźniejszego papieża, w całéj postaci, niesionego na tronie w uroczystéj processyi w kościele Ś. Piotra. Obraz wielkich rozmiarów; dowodzący zapewne obfitéj i żywéj wyobraźni autora, ale mniéj wpływający na wyobraźnię widzów, niż jego obrazy bitew, z których jeden, wyobrażający bitwę bandytów z żandarmami papiezkimi, przedstawiał także gościom jako nowy swój utwór. W tamtych jest on prawdziwym i wielkim poetą. Łatwiéj mu widać poczuć i wyrazić rycerską odwagę i zapał, niźli cichą pobożność i skruchę. A i w nim samym, jak w postaci tak i w rozmowie, znać wyraźnie dwa te pierwsze przymioty, tylko że nastrój ich więcéj się zdaje być wesołym i żywym, niżeli patetycznym lub sentymentalnym. Słyszałem go mówiącego i śmiejącego się głośno, z powodu jakichś sztychów rozrzuconych na stole, przy którym około niego stali: Cammucini, Catel (pejzażysta), Craffonari, kochany nasz Allan, sędziwy ośmdziesięcioletni Norblin, i kilku młodych malarzy francuzkich. Rzecz musiała się toczyć o kolorycie, bo podszedłszy słyszałem Cammuciniego jak mówił: że ubiory rzymskie nie dopuszczają bogactwa kolorów, i że przeto rad jest, że ma przed sobą trzy obrazy, w których będzie mógł je rozwinąć. Obrazy te są: Papież Grzegorz w Anglii; Wejście Sforzów do Medyolanu, i scenę z Atalii Ra-

syna, dla pani hr. Ostrowskiéj.—Powiédz to wszystko panu Orłowskiemu, którego musiałeś już poznać, i którego to może interessować: tém bardziéj, że potém była mowa i o nim. Sam Vernet admirował „ogień i fantazyą w pozach jego koni;“ Adam mówił o trybie życia jego w Petersburgu, a stary Norblin chwalił się, że był piérwszym jego nauczycielem. Stało się zaś to w taki sposób. Xiężna Izabella Czartoryska zwiedzała dobra swoje w Galicyi, z licznym dworem, przy którym był natenczas i Norblin. Przy wjeździe do jednéj karczmy, w któréj przygotowany był obiad, wszystkich uwagę zwróciło mnóstwo figur końskich, węglem lub kredą rysowanych po ścianach, tak zewnątrz jak wewnątrz karczmy. Zapytany o to gospodarz, odpowiedział z ubolewaniem, że ma syna urwisa, który nic nie chce robić, co mu ojciec każe, a tylko albo hasa na koniach, gdzie którego dopadnie, albo je bazgra po ścianach lub na rejestrach ojcowskich. Norblin piérwszy w tych niekształtnych rysunkach dopatrzył zaród talentu, a zawołany chłopak stawił się wkrótce przed xiężną, czerwony, zapocony, z koszulą zawiązaną na bakier. Na zapytanie xiężny, czyby się chciał uczyć rysować, aż podskoczył z radości wołając: „Ach! chciałbym, chciałbym bardzo, mościa xiężno!“ Ta żywość i ta śmiałość podobały się xiężnie; wzięła więc na opiekę chłopca, i zabrawszy go wprost z popasu, poruczyła nauce Norblina. Tak opowiadał Norblin; o ile w tém jest prawdy, sam pan Orłowski najlepiéj opowié. Ale z tego opowiadania wywiązała się bardzo zajmująca

rozmowa, o objawach w dzieciństwie wrodzonych ludziom talentów i zdolności.—W ogólności cały ten wieczór był bardzo interessujący i miły. Osób było najmniéj 60, prawie sami artyści. Prócz dworu xiężny Zeneidy był tylko poseł francuzki, hr. La Ferronay, z dwiema córkami, i jacyś dwaj panowie angielscy z rodzinami. Lokal obszerny, swoboda zupełna. Na stołach, obok rysunków leżało mnóstwo gazet i nowych xiążek francuzkich. Jedni je przeglądali, drudzy grali w szachy, inni nakoniec, do których i ja należałem, albo rozmawiali z damami i zcicha między sobą, albo przysłuchiwali się rozmowom starszych. Mnie stary Norblin posadził w kącie przy sobie i rozpytywał długo o Warszawie, o któréj żywą i wdzięczną zachowuje pamięć. Największa jednak dla mnie przyjemność tego wieczoru, wyniknęła z łakoci; nie żebym tak był łakomy, ale ci opowiém dla czego? Roznoszono obficie owoce, ciasta, wina, cukry i lody. Ze wszystkiemi temi tacami, jakiś zręczny, fertyczny, młody lokaj Francuzik, tak często przystępował do mnie, że to wreszcie zwróciło moję uwagę. Gdy więc mu dziękowałem za lody, a on z osobliwszą grzecznością jeszcze mi ananasowe zalecał: „*Vraiment, Monsieur*, rzekłem: *vous êtes bien bon de penser tellement à moi.*“—A on na to z figlarnym uśmiechem: „*Car on m'a recommandé, Monsieur, de penser à vous.*“—No, no! proszę cię tylko, panie Juljanie! nie wyciągać ztąd żadnych wniosków! Rekomendacya ta bowiem, niestety, nie ściągała się tylko do mnie wyłącznie, lecz do całego

dworu xiężny Zeneidy; bo i młody xiążę, i Szewirew, byli również przedmiotem szczególnéj uprzejmości *de Monsieur André*, (bo tak słyszałem że go nazywano), a tylko grzeczne moje słówko wywołało tę głośną konfidencyą z jego strony. Zawsze jednak tak byłem z niéj kontent, że gdy przy wyjściu podawał mi płaszcz i parasol, wcisnąłem mu do ręki całe pół skuda — z niezbyt czystych pobudek — wyznaję; bo częścią wprost przez próżność, a częścią przez rachubę, ażeby dobre słowo o mnie przed panną Luizą powiedział. Jéj téż saméj, w ciągu wieczoru, znalazłem stosowną sposobność podziękować zlekka, jako gospodyni, za doznaną uprzejmość pana Andrzeja; na co tak wdzięcznym spłonęła rumieńcem: że gdyby to było za kulisami naszego szaradowego teatru, podziękowałbym jéj „*niższy kolanem*," jak powiada Trembecki, to jest, przybrałbym przed nią téż pozę, jaką tam nieraz przybrać się zdarzało.

Ale muszę ci jeszcze opowiedzieć o dwóch wieczorach, na których byliśmy w ciągu ostatniego tygodnia: o królewskim — to jest u królowéj Hortensyi, i o demokratycznym — u sąsiada naszego w tymże domu, pana adwokata Sella. Piérwszy, na który byliśmy zaproszeni za pośrednictwem xiężny Wołkońskiéj, zaczął się dla mnie pod fatalném godłem. Przyjechaliśmy zawcześnie, (choć już była 10), kiedy jeszcze nikogo nie było w salonie. Żeby więc samym nie świecić oczyma, nie było innéj rady, jak powrócić nazad do domu. Adam był w najgorszym humorze; a że ja to, niestety, doradzałem pośpiech: więc mu-

siałem nasamprzód słuchać gderania w drodze, a potém w domu łagodzić kapryski. Chciał już był całkiem nie jechać, i nawet się zaczął rozbierać. Ale wziąłem się zręcznie na sztuki niewieście, i to karessami, to żartem, nadewszystko zaś przypomnieniem panny Celiny, kiedy nie chciała jechać z nami na teatr: dokazałem nakoniec, że się udobruchał, i nawet stał się bardzo czułym na zgodę. Przyjechaliśmy tedy powtórnie o saméj jedenastéj, a i tak jeszcze byliśmy jedni z pierwszych. Gospodyni jak zawsze uprzejma; przy zapytaniu Adama o zdrowie, dołączyła grzeczną wymówkę, że się musiała o pamięć dopominać przez xiężnę. W ogólności w każdém jéj słowie znać żywość, dowcip, i chęć—jeśli nie podobania się, to przynajmniéj zrobienia przyjemności gościom i zachęcenia ich do rozmowy. Ze mną mówiła chwilkę o pogodzie, o śniegu w Rzymie, i o różnicy klimatów i kalendarzów, starego i nowego stylu. Potém zaprezentowała nas starszemu swemu synowi, który stał blizko, i z którym Adam czas jakiś o zimie petersburskiéj rozmawiał. W dalszym ciągu wieczoru zagadnęła mnie raz jeszcze przechodząc, jak przepędzam karnawał? i obiecała wiele przyjemności, kiedy prawdziwy Rzymski karnawał zobaczę. Z Adamem zaś mówiła o Vernecie, o Akademii, i o obrazach szkoły francuzkiéj w porównaniu z włoskiemi. Wieczór był tańcujący; osób ze sto. Tańce rozpoczął xiążę Wirtemberski, bardzo przystojny mężczyzna, z bardzo piękną Angielką, Lady Seymour. Obaj młodzi xiążęta, synowie domu, brali w nich czynny udział, i ró-

wnie zręczni piechotą, jak codzień na ulicach popisują się konno. Ale najosobliwszą tancerką tego balu była pani generałowa *Ménou*, wdowa po generale, koledze Napoleona, który był z nim razem w Egipcie. Jest ona Egipcyanką z rodu, i mąż jéj był się dla niéj najprzód zmuzułmanił, nim ona sama potém chrześcijanką została. Jest to drugi tom pani Zajączkowéj, albo sławnéj niegdyś *Ninony de l'Enclos*, co do czerstwości, żywości i elegancyi na starość. Ma lat około 70; włosy białe jak śnieg, ale utrefione w pukle; a tak się nosi i zwija w kontredansie, jak przepiórka pomiędzy zbożem. Nie tak łatwo jéj wszakże, jak widać, o tancerza: bo najczęściéj, jak uważałem, tańcowali z nią synowie domu. Excentryczność ta zresztą, jak mi potém mówiono, nie razi tu już nikogo, tak do niéj wszyscy od lat tylu nawykli, i tak sama jest skutkiem upodobania raczéj, a nie śmiesznéj pretensyi staruszki. Upatrywałem wszędzie Króla Hieronima, aby uczcić jego majestat; ale go na tym balu nie było. Z Polaków byli: hr. Potoccy, Zamoyski, x. Radziwiłł, który dzisiaj do Neapolu wyjechał, i pan Dernałowicz. Wróciliśmy do domu po piérwszéj.

Drugi wieczór u p. Sella był dla nas niezmiernie ciekawy. Znaliśmy tego pana ze spotykania się tylko na wschodach. Ale przyszedł sam do nas rano, i tak szczerze, tak serdecznie zapraszał na wieczór, że Adam nawet nie drożył się długo. Wprzód jednak wstąpiliśmy na chwilę, we dnie, aby się saméj pani przedstawić. Powitała nas jak najlepszych znajomych, chociaśmy się po raz piérwszy widzieli, gwoli

tylko blizkiego sąsiedztwa; a tak nam dziękowała za przyjęcie zaprosin męża, jakbyśmy im największą łaskę zrobić mieli. Osobliwsza jest ta uprzejmość włoska w klassie średniéj! Obok niéj, nasza nawet jest mniéj uczuciowa. A i cały ten wieczór był nader charakterystycznym jéj rysem. Obszerny salon, przedpokój i pokój sypialny, zastaliśmy już napełnione gośćmi. Ale zaraz na wstępie uderzyło nas dziwne jakieś ugruppowanie towarzystwa. W przedpokoju, i w trzech kątach salonu, kupiły się osobne gronka, w pośród których gospodarz, nie zważając na nie, przeprowadził nas do sypialnego pokoju, gdzie dopiéro nie nas, ale nam zaczął przedstawiać obecnych, nawet damy i młode panienki. Były to rodziny adwokatów, doktorów i urzędników sądowych. Ale pryncypalną figurą, dla któréj czy my, czy ona dla nas była zaproszoną, był obwieszony orderami, stary dawny półkownik wojsk francuzko-włoskich, pan *Emmanuele Sozzi*, który odbywał kampanią 1812 roku, i sześć tygodni przeleżał chory — gdzie? — w Smorgoniach! we dworze hr. Przezdzieckiego; a doznał tam, jak mówi, tak rodzicielskiéj opieki i tak braterskiéj życzliwości od rządzcy tych dóbr i okolicznych sąsiadów, iż poczytuje sobie za największą przyjemność, że może przed Polakami wdzięczność swoję dla nich oświadczyć. A cóż dopiéro gdy mu powiedziałem, że jestem także sąsiadem smorgońskim, i gdyśmy się rozgadali o niedźwiedziach i obwarzankach tamecznych! Rozumiałem, że mnie zadusi, jak zaczął całować i ściskać; a to jego wzruszenie oddzia-

łało i na nas, i uczyniło nas bohatérami fety. Tymczasem zauważyłem w salonie, że zaczęto po kątach nakrywać i zastawiać osobne stoliki; co się téż odbywało i w pokoju naszym, tylko, że tu był stół jeden, przy którym gospodarze czynili honory, ale tylko dla gości w tym pokoju będących. Widząc nasze zdziwienie, półkownik wytłómaczył nam co to znaczy. Mający obszerniejsze mieszkania, ludzie téj klassy co pan *Sella*, pozwalają niekiedy bliższym swoim przyjaciołom czy krewnym, zapraszać do nich każdy swoich gości, którzy nie są nawet obowiązani zaznajamiać się koniecznie z gospodarzami domu, ale téż i są ugaszczani nie przez nich, lecz tylko przez tych, co ich zaprosili. Tym sposobem dom prywatny zamienia się niejako w oberżę; ale téż razem tworzy punkt zjednoczenia i ułatwia towarzyskie stosunki mniéj zamożnych klass społeczeństwa. Trudniéj jednakże było poczciwemu półkownikowi usprawiedliwić przed nami, „rajską niewinnością," inny jeszcze miejscowy obyczaj, gdy jakaś młodziutcńka panieneczka z salonu wbiegła do naszego pokoju, gdzie stały łóżka obojga gospodarzy, i nie zważając na obecnych, zaczęła się w nim rozporządzać, jakby wcale nie było nikogo. Nie opisuję ci bliżéj téj sceny, którą kiedyś ustnie opowiém; ale to muszę dodać, że cały ten wieczór, jako rodzajowy obrazek towarzyskości tutejszych klass średnich, sprawił na nas jak najmilsze wrażenie, ze względu uprzejmości, naturalności, prostoty i serdeczności, tak w obejściu jak i w rozmowie. Adam nagadał się z półkownikiem do syta o Napo-

leonie, ja zaś wyczerpywałem szczupły zapas mojéj włoszczyzny na komplementa z damami, z których żadna po francuzku nie mówi.

A teraz, w przypuszczeniu, że biesiadujesz nieraz za gościnnym stołem petersburskiego waszego Lukullusa, szanownego pana Kaspra Żelwietra, gdzie konceptą i anegdoty są zawsze jak przekąski i wety; szlę ci na nie, jak figę włoską, obiecaną wyżéj sylwetkę — nie karykaturę bynajmniéj — owego grafiątka-głupiątka, który godzien jest wiedzy ludzkiéj, jako osobliwszy fenomem—tak psychiczny jak i społeczny; psychiczny—gdyż taki głupiec, który nie jest jednakże ani całkiem idyota, ani waryat, jest pewnie unikatem na świecie; społeczny zaś—że go przecież przyjmują we wszystkich salonach, gwoli jego tytułu i milionów, które dla niego skrzętna matka gromadzi. Prawda, że wejście to swoje okupuje on wesołością ogólną, którą obudza wszędzie, jak pajazzo na scenie. Nazwiska ci jego nie powiém, gdyż i tu słynie on tylko pod spieszczoném imieniem „*Il Conte Rino*," które nadał niejako sam sobie, upominając się pod niém o listy na poczcie, bez wymienienia rodowego swego nazwiska, jakby je każdy powinien był wiedzieć; a to z taką zarozumiałością i butą, że stał się pośmiewiskiem całego pocztowego urzędu, a następnie i dalszéj publiczności. Wspomniałem ci już jak gada, nie patrząc co i do kogo; ale tu dodam jeszcze, jak oddaje wizyty. Jednego dnia, wszyscy znajomi jego mężczyzni Polacy, a w rzędzie tych i Strzelecki, znaleźli raptem u siebie wizytowe bilety damskie: ten

jakiéjś Markezyny włoskiéj, ten jakiéjś Grafini niemieckiéj, i t. p. Strzelecki zgadł od razu czyja w tém jest sprawka; a zapytany o to *Il Conte Rino*, dziwił się, że się temu dziwiono: „bo on przecież zostawiał *swoje własne* bilety, skoro mu je darowała matka.“ Ale szkoda słów i papieru mówić dłużéj o tym głuptasie. Lepiéj więc skończę słówkiem o poczciwym xiężulku, z Galicyi także, ktory się nazywa *Miesiączek*, a wygląda jak miesiąc w pełni. Przyjechał on na parę miesięcy do Rzymu; ale za piérwszém pójściem do watykańskiego muzeum, tak był zgorszony nagością posągów: że na widok Nimf, Gracyj i Bogiń, wołał tylko spluwając: „tfu! tfu! pokuśnice! djablice!“ a zaś tak go raziło, że to widział w pałacu papiezkim, że w dziesięć dni po przyjeździe, zabrał się nagle i pojechał do domu.—Papier się skończył.—Bądź zdrów!

X.

Do Juljana Korsaka.

Rzym, 13 lutego 1830 r.

Dziś po południu zaczyna się tu właściwy karnawał. Jak więc cały Rzym po ulicach, a może i po domach, krząta się i uprząta wszystkie codzienne wystawy i sprzęty, a wywiesza kobierce i chorągwie, szykując się i przygotowując do przyjęcia i używania dorocznéj uroczystości narodowéj: tak i ja zamierzam w tym liście zbyć ryczałtowo z myśli wszystkie przeddzisiejsze wspomnienia i notaty, aby następny mógł być *kartą białą*, do przyjęcia samych karnawałowych obrazów i wrażeń.

W dzień N. P. Maryi Gromnicznéj, słońce jak gdyby odwdzięczając ziemi za blask milionowych gromnic, które płoną ku chwale Bożéj, zabłysło nagle tak ciepłą, tak wiosenną pogodą, że jakby za dotknięciem laski czarodziejskiéj, cała natura od razu rozpromieniła się życiem nowém: jak może rozpromieni się dusza, kiedy po wyjściu z ciała przy świetle gromnicy, blask Łaski nad sobą zobaczy. A i duszyczki nasze—a przynajmniéj moja,—choć siedzi jak ślimak w skorupie, różki jednak do góry podniosła. I my sami jak ptaszki na wyraj—jak jaskółki na skrzydłach bocianich, dzień w dzień prawie wylatujemy za

miasto: to jest, albo xiężna Wołkońska, albo państwo Ankwiczowie, albo panna Anastazya z matką, zabierają nas do swoich powozów i obwożą po okolicznych *villach*, które, jak Hory wóz Feba, otaczają z różnych stron Romę. Ale oprócz téj opieki płci pięknéj, dał nam tu jeszcze Pan Bóg współ-pielgrzyma, który co do wożenia nas i fundowania obiadów, gotówby choćby codzień z największą ochotą być naszym Mecenasem i Amfitryonem. Jest to przybyły niedawno hr. Alexander Potocki, syn Szczęsnego, dziedzic Tulczyna i Zofiówki, milionowy bogacz, ale który z pozoru i usposobienia wygląda raczéj na Kwakra, tak sam o tém swém państwie i bogactwie nie myśli, i tak jest pełen dobrodusznéj prostoty, w najlepszém tego słowa znaczeniu. Ręczyćby można, że każdy z jego ekonomów, przez to samo że służy u niego, musi się więcéj czupurzyć na pana—i niezawodnie wyjdzie w końcu na niego. Bo ekonomom, u niego to być musi jak wołom w pszenicy! On sam powiada o sobie, że nic go tak nie męczy i nie nudzi jak to wielkie mienie; bo czuje obowiązek rozumu i sumienia, aby go marnie nie strwonić i używać dobrze, a to mu odejmuje osobistą swobodę. To téż gotówby, jak mówi, przedać je komu za połowę ceny, byle miał to sumienne przekonanie, że ten nabywca nie będzie tylko prostym spekulantem, i że potrafi lepiéj od niego utrzymać je i obracać na ogólny krajowy pożytek. Podróżuje zwłaszcza dla tego, aby się na czas jakiś od pańsko-gospodarskich kłopotów oderwać; a że go podróż sama przez się nie

bawi, więc rad jest z towarzyszów przepędzania czasu. Z Adamem zna się od czasów Odeskich, i znać po nim, że go miłuje serdecznie, *notabene*, nie bez wzajemności. Codzień więc prawie rano, około godziny 10-éj zajeżdża do nas powozem, na cały dzień najętym, proponując to spacer, to obiad, to jaki spektakl na wieczór.

Nie obraża się atoli,
Gdy Adam, płci pięknéj gwoli,
Z nią jeździć lub chodzić woli.

Bo i sam on, jak widzę, jest jéj wielkim admiratorem, większym nawet niźli kamiennych lub malowanych piękności. Ilekroć zaś zwiedzamy razem stare jakie pomniki i gruzy: ma zawsze w pudle powozu ogromny jakiś *Dictionnaire historique*, z którego ja zazwyczaj, jak bernardyński braciszek w refektarzu, czytam głośno objaśniający artykuł. Nic go wszakże tak nie wzruszyło, jak obraz zakopywania żywcem biédnych Westalek, na placu, gdzie się to odbywało, a który zowie się tu dziś *polem zbrodniczém*, (*Campo scelerato*). Czas, to dopiéro wielki sędzia i mściciel, jak mówi gdzieś Lord Byron, który wszystkiemu na świecie sprawiedliwość nakoniec wymierza, i nadaje właściwe znaczenie albo nazwisko!

Onegdaj z tymże Potockim, x. Parczewskim, Strzeleckim, i kilku innymi, zwiedzaliśmy sławne *katakumby*, za bramą i przy bazylice Św. Sebastyana za miastem. Niegdyś, w świątyniach i pałacach Romy, zwano je pewnie *jaskiniami złoczyńców*, za jakich uchodzili

pierwsi chrześcijanie, którzy w nich szukali schronienia, kopiąc je i rozszerzając sami coraz daléj. Dziś jest to przedmiot czci i pobożnych pielgrzymek, na podobieństwo z grobem Zbawiciela; bo z nich to, jak *On Sam* z grobu, zmartwychwstało i wyszło na świat chrześcijaństwo. Były to pierwiastkowo kopalnie piasku i kamieni, na budowę tych gmachów Romy, które przez wieki dziwiły świat ogromem, jak dziś zadziwiają ruiną: że mogły być tak wielkie i upaść. A oto na ich gruzach, nie tylko tu, ale i na całéj kuli ziemskiéj, wznoszą się pod niebiosa miliony świątyń, których prawdziwe kamienie węgielne z tych samych właśnie pochodzą kopalni. Bo przecież musisz wiedzieć, że w każdym ołtarzu, przy którym ma się odprawiać ofiara mszy świętéj, jest i musi być koniecznie kamień z relikwiami świętych Męczenników. Otóż dziewięć dziesiątych takich relikwij, które się po tych wszystkich kościołach znajdują, dostarczyły niewątpliwie tutejsze katakumby. Były one albowiem nie tylko schronieniem żywych, ale téż i ogólnym cmentarzem pierwiastkowych chrześcijan, przez ciąg wieków prześladowania. I owe kamienie z relikwiami w ołtarzach, są właśnie na pamiątkę tego, że się wtenczas na grobach męczenników w tych lochach odprawiały święte ofiary. Lochy te są niezmiernie obszerne; nie tylko opasują miasto i rozciągają się pod niém w rozmaitych kierunkach, ale sięgają nawet, jak mówią, aż do brzegów morza w Ostii. Długość ich wszystkich razem wzięta ma jakoby wynosić seciny mil, a liczbę w nich pogrzebionych obliczają na miliony. Są to

kurytarze, dość ciasne, wązkie, ciemne i wilgotne, oświecone gdzie-niegdzie przez otwory w górze (*lucernaria*); rozszerzające się niekiedy w rozmaitych kształtach, jako kaplice, a w ścianach po obu stronach mające właśnie owe grobowce, z których dzisiejsze nasze cmentarne katakumby wzięły swój wzór i nazwisko. Ta część pieczar, w któréjśmy byli, nosi nazwę *Katakumb Św. Sebastyana*, od zwłok tego świętego, które tu Ś. Lucyna przeniosła, i sama wkrótce obok nich spoczęła. Wejście do nich jest z cmentarza Ś. Kalixta. Inne wejścia do innych części katakumb, i same te ich gałęzie, zowią się też *cmentarzami* i noszą również imiona różnych Świętych, którzy w nich pogrzebieni byli. Mówię *byli*— bo tak relikwie ich, jak i wszystkie ruchome pamiątki, jak *np.* sarkofagi, łzawnice, freski, a nawet same nagrobne kamienie z napisami lub rysunkami, przeniesiono już ztąd oddawna do kościołów albo muzeów. Czy zaś te wszystkie gałęzie katakumb łączą się pomiędzy sobą, z pewnością niewiadomo; bo w jednych miejscach przejścia zasypane są ziemią, w drugich zaś zamurowano je umyślnie; gdyż nieraz zdarzały się przypadki, że zbyt gorliwi pielgrzymi, lub nazbyt ciekawi podróżni, ginęli zabłąkani w labiryntach podziemia. Dziś nie wolno ich zwiedzać inaczéj, jak za poprzedniém pozwoleniem władzy kościelnéj, i to z przewodnikami opatrzonymi w pochodnie. Mybyśmy jednak i bez nich mogli tam spacerować bezpiecznie, mając pomiędzy sobą Strzeleckiego, który z niemniejszą (jeśli nawet może nie z większą) cieka-

wością i zapałem archeologa studyuje te podziemne pieczary, jak rozsypane nad niemi gruzy starożytnéj Romy; bo w gruzach widzi już tylko szczątki staréj, a tu szuka zaczątków nowéj ery świata. I rzeczywiście słuchaliśmy go jak złotoustego kaznodziei, gdy z drobnych na pozór szczegółów, jak np. z napisów, godeł, rysunków, wyprowadzał całe szeregi pojęć, uczuć i wyobrażeń, nieznanych wtedy jeszcze na powierzchni ziemi, a które tu pod ziemią kiełkowały, krzewiły się i rosły, jak ziarna nowéj cywilizacyi, polewane krwią męczenników, nim ich plon całą ziemię ogarnął i całą ludzkość nowém życiem ożywił. I było w tém bez porównania więcéj ciekawego, niż w szerokiéj a wielce uczonéj prelekcyi p. professora Nibby „O starożytnych grobowcach Rzymskich," którą miał przed tygodniem, za opłatą, dla cudzoziemców, a na którą nas xiężna Zeneida zawiozła. Professor odbywał ją pod gołém niebem, za tąż bramą Ś. Sebastyana, niegdyś *Porta Capena*, zkąd wychodziła owa sławna droga *Via Appia*, zwana *Królową dróg* (*Regina viarum*), któréj szczątki, wespół z gruzami wodociągów, stanowią dziś najwspanialszy, jeśli nie jedyny zabytek z czasów Rzeczypospolitéj Rzymskiéj.—Pamiętasz pewnie z archeologicznych lekcyj naszego szanownego Gottfryda Ernesta Grodka, że podług prawa Dwunastu Tablic, groby Rzymskie powinny były być zawsze za miastem; stawiano zaś je zwykle wzdłuż dróg publicznych dla tego, aby pamięć w nich pogrzebanych w umyśle przejeżdżających odświeżać.

Otóż do boku *Królowéj dróg* cisnęli się wyłącznie ze swojemi grobami ówcześni „*Królewięta* Rzymscy, (jak Chmielnicki naszych panów nazywał), i w pośród tych to grobów p. Nibby przedmiot swój *ex cathedra* wykładał. Szereg ich rozpoczyna grobowiec Scypionów, najstarożytniejsza ze wszystkich pamiątka Romy. Jest to właściwie już tylko *grób grobu:* loch podziemny, nad którym wznosiło się niegdyś olbrzymie mauzoleum. P. Nibby, jak Cuvier ze szczątków mammuta, odgadywał zeń i odtwarzał wyobraźni słuchaczów dawną jego całość; ja zaś powtarzałem sobie w myśli z Krasickim:

„I my znikniemy, i mogiły znikną."

Żadna nawet z kamiennych postaci Scypionów, które zwykle w grobowcach obok urn z popiołami stawiano, nie uszła przed kosą Saturna; kości zaś ich, jakiś senator Wenecki uwiózł ztąd do swojéj ojczyzny, i tam podobno wystawił im jakiś pomniczek, dla ozdoby ogrodu swojéj wiejskiéj *villi*. *Sic transit gloria mundi*. Jedyny biust z tego grobu, uwieńczony laurem, a znajdujący się dziś w Watykańskiém muzeum, ma być, jak mówią, wizerunkiem poety Enniusza, którego, jak byli patronami za życia, tak widać i po śmierci Scypionowie do grobowego swego towarzystwa przyjęli. I nie jestże to niejako symbol, jak w potomności sława poetów nad sławą bohatérów— pióro czy rylec nad mieczem, duch nad ciałem—góruje? — Ze wszystkich innych pomników, a raczéj mauzoleów, najlepiéj zachowany jest dotąd grób Cecylii Metelli, żony Triumwira Krassusa. A więc

i znowu jakby nowy symbol—tryumfu dzieła miłości nad śmiercią i czasem! — Podstawa kwadratowa, z ogromnych brył kamienia; nad nią rotunda z białego marmuru, wewnątrz któréj stał niegdyś sarkofag, zdobiący dziś dziedziniec pałacu Farnese. Nad tą rotundą czy wieżą, były jeszcze do około kolumny, nad któremi wznosiła się kopuła. Zrzucono je w wiekach średnich, gdy sam pomnik służył za twierdzę.— Przy tym i przy innych grobowcach i *columbariach*, ciągnących się szeregiem o kilka mil włoskich za miasto, p. Nibby rozwodził się szeroko nad ich architekturą, opowiadał ich rozkład wewnętrzny, obrzędy przy paleniu lub grzebaniu ciał, i t. d.— *Columbaria* (gołębniki), są to jakby pałacowe officyny przy grobach możniejszych rodzin, w których mieszczono popioły ich wiernych sług lub klientów, stawiąc urny w otworach podobnych do okien gołębników, zkąd i ta ich nazwa pochodzi. W *katakumbach* już nie ma téj różnicy stanów. Patrycyusz czy wyzwoleniec, (niewolników tam zgoła nie było), spoczywali tuż obok siebie jak rodzeni bracia w Chrystusie. Purpurę, czyli (jak u nas nazywano) karmazyn, stanowiła tam tylko jedna krew męczeńska. Przepych nie odznaczał grobów bogaczy, gdzie ubóstwo uważano i czczono jako jednę z cech Bóstwa na ziemi. Za toż nad niemi, na powierzchni świata, jak we wszystkiém, tak nawet i w grobowcach, w miarę jak *virtus* (cnota i siła) Romy chyliła się do upadku, przepych i zbytek szalony wzrastał jak cień od ciała przed zachodem słońca. Dzisiejszy zamek Ś. Anioła, prawdziwa

forteca, jest niczém innem jak grobowym pomnikiem Cesarza Adryana; a piramida na grobie Kaja Cestyusza, który był niczém więcéj jak liwerantem, czy też ordynatorem uczt i biesiad cesarskich, czyliż nie przypomina pychy Faraonów Egipskich?—A podobną też kolej rzeczy możnaby i w chrześcijaństwie dopatrzyć. Nazwa „*wieku odrodzenia*,“ sprawiedliwie mogłaby się nazwać *dwuznaczną*, przy stosowaniu jéj do pogaństwa i do chrześcijaństwa. Pogaństwo zaczyna się w nim *odradzać* z upadku, a chrześcijaństwo *odradzać się* od pierwotnéj swojéj czystości. Jedno i drugie dzieje się z razu bardzo niewinnie w imię nauki i sztuki, które owszem żarliwy duch chrześcijański chciałby uświęcić i podnieść ku Niebu. Ale jak w sztuce ciało, olśniewając pięknością, zaczyna zwolna brać górę nad duchem: tak rozum ludzki, olśniony nagle skarbami wiedzy starożytnych, jak młody dziedzic ogromnéj fortuny, rośnie coraz w próżność i pychę, i widząc co już dokonał przed wschodem światła objawionéj wiary, myśli że się i nadal obejść może bez niego; aż coraz bardziéj zaufany w swych siłach, występuje do walki z wiarą, ażeby w końcu, jak to dziś widzimy, z pod doktorskiego biretu pana Hegla, sam się Bogiem jedynym ogłosił. — Ale wracam do grobowców Rzymskich. — Same groby papieżów z owych czasów, o ile się oddalają od katakumbowych, o tyle się zbliżają do pomników z nad drogi Appijskiéj. Gdzie tu czas zmówić *Anioł Pański* za duszę, albo rozpamiętywać cnoty pogrzebionych, kiedy dokoła rzeźby i posągi całą myśl twoję zwracają ku

sztuce, ku podziwianiu lub krytyce jéj mistrzów?— Nieraz przychodził mi na myśl grób Paca, w Antokolskim naszym kościele Ś. Piotra, który jest wiernem odbiciem ducha mogił katakumbowych. Wielki pan i dygnitarz, fundator kościoła, każe się grześć w jego progu, aby po nim wszyscy deptali, i zamiast wyliczania godności swych lub czynów, wyryć na grobowym kamieniu jeden tylko wyraz: *peccator* (grzesznik)!—W Rzymie, z pomiędzy wszystkich sławnych grobów, które widziałem, (a widziałem ich mnóstwo, i ex-królów, i bohatérów, i mędrców, i wielkich artystów), jeden tylko uczynił na mnie podobne, duchowe wrażenie. Jest to grób poety, grób Tassa, w kościele Ś. Onufrego, na wzgórzu *Janiculum* leżącym. Przyczyniło się jużciż do tego i wspomnienie całego ciągu życia tego ideału poety, w zapasach z losem, światem, z wiekiem swoim i z sobą samym. Ale dosyć byłoby i samego grobu. Prosty kamień w podłodze kościelnéj z napisem:

D. O. M.
Torquati Tassi
Ossa hic jacent.
Hoc ne nescius esset hospes
Fratres hujus ecclesiae
P. P. (posuerunt)
Anno MDXCV.

Tak więc ubodzy zakonnicy skromnego kościołka biorą na siebie zawiadamiać gościa, gdzie leżą prochy człowieka, który gdyby nie był umarł dniem przedtém, nazajutrz już miał stać się przedmiotem

ogólnéj czci całego chrześcijańskiego świata; w Rzymie, na Kapitolu, z rąk najwyższego kapłana i króla, rozdawcy koron i aureoli, miał otrzymać koronę laurową i razem aureolę chwały najpierwszego poety swojego czasu! Czyżby więc śmierć zatarła zasługi? Czyż dla zwłok takiego człowieka nie było miejsca w Watykanie czy w Panteonie? albo czyżby grób jego nie był wart pomnika? Wprawdzie najświetniejszy pomnik nagrobny ująłby tylko może wrażenia dzisiejszemu grobowi. A ja rzuciłem pytanie, co lepiéj: czy że poeta umarł w przeddzień swego tryumfu, czy żeby był umarł nazajutrz? Panna Henryetta, rodzice jéj, Strzelecki, x. Parczewski, który był z nami, wszyscy żałowali wraz ze mną, że téj pociechy nie dożył. Jedna tylko panna Marcellina zrobiła uwagę, że pożyteczniéj może dla duszy opuszczać świat w poczuciu jego znikomości, niż w upojeniu próżności i chwały. Adam stał nachmurzony na uboczu i milczał, jakby naszych dyskussyj nie słyszał. Na zapytanie dopiéro saméj pani hrabiny, ocknął się z zamyślenia i rzekł: „że o témby najlepiéj mógł powiedzieć sam Tasso, gdyby mu dano przemówić z za grobu.“—Nie słowa te, ale ich ton i sama wibracya głosu miały coś tak przenikliwego, że wszyscy raptem zamilkli, a ja szczerze *in petto* zmówiłem wieczne odpocznienie za Tassa, jakby za zwyczajnego nowego nieboszczyka, i przytém z mimowolną trwogą westchnąłem o zdrowie Adama. Czy ta myśl przebiegła i drugich?—z pewnością nie wiém, ale mi się tak

zdało;—a wiész, że się niekiedy myśli magnetycznie zgadują.

Z kościoła, przewodniczący nam zakonnik zaprowadził nas do celi w klasztorze, w któréj Tasso chorował i umarł. Celka mała, sklepiona, ale jasna, a z okna cudny widok na miasto. W ogrodzie rośnie ogromny dąb, pod którym codzień siadywał, a zkąd widok jeszcze piękniejszy, ogarnia całe miasto, i okolice aż do morza. W celi zachowane są ubogie sprzęty, które mu służyły w chorobie: krzesło, pas, miska, zwierciadełko i kałamarz drewniany. Ale najciekawszym jest rękopism ostatniego niedokończonego listu do przyjaciela. Szkoda, że go nie mogłem całkiem zapamiętać; bo jest on niemniéj może wiernem odbiciem wysokiéj, rzewnéj i wierzącéj duszy poety, jak maska z wosku, zdjęta z twarzy jego po śmierci, i podług niéj wykonane popiersie, dają poznać szlachetne, piękne rysy oblicza, na które śmierć może dopiéro spokojność i pogodę rozlała. W liście tym przepowiada już blizką śmierć swoję. Jest w nim i odcień żalu do losu i świata, i poczucie wartości własnéj, gdy mówi: że musi umierać w nędzy, on, który się przecież spodziewał, że chwała, którą pisma jego wiekowi przyniosły, przyniesie coś i dla niego samego. Pisze daléj, że się przeniósł do tego klasztoru nie tylko dla zdrowego powietrza, ale też aby w rozmowach z pobożnymi zakonnikami przygotować się lepiéj do wieczności. Kończy prośbą o modlitwę za siebie i zapewnieniem przyjaźni w przyszłém, trwalszém życiu. W obec tych słów i myśli, któ-

rych śmierć skończyć nie dała, straciły urok laury, których wieniec zdobił popiersie. Przyszedł mi tylko na myśl, i powtórzyłem wiersz Naruszewicza:

„Wasz to obyczaj—cierniem w życia ciągu,
Laurem po śmierci wieńczyć na posągu.“

Poprosiłem wszakże panienki, ażeby mi uszczknęły każda po trzy listki. Posyłam tu z nich dwa: jeden dla ciebie, drugi dla Olesia. Trzeci poszlę wprost Ignacemu, czwarty zachowam sobie. Dwa zaś ostatnie przeznaczam dla Czeczotta i dla Witwickiego. Bo nie wiém zkąd i dla czego, ale o ile zapamiętam, myśl o losie i śmierci Tassa łączyła się we mnie mimowolnie z wyobrażeniem doli i śmierci naszego Kniaźnina, którego znowu z rzewności i piosnek przypominał mi Czeczott. Tymczasem, jak widzę z fizyognomii, ze wszystkich naszych znajomych, najpodobniejszym do Tassa byłby może chyba Witwicki, tak z powagi i regularności rysów, jak z wysokiego czoła i podłużnego owalu twarzy. Po Adamie, Witwicki jest dla mnie najpiękniejszym ze wszystkich naszych poetów. Myślałem zaś po kolei o wszystkich, nie wyjmując nawet klassyków—a wiész z jakiego niedorzecznego powodu? Oto, gdzie który może umrzeć i być pochowanym? a to stosując do wszystkich wiersz Kochanowskiego:

„I obmyśli to pewnie syn pięknéj Latony,
Że popiół kości moich nie będzie wzgardzony.“

Ale dość téj żałoby!
Laur rzuciwszy na groby,

Pójdź teraz z nami użyć życia i wiosny, którą w pełnym rozkwicie, blasku, bujności i krasie południowéj, obaczyliśmy i powitaliśmy raz piérwszy w villi *Doria-Pamphili*, (nieopodal od grobu Tassa, na témże wzgórzu Janiculo, za miastem). Jest to rozkoszna, cienista oaza na tle pustynnéj Kampanii Rzymskiéj, wartaby również zwać się królową villi, jak *Via Appia* królową dróg. Oprócz obszaru, położenia, widoków; prześlicznych łąk i trawników; przepysznych drzew i gajów: mirtowych, laurowych, migdałowych, pomarańczowych, a zwłaszcza sławnych tutejszych palm-sosen, których ciemno-zielone wachlarze, rozgałęzione dopiéro u szczytu, jak baldachin nad palankinem, rysują się i odbijają malowniczo na tle nieporównanego błękitu, a przeświecane same promieniami słońca, ścielą jakby gwiazdziste kręgi cienia po kwiatach, których nieprzeliczone mnóstwo, i dziko i sztucznie rozsianych, mieni się i połyskuje wszystkiemi barwami tęczy, a wonność ich — zwłaszcza fijołków — rzeczywiście przesyca powietrze i upaja za każdym oddechem. Otóż oprócz tych wszystkich skarbów Fauny i Flory, o których my północnicy ani wyobrażenia nie mamy—villa ta odznacza się jeszcze nadzwyczajną obfitością wody: to rozlanéj w gładkie zwierciadła, to szemrzącéj w małych strumykach, to szumiącéj w spienionych kaskadach, to tęczami tryskającéj w powietrze, to nakoniec samym swym spadem na klawisze czy szkiełka, gra-

jącéj na tak zwanym *hydraulicznym organie*, jak wiatr gra na arfie Eolskiéj. Jest to sławna niegdyś *Aqua Traiana*, teraz *Aqua Paola* albo *Paulina*, od imienia papieża Pawła V, który ten starożytny wodociąg odnowił i powiększył; a która dziś obficiéj niż dwie inne: *Aqua Vergine* i *Aqua Felice*, napawa, płócze i orzeźwia Rzym nowy, na wszystkich jego pagórkach i placach. Idzie ona z dwóch jezior: *Braciano* i *Martignano*, i tu na wzgórzu Janiculo rozdziela się na dwie gałęzie, z których jedna, przez wspaniałą fontannę *Paulina*, rozlewa się na *Pozatybrze* (*Trastevere*), a druga płynie ku Watykanowi, i tworzy tam te dwie sławne olbrzymie fontanny, które biją na placu przed kościołem Ś. Piotra. Otóż w villi *Pamphili* po drodze, Najada ta, w całéj piękności, ukazuje się najprzód i popisuje przed Rzymem, i sama sobie gra marsz na organie, jak wojsko przed wejściem do miasta.—Milszéj wycieczki nie mieliśmy dotąd. Adam był rozpromieniony jak słońce; panienki ożywione jak kwiaty od słońca; a mianowicie panna Henryetta, która w wesołych podskokach jak dziecko goniła za motylami po łące. Nie mogąc jéj doścignąć — przypomniałem i powtórzyłem wiersz z *Maryi Sztuart* Szyllera, ze sławnéj sceny w parku *Fotheringhay*, którym Kennedy do Maryi przemawia:

„*Ihr eilet ja, als wenn Ihr Flügel hättet* [1])."

Aż tu, ku największemu podziwieniu mojemu, biegnąca zatrzymuje się nagle, zwraca się, i z figlarnym

[1]) Spieszysz się, pani, jakbyś skrzydła miała.

uśmiechem i pozą, odpowiada mi słowo w słowo odpowiedzią Maryi w sztuce:

„Lass mich der neuen Freiheit geniessen,
Lass mich ein Kind seyn! Seyd es mit!
Und auf dem grünen Teppich der Wiesen
Prüfen den leichten, geflügelten Schritt!“

Adam zadziwił się także, i nuż w admiracyą pamięci i talentu deklamatorki! (W istocie deklamuje prześlicznie). Ja zaś, na rozkaz panny Marcelliny, pararazuję jak mogę naprędce ten cudny oryginał.

O! daj mi, pozwól mym myślom i sercu
Użyć swobody, zdziecinieć na chwilę,
I po zielonym téj łąki kobiercu
Z wiatrem skrzydlate wyścigać motyle.

I gdy sama pani hrabina admiruje z kolei parafrazę moję, ja palę daléj *ex promtu* apostrofę do saméj panny Henryetty:

O! baw się, pani! korzystaj z téj chwili!
(Ja odpowiadam za Annę Kennedę),
Wiosna wam za nas odpłaca w *Pamphili*,
Uroki zimy na *Via Mercède*.

Tu już i Adam śmieje się i daje mi *brawo!* a ja, jako uznany laureat, dopominam się u panienek o wieniec. Zrywają i dają mi kwiatki. Adam także zbiera szybko fijołki, i uzbierawszy garść pełną, rzuca niemi na pannę Henryettę. Panna Marcellina podbiegła, i schwyciła kilka w przelocie. Adam woła o zdobycz nieprawną, bo one wszystkie należą

do swojéj *królowéj;* a jest i warta być *królową fijołków* ta, co gra tak *La Violette* Herza, (ulubioną sztuczkę Adama). Tu wszczyna się gwar i dysputa. Ja pytam: jakież więc kwiaty dla panny Marcelliny przeznacza? On zrywa i podaje jéj narcyz. Ja w nim, jako w godle próżności, widzę przytyk do wyniosłości i dumy; Adam tylko podobieństwo z lilią, któréj tutaj nie ma pod ręką. Heroina z obydwóch tych względów stanowczo nie przyjmuje narcyza. Ja więc zrywam i ofiaruję *purpurowy* anemon. Zgadła, jakby wyczytała myśl moję, do czego ja ten kolor stosuję; i „*Kardynał mój*“ z ofuknieniem odpycha przypomnienie szkarłatu:

„*What? not recieve my foolish flower?*
Nay, I am then indeed unblest! [1])“

wołam patetycznie z Zulejką, uderzając i załamując dłonie. Ale nim doszedłem do wiersza, który zwłaszcza chciałem powiedzieć:

„*And knowst thou not who loves thee best?* [2])“

przerwała mi jak na biédę panna Henryetta, która związawszy mały bukiecik z dwóch różyczek i kilku liści laurowych, przyniosła go i podaje Adamowi. On także wzbrania się przyjąć i usuwa się mówiąc: „Jedno zawcześnie, drugie za późno!“ — Tu panna Marcellina oddaje mu schwytane na powietrzu fijołki

[1]) Co? nie przyjmujesz mego drobnego kwiatu?
O! toż już jestem iście nieszczęśliwy!

[2]) Nie wiész-że, kto cię kocha najwięcéj?

i z wesołym przekąsem mówi: „Może te będą panu najmilsze?“ — „Ale co na to powié ich królowa?“ ja pytam. Królowa zarumieniła się tylko jak róża;— a w téjże chwili sama pani hrabina, godząc nas, dalsze spory przerwała.

Ale nie tylko ona i my wszyscy — sam też pan Ankwicz, zwykle poważny i zimny, ożywił się tu i rozweselił. I gdy wnet z jakiegoś pagórka, zkąd widać całą Kampanią Rzymską, wytężamy wzrok w stronę morza, które jak pas jasnych obłoków błyszczy tylko zdaleka i zlewa się z niebem: on zamawia nas i zaprasza na przejażdżkę do *Fiumicino*, aby zblizka *Mediterraneum* oglądać. (Jest to najbliższy Rzymu punkt na brzegu morskim). Dziękujemy, ma się rozumieć; a on snuje dalsze projekta innych jeszcze wycieczek za miasto, nim skwary i *malaria* nastaną. I rzeczywiście temi projektami osłodził nam—a zdaje się, że i panienkom—szczery smutek z opuszczenia téj villi, gdy zachodzące słońce przypomniało powrót do miasta. Ale jeszcze i sam ten powrót, równie jak i przepyszny zachód słońca, przedłużały urok dnia tego. Adam, choć nie wierszami, ale wszystko co mówił było jak improwizacya poetyczna. Siedział naprzeciw panny Henryetty; udrappowany płaszczem, bez kapelusza, uśmiechniony, rozpromieniony, wyglądał rzeczywiście na Antinousa. Wszystko co się nawinęło na oczy, podawało treść do rozmowy, któréj tłem była żartobliwa wesołość. Z samą panią grał w *cetno* i *licho* na palcach; pannę Henryettę wyzwał na grę w *zielone*, a z panną Mar-

celliną kłócił się ząb za ząb. Gdy zaś wkrótce z samym panem Ankwiczem zaczął poważny dyskurs o polityce: nie dziwi mię, że jego interlokutor, za powrótem do domu, nie mógł wyjść z podziwienia nad jego głębokim rozumem. Dowiedziałem się o tém nazajutrz od saméj pani; i to właśnie dało mi assumpt do długiéj z nią i nader poufnéj rozmowy, która znowu posłużyła mi za najsilniejszy argument, do zwalczenia dziwacznego projektu Adama, który spadł na mnie jak piorun. Kiedy ja bowiem nazajutrz po téj naszéj wycieczce, rozpływam się w marzeniach o niéj i o przyszłych, i choć już nie śpiąc leżę z zamkniętemi oczyma: on wstał wcześniéj niż zwykle, i okrywszy się płaszczem, chodził w kółko po drugim pokoju. Byłem pewny że kuje wiersze, i żeby mu nie przeszkadzać, umyślnie przedłużałem półdrzemkę. Aż tu nagle przy kawie występuje z projektem, żeby jechać do Neapolu z Potockim, który się tam wkrótce wybiera. Struchlałem od stóp do głowy, bo zgadłem o co rzecz idzie. W Wejmarze straszył mię nieraz wyjazdem, jak Mentor Telemaka; tu sam sobie chce być Mentorem. Odradzałem, ale nie protestowałem stanowczo, żeby się przez przekorę nie uparł. Ale dopiéro wieczorem, po téj rozmowie z samą panią, rozmówiliśmy się téż z nim na otwarte, chociaż w sposób ogólnikowy, i stanęło nakoniec na dewizie Bayarda: „*Fais ce que tu dois, advienne ce que pourra.*“ — Dłużéj ci o tém nie piszę. — Ale co mam napisać o wycieczkach do innych villi i okolic, o których na początku tego listu wspomniałem? Opi-

sy ich nie wchodzą w mój program, a towarzystwo, lubo zawsze bardzo miłe, niekiedy nawet toż samo, nie miało już wszakże ani tego uroku, ani takiego wpływu, jak w *Doria - Pamphili*. Byliśmy jeszcze z państwem Ankwiczami w villach *Albani*, *Niels*, i *San Severino*. Pierwsza ma piękne widoki, ale ogród nie może się równać z Pamphili. Za toż pałac jest bez porównania piękniejszy, a nadewszystko jest on po Watykanie i Kapitolu najbogatszém muzeum rzeźb starożytnych, zapełniających portyki, galerye, sale, a uszykowanych podług planu i pod przewodnictwem samego Winkelmana. Jest tu sławny profil Antinousa; posąg jakoby Brutusa, (dla tego, że ze sztyletem w ręku), ale taki szkaradny co do wyrazu twarzy, że wartby wyobrażać najemnego zbira; i t. d. Najciekawszemi wszakże dla mnie były posągi i biusta rozmaitych cesarzów Rzymskich, których tu jest wielkie mnóstwo. Zresztą widzieliśmy już to wszystko parę razy przedtém, a teraz przebiegliśmy tylko przelotem, dla przypomnienia, napawając się głównie wiosną i wonią kwiatów; mianowicie w villi Niels, której szczególną zaletę i sławę stanowi niesłychana obfitość róż, zaścielających literalnie resztki gruzów pałacu Cezarów, na których i z których jest zbudowaną, a zowie się od imienia właściciela swojego, Anglika. Villa *San Severino*, niewielka, zaniedbana, opuszczona, podobała się jednak najlepiej Adamowi przez to, że mu przypominała niektóre ogrody litewskie. To mi nastręczyło uwagę, że niektórzy wojażerowie nasi w cudzych krajach, podobni są do par-

weniuszów, którzy w towarzystwie bogaczów wstydzą się ubogiego pochodzenia swojego; kiedy przeciwnie drudzy, rozumni i zacni, tém bardziéj zaczynają kochać kraj własny, na zasadzie tego uczucia, o którém mówi Brodziński, że

„Rzewniéj się jakoś kocha matkę nieszczęśliwą.“

Panienki z tego powodu zapragnęły obaczyć ową drogę litewską, za *Porta Pia*, o któréj ci już kiedyś pisałem, że Adam brał ją meraz za cel naszych przechadzek za miasto, i często o niéj przed panienkami wspominał. Pojechaliśmy więc za *Porta Pia*, i byliśmy radzi niezmiernie, nie tyle z saméj téj drogi, co z ogólnego widoku Kampanii Rzymskiéj, rozkwitającéj w pełni powabów wiosennych, których jeszcze skwar słońca nie zwarzył. Adam jednak i tu znalazł sposobność przenoszenia wiosny naszéj nad włoską, a mianowicie: że u nas całe powietrze rozlega się śpiewem skowronków, a tu ani jednego nie słychać.

W *Villi Borghese* odbyliśmy formalną majówkę, (Luty tutejszy wart naszego Maja), z całym dworem xiężny Zeneidy, licząc w to nas i p. Ricci, i z całém towarzystwem pani Klustin, licząc w to Bonstettena, pp. Duby i De Luc; a nadto z dodatkiem szaradowych naszych współartystek: panien Siemionow i panny Luizy Vernet z matką, oraz kilku panów, częścią z ambassady francuzkiéj, częścią z pomiędzy uczących się tu kosztem Akademii Petersburskiéj artystów, na czele których jest p. Bruni, bardzo światły i miły młodzieniec. Wyjechawszy po rannem śniadaniu od xiężny,

przebawiliśmy dzień cały, jak dawni Rzymianie, pod gołém niebem; przyczém cieniste szpalery villi służyły nam za portyk, a szum wody, *Aqua Vergine*, przepływającéj tędy ponad villą, (wodociągiem na wysokich arkadach), jeszcze to podobieństwo podwajał. Owoce, ciasta, cukry i wino, składały ballast każdego powozu. Mężczyzni tylko i pani Vernet z córką byli gośćmi. Za toż ona w powrócie zaprosiła nas do siebie na lody, które czekały na nas w ślicznym ogrodzie, w villi *Medicis*, pod którym, podziemnym kanałem, przepływa taż sama *Aqua Vergine*, któréj nam w villi *Borghese* dostarczały do picia szumiące fontanny. Towarzystwo nasze dzieliło się tam na dwie połowy. Starsza—do któréj należeli Adam i panna Anastazya — siedziała sobie pod cieniem, gwarząc jak polne koniki, (według porównania Homera); młodsza zaś, pod nominalnym nadzorem i opieką dobréj pani Własow, motylkowała swobodnie po parku. A zaglądaliśmy téż i do tak zwanego *Casino*, to jest pałacyku w ogrodzie, w którym, jak w villi *Albani*, można widzieć niemały zbiór rzeźb starożytnych; choć są to tylko resztki ogromnego niegdyś muzeum, które xiąże Borghese, szwagier Napoleona, przedał mu za ośm milionów franków.

Najpiękniejszą ozdobą tego zbioru jest najnowsza statua Wenery, zwanéj *zwycięzką* (*Victrix*), dłóta Kanowy, do któréj za model artyście pozowała sama xiężna Borghese, słynna z piękności Paulina Bonaparte. Oglądaliśmy ją sami mężczyzni, bo damy wejść razem nie chciały. Bez nadziei cudu Pigma-

liona, niebezpiecznie byłoby wpatrywać się w nią długo, ażeby potém głowy o ten marmur nie strzaskać. — I wiész jakie mi przyszło doskonałe wytłómaczenie mitu o Galatei? Pigmalion zakochał się nie w posągu, ale w modelu, a zapomniawszy o marmurze i glinie, zwolnił go z piedestału i z pozy posągu, i ztąd poszło, że posąg ożywił. Wszyscy uznali słuszność mego wniosku.—A ja od Galatei przechodząc do Egeryi, powiém ci jeszcze słówko o ostatniéj, bo onegdajszéj wycieczce naszéj za miasto, właśnie do groty i gaju téj bogini, czy kochanki Numy.

Egeryą w niéj naszą była panna Anastazya, a towarzyszami, trzej Genewscy jéj przyjaciele. Grota leży w prześlicznéj, długiéj, samotnéj dolinie. Zielone sploty bluszczu, zwieszając się z jéj wierzchu, tworzą jakby powiewną zasłonę u wnijścia. W głębi szeleszcze woda spadająca z góry. Nie dziw, że Numa przychodził tu marzyć; ale jeśli marząc nie usnął, to winien był chyba obecności Egeryi, jak my towarzystwu panny Anastazyi; bo inaczéj, ten szelest wody, a przytém miły chłodek i cień saméj groty, dziwnie jakoś równie do marzeń jak i do snu zachęca. Okrągły, mały gaik na wzgórzu, jest już nie wiém którym pra-prawnukiem owego, w którym ta czuła para spacerowała przed wieki.—Ale Egerya nasza w powrócie nie popisała się wcale z darem natchnienia. Chciała nam pokazać i objaśnić po drodze *Thermy Karakalli*, które sama studyowała kiedyś pod przewodnictwem Viscontego, i kazała tam jechać furmanom. Wysiadamy, wchodzimy — p. Duby czyta

z Nibbiego opisanie wspaniałych ruin — których nigdzie wkoło siebie nie widzim. Prosimy więc o objaśnienie uczonéj przewodniczki—a ta sama zakłopotana, zmieszana, dziwi się, jąka, i nie wié co mówić. Udajemy się zatém do przechodniów, ale i z tymi jakoś nie możemy się porozumieć. Jowialny staruszek Bonstetten i Adam wyścigają się w wesołych żartach z głębokiéj archeologicznéj wiedzy naszéj Ciceronki, która miała przed nami snuć nić Aryadny; aż nakoniec p. Duby, wertując daléj Nibbiego, domyśla się i przekonywa, że jesteśmy nie w *Thermach*, ale w *Cyrku* Karakalli—czego uczona przewodniczka nasza nie umiała sama odgadnąć. Ztąd nowe żarty i śmiechy, i nakoniec opowiadania rozmaitych w tym rodzaju anegdot, których żałuję że nie mam czasu powtórzyć, bo uszłyby na wety do uczt pana Kaspra. Zostawię to może na późniéj.—Teraz miałbym jeszcze do powiedzenia o kilku wieczorach: u pp. Potockich, Sanguszków, xiężny Dietrichstein, a mianowicie u xięcia Gagaryna, gdzie był powtórnie amatorski teatr, jak będzie jutro u xiężny Zeneidy, na którym znowu „*Mes Farces*,“ a więc i ja w nich wystąpię. U xięcia grano dwie nowe sztuczki: „*Le nouveau Pourceaugnac* i *L'Ours et le Pacha*, w któréj rolę niedźwiedzia grał jeden z naszych panów — czego mu drudzy nie mają za dobre. Ale dam temu pokój, a ograniczę się na świetnym kostiumowym balu u posła hiszpańskiego, hr. Gomeza Labrador. Wszystkie nasze znajome panie miały być na nim, a młodsze figurować w kostiumach. Udałem się więc do xięcia

Gagaryna, który tak był uprzejmy, że nie tylko dał nam bilety, ale sam był introduktorem naszym i przedstawił nas gospodarzowi.

Pałac ambassady hiszpańskiéj, na placu, który od niego bierze swe nazwanie (*Piazza di Spagna*), odznacza się prawdziwie królewskim przepychem. Gust i zbytek walczy tu o lepsze. Salony od marmurów, porfirów i złota. Freski najznakomitszych malarzy; płaskorzeźby Thorwaldsena, Kanowy, i t. d. Meble paryzkie, zwierciadła weneckie, kobierce perskie, naczynia etruskie, porcellany japońskie i chińskie. Złocone bronzy, alabastry, kryształy, błyszczą po wszystkich framugach i kątach. A to wszystko w zieleni i w kwiatach, morzem światła z góry oblane! A śród tego wszystkiego, wyobraź tylko sobie rój, tłum, fale panienek: Bogiń, Nimf, Sylfid, Wróżek, Bajader, Hurysek, w najrozmaitszych malowniczych strojach, różnych mód, czasów i krajów!—A jeśli ci to nie da pojęcia o świecie wschodnich baśni, albo raju Proroka, to, choćbyś był muzułmanem, nie wartbyś go nigdy oglądać. Nam wszakże nie godziło się myśleć o tém, bośmy właśnie należeli do Gwebrów; nie żeby za nich przebrani, lecz żeśmy giermkowali dwóm *Kapłankom Słońca*, którego obraz z pozłocistéj blachy, odbijając promienie światła, błyszczał im jak ono samo na piersiach; nie gasząc wszakże gwiazd srebrnych, na błękicie ich tunik rozsianych, co jakby przez chmurkę mgły letniéj, z pod przejrzystych zasłon migały. Zgadniesz łatwo, kto one były. Adam jeżeli odrywał się od nich, to chyba *pour faire sa*

cour damie dworu Ludwika XIV, którą z wielką powagą i wdziękiem reprezentowała nasza *Korynna;* ja zaś, jak zwykle przestając na mniejszém, *filonowałem* tylko czasem około *Berżerki Bretońskiéj*, któréj przedoskonały ideał przedstawiała panna Luiza Vernet. Ale co nas, i wszystkich w ogólności Polaków, radowało serdecznie i szczerze, to, że śród tylu bogiń i boginek, śród kostiumów całego świata, nie gasły, owszem świeciły: *Krakowianka*, i strój jéj góralski. Xiężna Iza tak go podniosła. Ale trzebaż, że ta pociecha serc naszych, a oczu wszystkich, że ta właśnie zamąciła wesołość balu. Wiodąc rej w piérwszéj parze mazurka, na srebrnéj podkóweczce czerwonego bócika, pośliznęła się — i choć nie upadła, tak strąciła stopę u zgięcia, że nie tylko już daléj tańczyć i pozostać na balu nie mogła, ale dziś nawet jeszcze śmiało stąpać nie może, i w powozie już tylko wybiera się na *Corso.*

Gdzie i ja, list ten zapieczętowawszy,
Ruszam—by potém napisać ciekawszy,
O tym Rzymskim karnawale.—
Tymczasem, na ten raz—*vale!*

XI.

Do tegoż.

Rzym, 24 lutego 1830 r. (Popielec).

„*Pulvis es et in pulverem reverteris.*“
Proch jesteś i w proch się obrócisz.

„A toż co?“—krzykniesz może na ten epigraf listu, mającego być opisaniem Karnawału Rzymskiego. Nie jest i to bez analogii z karnawałem. Bo jak niegdyś na *memento* dla ludu, ażeby się zbyt nie rozhukał, miano tu zwyczaj zaraz na początku tracić publicznie jakiegoś winowajcę: tak i ja dla tego posypuję cię najprzód obrzędowym dzisiejszym popiołem, abyś się wyobraźnią nazbyt nie rozbujał. Nie roszczę ja wprawdzie nadziei, aby mój opis miał sprawić ten skutek; ale i treść sama wystarczy. Opis ten zaś nie jest tylko dla ciebie lub dla was, jak bywały poprzednie, ale ułożyłem go dla szerszéj publiczności, i przeznaczam albo do przyszłéj *Melitelí*, albo do któréj z naszych gazet, jak o tém zadecyduje Witwicki. W tym celu pojedyńcze szczegóły, które widziałem, skupiłem i ująłem w ramy ogólnego obrazku, i ten ci tu najprzód przepiszę. Przy końcu zaś dopiéro, *tibi vobisque solis*, dodam jako *post-scriptum*, co przez ten czas moja własna *persona* w tym zgiełku i gwarze robiła. A więc masz:

Karnawał Rzymski.

Karnawał *(Carnevale. Mięsopust)*, zabytek dawnych Saturnaliów, tak niegdyś w starożytnym Rzymie ulubionych, jest dotąd narodową uroczystością we Włoszech, wspólną wszystkim ich krajom i miastom. Stolicą jego przedtém była Wenecya. Dziwne to miasto, zarazem do kamiennéj floty i do labiryntu podobne; z tysiącem swych krętych uliczek, krzyżujących się mostków, kanałów i tajemniczych gondoli; z placem Św. Marka, do balowéj sali raczéj podobnym; zdaje się być przeznaczoném na miasto intryg, biesiad i maskarad, stanowiących główną zabawę i powab karnawałów włoskich. Lecz minęły dla Wenecyi czasy wesela i uroczystości. Do Rzymu dziś śpieszyć musi podróżny na piérwszy i ostatni tydzień Wielkiego Postu, jeśli chce widzieć najwspanialszy kościelny obrządek i najweselszy w świecie karnawał. Najweselszy, bo kto nie był świadkiem wesołości Włochów, ten, możnaby powiedzieć, nie wié co jest wesołość.

W całém chrześcijaństwie tydzień zapustny przeznaczony jest zwykle na zabawę; lecz w innych krajach po miastach bawią się tylko niektórzy; w Rzymie lud cały —lud włoski. Gdzieindziéj teatrem zabaw są ciasne domy i natłoczone sale; tu całe miasto—Rzym! Podobnaż różnica i w ludziach. My np. bawimy się najczęściéj albo dla towarzyskich względów, albo dla przepędzenia czasu; Włosi dla użycia zabawy. Niemiec rad bawić się tylko drugimi—obserwa-

cyą; Francuz tylko dla drugich — popisywaniem się; Włoch bawi się w sobie i dla siebie—uczuciem. Ztąd to i upodobanie Włochów w maskaradach; bo maski zapewniają im najpotrzebniejszy warunek zabawy — swobodę. Niemcy mniéj w nich znajdują powabów; bo jużciż ciekawiéj jest obserwować cudze twarze, niż maski. Francuzi dla kostiumów chyba je lubią; bo sami woleliby raczéj okazywać się tylko, nie taić. Włochowi służą one do obudzenia jego wyobraźni, a ta mu za wszystko wystarcza.

Tegoroczny karnawał w Rzymie z większém niż kiedy oczekiwany był utęsknieniem; gdyż właśnie w poprzedzającym roku, śmierć Leona XII papieża pozbawiła była mieszkańców wszelkich zabaw publicznych. Od ostatniego dnia adwentu, był on już głównym przedmiotem, zajmującym myśl i wyobraźnię ludu. Ilekroć zdarzyło mi się przechodzić przez ludniejsze ulice lub rynki, gdzie się lud prosty z okolic codzień na targi zgromadza, nie było pewnie minuty, ażebym tu lub ówdzie, wpośród zgiełku i wrzawy, słowa: *Carnevale*, nie słyszał. Ilekroć, jako cudzoziemiec, wdałem się z Rzymianinem w rozmowę o jego mieście, żaden z nich nie zaniedbał zapewniać mię uroczyście, że wszystko, co mi się w niém dotąd podobało, jest niczém w porównaniu z ową rozkoszą, jakiéj bez wątpienia doświadczę, zobaczywszy Rzymski Karnawał. „Byle tylko Papież nie umarł!“ dodawał z westchnieniem każdy prawie mówiący, ściskając ramionami i wznosząc oczy ku niebu. Ta jednostajność obaw i jakaś tajemniczość przy ich wy-

rażaniu, zwróciły moję uwagę. Przy rozmowie więc o tém z jednym adwokatem, światłym i dojrzałym człowiekiem, zdziwiło mię niewypowiedzianie, kiedy na zapytanie moje: azali Ojciec Św. jest tak słaby czy chory? usłyszałem odpowiedź: że wprawdzie nie ma się tak źle bardzo w téj chwili, ale „że musi umrzeć w tym roku.“ (*Ma il deve morire quest'anno*). Dziwne to słowo *musi*, wymagało koniecznie objaśnienia. Jakoż dowiedziałem się naówczas po raz piérwszy, o czém późniéj nie sto razy słyszałem, że już od czasów Piusa VII krąży i znajduje powszechną wiarę przepowiednia, oznaczająca rok śmierci trzech po sobie następujących papieżów, która się już na nim samym i na jego następcy ziściła [1]). Panujący obecnie Pius VIII wié sam jakoby o niéj, i gotuje się do blizkiéj śmierci. Nie wiém jak dalece to prawda; ale co w publiczności, to nie zdarzyło mi się spotkać nikogo, coby miał w tém najmniejszą wątpliwość, i śmiało możnaby dodać, że pewno żaden naród nie troszczył się i nie prosił gorliwiéj o przedłu-

---

[1]) Przepowiednia ta, oparta na liczbach, jest następująca: Pius VII nastąpił po Piusie VI: 6 + 7 = 13; dodać (niewiadomo dla czego?) 10, będzie 23. Pius VII umarł w r. 1823. Po Piusie VII nastąpił Leon XII; 7+12=19, a *plus* 10=29. Leon XII umarł w r. 1829. Po Leonie XII nastąpił Pius VIII: 12+8=20 a +10=30. Pius VIII *musi* tedy umrzeć w r. 1830.

(*NB.* Przepowiednię tę przesłałem ci już kiedyś w jednym z poprzednich listów, a tu ją tylko dla ogółu czytelników powtarzam).

żenie życia swojego monarchy, choćby tylko do popielcowéj środy. Jakoż spełniły się życzenia, i w sobotę, przed mięsopustną niedzielą, o godzinie drugiéj z południa, huk dzwonów i wystrzał z działa na zamku Św. Anioła, ogłosił pożądane hasło karnawału.

Główna ulica *Corso*, przerzynająca wzdłuż całe prawie miasto, na któréj się maskarada odbywa, zaczerniła się w mgnieniu oka mnóstwem niezliczonego ludu; rzekłbyś, że wszyscy, w sieniach domów zamknięci, hasła tylko do wyjścia czekali. Po obu stronach ulicy, przy murze, wznosiły się już ustawione w amfiteatr proste drewniane ławki, lub plecione ze słomy krzesełka, na drewnianych podwyższeniach stojące, które spekulanci, lub sami właściciele domów, każdy przed swoim, do najęcia stawiają. Ze wszystkich okien wywieszone różnobarwne kobierce, albo adamaszkowe, galonami bramowane opony; wszystkie krużganki uwieńczone zielonemi wiankami i kwiatami; wszędzie wesołe twarze, ożywione giesta, wszędzie ruch, gwar, zgiełk, śmiechy i głośne rozmowy, zwiastowały powszechne wesele i prawdziwie narodową uroczystość. Uniesienie, prostego zwłaszcza ludu, tak się zdaje burzliwe, że niegdyś, by je powściągnąć i zagrozić zbytniéj swawoli, miano zwyczaj wraz z piérwszém hasłem karnawału tracić, dla zbawiennego przykładu, skazanego już na śmierć winowajcę, którego często lat kilka po wyroku na ten cel w więzieniu trzymano. Zwyczaj ten dziś już nie istnieje, i żadne smutne wrażenie nie mąci wesołości publicznéj; chyba że nad Sabińskiemi górami,

nad śnieżném czołem Sorakty, gromadzące się chmury niepogodą zagrożą. Naówczas po wszystkich kościołach nakazuje się nabożeństwo o pogodę, z wystawieniem Przenajświętszego Sakramentu. Rzymianie tak są przekonani, że Bóg ich zabawami opiekować się raczy: że choćby deszcz jak z wiadra lał rano, każdy się niemniéj przeto na popołudniową maskaradę gotuje, pełen ufności, że się niebo rozjaśni. Jakoż słyszałem od osób, bawiących przez lat wiele w Rzymie, że w rzeczy saméj najczęściéj tak bywa.

Za drugim wystrzałem z działa, całe wojsko załogi, jazda i piechota, przeciąga w całéj paradzie przez *Corso*, tam i nazad, gęste za sobą zostawiając straże. Trzeci wystrzał oznacza tryumfalny wyjazd najpierwszego ze świeckich urzędników, noszącego dotąd wspaniały tytuł „Senatora Rzymskiego," który ubrany w złotogłowéj szacie, krojem XV wieku, w niemniéj staroświeckiéj, poszóstnéj, ze szklanemi ścianami karecie, poprzedzany przez laufrów, mając za sobą dwie podobneż karety, orszak jego wiozące, objeżdża wolnym krokiem główniejsze miasta ulice, udając się do Kapitolu, gdzie we wspaniałéj sali, na tronowém krześle zasiadłszy, odbiera ponawiającą się corocznie przysięgę wierności od Żydów, w Rzymie mieszkających. Obrządek ten niegdyś ważny w istocie, dziś jest już tylko czczą formą. Rabin, na czele deputacyi, ubrany czarno, we fraku i w materyalnym płaszczyku, do stroju xięży podobnym, zbliżywszy się pokornie do tronu, w krótkiéj lecz ozdobnéj mowie, upraszał o pozwolenie dalszego w Rzymie poby-

tu. Otrzymawszy je, przyklęknął u nóg Senatora, i składając na znak hołdu ogromny pęk kwiatów, wymówił głośno dawną rotę przysięgi: „*Giuro la fedeltà al Senato ed al popolo Romano*“ (Przysięgam na wierność Senatowi i ludowi rzymskiemu). Senator przyjął kwiaty, i rabina zlekka nogą potrącił. Jest to zabytek upokarzających obrządków, przez które niegdyś, chociaż dając opiekę, chciano przecież pogardę dla niewiernych okazać. Kiedyś także Żydzi musieli, dla zabawy ludu, biegać codzień do mety przez ciąg karnawału; dziś miejsce ich zastępują konie. Żydzi tylko muszą składać podatek na koszta tych wyścigów i na nagrodę zwycięzcy.

Gdy się to dzieje w Kapitolu, na ulicach tłok się coraz powiększa. Zaraz po przejeździe Senatora, powozy mają prawo wjeżdżania na *Corso*—i tu się rozpoczyna właściwy karnawał, od soboty przed mięsopustną niedzielą do ostatniego wtorku, to jest dni 11, jednostajnym sposobem codzień, oprócz niedzieli, od południa do wieczora trwający.

Czytelnik chcący ze słów niedokładnych powziąść o nim jakiekolwiek wyobrażenie, musi sobie wystawić długą na rzut oka ulicę, ciągnącą się jak ozdobny korytarz między dwiema przepysznemi salami, między placem *del Popolo* z jednéj, a placem *di Venezia* z drugiéj strony; zapchaną od końca do końca gwarliwém mnóstwem różnobarwnych ubiorów i masek; podobną do płynącéj rzeki głów ludzkich, nad któremi, jak statki na wodzie, wznoszą się we dwóch rzędach powozy, tam i nazad zwolna idące, których koni

w tłumie nie widać. Wszystkie okna od góry do dołu, nakształt żyjących obrazów, zapełnione rzędami, piętrami, piramidami twarzy, piór, kwiatów, czepków i kapeluszów kobiecych. Wszystkie krużganki, otwarte lub jaskrawemi namiotami przykryte, niemniéj licznych zawierają widzów — jeśli ci widzami tylko chcą zostać; gdyż zwykle osoby, na krużgankach stojące, należą do najczynniejszych aktorów sceny, która się pod niemi odbywa. Oba wyżéj wspomniane place, pomimo swéj obszerności, nie różny od ulicy przedstawiają obraz i natłok. Lecz próżnoby kto w całym tym tłumie chciał szukać nadzwyczajnych, kosztownych strojów, dowcipnych karykatur i masek; próżnoby nadstawiał ucha, aby usłyszeć głośne dowcipne rozmowy lub tajemnicze przycinki, stanowiące główną zabawę naszych zwyczajnych maskarad. Nie widać tu prawie nic więcéj, prócz weneckiego *Arlekina* w kołpaku; rzymskiego *Pajazza* w pstrym stroju; neapolitańskiego *Poliszynella* z makaronem w ręku i w ustach; adwokata w dawnéj peruce; doktora z podkasaną togą i z pewném lekarskiém narzędziem w ręku, i t. p. Role te pospolicie są mówne; obierają je zwykle najżwawsi i najweselsi, ufni w swój dowcip i płuca. Trudno jednak słyszeć co więcéj, prócz głośnych wykrzyków i śmiechów; a jeśli gdzie kilka zebranych masek zacznie z sobą dłuższą rozmowę, ta się bynajmniéj do ich ukrytéj osobistości nie ściąga, lecz owszem, utrzymując każda swój przybrany charakter, odegrywają między sobą z natchnienia jakąś dramatyczną scenę, którą zebrany tłum widzów, podług zasługi akto-

rów, gwizdaniem lub oklaskami przyjmuje. Przedmiotem niemych, satyrycznych masek, są najczęściéj niedobrane małżeństwa: nizki staruszek, obok olbrzymiéj połowicy z wąsami; wychudły młokos, przy opasłéj matronie, i t. p. Daléj następują domina i różne narodowe ubiory. Na placach widać niekiedy całe grona masek, przedstawiające pantomiczne sceny. I tak np. na placu *del Popolo* widziałem bandę zbójców, napadniętych niby i broniących się od żołnierzy. Zołnierzami były słomiane bałwany, w czerwonych mundurach, które zbójcy nożami i kolbami kłóli i niby zabijali. Scena ta, obudzająca wstręt i odrazę w oświeceńszych widzach, znać było że się bardzo podobała ludowi, który śmiejąc się, klaszcząc i wykrzykując: *bravo!* coraz tłumniéj rozbojników otaczał i swojéj ku nim sympatyi nie taił.

W powozach częściéj dają się widzieć kosztowniejsze ubiory i maski, lecz i tu najpospolitszym konceptem jest furman przebrany za kobiétę z wąsami. Większy przepych lub dowcip, można być pewnym, że cudzoziemca oznacza. Widziałem jak dwaj Anglicy, sami niemaskowani, przebrawszy pudla za kawalera rzymskiego, posadzili go między sobą w karecie; lecz oburzywszy publiczność tym żartem, wszyscy trzej poszli do kozy. Z krajowców nikt tu bynajmniéj nie sadzi się na ubiory i maski, gdyż każdy sam ogólną zabawą zajęty, zdaje się zapominać o sobie; nie chce i nie usiłuje, aby na siebie tylko oczy drugich obrócił. Toż samo dzieje się z dowcipem. Ktoby chciał w tém powszechném zamieszaniu i gwa-

rze odznaczyć się i bawić drugich swoją rozmową, może być pewny że i sam się znudzi i nie znajdzie słuchaczów; a chociażby i znalazł, ci go nie dosłyszą za wrzawą.

Innego tu wcale rodzaju ogniwo łączy pospołu całe towarzystwo, bez różnicy stanu i wychowania. Ogniwem tém są tak zwane *confetti*. Mają to być i powinny kminkowe białe cukierki; są zaś w istocie wapienne białe kamyki, na wzór cukrów robione, któremi wszyscy bez wyjątku, w maskach czy bez masek, znajomi czy nieznajomi, mają prawo i przywilej ciskać sobie nawzajem w oczy. Żart ten, prawie zawsze bolesny, jest najulubieńszą zabawą, pobudką najgłośniejszych okrzyków i śmiechów, główną cechą karnawałów włoskich. I w rzeczy saméj, jemu to przyznać należy ową poufałość, swobodę i pustotę dziecinną, która owoczesne zabawy Włochów, od zabaw wszystkich innych narodów odróżnia. Patrząc wzdłuż ulicy, rzekłbyś, że najgęstszy grad pada, tak bezprzestannie powietrze zaćmione jest białą chmurą w górę i z góry lecących *confettów*. Piechotni niosą je w ręku, w długich papierowych pakach, trzymając je wysoko, ażeby obca ręka, sięgnąwszy znienacka do nich, własnéj przeciw nieostróżnemu broni nie użyła. Jadący w powozach, mają je obok siebie w naczyniach lub w formalnych worach stojące, i sypią niemi na wszystkie strony, grzecznym piérwiéj ukłonem powitawszy znajomych, i sami parasolikami, w miejsce puklerzy, zasłaniając się od wzajemnych pocisków. Ostróżność ta jest mianowicie potrzebną

przy omijaniu niektórych balkonów, do zbrojnych bateryj podobnych. Biada powozom, które ciżba pod niemi zatrzyma! chyba że śmiały obrońca, wskoczywszy na siedzenie lub kozioł, trafnym od razu rzutem zasypie napastnikom oczy i cofnąć się z placu przymusi; albo że błagające wołania dam zmiękczą srogość zwycięzców. W takim razie, jeżeli zwłaszcza damy są znajome lub piękne, często dla osłodzenia poprzedniczéj klęski, osypują je zlekka powtórnym gradem nie już wapiennych, lecz prawdziwych „pańskich konfettów,“ *(confetti da signori)*, albo pęczkami fijołków. Jedne i drugie, skoroby chybiwszy powozu na ziemię upadły, stają się natychmiast łupem małych chłopców, co jak rekiny za okrętem, upędzają się za powozami *delle belle signorine*, w nadziei podobnéj zdobyczy. Szczególniejszy ten orszak, biegnący za wozem piękności, możnaby było przyrównać do amorków, gdyby brudna odzież i twarze, podkasane nogi i ręce, i nocna szlafmyca na głowie, zapędów imaginacyi nie psuły. Stare dziady w podobnymże stroju, uwijając się po ulicy, z ogromnemi koszami na plecach, każdemu, za lichą cenę, wapiennéj ammunicyi dodają. Próżnoby kto w powszechnym tym boju chciał neutralnym pozostać; najcierpliwszy ujrzy się wkrótce zmuszonym do użycia praw własnéj obrony. Widziałem kilkunastu młodych malarzy niemieckich, którzy na jednym wozie, mirtem i dębowemi liśćmi uwieńczonym, sami za Druidów przebrani, jechali nie mając konfettów, i spokojną kontemplacyą zajęci, znosili cierpliwie z założonemi rękami ciosy kamieni-

stego gradu. Tłum nieczynnością ich oburzony, sypał go na nich ze szczególną zawziętością, biegnąc za ich powozem i krzycząc: „*Difendetevi, Tedeschi! difendetevi!*“ (brońcie się Niemcy! brońcie!). Upomnienia te ustne i ręczne, tak się widać sprzykrzyły nakoniec cichym kapłanom lasu, że zaopatrzywszy się w dwa ogromne wory wapienników, tak nawzajem dali się we znaki, że gdziekolwiek wóz ich się zazielenił, słychać było różne wcale od piérwszych okrzyki: „*Guardatevi, fuggite! ecco vengono i Tedeschi!*“ (strzeżcie się, uciekajcie! oto zbliżają się Niemcy!).

Najstraszniejszymi przeciwnikami w téj wojnie, są zazwyczaj Anglicy. Krużganek ich ambassady, i drugi leżący naprzeciw, przez jakiegoś lorda najęty, były prawdziwą Scyllą i Charybdą, których nikt ani się ustrzedz, ani bez szkody ominąć nie mógł. Słyszałem opowiadających, że w Neapolu przed kilku laty, bawiący w tém mieście Anglicy, zbudowawszy z desek wspaniały okręt, na bardzo wysokim wozie, przez sześć wołów ciągnionym, którego pokład do wysokości okien piérwszego piętra dochodził, powybijali konfettami wszystkie prawie szyby na ulicy Toledo. Nikt jednak za tę szkodę do odpowiedzialności pociągnąć ich nie śmiał; gdyż bez dowodu, że to umyślnie zrobili, roszczenie pretensyi do zapłaty byłoby ubliżeniem swobód karnawałowych, które każdy Włoch w drugich, dla samego siebie szanuje. Jakoż dziwić się trzeba, że w tak różnorodnéj massie ludu, z natury do porywczości skłonnego, i przy tak dotkliwéj zabawie, nie widziałem i nie słyszałem na-

wet o żadnéj kłótni, z tego powodu wynikłéj. A jednak wiém z doświadczenia, jak trudno się jest wstrzymać od piérwszego uczucia gniewu, gdy kto znienacka kamieniami w twarz sypnie, od których ból nawet i przez suknię dochodzi. Wolno oddać, jeśli się uda, ale się obrażać nie godzi. I wyznać trzeba, że na tym punkcie panuje tu najzupełniejsza równość. Najpospolitszy ulicznik może podbić, a choćby i wybić oczy najbogatszemu panu, nie lękając się wcale losu owego Ezopowego chłopca, którego, jak wiadomo, dowcipnie mszczący się mędrzec do podobnéj kiedyś psoty namówił. Ilość zużytych konfettów jest miarą wesołości dnia; im więcéj widzisz plam białych na sukniach, a sinych i czerwonych na twarzach, tém pewniéj możesz zaręczyć, że się bawiono wesoło. Dopiéro o godzinie szóstéj wieczorem, dzwonienie na Anioł Pański i wystrzał z moździerza, na placu *del Popolo*, daje hasło zawieszenia broni — do jutra. Natychmiast wszystkie powozy zjeżdżają w boczne ulice; stojące w nich wojsko występuje i wyciąga linie wzdłuż po obu stronach *Corso;* piesza zaś publiczność ciśnie się do okien, lub zasiada za opłatą ławki i krzesła, koło murów stojące. W kilka minut cała ulica staje się środkiem pusta, a bieleje, jak śniegiem, massą zdeptanych konfettów.

Zaczyna się akt drugi codziennéj zabawy: wyścigi koni, (*Corso dei cavalli)*, samemu tylko Rzymowi właściwe, i różniące się całkiem od wyścigów zwyczajnych, jakie się w innych krajach odbywają. Tam się jeźdzcy na koniach ubiegają do mety; tu same

tylko konie, w zastępstwie Żydów, jak się rzekło wyżéj, bawią chciwą widowisk publiczność. Gdy za drugim wystrzałem z moździerza, oddział konnych żandarmów trzykroć w największym pędzie przeleci ulicę i przekona się, że wszelkie zawady uprzątnione zostały: powrót jego na plac *del Popolo* jest hasłem do puszczenia koni (*mossa dei cavalli*).

Na samym środku rzeczonego placu wznosi się drewniany amfiteatr, o egipski obelisk oparty i czerwoném suknem okryty; miejsce najdroższe ze wszystkich. Przed nim w rząd ustawiają naprędce przeoryny, wtykając je ostremi końcami do gotowych już w ziemi otworów. *Barbareski*, (tak się zwą masztalerze z turecka ubrani), prowadzą po dwóch i czterech rżące i wspinające się konie, które z najlepszych stad wzięte, nie starsze nad lat trzy i całkiem niejeżdżone być powinny. Cała sierść popisana kredą, każdego swoim numerem; nad czołem ogromna kita z piór, u każdego w innym kolorze; mają nadto poprzywiązywane do boków kawałki cienkiéj blachy lub złocistego papieru, którychby szelest straszył je i naglił do biegu. Oprócz tego masztalerze, stojąc obok nich w przeorynach, biją je, kolą, smagają i krzyczą przeraźliwie, aby je jak można rozżarzyć. Za trzecim strzałem z moździerza, dźwięk trąb daje hasło puszczenia. Sznur wyciągnięty wpoprzek ulicy—upada, i konie, raz jeszcze biczem zacięte, puszczają się jak szalone, ażeby uniknąć hałasu. Próżna wszakże nadzieja nieszczęśliwych zwierząt! trafiają z deszczu pod rynnę. Wszystko co żyje na ulicy, krzyczy,

gwiżdże, klaszcze i macha rękami, używając wszelkich sposobów, aby ich przestrach i zapał powiększyć; tak, że niekiedy, wbrew celowi, ogłupiałe i ogłuszone tym hałasem konie, zatrzymują się nagle wpół drogi, mniéj szybkiemu, lecz obojętniejszemu ustępując piérwszeństwa. Z drugiego końca *Corso*, przed placem Weneckim, rozwieszone są płótna wszerz całéj ulicy; koń, co się piérwszy o nie uderzy, ogłasza się zwycięzcą, i przynosi swemu właścicielowi nagrodę od 20 do 25 skudów, powiększającą się codzień, i tak zwane *pallio*, to jest kawał szkarłatnego sukna, trofej i drogą pamiątkę zwycięztwa. Przysądza je Senator, siedzący na wysokiéj galeryi, w towarzystwie kilku assesorów. Jeśliby kilka koni razem dobiegło do mety, żaden z nich nie bierze nagrody; pieniądze rozdają się na szpitale, a *pallio* zawiesza się w kościele Ś. Antoniego Opata, patrona zwierząt, gdzie je corocznie na processyi, w dzień jego święta, obnoszą. Jak skoro konie przebiegły, tłum rozchodzić się zaczyna, śpiesząc spocząć po domach, lub bawić się jeszcze w teatrach; gdyż nikomu już na ulicy znajdować się w masce nie wolno.

We Wtorek tylko zapustny, do dwóch poprzedzających przydaje się jeszcze akt trzeci i ostatni: *Moccoli* albo *Moccoletti*. Są to długie, cienkie, woskowe świéczki, które każdy na ulicy, w powozach, po krużgankach i w oknach, po kilka, kilkanaście i po kilkadziesiąt zapala, mieszcząc je wtedy na przytwierdzonych do końca kija: gwiaździe, krzyżu, lub kole. Cała zda się ulica gore jednym płomieniem. Wnet

po przebiegu koni, maski i powozy wracają. Ruch, zgiełk, krzyk, zamieszanie, większe jeszcze niż piérwiéj; o konfettach nikt już nie myśli; teraz rzecz idzie o to, kto komu świéczki pogasi. Na piechotnych dosyć dmuchnienia, do powozów trzeba szturmować, wskakiwać na stopnie lub z tyłu, albo chustką na kiju wiatr robić. Walka wesoła, lecz nierówna; łatwiéj wyższy niższemu dokuczy. Ztąd téż i tu, jak w wojnie konfettów, grozą piechotnych są powozy, grozą powozów krużganki. Ztamtąd to spuszczają się płócienne chorągwie, pęki piór, wachlarze ze strzyżonego papieru, po sto świéczek razem gaszące. Hasłem napastników jest okrzyk: „*È spento il carnevale!*“ (zgaszony karnawał!)—„*Vive ancora!*“ (żyje jeszcze!) odpowiada z tryumfem napastowany, jeżeli świéczki swoje od zgaszenia uchronił. Inaczéj musi prędko zapalać je nanowo, bo go zagłuszą okrzyki: „*Vergogna senza moccoli!*“ (wstyd bez świéczek!). Każdy w tém chętnie użycza drugiemu pomocy i ognia, jeśli tylko wziąwszy do zapalenia, sam wraz ze świéczką nie uciecze. Niepodobna sobie wyobrazić tego blasku, zgiełku, hałasu, jaki w téj chwili na całéj ulicy panuje. Podróżny, który był świadkiem téj sceny, powtórzy wraz ze mną, pewny jestem, że nigdy ani weselszéj, ani oryginalniejszéj nie widział.

No! cóż moja elukubracya? Dla ciebie cała jéj wartość, że obrazek zdjęty z natury; ale dla mnie ma ona swoję ważność zkądinąd. Piérwszy artykuł pro-

zą, który w życiu pisałem do druku, była to krótka wiadomość o życiu i pismach Bürgera, mająca poprzedzać mój przekład ballady jego *Myśliwiec*, drukujący się w dzienniku Wileńskim, w kwietniu 1822 r. Był to mój *Maiden-speech* [1]), jak mówią Anglicy; a ty wiész, że od przekładu téj ballady Walter-Skott także zawód swój rozpoczął. Wybiegliśmy więc z jednego punktu, jak konie z placu *del Popolo*, ale on zdobył *Pallio* i pieniądze, a mnie, kto wié, czy nie przypadnie w udziale los tego biedaka źrebca, co ogłupiały wrzawą zatrzymał się w pół drogi, i pewno pójdzie za karę orać albo bronować, jak „*Pegasus im Joche*.“ Myśliwiec wszakże, nie mogę powiedzieć, żeby nie upolował coś dla mnie. Przezeń to imię moje, jak imiennik mój z kniei, wymknęło się na świat literacki. Pan Franciszek Salezy Dmochowski przedrukował go w swojéj *Bibliotece Polskiéj*, w Warszawie, a pan Leon Borowski odczytał go z katedry, nie już jako ćwiczenie studenta. Ale ten nieszczęśliwy wstęp prozaiczny, co on mię pracy i boleści kosztował! Pozszywałem go ztąd i zowąd i przyniosłem na sąd Adama. „Źle“—Przerobiłem więc i przyniosłem raz drugi. „Nie lepiéj!“—Przerabiałem noc całą i przyniosłem raz trzeci. „Jeszcze gorzéj.“ — Tu już rozpacz mię ogarnęła, a łzy jakoś polały się same. On śmiał się do rozpuku, gładząc mię i całując, ale się ulitował nade mną i sam za mnie ów artykuł napisał. Otóż

[1]) *Maiden-speech* (dziewicza mowa), tak nazywają w Anglii każdą pierwszą mowę, którą nowy Lord ma w Parlamencie.

od owéj chwili, powyższy opis karnawału był piérwszém prozaicznem ćwiczeniem, które przed nim czytałem—ze strachem. Uzyskał wszakże *imprimatur*, i to mię tak po dziecinnemu cieszy, jak Bürger niegdyś po dziecinnemu zasmucił.

Ale trzebaż ci teraz powiedzieć, co myśmy w ciągu tego karnawału robili. Ja, niestety, przechorowałem połowę, i musiałem jak niedźwiedź w jamie siedzieć na *Via del Orso*, kiedy Rzym cały bawił się i biegał na *Corso*. A oto z jakiéj przyczyny.—Po oddaniu na pocztę ostatniego mojego listu, ze Strzeleckim, Parczewskim, Karczewskim, Wodzickim, i kilku jeszcze nowo-przybyłymi, o których niżéj napiszę, tłoczyliśmy się jak mogąc za senatorską karetą na Kapitolu i na *Corso*, aby widzieć, co się dało obaczyć. Przyczém nasz Macedończyk grał prawdziwie rolę bohatera, torując nam drogę w natłoku, i siejąc jak Akwilon gradem wapiennych *confettów*. Na wyścigi końskie dopiéro poszliśmy patrzeć z okien państwa Ankwiczów, które mieli najęte na *Corso*, za jedenaście skudów na cały ciąg karnawału. Nazajutrz, w niedzielę, byliśmy na wielkiém śniadaniu z blinami, u xiężny Dietrichstein, a wieczorem, jak ci pisałem, było powtórzenie teatru u xiężny Zeneidy, z dodaniem trzeciego aktu z opery *Otello*, w którym występowała xiężna i pan Ricci. „*Farsy*“ udały się lepiéj nawet niż piérwszą razą; ale gdy przyszło ubierać bohaterkę drugiéj sztuczki „Krystynę,“—szpilek, niestety, w garderobie naszéj zabrakło. W niedzielę kramy zamknięte—A więc?—A więc ja, przez głupią

na ten raz szarmanteryą dla panny Luizy, a głupszą jeszcze nieoględność, zgrzany, bez płaszcza, jak stałem, skoczyłem na *Via del Orso*, aby u naszéj gospodyni kilkadziesiąt szpilek pożyczyć. Wprawdzie panna Luiza przyjęła to wdzięcznie; ale cóż, kiedy nazajutrz obudziłem się z kłóciem w gardle, jakby te wszystkie szpilki w niém uwięzły. Trzeba było przystawiać pijawki—i aż do piątku nie wyszedłem z domu. Pozbawiło to mię widoku officyalnéj defilady ambassadorów w powozach, która, jak zwykle, odbyła się w tłusty czwartek. Nazajutrz dopiéro p. Alexander Potocki zajechał po mnie i zabrał mię do swego powozu, bo Adam jeździł z państwem Ankwiczami, do których i my także przyjechaliśmy na herbatę. Ale i ta przejażdżka źle mi się powiodła. Z jakiegoś okna tak mi sypnięto w twarz wapiennikami, że formalnie podbito oczy, i musiałem je cały wieczór leczyć wodą różaną. Dla mnie więc prawdziwie wesoły karnawał zaczął się dopiéro w poniedziałek zapustny, kiedy już mogłem znowu zwijać się po ulicy i drugim téż nawzajem zasypywać oczy. Na *Moccoletti* państwo Ankwiczowie wzięli nas obu do swego powozu, i nie chwaląc się, mogę powiedzieć, żeśmy dzielnie tak swoich, jak i panieńskich świeczek przed zgaszeniem bronili. Na zakończenie pojechaliśmy téż razem z nimi na tak zwane *Festino*, w teatrze *Aliberti*, gdzie między dwiema farsami na scenie, połączonéj z parterem, odbywała się, podobnie jak w Warszawie, tłumna i gwarna maskarada, któréj byliśmy tylko spektatorami z loży, i nie czekając koń-

ca, który jest punkt o dwunastéj, zostaliśmy odwiezieni do domu.

Takie są dzieje karnawału mojego, bo Adam ma swoje osobne, lubo wiém że i w nich także nic osobliwszego nie zaszło. Ale i moja rekluza nie była dla mnie bez pociech. Oprócz bowiem łaskawych odwiedzin, Adam tak był troskliwy i czuły, że w dniu stawiania pijawek zgoła z domu nie wyszedł, następnych zaś musiałem go prawie gwałtem wyprawiać, a i tak zawsze na dziesiątą powracał. Towarzyszem zaś chwil samotnych był mi zwłaszcza poczciwy Parczewski, który zaspokoiwszy jako wojażer piérwszą ciekawość karnawału, nie chciał się jako xiądz poniewierać w tłumie, i właśnie gdy się wszyscy kwapili na *Corso*, on przychodził do mnie, i czytał mi swoję powieść „*Władysław Biały*," z któréj wprzód znaliśmy tylko wyjątki. Ma ona być we trzech tomach, a piérwszy jest już skończony. Z wyjątków tych Adam rokuje mu najświetniejsze nadzieje w zawodzie powieściopisarza. W formie i manierze jest on naśladowcą Walter-Skotta, ale w psychicznėm kreśleniu charakterów, w pojedyńczych obrazach i scenach, nie znać w nim bynajmniéj kopiisty, a owszem czuje się wyraźnie, że wszystko czerpie z siebie i z przedmiotu, w który się głęboko wpatruje. A przytém styl i język piękny, akcya żywa, dyalogi naturalne i zręczne, a dowcip i humor prawdziwie polski.—*A propos* powieściopisarstwa: W końcu miesiąca spodziewają się tu Fenimora Coopera, i panna Anastazya jest już uprzedzona, że będzie miał do niéj listy z Paryża.

Być więc bardzo może, że będziem jedli *bifsztyk* albo *rostbif* z Cooperem, co, podług sposobu widzenia pana Osińskiego, powinnoby go pozbawić uroku wielkiego człowieka. Ale za toż o Walter Skocie smutne bardzo wieści. Allan, zamiast oczekiwanéj odpowiedzi od niego, otrzymał list z Edymburga, od wspólnego ich przyjaciela, w którym ten mu donosi, że zdrowie Waltera Skotta jest coraz gorsze; że doktorowie każą mu koniecznie jechać do cieplejszego klimatu na ląd stały; że rząd chce mu dać na to fundusz i przeznaczyć osobny okręt, jak ekwipaż na jego usługi; ale że on opiera się temu, i chce, jak mówi, umierać na swojéj ziemi i wśród swoich starych przyjaciół. Biedny Allan ze łzami mówi o tém. Sam on zaś w przyszłym tygodniu wyjeżdża ztąd do Neapolu, z dwiema rodzinami swoich przyjaciół; ale sam jeszcze nie wié, z którą ztamtąd i dokąd—to jest, czy do Konstantynopola, czy do Kadyxu popłynie. Kochany, poczciwy człowiek! Zawsze dla nas równie przyjazny. Nie ma tygodnia, żebyśmy nie byli, albo on u nas, albo my u niego; a spotykamy się téż tu i ówdzie. Smutno nam będzie z nim się rozstać. Za toż mamy miłą nadzieję doczekać tu wkrótce z Wenecyi kochanego Adolfa (Januszkiewicza), którego zdrowie, jak sam pisze, nie jest wcale w najlepszym stanie. Nie może np. spać inaczéj, jak w teatrze, albo w kościele, gdzie sobie miejsce na noc na ten cel najmuje. Dziwimy się, że się nie boi. Była o tém niedawno szeroka mowa u państwa Ankwiczów. Ja i panienki wyznaliśmy otwarcie, że się boi-

my strachów. Strzelecki i pan Ankwicz śmieli się z nas jak z dzieci. Macedończyk fanfaronował, że gotów jest nocować choćby w sklepie między trumnami. Ale Adam wziął rzecz na seryo, i oświadczył, że za żadne skarby na świecie nie nocowałby umyślnie sam jeden na cmentarzu albo w kościele; nie dla obawy strachów, lecz dla obawy własnéj wyobraźni, za którą nikt ręczyć nie może; i że niegodne jest natury i rozumu człowieka, płoche wyzywanie sił wyższych. Przyczém tak uroczyście, tak cudnie rozwinął teoryą stosunku duszy ludzkiéj ze światem tajemniczym i wpływu jego na duszę, że wszyscy bez wyjątku wpływ ten w téj chwili poczuli, a mnie aż zimne mrowie przebiegało. Powiédz to proszę czcigodnemu p. Oleszkiewiczowi, i dodaj, że Adam o nikim nie wspomina tak często i z tak różnych powodów jak o nim, z czego widać jak pamięć jego zawsze mu jest obecną i drogą. Że zaś przy końcu téj rozmowy o strachach, opowiadanie moje o mnie samym wywołało ogólną wesołość i zabawiło towarzystwo, więc bierze mnie ochota powtórzyć tu je czarno na białém. Dla czego? Sam dobrze nie wiém. Ale zadałem sobie w téj chwili to psychiczne pytanie. Czyżby przez próżność? Na pozór, nie; a w gruncie, bodaj że tak. Chwalić się z głupstwa lub z przebiegłości dziecinnéj, zdaje się nie ma powodu. Ale być bohaterem anegdoty, która tak może zabawi pannę Celinę i pannę Helenę, jak zabawiła pannę Henryettę i pannę Marcellinę—jest powód, że ci tę anegdotkę przepiszę.

Otóż, jeżeli teraz jeszcze boję się nieco strachów, to był czas, że się bałem okropnie. Przed oknami stan-

cyi naszéj w Borunach, była na rynku kapliczka, gdzie umarłych przed pogrzebem stawiano. Każdy nowy jéj gość był dla mnie nowém udręczeniem w nocy, gdy ze strachu zasnąć nie mogłem. Środek budzenia starszych kolegów nie zawsze okazał się skutecznym, i co gorsza, mógł nie ujść bezkarnie. Ale tuż przez ścianę w kuchni były zazwyczaj kury i koguty. Zacząwszy więc sam najprzód śpiewać *kukuryku*, starałem się je pobudzić do wtóru; i gdy który rzeczywiście zaśpiewał, usypiałem wtedy spokojnie, pewny że już upiór nie przyjdzie. Dziś wiém już lepszy sposób na podobnego rodzaju bezsenność, który i tobie zalecam. A ten jest—myśleć o aniołkach.

Ale obiecałem ci wspomnieć o nowych znajomościach. Towarzystwo tu nasze powiększyło się znacznie przybyciem pani Węsierskiéj, obywatelki z Poznańskiego, z prześliczną pięcioletnią córeczką, (z którą się bardzo kochamy), i z dwudziesto-letnimi: synem Albinem, i siostrzeńcem, Felicyanem Niegolewskim, który ma cerę i głosik piętnastoletniéj panienki, a jest wcale dorzeczny i miły młodzieńczyk. Razem téż z nimi, nie wiém czy jako ich Mentor, czy tylko jako przyjaciel domu, podróżuje p. Antoni Jaźwiński, nasz Litwin, autor czy wynalazca *mnemoniczno-chronologicznéj tabliczki*, mającéj na celu ułatwiać spamiętanie dat historycznych, za pomocą widomych znaków, narysowanych w kwadracikach, na które się dzieli owa tabliczka, a które oznaczają stulecia i dziesiątki lat. Opisywać ci jéj dłużéj nie myślę, bo chociaż Adam i Strzelecki mówią, że rze-

czywiście może być bardzo pożyteczną, i chociaż ja, więcéj może niżeli kto inny, potrzebowałbym właśnie téj pomocy: ale tak mi już ona kością w gardle stoi, że myśleć o niéj nie mogę bez wstrętu. Bo wyobraź tylko sobie poważnego, światłego i nader wymównego człowieka, który gdziekolwiek jest, z kimkolwiek kiedykolwiek się spotka, o czémkolwiek ten ktoś chciałby mówić, on zawsze akkaparuje rozmowę, i nigdy o czém innem nie mówi, jak o téj swojéj tabliczce, czyli raczéj o téj swojéj metodzie, którą nie do saméj już tylko chronologii historycznéj, ale do wszystkich gałęzi wiedzy ludzkiéj stosuje, i do każdéj podobnież układa tabliczki. Z początku słuchało się ciekawie, ale potém!... Nie masz wyobrażenia, jak tego rodzaju monomania nieznośną jest dla otaczających. — A jednak kiedy sobie przypomnę dzieło Irwinga o Kolumbie: to bodaj, czy i ten wielki Krzysztof, który, jak niegdyś jego patron samego Pana Jezusa przez wodę, tak on przeniósł przez ocean krzyż i światło prawdziwéj wiary; czy i ten wielki odnalazca zatraconéj części świata, nie był za życia podobnym monomanem jak Jaźwiński. A więc, czy podobna czyjaś monomania nie jest koniecznym warunkiem rodzenia się na świat każdéj nowéj idei, odkrycia, lub wynalazku? A więc, czy nuda i niecierpliwość, jaką we mnie obudza Jaźwiński, nie jest tylko skutkiem mojéj głupoty, a ogólnéj niewdzięczności ludzkiéj? Być to może. Ale niemniéj prawdą jest wszakże, że ile razy wchodzę do państwa Ankwiczów, a obaczę że już tam siedzi Jaźwiński: zaraz kratko-

wana tabliczka staje mi przed oczyma jak krata więzienna, a ja sam czuję się w sobie jakby myśl moję i słowa kto pętał. Jedynym antydotem na tę zmorę, jest drugi nudziarz i oryginał w swoim rodzaju, częsty gość także w domu państwa Ankwiczów, o którym że ci dotąd nie wspomniałem, to jedynie dla tego, że dosyć już mam nudy z widywania go i słuchania. Jestto pan Piotr *Aigner*, pomimo francuzkiego nazwiska, rodowity i nieodrodny Warszawianin; mający już lat ośmdziesiąt z górą; z professyi architekt, który budował świątynię Sybilli w Puławach i kościół Św. Alexandra w Warszawie; który był protegowanym xięcia Jenerała Ziem Podolskich, służył wojskowo pod Kościuszką, i znał wiele ówczesnych znakomitości naszych. Wszystko to nie kwalifikuje go wcale na nudziarza, i owszem niektóre opowiadania o przeszłości byłyby nawet bardzo zajmujące, gdyby nie mówił ciągle o architekturze i o sobie, a blagą i popisywaniem się z oklepanemi wolteryańskiemi sentencyami nie rościł pretensyi do wielkiego rozumu, którym rad bardzo imponować drugim. Zwykłą więc moją taktyką, w któréj mi dopomagają panienki, jest, aby obu tych panów usadowić wieczorem obok siebie. Bo ponieważ się wzajemnie nie lubią, (gdyż każdy chce mówić swoje, a jeden drugiemu przeszkadza), więc obydwa milczą jak mruki, i dają czas odetchnąć drugim, albo rozmawiać o czém innêm, niż o chronologicznéj tabliczce lub o stylach architektury. — Kiedy zaś jest już mowa o oryginałach, muszę ci jeszcze powiedzieć o jednym tutejszym,

dla rykoszetu na drugiego, którego między sobą macie w Petersburgu.

Nie ma pewno jednego cudzoziemca w Rzymie, któryby nie znał *Monsignora Abbate Brutti*. Jest on dworzaninem papiezkim, niższego chóru, ale bynajmniéj nie xiędzem, chociaż nosi ubiór labusia, który tu jest uniformem dworskim. Żywy, zwinny, gładki, układny, nadskakujący panom, zasługujący się paniom, zalecający się do panienek, jest on wszędzie przyjmowany uprzejmie, tem bardziéj, że nie tylko w nadziei wynagrodzenia lub prezentu, (któremi wcale nie gardzi), ale wprost nawet z natury i nawyknienia, gotów jest zawsze do uczynnéj przysługi, w wyjednywaniu zwłaszcza różnych pomniejszych dyspens, odpustów, biletów wejścia, i niekiedy nawet prywatnych audyencyj u Ojca Św. Posądzają go nawet niektórzy, że jest ajentem niektórych ambassad; ale to rzecz niedowiedziona, i wcale ogólnéj jego opinii nie szkodzi. Otóż ten pan *Abbate Brutti* dowiedziawszy się żeśmy z Wilna, zaraz przy piérwszém poznaniu zapytał nas, czy znamy „*un celebre poeta, signor conte Kika Dżerski?* Ledwośmy się domyślili że rzecz idzie o Kiszkę Zgierskiego; a zaś zaciekawieni niezmiernie zkąd on mógł wiedzieć o nim, dowiedzieliśmy się nawzajem, zkąd się wzięła ta *Złota Ostroga*, z którą *wieszcz* niegdyś tak pompatycznie po Wilnie, a dziś może i po Petersburgu na swoim pegazie harcuje. Orderek ten wyjednał dla niego pan *Brutti*, złożywszy wprzód Ojcu Świętemu wszystkie dzieła *wielkiego wieszcza*, w bogatéj

oprawie, a między temi i jego „*Prawo Kanoniczne*,“ które mu on w tym celu przez pana Straszewicza był przysłał, z dodaniem 25 dukatów *à conto*, i z obietnicą stu jeszcze, jeżeli go wyprowadzi na *rycerza* i przypnie mu *złotą ostrogę*. Złota ostroga została przypięta, ale bynajmniéj nie stała się bodźcem rycerzowi do odesłania obiecanych dukatów. Adam śmiał się serdecznie z długiéj i przestraszonéj miny dyplomaty-włocha, kiedy usłyszał radę, aby ten spodziewany przychód całkiem ze swego budżetu wykréślił. Ty, jeśli spotkasz gdzie *hrabiego-wieszcza*, powiédz, że *l' Abbé Brutti* kłania mu się przeze mnie, i patrz, czy się choć zarumieni. Wątpię.

Lecz jest to symbol czasu smutny i złowrogi,
Jak się to dziś dochodzi do *Złotéj Ostrogi*.

Bądź zdrów.

XII.

Do Ignacego Chodźki.

Rzym, 9 marca 1830 r.

Przecież, wreszcie, nakoniec, widzieliśmy Papieża—i tobie, jak obiecałem, piérwszemu o tém donoszę. Moglibyśmy więc tedy opuścić już Rzym z pokojem Symeona; albowiem oczy nasze oglądały, bez oglądania czego być w Rzymie, jest, podług przysłowia, jak nie być. Szczęściem, że jeszcze nie myślimy o tém. Życie owszem tu nasze, tak zewnętrzne jak i wewnętrzne, wzbiera zda się jak strumień na wiosnę. Opowiém ci po kolei o wszystkiém, ale zaczynam najprzód od Papieża. Widzieliśmy go wczoraj — szkoda tylko, że nie jak najwyższego kapłana, ale jak króla z tego świata; na tronie, nie przy ołtarzu. Wkładał czerwone kapelusze nowo mianowanym Kardynałom, jak poprzednicy jego rozdawali i wkładali korony. Odbywało się to w jednéj z sal Watykanu, gdzie nas uprzejmy *Mgr. Brutti* wprowadził, i tuż po za ławkami Kardynałów umieścił. O naznaczonéj godzinie purpuraci zaczęli wchodzić i zajmować każdy swe miejsce. Gdy już wszyscy byli zebrani, otwarły się drzwi w głębi sali, i ukazał się Ojciec Św. niesiony w krześle, nakształt otwartéj lektyki, przez czterech dworzan, galowo ubranych. Dwaj starsi

Kardynałowie, z wielkiém uszanowaniem dopomogli mu powstać z krzesła i wejść na stopnie tronu, co mu widać z trudnością przychodzi samemu; zresztą zdaje się być zdrowym i czerstwym. Twarz dziwnie łagodna i miła, ma raczéj wyraz ojcowskiéj dobroci, niźli monarchicznéj powagi. Na głowie miał tyarę (nakształt infuły), ze złotogłowiu, a na ramionach kapę nakształt ornatu. Skoro zasiadł na tronie, Kardynałowie po kolei przystępowali do ucałowania ręki, którą im, z wdzięcznym uśmiechem, obwiniętą w suknię podawał. Poczém jakiś *Monsignor* zaczął długą oracyą po łacinie; podczas któréj sześciu Kardynałów wyszło z sali, i powróciło wkrótce prowadząc między sobą trzech nowo mianowanych, z których każdy szedł między dwóma, jeden za drugim, wszyscy w czerwonych już pończochach i kalotkach na głowie. Piérwszym był Anglik *Weld* [1]), bardzo wspaniałéj postaci, lat zapewne najmniéj 60. Przez długi czas był świeckim i żonatym; i boleść to po śmierci żony skłoniła go, jak mówią, do stanu duchownego. Ma żyjącą córkę i z niéj wnuków. Dwaj drudzy, Włosi: *Domenico di Simone*, i *Cesare Nembrini-Pizoni*, nie odznaczają się niczém. Owszem, gdy się piérwsza wiadomość o ich mianowaniu roze-

---

[1]) Od czasów Henryka VIII piérwszy to był Kardynał Anglik. Po nim był Wisemann, a teraz jest Manning, Arcybiskup Anglii.—Wnuk Kardynała Weld, p. *Labarre de Bodenham*, ożenił się z Polką, panną Ireną Morawską. Mieszkają w Rzymie i dom ich słynie z gościnności i ducha chrześcijańskiego.

szła, na posągu *Pasquina* przylepiono zaraz epigrammę: że mianowanych jest trzech nowych Kardynałów, z których jeden „*non sa parlare*;“ (nie umié mówić; — zapewne jako Anglik po włosku); drugi „*non può parlare*,“ (nie może mówić;—bo jest zająkliwy); trzeci zaś „*farebbe bene di non parlare*,“ (zrobiłby dobrze, gdyby nic nie mówił). Na wczorajszym wszakże obrzędzie wymowa żadnemu z nich potrzebną nie była. Mówił tylko Monsignor-orator. Oni przykląkłszy przed tronem Papieża zaczęli najprzód od ucałowania nogi; potém dopiéro całowali rękę, którą im Ojciec Św. podał bez okrycia, i wszystkich trzech z kolei po ojcowsku uścisnął. Przez ten czas Monsignor zamilkł; ale znów mówił daléj, gdy oni odszedłszy od tronu, zawsze w pośród dwóch przewodników, zaczęli obchodzić ławki kardynałów, całując się każdy ze wszystkimi. Następnie zbliżyli się znowu do tronu, i Monsignor znowu zamilkł. Trzej dworzanie stojący za tronem trzymali trzy kapelusze czerwone i płaskie jak talerz. Papież wkładał je po kolei na skronie klękających przed nim, przemawiając do każdego z osobna, po łacinie, czystym i przyjemnym głosem: „Na chwałę Boga w Trójcy Jedynego, i na ozdobę Stolicy Apostolskiéj, przyjm ten czerwony kapelusz, i bądź gotów w każdéj potrzebie przelać krew swą za Jezusa Chrystusa!“. — Podczas obrzędu tego i przemowy, stojący po bokach tronu dworzanie, czerwoną jakąś zasłonę przed twarzą Ojca Św. trzymali, zakrywając go przed okiem publiczności.— Na tém się skończył obrządek, po którym nowi Kar-

dynałowie wskazane sobie miejsca zajęli, słuchając końca mowy oratora. Papież pobłogosławił z tronu zgromadzonych, i sprowadzony z niego przez tych samych dwóch Kardynałów, którzy go nań wprowadzili, oddalił się, jak przybył, niesiony na krześle.— Wczoraj i dzisiaj w mieście, wielka feta z tego powodu. Na *Corso* i na placu *Colonna* paliły się wczoraj i mają się palić dziś i jutro smolne beczki i godowe pochodnie; wiele domów było uilluminowanych.

A teraz, jeśli może chcesz wiedzieć, jakie to wszystko na mnie zrobiło wrażenie? Niestety! muszę ci odpowiedzieć prawdę, że nie takie, jakem się spodziewał i życzył. Ach! czemużem to Ojca Św. nie obaczył najprzód przy ołtarzu! Wprawdzie on sam i tutaj przejął mię czcią i uszanowaniem. Ale trzebaż właśnie nieszczęścia, że mi wypadło siedzieć tuż za plecami tego samego kardynała *Vigoni*, który już raz na balu u xięcia Gagaryna tak niefortunne wywarł na mnie wrażenie. Ale tam raziły mię tylko jego ruchy i maniery; tu musiałem słuchać rozmowy. Do niegoby to właściwie dały się zastosować słowa epigrammatu: „*farebbe bene di non parlare.*“ Bo jego to mianowicie rozmowa była dla mnie kamieniem zgorszenia. Mówił z jakimiś dwóma Anglikami, którzy siedzieli tuż przy mnie, i ze swoim sąsiadem kolegą. Ci pierwsi żartowali z niego widocznie, wyciągając go na rozmowę o damach i o koniach, i śmieli się spoglądając na siebie, kiedy im opowiadał o jakimś swoim ogierze, o czémby w stajni chyba mówić było warto; i to jeszcze tak szkaradną francuzczyzną,

że i ztąd nawet byłby powód do śmiechu. Koledze zaś swojemu, podczas gdy Papież wkładał kapelusze, szeptał dość głośno do ucha, jak mu każe przyrządzić łososia, na którego musiał go prosić. Mojaż wina, że słysząc to wszystko niechcący, jak cudze grzechy przy konfessyonale, nie mogłem się obronić od myśli, za które może także do konfessyonału iść trzeba? Żeby je więc w sobie pokonać, spoglądałem umyślnie po innych Kardynałach, których fizyognomie rozumne, poważne, świątobliwe, kontrastowały najwybitniéj z Vigonim.

I karcąc w sobie grzeszne myśli jak penitent,
Szeptałem wciąż jak pacierz: „*ubi plura nitent*," i t. d.

Z kolei mam ci mówić o nowéj znajomości, któréj wiém, że mi będziesz zazdrościł. Poznałem Fenimora-Coopera! Przyjechał tu z Paryża; a że miał ztamtąd listy do panny Anastazyi Klustin, matka jéj wyprawiła dlań świetny wieczór, na którym wszystkie znakomitości tutejsze, literackie i artystyczne, mogły widzieć, powitać i uczcić tę gwiazdę drugiéj półkuli, która wprost przez ciekawość zajrzała na naszę, i przebiega ją lotem komety, z całą konstellacyą swojéj rodziny, to jest z żoną i czterma córkami. To téż gdy go spytałem, słysząc że ma być w Dreźnie, czyby nie miał zamiaru i chęci zwiedzić ztamtąd zarazem i Polski, która go zna i çeni na równi z całą Europą? — odpowiedział mi bardzo uprzejmie, że w istocie pragnąłby szczerze widzieć i poznać ojczyznę Kościuszki: „*Mais*, *Monsieur*, (dodał z dobro-

dusznym uśmiechem), *qui voyage avec cinq jupons, n'est pas maitre de sa volonté.*"—Sama już ta odpowiedź, a cóż dopiéro ton głosu, gdybyś go był słyszał, mogłyby ci od razu dać wyobrażenie o dziwnie jakoś poczciwéj prostocie i bezpretensyjności, która jak w sposobie mówienia, tak i w całém obejściu jego przebija. Pan Kriwcow, urzędnik ambassady, wielki elegant i światowiec, (chociaż bez ręki), przedstawiony mu przez gospodynię domu, powitał go dobornemi słowy, mówiąc między innemi: „*Je m'estime heureux, Monsieur, de faire la connaissance d'un homme, dont la gloire remplit les deux mondes.*"—Cooper, który właśnie swobodnie z otaczającymi siebie rozmawiał, zmieszał się na ten komplement, i widocznie zakłopotany, kłaniając się bardzo grzecznie nawzajem, nie znalazł widać zprędka innéj odpowiedzi, nad dziwne w rzeczy saméj: „*Oui, Monsieur!*"—Obecni przygryźli wargi, żeby nie dopuścić uśmiechu, widząc zwłaszcza wzajemne zmieszanie się pana Kriwcowa, który na tę niespodzianą odpowiedź, języka w ustach, jak to mówią, zapomniał.—„*C'est un rustre!*" mówił wprawdzie o nim potém do swoich; ale co dla mnie, to właśnie ta prostota i nieśmiałość w takim człowieku, zdaje mi się być szczytem wielkości, bo znać z nich, że jest wyższy nad próżność i pychę. Pod tym względem przypomniał mi on naszego Karola Lipińskiego, najskromniejszego pewnie ze wszystkich *sławnych* artystów, którym ciągłe pochwały i oklaski, nie dziw, że często zawracają głowę. Z fizyognomii téż i postaci, Cooper wyglądać zda się ra-

czéj na poczciwego gospodarza-*fermera*, niż na takiego, jakim jest, autora. Ale i o Walter-Skocie powiadają toż samo. Musi już mieć lat przeszło 50. Wzrost wysoki, ruchy poważne; wyraz twarzy spokojny i łagodny; głos powolny, oczy błękitne. W rozmowie więcéj słucha niż mówi. Z Adamem rozmawiał dość długo i rozpytywał go zwłaszcza o duchu i charakterze Słowian, i o plemionach koczujących na stepach. Panna Anastazya nie zaniedbała pewnie uprzedzić go, kto był Adam. Jakoż traktował go z wyraźnym szacunkiem, ale żadnych komplementów nie prawił. W ogólności zdawał się nie czuć, że on to był bohaterem fety; albo jeżeli czuł wewnątrz, to widać, że umyślnie ten charakter w sobie zacierał, uważając się tylko za jednego z gości. Póki stał w gronie mężczyzn, na środku salonu, starałem się być jak można najbliżéj, aby dosłyszeć co mówi. Ale były to zwykłe potoczne rozmowy: o podróżach, o Włoszech, o Rzymie, i t. p. Nadewszystko byłbym ciekawy co i jak rozmawiał z damami, które go wkrótce między siebie zabrały; ale tam już nie można się było przybliżyć. Widziałem tylko zdaleka jak się kłaniał na wszystkie strony, pewnie za komplementa dziękując. Żony i córek jego na tym wieczorze nie było, chociaż były także proszone. Wymówił je niezdrowiem i znużeniem podróży.

Oprócz tego fenixa z antypodów, najciekawszym epizodem tego wieczoru była długa i żywa dysputa pomiędzy koryfeuszami artystycznéj sławy Europejskiéj, do któréj ja, lichy robaczek, mimowolnie sta-

łem się powodem. Wspominałem już wam nieraz o Thorwaldsenie, którego tu i ówdzie widywałem, i któremu xiężna Wołkońska przedstawiła mię osobiście po amatorskim teatrze u siebie. Ale znajomość ta skończyła się wtedy na zwykłéj grzecznéj formułce z jego strony: „*Charmé, Monsieur!*“ i t. d. i na moich czołobitnych pokłonach. Tu dopiéro, widząc że siedzi sam jeden na stronie, ośmieliłem się zbliżyć ku niemu i przypomnieć się jego znajomości, aby mu złożyć hołd czci i uwielbienia, ułożywszy wprzód w myśli frazes *à la Kriwcow*. Przyjął go bardzo uprzejmie; pytał z jakich stron Polski przybywam, a dowiedziawszy się że z Warszawy, spytał, czy już tam doszedł model jego posągu xięcia Józefa, i jak się publiczności podoba? Odpowiedziałem jak było w istocie, że wszyscy admirując doskonałość sztuki, żałują że nie dość przypomina osobę, którą ma wyobrażać. To wyraźnie ubodło staruszka. (Bo jest to nizki i chudy staruszek, z ubielonym już całkiem włosem, ale tak żywy, ruchawy i gestykulujący w rozmowie, że wziąć go możnaby raczéj za syna najgorętszéj strefy Włoch, a nie lodowatéj Skandynawii). Otóż staruszek się poruszył i zawołał jak z oburzeniem: „Cóż to? (*e che?*) tożbyście może panowie chcieli, żeby był w uniformie ułańskim?“ (i tu wykrawał na powietrzu palcami jakby wązkie poły munduru); „w kaszkiecie i z kitą na głowie?“ (i tu podniósł rękę nad głowę, z palcem nastawionym jak kita). Odpowiedziałem pokornie, że Xiążę na portretach u nas wyobrażany jest pospolicie w burce.

Ale że nie wiedziałem jak *burka* po włosku i po francuzku, więc dopomogłem też sobie gestem, dodając tylko po francuzku: „*dans un manteau comme ça.*“ Musiał widywać rysunek, bo zrozumiał o co rzecz idzie. „*A, a, a!*“—zaśmiał się ironicznie—„*come un Cosacco*“ (jak kozak).—I nim zdołałem odpowiedzieć na to, zerwał się z krzesła i z formalnym już gniewem zawołał: „*Siete i barbari, miei signori! i barbari!*“ (jesteście barbarzyńcy, moi panowie! barbarzyńcy!). I dla tego nie lubię posyłać dzieł moich do krajów, gdzie nie ma poczucia sztuki.“—Tu już zamilkłem na dobre, chociaż pomyślałem *in petto*, że staruszek jest nieco za śmieszny; i że *sculptorum genus* gorszy jest niż *poetarum*. Ale ten jego wykrzyknik i zerwanie się z krzesła, ściągnęły nań uwagę innych. Pierwsza xiężna Zeneida zbliżyła się ku nam, i dowiedziawszy się o co idzie, z wielką delikatnością wzięła moję stronę, napomykając zlekka o posągu Blüchera w Berlinie. „Blücher, Blücher!“—zawołał rozirrytowany staruszek.—„Wolno Niemcom jak się podoba, Niemcy dla mnie nie są modelem.“—Tu zbliżył się Vernet, ojciec, (Horacy), i xiężna Zeneida wytoczyła przed nim tę sprawę. W ślad za nim przystąpili drudzy; i gdy ja, jak flankier w bitwie, zrejterowałem się sobie na stronę, widząc zchodzące się kolumny: zawiązała się długa i ożywiona rozmowa, w której wzięli udział z kolei: Vernet syn, Cammucini, Craffonari, Catel (malarz pejzażów), który sam jeden tylko zdanie Thorwaldsena podzielał. Rzecz głównie szła o przewagę: czy ideału, czy praw-

dy historycznéj w sztuce, kiedy ta o historyą potrąca. Vernet ojciec, ma się rozumieć, musiał bronić ostatniéj, (*oratio pro domo sua*), i bronił bardzo rozumnie, ze względu zwłaszcza uczuć i wspomnień narodowych, które każdy historyczny pomnik czy obraz ma na celu obudzać w narodzie. Vernet syn, mówił: że mając właśnie do robienia obraz wystawiający Rafaela malującego *Loże Watykańskie*, będzie się starał o jak najpodobniejsze portrety uczniów jego i przyjaciół, których chce u stóp rusztowania pomieścić. Camnucini opowiadał o sobie, że karton do obrazu „Śmierć Wirginii“ robił na témże *Forum*, gdzie ona śmierć tę poniosła; a mając malować czyn Horacyusza Koklesa, po razy kilka w nocy przepływał łódką Tyber w tém miejscu, gdzie stał ów most, którego on bronił. Craffonari, najsławniejszy dziś portrecista tutejszy, nie sądził, aby największa doskonałość pędzla w portrecie, mogła brak podobieństwa zastąpić. Jedném słowem wszyscy, oprócz Catela, jak wspomniałem wyżéj, byli stanowczo przeciw Thorwaldsenowi. On jednak niczém nie dał się przekonać i twierdził: że w dziełach sztuki, wzgląd na sztukę powinien być piérwszym; że co wreszcie ujdzie w malarstwie, w rzeźbie nigdy mieć miejsca nie może i nie powinno: bo insza rzecz pędzel i płótno, a insza dłóto i marmur; i nakoniec, że posąg, jest to pomnik; a jak celem pomnika nie jest nigdy wyobrażenie samego faktu, ale tylko pamiątka jego i przypomnienie: tak i posąg, bez podobieństwa osoby, celu tego dopełniać może. Dysputa ta kubek w kubek przypomniała

mi spory z klassykami w Warszawie; tém bardziéj, że sam Thorwaldsen, jak z białych włosów, tak i z zapału i zapędu w dyspucie, bardzo jest do Koźmiana podobny.—Podczas téj rozmowy ogólnéj, Adam z Vernetem ojcem rozmawiał kilka minut na stronie, i widać było po obu, że się w zdaniach zgadzali. Cooper słuchał zdaleka, ale sam się do rozmowy nie mieszał. Gdy się zaś ta przeciągała za długo, panna Anastazya chcąc jéj koniec położyć, a może i wyprowadzić Thorwaldsena z kłopotu, wzięła sama w niéj udział, i ogólną zasadę kwestyi zręcznie od sztuk plastycznych do muzyki zwróciła. Poczém jakby na dowód tego, co mówiła, usiadła do fortepianu i zagrała kilka rzewnych melodyj ukraińskich. Wszyscy zbliżyli się ku niéj i otoczyli instrument. Cooper stał tuż obok jéj krzesła i unosił się nad rzewnością melodyi. Gdy zaś wkrótce zagrała jakiś *Morceau brillant*, Thorwaldsen, stojący niedaleko odemnie, odezwał się do jéj matki: „Je ne savais pas, Madame, que mademoiselle votre fille est si *vertueuse*.“ Miało to znaczyć *virtuosa*; albowiem arcy-mistrz dłóta mniéj biegle włada językiem francuzkim, i wiele o nim z tego względu krąży tu pociesznych anegdot. Mówiłem téż z nim po włosku, jak umiałem, wiedząc, że to lubi najlepiéj.

No a co? czy masz już dosyć o *gloryach* światowych, których wiém żeś tak zawsze łakomy? Kiedy tak, to ci powiém o nowéj znajomości serdecznéj, jakiéj podobnéj dotąd z nikim nie zabrałem od Wilna.

W przeszłą sobotę, dnia 3 tutejszego marca, siedzieliśmy sobie, jak zwykle po kawie, zatopieni każdy w swo-

jéj lekturze. A wtém otwierają się drzwi i wchodzi jakiś młodzieńczyk, blondyn, ładny, rumiany, i z wesołym uśmiechem, jakby pewny serdecznego przyjęcia, idzie wprost ku Adamowi. Ten podniósł oczy, spójrzał, ale ani się ruszył z kanapy. Młodzieńczyk zachwiał się nieco, ale nie tracąc fantazyi, zbliża się i zapytuje: „Pan mnie nie poznaje?“ — „Przepraszam“ — odpowiada mu zimno nierozbudzony jeszcze z zaczytania Adam.—„Jestem Stefan Garczyński.“— Adam się przecież poruszył; ale widać było wyraźnie, że nie lepiéj nazwisko gościa, jak i rysy jego przypomniał. Młodzieńczyk zmieszał się strasznie; pobladł raptem i poczerwieniał, że aż mi się żal go zrobiło; tém bardziéj, że mi przyszła na pamięć własna moja niegdyś scena z Chodanim. Dopiéro gdy mu wydeklamował wyraźnie i dobitnie, że się poznali w Berlinie, i że on go to piérwszy zaprowadził i zapoznał z Gansem; dopiéro wreście Adam przyszedł do roztropu, i zaczął spełniać obowiązek gościnnego i uprzejmego gospodarza. Ja zaś, aby zatrzeć do reszty to niemiłe wrażenie, odezwałem się żartobliwie do gościa, że jeśli liczył na pamięć „pana Mickiewicza“ co do fizyognomii i nazwisk, to się fatalnie omylił; bo ja myślę, że on sam siebie kiedyś we zwierciadle nie pozna, jak już raz swego nazwiska zapomniał. (W istocie tak było w Kownie, i to przy podpisaniu najpilniejszego listu). Adam zaczął się śmiać, a młodzieńczyk, nie pytając nawet kto jestem, zwrócił się do mnie z tak miłym uśmiechem, i tak czule podał mi rękę, że mi się jak

panienka od razu podobał. Sympatya być musi wzajemną, bo choć jeszcześmy z sobą *pod zającem* ani solniczki soli nie zjedli, jesteśmy już jak po pół beczce. O jedno tylko się boję, czy nie jest on bardzo uczony; bo skończył uniwersytet w Berlinie i jest podobno zwolennikiem Hegla, którego ja instynktowo niecierpię, a z tego co wiém o nim, bez skrupułu stosuję do niego te słowa Pisma Św., „że mądrość tego świata głupstwem jest.“—Nie powiedziałem mu jeszcze tego i nie wiém czy kiedy powiém; ale co do uczoności, to będę się musiał rozmówić. Szanowni uczeni warszawscy przyzwyczaili mię do tego, że się ich jak koń wielbłąda obawiam. Jak spójrzę na te juki mądrości xiążkowéj, z których jak szydło z worka wyłażą cytaty, to tak się czuję jakoś żakiem i nieukiem, że już nie śmiem mówić co myślę, i muszę chyba szukać głosu i oczek panieńskich, jak zaczarowany zdroju żywéj wody, aby zły ten urok rozproszyć. Wprawdzie dotąd z Garczyńskim tak nie jest. Bo chociaż lubi mówić o rzeczach poważnych, i wszystko zwłaszcza bierze na seryo; ale mówi co sam myśli i czuje, a nie co gdzieś w xiążce wyczytał. To zaś branie rzeczy na seryo, bardzo mi jest owszem korzystne. Naprzykład, co do zwiedzania Rzymu. Dotąd widziałem jużciż prawie to wszystko, co *Guide* wojażerom zaleca; ale cóż, kiedy w głowie jak na Pociejowie: wszystko, jak przybywało, tak leży bezładnie. On zaś systematycznie chce zacząć *ab ovo*, i porządkiem iść *usque ad finem*. Z nim więc powtórzę wszystkie moje kursa; tém bardziej, że poczciwy Strzelecki,

z którym go wnet zapoznałem, ofiarował się nam za *Cicerona*. Jakoż piérwsza zaraz wycieczka była na szczyt wieży Kapitolińskiéj; na któréj ja sam dotąd byłem wiele razy, ale admirowałem tylko piękne widoki, mianowicie na góry Alby i nad-Tybrowe równiny. Teraz zaś po raz piérwszy Strzelecki, z mappą w ręku, wyłożył nam formalny kurs topografii starożytnego i nowego Rzymu. Wprost ztamtąd zwiedziliśmy najdokładniéj *Forum* i *Colosseum*, gdzie ja dotąd tylko dumałem; teraz zaś od dołu do szczytu obejrzeliśmy wszystko, i byliśmy gdzie tylko wejść można. Przewodnikiem, który nam wszystkie przejścia otwierał, był mieszkający w tych ruinach pustelnik. Pustelnik w Colosseum!... Poetycznie! nie prawdaż?—Po moim ojcu chrzestnym, pustelniku Boruńskim, był to piérwszy pustelnik, którego widziałem; a może już gdzieindziéj nie ma ich na świecie. Przypomniał mi on rzewnie i Boruny, i dom, i matkę—i ciebie. Boś pewnie i ty kiedyś studentem z czcią i obawą na niego spoglądał. I co dziwna, że i tu ubiór ten sam. Habit, kaptur, ogórki, sandały! — Garczyński był też zachwycony; bo choć sam wierszy nie pisze, ale widać zna doskonale, rozumié i czuje poezyą. Umié na pamięć całego Adama; czytał wszystkich poetów niemieckich; a co największa, że we wszystkiém co widzi, umié dopatrzyć poetycznéj strony. Dziwię się więc, że wierszy nie pisze. Ale kiedy mu to powiedziałem, on tak postawił wysoko ideał prawdziwego poety, że aż rozpacz mię ogarnęła, i musiałem biedz co tchu na *Via Mercède*, żeby z tego wrażenia ochłonąć. Ma

racyą mówić Brodziński, że dla panienek tylko warto pisać wiersze. Taki górny ideał poety przed oczyma, byłby ciągle jak jastrząb nad skowronkiem; skowronekby ani pisnął. Ale i pod względem panienek, nowy nasz przyjaciel coś bardzo na Katona zakrawa. Ledwieśmy go namówili, że poszedł z nami do państwa Ankwiczów; ale nigdzie więcéj bywać nie chce, żeby czasu napróżno nie tracić. Strata czasu w towarzystwie panienek! To mi sensat! Cytuję mu piosnkę Mentora:

Co to starzy za warjaci,
Mówią bez przyczyny,
Że czas młody źle się traci,
Bawiąc u dziewczyny.

I pędzą mię do roboty,
A nie wiedzą tego,
Że bez dziewcząt ja ochoty
Nie mam do niczego. i t. d.

I przeto z tego tematu ciągłe z nim staczamy walki; to jest właściwie ja jeden, bo Adam tylko się śmieje. Ale ta sprzeczność w zdaniach bynajmniéj naszéj harmonii nie szkodzi. I owszem, widzę wyraźnie, że jak ja jego systematyczność, tak on moję teoryą życia bierze téż na uwagę, i po trochu nawet do serca. Z tego wszystkiego zaś widzisz, jak on mię mocno zajmuje. Dowiedziałem się téż od pani Węsierskiéj, z Poznańskiego, o czém pewno sambym nie pytał; bo mam wstręt rozpytywać się o familijnych stosunkach przyjaciół, jakby mi nie dość było na ich saméj osobie. Dziad jego był jednym z bogatszych

obywateli Wielkopolskich; lecz w skutek staropolskiéj hojności i gościnności, cały ten swój majątek przehulał. Ojciec był półkownikiem wojsk polskich, za czasów W. X. Warszawskiego; matka z możnéj rodziny Skórzewskich. Osierocony w dzieciństwie wraz z siostrą, wychował się u wuja swego w Lubostroniu; siostra zaś u ciotki po ojcu. Mgła jakby jakiéjś tęsknoty, zdająca się być tłem jego charakteru, nie zkąd inąd może pochodzi. Jest to jak cień sieroctwa rzucony na myśl i serce. Tu przybył z krewnym swoim, p. Apolinarym Gajewskim, który jest narzeczonym jego siostry i uniwersyteckim kolegą. Jest i to bardzo światły i miły młodzian, ale się nie równa ze Stefanem. Adam także bardzo go lubi, i nie zarzuca mi nawet tą razą gorącości piérwszych affektów. Owszem cieszy go, widzę, blizki nasz stosunek. Powiada, że ma w nas obraz „*Allegro* i *Penseroso*“ Miltona, i bawią go nasze dysputy z tego tonu.— A w sam czas przybył nam właśnie, dla osłodzenia smutku i niepokoju z powodu choroby Parczewskiego. Poczciwiec, tak mię pocieszał w ostatniéj mojéj chorobie! i to nas jeszcze bardziéj zbliżyło. Korzystając z ciepłych wieczorów, włóczyliśmy się z nim potém po Rzymie. Ostatnia nasza wycieczka była do Piramidy Cestyusza, i ostatnia przy niéj rozmowa budzi we mnie złe jakieś przeczucia. Naprzeciw leży cmentarz protestancki, na którym między innemi widzieliśmy grób angielskiego poety Shelleya, który utonął w zatoce morskiéj w Spezzia, a Lord Byron, przyjaciel jego, spalił go tamże na stosie, starożytnym ob-

rządkiem pogańskim, (za co straszne nań były okrzyki), a potém prochy jego przywiózł z sobą do Rzymu, i tu na tym cmentarzu pogrzebał. Otóż z powodu tego zwłaszcza grobu, rozmowa nasza przybrała téż kolor grobowy, i Parczewski opowiedział mi swój sen przeszłéj nocy, który na nim zrobił wrażenie, a które, z powodu różnych antecedensów, i ja téż na nieszczęście podzielam. Śnił mu się wspólny blizki nasz przyjaciel, Ludwik Spitznagel, który, wiész, że się zastrzelił, a obiecywał niepospolitego człowieka. Spotkał go jakby na ulicy w Rzymie i podjął się zaprowadzić, gdzie już, jak mówił, czekają na niego. Szli więc przez jakieś ciasne i kręte uliczki, aż weszli do przedsionku ciemnego jakiegoś gmachu. Tu ukazała się nagle matka Parczewskiego, która z wielkim żalem i płaczem chciała go wstrzymać, aby nie szedł do środka. Ale przyjaciel pociągnął go gwałtem za sobą, a trzask drzwi zamykających się za nimi obudził marzącego ze snu. Żartowałem, ma się rozumieć, cytując nasze przysłowie: „Sen mara, Pan Bóg wiara," ale w sercu aż mi się zimno zrobiło. Przypomniałem sen własny w dzień śmierci Ludwika. Wiész, że jechał już do Egiptu, jako dragoman przy tamecznym konsulacie; na wyjezdném zaś z Wilna, pisał do mnie do Warszawy błagając, abym go przeprowadził ztamtąd do Krakowa; bo on umyślnie dla tego przez Warszawę drogę obraca. Przygotowałem się więc do téj podróży i czekałem go lada chwilę. Tymczasem jednéj nocy śni mi się, że go widzę wraz z ojcem, który już nie żył, stojącego na jakiéjś mappie,

rozłożonéj na podłodze pokoju, ale na któréj nic nie ma prócz jakichś pasów światłych i ciemnych, jakby to była mappa jakiéjś bezmiernéj, bezludnéj pustyni; on zaś dziwnie smutny i blady, mówi zdaje się do mnie: „Dziękuję! ale nie masz potrzeby tu mnie przeprowadzać.“ — Obudziłem się ze smutném wrażeniem i zapisałem sobie datę tego widzenia. W tydzień potém otrzymałem wiadomość, że w tym dniu właśnie, bez żadnéj rzeczywistéj przyczyny, w Snowiu, u marszałka Rdułtowskiego, życie sobie odebrał. Ale to nic jeszcze w porównaniu z wypadkiem, który się zdarzył w Wilnie z jego matką. Rozstał się z nią w najweselszém usposobieniu, i wiedziała, że ma wstąpić po drodze do Snowia. Tymczasem, w ten sam dzień i godzinę jego śmierci, matka najzupełniéj spokojna, siedziała sobie w swoim pokoju, którego okna wychodzą na ogród. Nagle w ogrodzie zrobił się straszny szum wiatru, chociaż dzień był pogodny i cichy, a razem głośny świegot rozmaitych ptasząt, których mnóstwo jest w tym ogrodzie. Zakręt wichru pędził je wprost ku oknu, wraz z tumanem kurzawy i liści, i przez okno, które było otwarte, wleciał do pokoju kanarek, przestraszony i ledwo dyszący, który dał się złowić bez trudu. Wiatr i ptastwo ucichło nagle. Ale co najdziwniejsza, że w téjże saméj chwili taki niewymówny niepokój ogarnął matkę o Ludwika, że natychmiast wysłała sztafetę do Snowia, ażeby się o nim dowiedzieć.—Lord Byron w przypisku do Zulejki wspomina o jakiéjś pani, która najmocniéj była przekonaną, że duch siostry wrócił do niéj w postaci

ptaka, i on sam na tém podaniu oparł inwencyą ptaszka, śpiewającego nad mogiłą Zulejki. Bóg to wié, ile w tém prawdy! Ale matka, choć o tém nie mówi, zdaje się, że ma coś nakształt téj myśli. A i ja sam, wyznaję, nie mogłem jakoś całkiem obronić się od niéj, kiedy tego kanarka widziałem. Jest zawsze bardzo smutny, siedzi w kąciku klatki, i ani skacze po niéj, ani się odezwie. To pewna, że pomimo najściślejszych poszukiwań, nikt się do jego właścicielstwa nie przyznał. — Otóż ten mój sen i kanarek przyszły mi na myśl przy opowiadaniu snu Parczewskiego, i dotąd mię niepokoją; tém bardziéj, że zachorował zaraz nazajutrz, nagle, i boję się czy nie w skutku przeziębienia na téj naszéj przechadzce, przed którą czytał mi jeszcze u siebie bardzo ciekawą swoję rozprawkę o kazaniach we Włoszech, Niemczech i u nas, w wieku XVII. Było to zapalenie płuc, do którego oddawna jest skłonny; a choć piérwsze niebezpieczeństwo minęło, Bóg wie jakie być mogą następstwa. Odwiedzamy go najczęściéj jak można, i Garczyński zwykle nam towarzyszy. Bo on tylko bawić się nie lubi, a raczéj na zabawę tylko żałuje czasu; ale gdzie idzie o powinność albo ofiarę, tam go nie potrzeba namawiać. Ciągła owszem ofiara z siebie, ku celom ogólnego dobra i ku służbie swojego społeczeństwa i kraju, jest to główny ideał jego życia i marzeń. Podobałby się z tego surowéj pannie Anieli, nie wątpię. Niechże więc moja Królowa, dobrém swojém życzeniem, a może czasem i pa-

ciorkiem, dopomaga mnie słudze swemu, abym z dobrego przykładu korzystał!

Jutro mamy rozpocząć wycieczki nasze w okolice Rzymu, do których nas pan Ankwicz na swój koszt, jako gości zaprosił. Zaczniemy od najkrótszéj, na brzeg morza, do *Fiumicino*. Następne będą dłuższe i dalsze. Jako zaś wstęp i pierwszą próbę nóg naszych, onegdaj, to jest w niedzielę, z młodym xięciem Wołkońskim i Szewirewem, odbyliśmy przejażdżkę do *Grotta Ferrata*, miasteczka w okolicy Rzymu, gdzie są piękne widoki i sławne freski Dominichina w tamecznym parafialnym kościele. Trafiliśmy na jakiś rodzaj kiermaszu; ale prócz ciżby i wrzawy, wspólnych wszystkim kiermaszom świata, nie widzieliśmy i nie słyszeli nic szczególnego. Ubiór kobiét więcéj miejski niż wiejski, nie miał nawet zalet kostiumu, a co twarze, to odpuść Boże! ani jednéj prawdziwie ładnéj, a nawet młodych nie wiele. Czyżby je *per gelosia* zamykano w domu? Do fresków, dla tłoku w kościele, niepodobna się było docisnąć. A więc rzuciwszy okiem na widoki, i zjadłszy bardzo wesoło w powozie śniadanie, cośmy z sobą przywieźli; ponieważ dzień był prześliczny, puściliśmy się piechotą do drugiego blizkiego miasteczka, *Marino*, które jest równie brudne i posępne jak pierwsze. Za toż droga górami i wśród nich przezroczyste jeziorko *del Castello*, jak zwierciadełko z lazuru, w zielonych ramach lesistych pagórków, warte były widzenia, i tak nas rozochociły, że zamiast wracać nazad, poszliśmy jeszcze daléj aż do *Castel Gandolfo*, letniego zwykle

mieszkania Papieżów. Miejsce miłe, pałacyk ładny, aleśmy we środku nie byli. Żal nam było błękitu nieba i rozkosznego powietrza. A że ztąd już równa odległość do *Albano* i do *Grotta Ferrata*, więc posłaliśmy tam umyślnego po powóz, aby po nas do Albano przyjechał, a sami peregrynowaliśmy daléj, mając do widzenia po drodze grób Horacyuszów i Kuracyuszów i sławny kanał Albańskiego jeziora, dla odpływu wód jego wykuty w skale pod ogromną górą, na przestrzeni półtory mili włoskiéj. Prawdziwe dzieło olbrzymów! Adam mówił: że wszystkie tytaniczne dzieła potęgi ludzkiéj, dokonywane na ziemi, mają zawsze charakter wielkości, bo celem ich i skutkiem był zawsze jakiś pożytek, który cześć i wdzięczność obudza. Ale od czasu wieży Babilońskiéj, albo szturmu Tytanów, wszelka rywalizacya z Niebem, albo wdzieranie się ludzi do tajemnic Nieba, kończy się zawsze tylko karą ich zuchwałości i upokorzeniem ich pychy, i to równie w świecie fizycznym, jak duchowym i umysłowym. Dałby Bóg żeby jeszcze za życia Hegel tego kiedy doczekał! Bo nie masz wyobrażenia, jak mnie zawsze złość bierze, kiedy o tym Niemcu pomyślę, teraz zwłaszcza, gdy widzę, że takie serce i umysł jak Stefana, jak pająk pszczołę oplątał. Dla mnie jestto jak talmudzista-rabin, zaszczepiony na odszczepieńcu-krzyżaku. I niech sobie jego adepci tomy pochwał o nim napiszą; professor, który po latach trzydziestu wykładu z katedry, może sam powiedzieć o sobie, że go nikt z uczniów jego nie zrozumiał, oprócz jednego, a i ten tylko zrozumiał opacznie:

professor taki i mędrzec, koniec końców, podpaść musi pod definicyą Pisma Św., co jest taka mądrość i taki mędrzec.

Ale nie myśl, iż zapomniałem, że idziemy do Albano. Owszem jest i w tém jakby charakterystyka téj naszéj przechadzki. Idziemy drogą wysadzaną drzewami, jak w Pritaneum uczniowie Platona, rozmawiając nie o błahościach ziemskich, ale o różnych rzeczach z jego świata idei; aż nakoniec, jakby na przekór jemu, który poetów chciał wypędzić ze świata, Szewirew deklamuje nam z pamięci wyjątki ze swego tłómaczenia: „Obozu Wallensteina“ Szyllera. Doskonałe! — Już to nie ma do tłómaczeń jak język nasz i rossyjski, a może i w ogólności słowiańskie. Jest to może i w naturze słowiańskiéj, ta łatwość i ta skłonność do naśladownictwa. Przekłady Żukowskiego, to są arcydzieła. Nadewszystko zaś korci mię ciągle jego przekład ballady Walter-Skotta, „Wieczór przed Ś. Janem,“ który mam za lepszy od mego, i nie będę miał spokojności, aż mój kiedyś do tegoż kamertonu dostroję. — Otóż prawiąc tak o różnych rzeczach, aniśmy się spostrzegli, jakeśmy stanęli w Albano. Miasteczko wcale porządne, a położenie arcy-romantyczne, w dolinie, między wzgórzami, porosłemi zielonym i wesołym lasem. Tuż na górze i skale leży *Ariccia;* aleśmy tam już nie byli, uszedłszy i tak pieszo ze trzy mile nasze. Wcale jednak nie byliśmy znużeni, i w najlepszym humorze, a i z nie gorszym też apetytem, wróciliśmy

o siódméj do Rzymu, gdzie nas Xiężna czekała z obiadem.—

No! a teraz, na dzisiaj, więcéj już nie pamiętam, cobym tu jeszcze mógł dodać. A i tak zawsze się boję, czy zbytnią rozwlekłością i szczegółowością nie grzeszę. Jeśli tak, to proszę o przebaczenie. A nie, to oddajcie wet za wet. Odpiszcie za pokutę choćby dwa razy dłużéj, a już ja was z góry *absolvo*. Bądź zdrów!

XIII.

Do Juljana Korsaka.

Rzym, 11 marca 1830 r.

Znasz ty ten stan, nazajutrz po majówce,
Pewnie ten sam w Szczuczynie, co w Borunach,
Gdy przeszły dzień w studenckiéj jeszcze główce
Szumi i gra—jak wiatr w Eolskich strónach,
A tu już znów szkolny dzwonek *dzeń, dzeń?*
Ach! jaki żal, że już przeszedł dzień ten!

Tak mi żal dziś dnia wczorajszego, dnia wycieczki do *Fiumicino!* Adam piérwszy przyrównał go do majówki, gdyśmy się już o szóstéj rano ubierali na łeb na szyję, aby punkt o pół do siódméj, jak było umówiono, stawić się na *Via Mercède.* Panienki już były ubrane, (po podróżnemu: w szarych, zgrabnych płaszczykach, z pelerynkami pod szyję, i w pasterskich kapelusikach ryżowych); stół do kawy był już nakryty; dwa powozy stały przed bramą: czterokonne otwarte *lando* na sześć osób, i kocz parokonny na cztery. Ale rzecz dziwna, jak to lada okoliczność, wychodząca z rutyny codziennéj, ożywia nowém życiem grono tych samych osób, które się codziennie widują. Adam idąc zboczył umyślnie na *Monte Citorio* ażeby kupić jakiś pęczek zieleniny, i zaraz przy

powitaniu pokazał go pannie Henryecie, zapytując o wzajemną zieloność. Z uśmiechem uchyliła rąbek pelerynki, i bukiecik zielony tkwił za paskiem płaszczyka. Widząc to, zaimprowizowałem wpół głośno do panny Marcelliny:

Patrz, pani! przedziwny sposób,
Dla niewielomównych osób,
Nic nie mówiąc, mówić sobie:
„Myślę, myślałem o tobie.“

I zaproponowałem czybyśmy także od dzisiaj nie mogli zagrać z sobą w *zielone?* Ale Adam, który dosłyszał, odwrócił się prędko z przestrogą, ażeby się na to nie zgadzała, bo ja mam zawsze zielone— w głowie. Rozmowa z tego tonu zaczęta, poszła daléj jak ogień liniowy; a śmiech, żarty i kłótnie zagłuszały brzęk filiżanek, które jeden przed drugim wydzieraliśmy z rąk nalewających panienek; aż nakoniec zniecierpliwiony tém sam pan Ankwicz zawołał tonem Katona: że już dosyć tych figlów i czas jechać. A więc i pojechaliśmy przed ósmą. Damy do swego powozu zabrały dwóch najmłodszych: xięcia Olesia i Felisia Niegolewskiego. Nie trudno było zrozumieć dyplomacyą panieńską, i że na powrót inny komplet będzie. Ale tymczasem musieliśmy się pocieszać doskonałemi cygarami, które pan Ankwicz wczoraj z Livorno otrzymał, i archeologiczną erudycyą Strzeleckiego, który nam wszystko po drodze objaśniał.

Fiumicino, mała mieścina, o cztery nasze mile od Rzymu, leży nad samém morzem, przy ujściu prawéj

odnogi Tybru, jak Ostia przy ujściu lewéj. Odnoga ta tak jest wązką, że nie zasługując na miano rzeki, otrzymała nazwę rzeczułki *(fiumicino)*, która przeszła i do miasteczka. Droga z Rzymu przez *Porta Portese*, dawna *Via Aurelia*, wysadzana pięknemi drzewami, idzie wzdłuż Tybru, przez kraj nieuprawny, ale wesoły i kwitnący życiem. Ranek prześliczny, powietrze rozkoszne. Humor mój w podniesieniu, ale takiém, że trzeba albo rozmawiać z panienkami, albo samemu sobie deklamować wiersze; inaczéj gaśnie, jak węgle w samowarze, gdy się komin kapturkiem przykryje. Szczęściem omijając *vilię Crestaldi*, gdzie są jakieś zabytki starożytności, Strzelecki zapragnął je widzieć, a raczéj pokazać drugim. Krzyknął więc na furmanów, żeby się zatrzymali; z czego ja korzystając wyskoczyłem na parlamentarza do powozu panienek. Propozycya nieprzyjęta; a panna Henryetta kazała odpowiedzieć, że dziś jest dzień poświęcony wiośnie i życiu, a nie starożytnym grobowcom. Strzelecki był zły, ale ja kontent; bo obaj młodzieńczyki zaprosili mię do swego towarzystwa. A że damy nie kładły *veto*, więc umieściliśmy się we trzech na przedzie. Ale i tu trafiłem na kurs archeologii; tylko że ta z ust panny Henryetty nie sypie jakoś kamieniami i gruzem. A mówiła o dawnym Rzymskim porcie w tém miejscu, zwanym *Portem Trajana*, nim go Tyber całkiem zamulił, i o ogromnych magazynach, zbudowanych przez Klaudyusza, Nerona i Trajana, których olbrzymie ruiny widzieliśmy zdaleka w przejeździe. Dzisiaj port w Fiumi-

cino służy tylko za przystań dla łodzi rybackich, a wszystkie większe statki i okręty handlowe zawijają do portu w Ostia. Samo miasteczko składa się zaledwo z kilkunastu domków, ale porządnych, i co dziwna, czystych. Nad samym brzegiem morza wznosi się nowożytny kościołek pod wezwaniem „N. Panny, *Gwiazdy Morza;*“ niewielki, ale gustowny i ładny. We środku w okrąg kopuły napis: „*Tu es portus salutis et stella maris;*“ ztąd i nazwa kościołka. W ołtarzu fresk, dosyć brzydki, przedstawia wylądowanie barki. Nie opodal sterczy tak zwana wieża strażnicza, któréj podobne, w pewnéj od siebie odległości, znajdują się na całym tym brzegu, broniąc go niby od napaści Barbaresków. Przed laty kilkunastu, lękano się rzeczywiście ich wylądowania. Załoga w Fiumicino składa się z 800 żołnierzy, których w lecie dziesiątkuje *Malaria*. Wszystko to widzimy i słyszymy wysiadłszy już z powozu i zbliżając się ku morzu. Brzeg płaski, piaszczysty, zarosły krzakami jałowcu i innych poziomych krzewów. Ale morze! Morze Śródziemne! Morze, nad którego brzegami przeszło tyle ludów, tyle dziejów, tyle wielkości! Morze, które oblewa Grecyą i Ziemię Świętą! na które patrzał Homer—nim oślepł—a my teraz patrzymy mówiąc o tém wszystkiém, a nadewszystko admirując samo to morze —tak ciche, tak łagodne, tak błyszczące złotem od słońca, tak błękitne odbiciem nieba, tak z siebie szmaragdowo-zielone—że przypomniałem i powtórzyłem głośno wiersze Moora z *Lalla Rookh:*

„*Wind, lull'd to languor, scarcely curl*
The Green Sea wave, whose waters gleam
Limpid, as if her mines of pearl
Were melted all to form the stream.“

(Wietrzyk wpółsenny ledwie muśnie fale,
Co się tak błyszczą w różanéj pogodzie,
Jakby się wszystkie perły i korale,
Co leżą na dnie, rozpłynęły w wodzie).

Sam nawet Tyber, zwykle płowy i mętny, tu przy ujściu nabiera zda się od morza nowego koloru i blasku, a dzieląc się na kilka gałęzi tworzy wyspę, tak zwaną *Świętą* (*Isola Sacra*), gdzie niegdyś stała świątynia Jowisza i Wenery, i gdzie zwłaszcza na jakąś uroczystość wito dla bóstw tych wieńce i wieńczono się mirtem. Do dziś dnia ogromne drzewa i zarośle mirtowe okrywają całą tę wyspę, i pod białém drobném swém kwieciem, wyglądają jak gdyby przyprószone śniegiem. Tam mamy się przeprawić na promie, odpoczywać, jeść obiad i resztę dnia przepędzić. Ale wprzód jeszcze przypatrujemy się łowieniu ryb w Tybrze i w morzu. Mnóstwo malutkich łódek uwija się wzdłuż brzegu. W każdéj po dwóch rybaków. Stoją po obu końcach, trzymając każdy sznur od skrzydła sieci, którą zarzucają daleko od łodzi, a potém ciągną do niéj, albo do brzegu. Wdajemy się z jednymi w rozmowę, którzy nic nie ułowiwszy od rana, zabierają się już wracać do domu. Adam daje im *paola*, aby raz jeszcze zarzucili siatkę, i obracając się do panny Henryetty dodaje: „Na szczęście

Pani!“—Odpłynęli na jakie staj parę, i zakreśliwszy duże półkole płyną nakoniec ku nam, którzy ich z ciekawością czekamy na brzegu. Panna Henryetta uprzedza z góry, że pewno nic nie ułowią, bo jéj się w niczém nie szczęści. W twarzy Adama znać wyraźny niepokój; przysiągłbym, że musiał coś sobie jak w kabale zamyślić. Wtém — o! radości! — słychać i widać pluskanie się w matni, a nawet i w okach skrzydeł trzepocą się uwięzłe rybki. „*Presto! presto!*“—wołają na siebie rybacy, *zszywając* co najściśléj niższe brzegi skrzydeł. I oto wysuwa się matnia prawie pełna; pewno z pół kopy ryb większych i mniejszych; jakieś prawie całkiem okrągłe, z ostrym grzbietem jak u okónia, a smaczniejsze od wszystkich ryb rzecznych. Ale nie myśl, zmiłuj się, że ugryzłem je na surowo, jak Eskimos albo Wenecyanin. Nie postąpiłem jeszcze tak dalece w cywilizacyi gastronomicznéj: ostryg nawet przełknąć nie mogę. Ale Strzelecki zakupił cały połów, i odrzuciwszy mniejsze rybki do morza, większe kazał nieść do oberży, aby je tam na obiad usmażono — w oliwie. Obiad wszakże i bez tego był dobry, a przedewszystkiém wesoły. Jedliśmy go w altanie z mirtu, wieńcząc siebie nawzajem i obwijając kieliszki jego liśćmi, jak dawni Rzymianie przy uczcie. Wino przyjechało wraz z nami. Przy kawie i Liworneńskich cygarach, napastowano zewsząd Adama aby co zaimprowizował; ale zbywał żartami i nie chciał. Chyba że się podoba nazwać improwizacyą jakie z dziesiątek konceptowych dystychów, najwięcéj stosowanych do mnie,

a z których może kilka uszłoby na dewizę karmelków. Za toż ja deklamowałem, aż mi w gardle zaschło, co chciano: *Świteziankę*, *Budrysów*, *Twardowską*, i nakoniec moje *Wesele*. To ostatnie wybrał Strzelecki, co mi wcale nie było po myśli. Deklamowałem więc arcy-tendencyjnie: to jest nie tylko nie uwydatniając, ale owszem jak można zacierając to wszystko, w czém mógłby być choć cień alluzyi, i przeto tylko wprost nie odmówiłem, aby się téj przyczyny odmowy nie domyślano. A jednak byli tacy, co delikatny ten odcień w deklamacyi mojéj zrozumieli, i podziękowali mi zań, nic nie mówiąc. Magnetyzm—nie zwierzęcy, ale myślno-duchowy, jest to coś nakształt gry w *zielone-niewidome*. I kto wié czy nie na tém największy, jeżeli nie jedyny, urok rozmowy z płcią piękną zależy. Doznawaliśmy go wczoraj w pełni; aż dziwny, niespodziany wypadek, wesołe to usposobienie zamącił. — Słońce już miało się ku zachodowi, i trzeba było myśleć o powrócie. Panienki pobiegły jeszcze zebrać nieco mirtów dla p. Aignera i dla pani Moszyńskiéj, których spodziewały się zastać wieczorem u siebie. Wtém z za ruin świątyni Jowisza, występuje nagle jakaś kobiéta, widocznie cyganka, istna *Meg-Merillis*, z *Astrologa* Waltera-Skotta: wysoka, czarna, z włosami w nieładzie, w jakimś czerwoniawym łachmanie, i wrzaskliwie dopomina się o jałmużnę, ofiarując się przytém przyszłość wróżyć z ręki. Panna Marcellina ani chce słuchać; ale panna Henryetta porywa gwałtem jéj rękę i zarazem podaje swoję. Co im ta wróżka powie-

działa, nie wiemy. Bo nimeśmy się do nich zbliżyli, wróżba już była skończona; ale obie panienki były tak zmieszane, żeśmy się słowa u nich dopytać nie mogli. Musiało być coś albo bardzo smutnego, albo zdradzającego tajemnicę serca [1]). Daliśmy więc pokój pytaniom, a sami ofiarując wieszczce jałmużnę, nikt z nas nie miał ochoty narażać się na podobneż wrażenie. Ja zresztą boję się strasznie wszelkich wróżb, kabał i przepowiedni; Adam zaś z wielkiém seryo gromił tego rodzaju ciekawość; co jeszcze bardziéj skonfundowało panienki. Powarzeni więc nieco i smutni wsiedliśmy do powozów — ja i Adam z damami. On widocznie chciał je rozerwać; dobył pugilares z kieszeni, i najprzód z samą panią hrabiną, a potém z panienkami zaczął grać w *szubieniczkę*, przepłatając grę żarcikami. Środek okazał się skutecznym, i rozmowa stała się znowu wesołą. Tymczasem słońce zaszło, i xiężyc jasny, pogodny, opromienił srebrzystym blaskiem Kampanią i wody Tybru. Rozmowa z żartobliwéj przeszła w nastrój uczuciowy, poważny, a ja z niéj, zwłaszcza ze słów saméj pani hrabiny, wiele dobréj powziąłem otuchy. Niedaleko już przed Rzymem powozy się zatrzymały przed jakąś oberżą. Adam wysiadł zapalić cygaro, a tymczasem przystą-

[1]) Z korrespondencyi pani Seweryny Duchińskiéj, „O wspomnieniach Ewuni,“ umieszczonéj w *Bibliotece Warszawskiéj* z Marca 1871 r.. dowiedziałem się dopiéro po raz piérwszy, co to była za przepowiednia. Pannie Marcellinie wróżyła, że wstąpi do zakonu, a pannie Henryecie, że dwakroć ponowi śluby. (P. A.)

pił Strzelecki. Sama pani zaprosiła go aby usiadł trzeci na przedzie. Nie musiało to być po myśli Adamowi; bo chociaż niby swobodnie, ale jednak stanowczo oświadczył, że chce też użyć towarzystwa pana hrabiego, i wsiadł z nim do drugiego powozu. Posmutniało zatém i w naszym, a o ósméj byliśmy już z powrótem na *Via Mercède*. Oprócz kilku spodziewanych osób, przyszli Garczyński i Gajewski. Piérwszy nie dał mi się namówić do uczestnictwa w dzisiejszéj wycieczce, ale w skutek czynionych mu za to wyrzutów, obiecał, że będzie towarzyszył w następnych. Kiedy one nastąpią, nie wiém; ale pewnie przed Wielkanocą. Tymczasem mamy przed sobą mnóstwo projektów w mieście. Jutro np. idziemy wszyscy na kopułę Św. Piotra; zaraz potém mamy oglądać przy pochodniach Muzeum Watykańskie i Kolosseum. Żeby więc te nowe wrażenia nie ścmiły wczorajszego, spisałem je tu za świeżéj pamięci, a dokończenie listu odkładam na późniéj.

---

13 marca, wieczorem.

Ledwie żyję, tak dziś jestem znużony—ale tylko fizycznie. Dla tego wprost z obiadu na *Via Mercède* powróciłem na cały wieczór do domu, i po krótkiéj *siescie*, zasiadam *ad epistolam meam*. Deszcz wczoraj pomieszał nasze plany pójścia na kopułę. Za toż dziś byliśmy i na samym jéj szczycie, i na samym jéj spodzie, to jest w podziemnéj części kościoła Św.

Piotra; i w Watykańskim ogrodzie, i w bibliotece Watykańskiéj. Ta ostatnia najwięcéj mię zmordowała. Już to ja zawsze w każdéj prawie bibliotece przypominam sobie mniéj więcéj samego siebie, gdy mię kiedyś pan hr. Karol Przezdziecki, dziedzic Smorgoń, a wielki mój *benefaktor*, (bo mi dawał pocztowe konie do Dziewietni), obwoził najprzód po swoich folwarkach i pokazywał w nich barany i cielęta, na które ja nie z większym pewnie interesem, jak one na mnie, patrzałem. W bibliotekach ja to jestem jak baran lub cielę; nastawiam uszy na to, czegom nie ciekawy; wytrzeszczam oczy na to, co mię nie obchodzi; a przez grzeczność udając zajęcie, nudzę się i morduję sam w sobie. W Watykanie dobrze przynajmniéj że białe kruki zamknięte są w klatkach, to jest wszystkie bibliograficzne rzadkości w szafach; i przeto sprawujący obowiązek *Ciceronów* nie zmuszają koniecznie spektatorów do zbyt szczegółowego oglądania wszystkich. Są jednak pomiędzy niemi, co mnie nawet istotnie zajęły. Np. rękopism Cicerona *De Republica*, z którego bibliotekarz tutejszy, kardynał Mai, po raz piérwszy to dzieło zatracone wyczytał. A było to prawdziwe odgrzebanie Pompei. Na piérwotnym albowiem rękopiśmie z czasów Rzymskich, ktoś w wiekach średnich, przez oszczędność pargaminu, zawernixowawszy dawne litery, napisał był na nich wykład psalmów, który następnie xiądz Mai zeskrobywać musiał. – Adam, Strzelecki i panna Henryetta toczyli długie archeologiczno-bibliograficzne rozprawy, do których należał i Garczyński, podczas

kiedy ja sobie z drugiemi damami poprzestawałem na obchodzeniu i na admiracyi samego gmachu, który już zresztą nie piérwszy raz dzisiaj widziałem. Wielka sala ma 216 stóp długości a 48 szerokości, i przedzielona jest na dwie części sześciu ogromnemi kolumnami. Wokrąg ich i przy ścianach, szafy, a w nich zamknięte same rękopisma. Obliczają je na dwadzieścia kilka tysięcy. Xiążek stosunkowo jest mało, bo zaledwo o kilka tysięcy więcéj. Na ścianach dość brzydkie freski, wyobrażają budowanie starożytnych bibliotek, koncylia generalne, etc. Daléj kalendarz stary malowany na drzewie, i za szkłem kilka rękopismów na papyrusie, z piérwszych wieków chrześcijaństwa. Po za tą salą, na prawo i na lewo rozciągają się dwie przeciwległe galerye, mające razem 400 kroków długości, i podzielone także na sale. Wszystkie xiążki zamknięte w szafach. Po ścianach freski. Przy końcu galeryi na lewo, *Muzeum*, tak zwane: *święte:* to jest zbiór sprzętów, obrazów i rozmaitych przedmiotów, znalezionych w grobach dawnych chrześcijan. Między temi, najdawniejszy, jaki znają, obraz Chrystusa Pana, z mozaiki. Przy końcu galeryi na prawo, *Muzeum świeckie*, to jest zbiór starożytnych, różnometalowych sprzętów, narzędzi, ozdób, i t. d. Najciekawszym był dla mnie warkocz jakiéjś Rzymianki, znaleziony w sarkofagu, a tak doskonale zachowany, jakby dziś wyszedł z ręki fryzyera. Czy ta pani mogła pomyśleć, trefiąc kiedyś te włosy przed stalowém zwierciadłem, że za dwa tysiące lat świat cały podziwiać je będzie. Szkoda, że to nie jest

ten sam warkocz Bereniki, od którego konstellacyą gwiazd nazwano. Jest tu także, w osobnym gabinecie, sławne starożytne malowidło na tynku, (rodzaj fresku), które, do odkrycia Pompei, uważane było za najdroższy, jeżeli nie za jedyny zabytek starożytnego malarstwa. Zwie się ono *Weselem Aldobrandińskiém* dla tego, że wyobraża jakoby wesele Bachusa z jakąś Nimfą, i że Papież Pius VI kupił je od kardynała Aldobrandini i zapłacił 10,000 skudów, t. j. sto tysięcy złotych naszych. Kardynał musiał być z tego wielce rozradowany, więcéj niż pan młody w obrazie, kiedy obraz nie *weselem* Bachusa, ale weselem Aldobrandińskiém nazwano.

Prosto z biblioteki poszliśmy do podziemnego kościoła Św. Piotra. A wiész-że co to jest ten podziemny kościół? Oto gdy na miejsce dawnéj bazyliki nad grobem Św. Piotra, zbudowanéj przez Konstantyna W. w r. 326, zaczynano budować teraźniejszą, (w r. 1450, za Papieża Mikołaja V.), zalecono architektom ażeby nie poruszali podłogi dawnéj, pod którą miały być pochowane zwłoki Św. Apostoła. Zostawiono więc przestrzeń 11 stóp wysokości między dawną i nową podłogą, i tę ostatnią w tém miejscu na arkadach i kolumnach oparto. Ta przestrzeń stanowi kościół podziemny. Prowadzą doń marmurowe wschody z pośrodka balustrady, przed środkowym wielkim ołtarzem w górnym kościele. Nad tym to ołtarzem wznosi się w górze owa sławna kopuła, oparta na czterech słupach, z których każdy ma 206 stóp obwodu; i pod tym to ołtarzem w podziemnym

kościele jest środkowa kaplica, w kształcie krzyża, stanowiąca właściwy grobowiec Św. Piotra. Po rogach cztery inne kaplice, pod słupami dźwigającemi kopułę, składają całość tego podziemnego przybytku. Łączą je korytarze malowane *al fresco*, równie jak i sklepienie, ale tych malowideł dla ciemności nie widać. W środkowéj tylko kaplicy pali się jedna, ciągle gorejąca lampa. Przy ścianach znajdują się grobowce: kilku Papieżów, Cesarza Ottona II, i trzech Sztuartów.

„O! marne szczęty wielkości światowéj,
Blask tylko lampy, i marmur grobowy!"—

A teraz z dołu do góry! W jednym ze słupów wspierających kopułę, kręte wschody prowadzą do niéj. Idziem, idziem, i wychodzimy na platformę dachu, gdzie jak pieczarki wkoło borowika, dziesięć kopuł, ni mniéj ni więcéj, wyrasta wkrąg kopuły wielkiéj, która ma jeszcze odtąd 285 stóp wysokości. O widoku z tak nizka mówić, szkoda słów! Ale za toż widok na kościół, z galeryi wewnętrznych, okrążających kopułę, z których niższa ma 380 stóp obwodu, jest tak zachwycający, ale zarazem i tak przerażający, że jeszcze myśląc o nim czuję zawrót głowy. Nieraz mnie patrzącemu z dołu, ludzie na téj galeryi stojący, wydawali się jak kawki. Teraz zaś patrzącemu z góry, ludzie po kościele chodzący, zdawali się istotnie podobni do żółwiów: bo wzrostu i nóg nie widać, a same tylko głowy pełzają zda się po podłodze. Ale co tam patrzeć na ludzi, kiedy otchłań i ogrom

świątyni całą myśl i uwagę pochłania!—Cała kopuła wewnątrz wyłożona jest mozaiką złotą. Na niéj wyobrażona *Gloria* niebieska; czteréj ŚŚ Ewangelistowie olbrzymich rozmiarów, (pióro, które jeden trzyma w ręku, ma 17 stóp długości), i sławny napis: „Tu es Petrus et super hanc petram edificabo ecclesiam meam, et tibi dabo claves regni coelorum.“ Patrząc więc na tę kopułę w górze, na ten kościół u spodu, a stojąc właśnie między panną Henryettą i panną Marcelliną, zaimprowizowałem do nich na prędce:

Gdyby kiedy czyj duch,
Tak wśród Aniołów dwóch,
Leciał pod Nieba strop:
A pod nim ziemia cała
Tak mu się piękną zdała,
Jak ten kościół u stóp:
To kto wie, czy ten człek,
Przez jeden, drugi wiek,
Nim spocznie w chwale Boskiéj:
Nie byłby jeszcze rad,
Popatrzeć na ten świat,
Choć wisząc jak Twardowski.

My jednak poszliśmy wyżéj, pomiędzy dwiema ścianami kopuły, i dopiéro z galeryi zewnętrznéj, okrążającéj spód tak zwanéj *latarni*, spójrzeliśmy na świat Boży. Ach! co za panorama! Watykan u stóp naszych; cały Rzym, cała Kampania przed námi! Na zachód morze, kończące horyzont, zdaje się jakby powstająca chmura, jakby błękitniejące w oddaleniu pasmo gór.

Na wschód miasto, objęte zakrętem Tybru, najeżone tysiącem wież, kopuł, kościołów, krzyżów, błyszczących i gorejących od słońca. Między miastem a morzem równina. Gdzie niegdzie tylko nagie i piaszczyste wzgórki, poziomemi krzakami zarosłe. Na południe villa *Pamphili*, ze swemi baldachinowemi sosnami. Bliżéj cały ogrom pałacu, którego zniskąd inąd nie widać, i oba watykańskie ogrody. Na północ *Monte Mario*, i u stóp jéj najpiękniejsza z okolic Rzymu, pełna drzew i w pośród ich zieleni bielejących domków. Środkiem niéj płynie Tyber, który gdzie niegdzie przebłyska. Nakoniec w oddaleniu, w sinéj mgle śnieżna *Sorakte*, i w prawo jéj góry Sabińskie, a w lewo góry Tolfa, Cornelano, Viterbo, i t. d., i t. d. A dodajże jeszcze do tego przeczysty szafir nieba, i słońce, i powietrze wiosenne! Sama *latarnia* ma jeszcze 75 stóp wysokości, to jest wysokość najmniéj trzypiętrowego domu, a na jéj wierzchu jest jeszcze druga mniejsza galeryjka, w okrąg podstawy bani czy kuli, ze złoconego bronzu, w któréj 16 osób może się pomieścić, (ma siedem i pół stóp średnicy). Do téj bani z latarni trzeba się piąć po stroméj drabinie, a ztamtąd można się jeszcze dostać aż do krzyża, który jest szczytem kopuły i całego kościoła, a oprócz piramid egipskich, najwyższym punktem na świecie, do jakiego dzieło ludzkie dosięga. Nie mieliśmy wszakże ochoty ani nawet probować mieszczenia się w bani, tém bardziéj, że Cicerone opowiadał nam o jakimś xiędzu hiszpańskim, który tam umarł ze strachu, spójrzawszy w przepaść pod

sobą. My wszyscy Bogu dzięki wróciliśmy cało i odpoczęliśmy sobie w ogrodach watykańskich. Mówię ogrodach, bo jest ich dwa: jeden zowie się *Giardino della Pigna*, z powodu olbrzymiéj szyszki sosnowéj z bronzu, z dawnego Panteonu; drugi: *Giardino Pontificio*. w którym jest sławna w architekturze *Villa Pia*. albo *Casino del Papa*, rzeczywiście śliczna budowa. Ale zabawiła nas najwięcéj fontanna, w kształcie okrętu z kamienia, z którego, za odkręceniem rury wodociągu, ze wszystkich wystających punktów wyskakują raptem wytryski, i armaty strzelają—wodą. Przypomniało mi to owe nasze niegdyś hydrauliczno-studenckie figle w rzece z kochanym Józikiem Massalskim, na które ty z brzegu tylko śmiejąc się patrzałeś; kiedy my, w roli dwóch nieprzyjacielskich okrętów, pryskaliśmy w twarz wodą nawzajem, póki ten lub ów drugiemu ust albo oczu nie zalał. Gdzież te czasy? A gdzie te wody *rodzinnéj* Wilii,

Cośmy wtedy czerpali w *zdziecinniałe* dłonie?...—

Słyszę pukanie do drzwi, ktoś przychodzi—i dobrze! bo już dość na dzisiaj.

---

14 marca rano.

Dziwny to czasem zbieg okoliczności! Wiész, kto wczoraj pukał i przyszedł? Oto Ádam z Garczyńskim. Mówią, że wyglądałem strasznie przy obiedzie; a że piérwszy od panienek odszedłem, więc się zlękli

o moje zdrowie, i przyszli obaczyć czy żyję. Ale trzebaż, że właśnie kiedy ja o dawnych czasach myślałem, dawne czasy niejako powracały ku mnie; jak nieraz na ulicy, ledwoś pomyślał o kim, już go rzeczywiście spotykasz. A powróciły w kształcie głośnéj, żarliwéj, zapalonéj dysputy, jakiéj od czasów Wileńskich, ani stoczyłem sam, ani słyszałem, a która przecież, jak za owych czasów, skończyła się nierozerwaniem, ale owszem tém większém zbliżeniem serc, jeśli nie wyobrażeń: jak mówią, że burza przez tarcie skleja w morzu cząstki bursztynu. W poprzednim liście do Ignacego pisałem o poznaniu się i stosunku naszym z Garczyńskim. Poznasz go więc mniéj więcéj nim ten list odbierzesz. W uczuciach, w zasadach, w uczynkach, jest on czystym chrześcijaninem; ale w teoryach, w myślach, a zwłaszcza w rozumowaniach, kręci się, jak derwisz w meczecie, w formułkach filozofii niemieckiéj, a już jak przed trumną Proroka bije czołem przed systematem Hegla—który z nią rzeczywiście możnaby porównać: bo wisi na powietrzu, a w środku—zgnilizna. O nim wczoraj zaczęła się rozmowa, ale wnet wzniosła się w sfery najoderwańszych wyobrażeń i pojęć. Ja więc sobie zostałem na dole, i tylko przysłuchiwałem się ciekawie, jak kiedyś amerykański ornitolog Audobon przypatrywał się napowietrznéj walce dzikiego łabędzia z sokołem. Ale żebymże to ja mógł tę dysputę, jak on tamtą walkę opisać! Słuchając pomądrzałem przynajmniéj o jeden procent, ale wątpię czy ci się z tego choć dziesiątny ułamek dostanie. Bo słyszałem właśnie między in-

nemi: „że nie dość jest posłyszeć i uznać, a więc niby już wiedzieć jaką prawdę, ażeby módz ją podać i przelać w drugiego. Trzeba się najprzód tak nią przejąć samemu, aby żyć w sobie jéj światłem i ciepłem, które wtenczas same przez się dadzą się z nas poczuć drugiemu. Tym sposobem słońce oświeca i ożywia naturę; zwierciadło odbijając blask słońca, może tylko puszczać *zajączki*. Mądrość tylko prawdziwa i świętość, (bo obie znaczą jedno i to samo), może być tém słońcem dla ludzi; filozofia, jako nauka, będzie zawsze tylko zwierciadłem.“ — Są to własne mniéj więcéj słowa Adama; a już ja sobie w myśli wyobraziłem daléj, jak te *zajączki* przez oczy wskakują do głowy szkolarzy. Treścią albowiem dysputy były prawa i granice rozumu; mądrość i filozofia (niemiecka). Adam jużciż był dla mnie tym Audobońskim łabędziem, który w końcu drapieżnego napastnika zwyciężył. Tylko że i poczciwy Garczyński nie był wcale drapieżnym, i tylko się na obronę swojéj tezy wysilał. A i sama teza na pozór była jedna i ta sama z obu stron; tylko że w rozumieniu jéj w gruncie, obie strony różniły się z sobą, jak Wiara i Filozofia (niemiecka). Wprawdzie jedna i druga wskazuje człowiekowi cel jeden — doskonałość. Ale wiara powiada przez usta Zbawiciela: „Bądźcie doskonałymi, jako Ojciec wasz w Niebiesiech!“ — a więc czcijcie, kochajcie i słuchajcie Ojca! Filozofia zaś, jak szatan w raju, woła wprost na swoich adeptów: „Bądźcie jako Bóg!“ Hegel nawet podobno idzie daléj niż szatan, bo nie powiada: *bądźcie!* ale *jesteście;* nie *jako Bóg* (*sicut Deus*),

ale wprost *samym Bogiem!* gdyż Boga nie ma nigdzie, tylko w myśli ludzkiéj. Wprawdzie tego śmiesznego absurdum Garczyński ani powtarza, ani broni; obstaje tylko przy prawie jednostki ludzkiéj dociekania wszelkiéj prawdy przez siebie, i przy potędze rozumu ludzkiego, że sam o własnych siłach dociec jéj jest mocen. Adam zgadza się z nim najzupełniéj w uznaniu godności jednostki ludzkiéj, jako stworzonéj na obraz i podobieństwo Boskie; ale na mocy praw fizycznych i moralnych natury ludzkiéj, na mocy doświadczenia dziejów i wieków, zaprzecza stanowczo téj pretensyi i pysze rozumu. Bóg sam tylko jak źródłem życia, tak jest źródłem mądrości i prawdy, i On sam tylko objawia je światu. Ale jak Siebie tylko objawił przez Siebie, tak wszystko resztę objawia przez ludzi, do których sam przemawia—natchnieniem. W natchnieniu jest piérwsze ziarno, piérwsza iskra, piérwsze słowo wszelkiéj mądrości i prawdy, którą już potém rozum i ogół ludzki uprawia, rozpromienia, pojmuje i wykonywa. Wszystkie wielkie rzeczy na świecie: narody, prawodawstwa, instytucye wiekowe; wszystkie wiary przed przyjściem Chrystusa; wszystkie nauki, wynalazki, odkrycia; wszystkie arcydzieła poezyi i sztuki; wszystkie wzięły początek w natchnieniu: proroków, mędrców, bohaterów, poetów. Ale Prorok musi być świętym; mędrzec a człowiek cnotliwy nazywany był jednakowo u Greków. Doskonałość ludzka zależy na tém, aby stać się godną natchnienia. Tymczasem pycha rozumu, odrzucając powagę praw i natchnień Boskich, a sądząc, że

je może własną siłą zastąpić: tworzy tylko mądrość fałszywą, to jest owe przeróżne doktryny, szkoły, systemata filozoficzne, które na rzece wieków i dziejów ludzkich, powstają i znikają jak bańki na wodzie. Przypomina to naszą bajkę ludową o djable, który widząc jak Pan Bóg stwarzał człowieka, ulepił też postać ludzką, ale gdy ją tchem swoim ożywił, powstała ztąd tylko—małpa.—„A więc filozofia jest małpą mądrości!“ wykrzyknąłem jak Archimedes, gdy przez natchnienie rozwiązawszy zadanie, z radości aż z wanny wyskoczył. Wykrzyknik mój przerwał dysputę; a poczciwy Garczyński, widząc tę moję radość, nie tylko się tém nie obraził, ale sam owszem zaczął śmiać się ze mną, czy ze mnie, a potém mię serdecznie uścisnął i ucałował. I to mi przypomniało owe nasze czasy i koleżeńskie dysputy Wileńskie. Adam zaś dowiódł mu w końcu faktycznie, że dla tego tylko tak wierzy w formuły filozofii Heglowskiéj, że wciela w nie sam swoje uczucia, które wziął ze krwi przodków i z tradycyi chrześcijańskiéj. Bo jużciż nie ma pewnie Pruss za taki ideał ludzkości, za jaki Kant i Hegel chcieliby je wystawić.—Ta zgodność zdań o Prusakach zagodziła spory poprzednie; i obaj dziś Garczyńskiego więcéj jeszcze niż przed tém kochamy.—Za dni kilka czekamy przybycia Adolfa, od którego miałem list wczoraj. Ale cóż, kiedy te wszystkie pociechy zatruwa nam stan zdrowia Parczewskiego. Cały wieczór aż do północy przepędziliśmy onegdaj u niego! Na obiedzie zaś byliśmy u xiężny Zeneidy, razem ze sławnym chemikiem *Morichinim*, i młodym poetą *Sterbinim*. Ten

ostatni, po wyjściu chemika, czytał swoję tragedyą: „*Westalka*“, w rodzaju Alfierego, za którą kiedyś wygnany był z Rzymu za czasów Leona XII. Autor czytał ją z wielkim zapałem. Ja nie mogłem dobrze rozumieć, ale Adam powiada, że nic warta. To też nie prawił żadnych komplementów autorowi, których mu nie szczędzili drudzy.—Ach! smutna to rola autora, czytać swój utwór w obec obcych ludzi! chyba, że już jest drukowany, albo że autor tak jest pewny siebie, że się chce nim tylko pochwalić, jak np. pan Józef-Dyonizy w Warszawie. Ale chcieć tym sposobem zasięgnąć prawdziwego zdania o dziele, jest to prawie to samo, jak gdyby jaka panienka, ubierając się na bal, pytała kawalerów, jak wygląda?

Wierzącéj ich pochwałom nierazby przypadło,
Że zaniedbawszy sama spójrzeć we zwierciadło;
Mogłaby, wszedłszy na bal, wyjść na czupiradło.

Bądź zdrów!

XIV.

Do tegoż.

Rzym, 24 marca 1830 r.

Jutro dzień Zwiastowania N. M. P., i jeżeli Ojciec Św. zdrów będzie, wielka, jak co rok, celebra Papiezka (*Capella Papale)*, w kościele Dominikańskim *S-ta Maria sopra Minerwa*, to jest zbudowanym na gruzach dawnéj świątyni Minerwy, dokąd się mamy wybrać od samego rana. Potém czeka nas wielki obiad u xiężny Zeneidy dla całéj piérwszéj arystokracyi Rzymskiéj; a zaś pojutrze raniutko ruszamy znowu z pp. Ankwiczami na zamiejską dwudniową wycieczkę do Frascati i do Albano. W obec więc takiéj perspektywy przyszłości, przeraża mię, jak memnoniczna tabelka Jaźwińskiego, cały arkusz zabazgrany notatkami do listu, z których muszę ci przecież choć strzępek dziś jaki nadszarpnąć, bo mi już wstyd, że nie pisałem tak dawno. Żeby ci jednak opowiadać dzień po dniu cośmy w tym czasie robili: byłoby to chyba chcieć pozować samemu a la *niby* Nibby, a ciebie kamienować niby męczennika, gruzami wszystkich cyrków, thermów, portyków, świątyń, łuków i akweduktów, cośmy już wszystkie prawie po kolei zwiedzili. Czy, i o ile przez to zmądrzałem? Sam nie wiém. Ale

cała historya staréj, wielkiéj Romy, przesunęła mi się niejako przez głowę, wiążąc się w myśli z nowszą, którą wyczytałem w Gibbonie, a przez te właśnie ruiny prowadząc do filozoficznych medytacyj nad *Fatum* i *Vanitatem vanitatum* rzeczy tego świata. Dotąd czytając o tém nieraz tu i ówdzie, ty wiész, że człek nie bardzo brał to jakoś do serca; i częściéj owszem nad xiążką tego rodzaju, jak niegdyś na rekollekcyach w szkołach, ani spostrzegł jak zdrzemnął się słodko, albo marzył na jawie o czémś wręcz przeciwném. Jest to coś nakształt tego, jak gdy broniąc się od jakiéjś pokusy, wyobrażasz sobie np. żeś umarł, że leżysz już na katafalku, a nad tobą *de profundis* śpiewają. Sam je nawet pomagasz nócić, a mimo to nieustraszona pokusa, jakby śmiejąc się z urąganiem, tém żywiéj zda się w blasku gromnic przed oczyma twemi tańcuje. Ale miéjże istotnie przed sobą nieboszczyka na marach; ani spostrzeżesz znowu, jak kir całunu padnie na myśl twoję, a chłód od niego jakby wiał na serce. Otóż tak samo prawie rzecz się ma z ruinami. Stoisz np. w środku *Thermów* Tytusa, zbudowanych na gruzach *Złotego Pałacu* Nerona, który sam znowu zbudowany był na miejscu dawnego domu i ogrodów Mecenasa, a bodaj nawet że i na jego grobie, obok którego, jak wiadomo, pogrzebiony był i Horacyusz. A więc trzy piętra ruin — i to jakich! Nad środkowém ogniskiem światła dawnéj Romy, które samo było wynikiem jéj wiekowéj pracy i chwały, szaleje w najwyuzdańszéj rozpuście symbol najnikczemniejszego tyraństwa, który to jéj światło i chwa-

łę krwią najcnotliwszych synów jéj zalewa, a ją samą w popiół obraca. A nad tém znowu Tytus, zwany *łaskawym*, (jedyny z Rzymskich Cezarów, który na ten przydomek zasłużył), buduje, jakby dla zmycia plamy tego miejsca, najwspanialsze naówczas *Thermy*, to jest łaźnie, których mania budowania za Cezarów w Rzymie i na całéj przestrzeni państw jego, była jakby symbolem ogólnego poczucia ludzkości, że się świat ma oczyścić i odrodzić przez wodę: choć pędzono do cyrków, na pożarcie zwierzętom, tych właśnie, co światu o wodzie chrztu świętego mówili. Otóż gdy stoisz śród Thermów Tytusa a o tém wszystkiém po kolei rozmyślasz: chcąc nie chcąc, ani spostrzeżesz, jak wychodzisz na hystoryozofa i mędrca, o czém ci się wprzód ani śniło. A pamiętajże, że do każdéj prawie ruiny wiążą się mniéj więcéj podobne szeregi wspomnień; tylko że każdy na nie patrzy po swojemu i ze swego punktu widzenia. Szanowny nasz *Cicerone* Strzelecki, chciałby np. wyryć jak selwasserem w myśli każdego z nas, cały topograficzny plan każdéj ruiny, a odbudować ją w wyobraźni naszéj czém była, nim się stała ruiną. Ale w jednym tylko Jaźwińskim ma on w tém cierpliwego słuchacza. Garczyński duma głęboko, ja marzę; głośno zaś, albo poetyzujem albo filozofujem nad tém, co widzimy. I rzecz dziwna, że gdy filozofia jego raczy zstąpić z wysokości katedry, a moja wysunie się z zapiecka, zawsze się jakoś z sobą zejdą i zgadzają. W rozmowach tylko o niéj saméj, nie ma pomiędzy nami zgody i pokoju. Adam

jeśli absolutnie nie milczy, to z jednym tylko Strzeleckim mówi czasem albo rozprawia na seryo, a zaś do naszych górnych bujań i rozpraw z Garczyńskim, z żartem chyba lub z konceptem się wtrąca. Ale to się tylko tak dzieje, gdy sami z Nibbym w ręku a ze Strzeleckim przy boku, depcemy „te gmachy połamane w zwaliska bez ładu;“ ale skoro mamy „nad głową jasne niebo, obok piękne lice,“ to jest, kiedy korzystając z pogody, damy nasze z *Via Mercède* towarzyszą nam w tych wycieczkach: wtedy uczona archeologia na bok, (choć o niéj rada prawić panna Henryetta), a i pan Adam zabiera głos chętnie jak augur albo orator. Serce znać „nie ucieka, (jak z ruin krymskich) w dalekie okolice i czasy,“ ale owszem umié używać i korzystać z chwili obecnéj. Poezya się nawet ocknęła. Napisał wiersz na ten temat, który ci tu zaraz przepiszę, a o następstwach jego powiém niżéj. Jest to piérwszy, a może i ostatni wiersz, który napisał w Rzymie. Bo mówi: że kiedy człowiek żyje poezyą, szkoda czasu żeby ją pisać. Sonety, jak sam powiada, pisał z ostatniéj nudy czy tęsknoty, w któréj czém inném rozerwać się nie mógł. Wiersz zaś dzisiejszy ma taką genezę. Oddawna już panna Henryetta dała nam swój sztambuch, z prośbą o napisanie w nim czego. Przypominałem o tém nieraz Adamowi, ale mię zbywał zawsze zwykłém swojém: „Nie nudź mię! daj mi pokój!“ Aż wreszcie przed tygodniem, po całodziennéj włóczędze po gruzach, które nam objaśniała panna Henryetta, kiedy ja ledwo żywy spałem jak w letargu, on, (miarkując po świécy),

musiał przynajmniéj siedzieć godzin parę, i napisawszy najprzód swoje imię na początku sztambuchowéj kartki, podpisał pod niém co tu następuje.

DO MEGO CICERONE.

Mój Cicerone! oto na pomniku
Jakieś niekształtne, nieznajome imię,
Wędrownik skreślił na znak że był w Rzymie,
Ja chcę coś wiedzieć o tym wędrowniku.
Może go wkrótce przyjmie do gospody
Kłótliwa fala, może piasek niemy
Zatai jego życie i przygody,
I nigdy o nim nic się nie dowiemy.
Ja chcę odgadnąć, co on czuł i myślił,
Gdy w xiędze twojéj, śród włoskiéj krainy,
Za cały napis to imię wykreślił,
Na drodze życia ten swój ślad jedyny.
Czy drżącą ręką, po długiém dumaniu,
Rył go powoli, jak nagrobek w skale;
Czy go odchodząc uronił niedbale,
Jako samotną łzę przy pożegnaniu.
Mój Cicerone! dziecinne masz lice,
Lecz mądrość stara nad twém świeci czołem.
Przez Rzymskie bramy, groby i świątnice,
Tyś przewodniczym był dla mnie aniołem.
Ty umiész przejrzeć nawet serca z głazu,
Gły błękitnemi raz rzucisz oczyma;
Odgadniesz przeszłość z jednego wyrazu,
Ach! ty wiész może i przyszłość piełgrzyma?

Nieprawdaż, że wiersz zgrabny, i koniec znaczący? Ale dla mnie był on powodem najprzód wielkie-

go zmartwienia, a potém wielkiéj radości. Sam autor zaraz nazajutrz zaniósł go właścicielce sztambucha. Co się tam stało, ja nie wiém; ale wróciwszy wieczorem do domu, zastałem już Adama, i to w najgorszym humorze; a co najgorsza, że jak gdyby na mnie. Za odpowiedź na zapytanie moje, czy nie chory? wlepił we mnie wzrok nachmurzony i oświadczył krótko i sucho, że chce i musi jechać na święta do Neapolu. Poczułem, że oppozycya byłaby nie w porę; powiedziałem więc tylko, że pojedziemy razem. Powolność go ta zmiękczyła. Dodał wszakże, że mocno żałuje, że tego piérwéj nie zrobił—co znaczy, że ja mu odradziłem. Połknąłem więc i tę pigułkę, i zacząłem nie żartem myśleć o pakunku. Najprzód jednak nazajutrz rano poszedłem na *Via Mercède*, aby zrozumieć zkąd ten zły wiatr zawiał. I tam jakoś znalazłem wszystkich powarzonych, i dowiedziałem się wnet od saméj pani, że pan sam miewa często paroxyzmy *spleenu;* że wczoraj właśnie był ten dzień feralny, i że pan Adam zdał się być niekontent. O wierszu nikt nic nie mówił, i ja téż nie pytałem nikogo. Nie wiém więc jaką rolę odegrał on w tém wszystkiém, ale przeczuwam jakoś, że w nim źródło złego. Pan sam jużciż musiał go czytać; a nuż po przeczytaniu pokwaśniał!... Jest to wszakże tylko mój domysł, nic więcéj.

Teraz pana samego nie było już w domu; ale mi powiedziano, że wyszedł, mając być i u nas, i to w celu, aby nas prosić na dzisiejszy wieczór. Nie wspomniałem więc wcale o projekcie podróży, a przy dalszéj rozmo-

wie z samą panią, podzieliłem najkompletniéj jéj zdanie, że trzeba być wyrozumiałym dla starszych, i na chwilowy humor ich nie zważać. Wyszedłem więc pocieszony, i tylko medytowałem nad tém, jakby z tą mądrą radą trafić do przekonania Adama. A był to dzień 18 Marca (6 podług kalendarza waszego), rocznica właśnie téj pamiętnéj mi wiecznie chwili, w któréj przed ośmiu laty, raz piérwszy, jak nieśmiały kochanek, posłyszałem z ust jego słowo wzajemności. Byłem na tę intencyą w kościele; ale jemu samemu nie wspomniałem nic o tém, pamiętając na usposobienie wczorajsze. Dopiéro wróciwszy przed wieczorem do domu, zastałem go już pogodniejszym; ale że był istotnie cierpiący, więceśmy już na ten wieczór proszony nie poszli. Koniec zaś tego wieczoru należy odtąd dla mnie do najmilszych pamiątek życia. Rozmówiliśmy się do dna o wszystkiém, o przeszłości i o przyszłości—którą on całkiem woli Boskiéj porucza, a ja w zbytecznéj tylko własnéj jego wyniosłości i delikatności uczucia, upatruję jedyną przeszkodę aby ta przyszłość mogła być na pewno szczęśliwą. Przed ośmiu laty, rozgarniając mi po swojemu włosy, powiedział ze łzami w oczach: „Nie prawdaż? smutno będzie tobie bezemnie?“ — i musiał mię sam potém uspakajać jak dziecko. Teraz powtórzył prawie toż samo, tylko że nieco odmiennie, objąwszy mię za szyję i mówiąc: „Smutniéj będzie temu na świecie, kto z nas kogo przeżyje!“ — i następnie wpół seryo, wpół żartem, tłómaczył się i przepraszał za wszystko, czém kiedybądź mógł mi dokuczyć; choć rzeczywiście nie

dokuczył nigdy.—Brak świécy i oleju w lampie zmusił wreszcie skończyć rozmowę; ale ja aż do rana oka zmrużyć nie mogłem—z radości. Jest to dla mnie najważniejszy wypadek, nie tylko tych dni dziesięciu, przez które nie pisałem do ciebie, ale może całego stosunku z Adamem. Bo nigdy on tak do dna nie otworzył serca, a moja miłość i uwielbienie dla niego, nigdy już chyba nie wzniosą się wyżéj.—Ach! nie ma szczęścia na świecie, jak kochać! I dla tego ja tak jestem szczęśliwy. A w tém samém, że mówię ci o tém, miéj dowód, jak ty wiele przyczyniasz się ku temu. Tymczasem na dzisiaj *vale!* bo mi już trudno wrócić do szczegółów prozy, a i Garczyński czeka na mnie u siebie, aby pójść razem na wieczór do Parczewskiego, gdzie się także zejdziemy z Adamem. List ten, jeśli nie jutro, to już chyba za powrótem z Frascati dokończę.

---

25 marca, godz. 11 wieczorem.

Nie kończę, ale tylko kontynuuję dzisiaj. Ojciec Św. nie celebrował, i próżnośmy ze trzy godziny w najstraszniejszym tłoku czekali. Obiad u xiężny był arcy-wspaniały, i prócz nas dwóch i Szewiręwa, jako już domowych, nikt z obcych nie był bez mitry, a przynajmniéj bez korony z gałkami. Ten jednak blask heraldyczny nie miał nic bardzo olśniewającego. Prócz historycznych nazwisk i tytułów, nikt sam żadném wspomnieniem historyczném nie błyszczał. A siedziało u stołu par 27, t. j. osób 54; bo mężczyzni siedzieli każdy obok swéj damy, któréj rękę do stołu po-

dawał. Sama xiężna wybrała Adama i szła z nim na samym ostatku; syna zaś swego, Szewirewa i mnie, przeznaczyła na *Cavalieri serventi* trzem jakimś młodziuteńkim, ale już mężatkom. A działo się to tak prędko przed samym obiadem, że nawet niedosłyszałem nazwiska mojéj damy, któréj miałem zaszczyt być przedstawionym jako Polak i jako przyjaciel domu. Doleciał mię tylko jéj tytuł *Signora Marchesa*, a że był wymówiony po włosku, wziąłem to za wskazówkę, że mam z nią tym językiem rozmawiać. Czekałem jednak na piérwsze jéj słowo, sam nie wiedząc od czego zacząć. Ale wyprowadziła mnie wnet z ambarasu, mówiąc swobodnie i śmiało, że oddawna była ciekawa poznać jakiego Polaka (*un Polacco*), o których wiele słyszała. Przeprosiwszy więc ją najpiérwéj za moję włoszczyznę, prosiłem aby ze mnie nie sądziła o wszystkich i nie powzięła w ogólności złego o nich wyobrażenia. Spójrzała na mnie bystro, i z uśmiechem szczerego dziecka, bez najmniejszego odcienia komplementu albo kokieteryi, odpowiedziała wręcz, kręcąc głową: „*Non c'é paura!*“ (nie ma strachu). Osłupiałem z podziwu nad taką naturalnością, a zrozumiawszy z kim mam do czynienia, pozwoliłem téż sobie swobodniejszéj myśli; i gdyśmy już zasiedli do stołu, łamiąc się jak mogłem z językiem i sztukując się czasem francuzczyzną, zacząłem się zdobywać na koncepta i komplementa, jakieby u nas zaledwie pensyonarkę jaką bawić chyba mogły. Ona wszakże przyjmowała je tak wesoło, z tak dziecinną jakąś prostotą i naiwnością, a odpowiadała nieraz tak zręcznie,

że w końcu przejął mię respekt i admiracya dla niéj: dla téj szczeréj, poczciwéj, dobrodusznéj natury, a przytém dla téj swobody w myślach i rozmowie, która przecież nigdy i w niczém z granic ścisłéj przyzwoitości nie wyszła. Czyż to nie lepiéj, niż ten ciągły turlecikowy nastrój na ten sam ton i nutę, jaką kiedyś na jakimś pańskim dworze nucono; który wszelką indywidualność zaciera, a w rozmowie, zamiast rozwijać myśli, zmusza tylko sadzić się na frazesa, i to mianowicie francuzkie, aby się ich gładkością i dobrą pronuncyacyą popisać? I moja Signora umié po francuzku; ale wymawia z włoska, i odpowiedziawszy mi tylko na frazes mój w tym języku, znowu sama do włoszczyzny wracała. Bawiliśmy się więc wzajem wesoło, a oprócz gwaru ogólnéj rozmowy u stołu, dodawało nam jeszcze natchnienia i wino. Przed każdą parą gości stały dwie karafki, jedna z przeczystą Rzymską wodą (jakiéj równą ma tylko Wilno), druga z krajowém smacznem winem *Montefiascone*, które przytém nie jest wcale bez mocy. Gdy więc moja sąsiadka po piérwszéj potrawie wzniosła rękę ku stronie karafek: ja sądząc, że zgaduję jéj chęci, porwałem najprzód za karafkę z wodą. Ale zaledwie nalałem troszeczkę, ona dawszy znak szklanką że dosyć, prosi mię o „*un poco di vino*“. Nalewam więc — nalewam — nie tylko już *un poco*, ale jak mi się zdaje, *assai* i *molto*, a ona szklankę jak trzyma tak trzyma. Nakoniec, gdy już prawie przeszło za połowę, (co dla mnie nawet byłoby za *troppo*), podziękowała mi i wypiła duszkiem. Wkrótce znowu przyszło

pragnienie; ale już ja zacząłem od wina. Woda służyła mu tylko jakby dla ceremonii pokropienia. A że się to ponowiło z pięć razy podczas obiadu, i przytém, jak uważałem, zagraniczne też wina, które nalewano, nie były wstrętne dla różanych ustek: zacząłem się na seryo obawiać, co będzie z naszym powrótem od stołu. Tymczasem oprócz weselszego humoru, żadnych innych oznak nie było; p. Ricci zaś, z którym o tém mówiłem, zrobił mi sprawiedliwą uwagę: że piwo nasze, gdyby go tyle wypiła, sprawiłoby niewątpliwie ten skutek, jakiego ja się spodziewałem po winie, nie wiedząc, że damy tutejsze przywykają do niego od dzieciństwa, pijąc je za codzienny napój, zwłaszcza podczas upałów letnich, kiedy zwykle *malaria* grassuje. Odprowadziwszy więc damę moję do salonu, nie miałem już sposobności zbliżyć się więcéj do niéj, gdyż siedziała między paniami we środku, a my staliśmy sobie na uboczu, słuchając śpiewu pana Ricci *solo*, a potém psalmów Marcella, które z nim sama xiężna Zeneida śpiewała. Na tém skończyła się feta, którą ci tu chciałem opisać. Nazwiska damy mojéj i kto ona, dowiém się chyba za powrótem z Frascati, dokąd jutro raniuteńko jedziemy.

Ale, ale—zmartwiłem się dziś i zgniewałem okropnie na Garczyńskiego. Miał z nami jechać jutro, i nie jedzie. Dla czego? Zabij mię, jeśli wiém lub się domyślam. — Kochany, miły, ale dziwny człowiek! Gdybyż był przynajmniéj poetą! powiedziałbym, że pół waryat, i kwita. Ale filozof! .. (Prawda, że takaż to i filozofia niemiecka). Kocham go coraz więcéj, im

bliżéj poznaję; a to mię w nim nie tylko razi, ale nawet jakby przeraża. Zdałoby się, że straszny jakiś ślub czy tajemnica cięży mu na sercu i myśli. Rozweseli się ze mną, śmieje, goni się po ruinach jak student; a potém raptem, ni z tego ni z owego, wygląda jak zrozpaczony kochanek. Wczoraj wieczorem u Parczewskiego był ożywiony i wesół; chociaż wielce poważnie o trudnych obowiązkach człowieka i obywatela rozprawiał. Dziś zachodzę do niego z kościoła. Pisał coś, ale schował gdy wszedłem; potém zaś, jakimś desperackim tonem, oświadcza mi, że jutro jechać nie może. Co? dla czego? Pytam go, reflektuję, i nakoniec wściekam się ze złości. Nic nie pomaga. Chciałby, ale nie może — jedyna odpowiedź. A niech go wszystkie bogi! W téj chwili nawet jeszcze i żal mi go serdecznie, i złość bierze, gdy o tém pomyślę. Adam ma także swoje chwilowe humory, ale nigdy ani takich fantazyj, ani uporu. Niech cię to jednak nie zraża ku niemu; bo wierz mi, szlachetniejszego serca i piękniejszéj duszy niepodobna znaleźć na świecie. Wszystko to u niego wypływa z téj zasady, że człowiek, żeby być godnie człowiekiem, powinien się co chwila wyrzekać przyjemności dla obowiązku.—Ale za cóż ja cierpię za niego?... Adam przyjmuje to obojętnie i mówi: „Kiedy nie chce, to niechaj nie jedzie!“ A i on jednak szczerze i serdecznie go lubi.—Dobranoc!

28 marca, rano.

Wróciliśmy z Frascati.—
Obraz w treści bogaty.

Szkic wszakże będzie krótki—obyż węzłowaty! bo list ten dziś koniecznie chcę oddać na pocztę.—Wyjechaliśmy onegdaj o 7-méj; temi samemi powozami, w tém samém towarzystwie, i w tym samym porządku co do Fiumicino. Dzień też był równie piękny, *Kampania* jeszcze bardziéj kwitnąca, i wiosna byłaby w całéj okazałości, gdyby nam przecież choć jeden skowronek, choć jakikolwiek ptaszek w całéj drodze zaśpiewał. Prawda, że i drzew nigdzie aż do samego Frascati nie było. Za toż po obu stronach gdzie niegdzie ruiny, i pyszne dwa wodociągi, stary i nowy, na wysokich arkadach, wyglądają jak szereg wspaniałych przysionków. Widok zakończony górami. Z przodu góry *Latyńskie* i *Sabińskie*, z boku we mgle błękitne pasmo Apenninów.—Frascati, małe ale schludne miasteczko, słynie zwłaszcza zdrowém powietrzem, i przeto liczy wiele pięknych *villi*, z pałacami i ogrodami. Najpiękniejsze należą do xięcia Borghese, a w jednéj z nich są sławne hydrauliczne figle, zwane „*Giuocchi d'acqua*“. Między innemi np. Parnas, na którym wszystkie figurki grają na różnych instrumentach za pomocą wody, która gdzieś jakiś organ ukryty porusza. A są też zdradzieckie fontanny, które za naciśnięciem nogą niewidoméj sprężyny, wytryskają nagle z pod ziemi i oblewają jak deszczem nieostrożnego przechodnia, ku wielkiéj uciesze miejscowych

ogrodników, a także i naszéj, gdyśmy się jedni z drugich *szmigusa* cieszyli. Tu na wzgórzu leży *Villa Rufinella*, zbudowana na miejscu dawnéj villi Cicerona, w któréj on zwykle lato przepędzał, i tu swoje *Tusculania* pisał. Frascati bowiem jest odrośla dawnego *Tusculum*, którego znaczne ruiny leżą o parę wiorst ztamtąd. Ruszyliśmy tam zaraz po śniadaniu, damy i sam pan Ankwicz na osiołkach, które są tu jak miejscowa remiza, my zaś, jako paziowie przy średniowiecznych *donzellach*, trzymaliśmy za cugle te dzielne rumaki, lub same damy podtrzymywaliśmy na siodłach, z poręczami nakształt krzesełek. W *Tusculum* nic ciekawego, prócz kilku bardzo starożytnych ruin i kilku pięknych widoków, zwłaszcza z ogrodu Kamedułów. *A propos* cnotliwego Katona, który się tutaj urodził, Adam ubawił całe towarzystwo długiém i wielce dramatyczném opowiadaniem o sejmikowéj przygodzie Reytana w Nowogródku, gdzie ubiegający się z nim o Podkomorstwo Wojniłowicz, odwiódł od niego dowcipnym podstępem całą szlachtę, i sam przed nim urząd ten otrzymał. Szkoda, że nie mam czasu powtórzyć tobie tutaj téj ciekawéj historyi. Ja zaś zgubiwszy przypadkiem srebrną śrubkę od ołówka panny Henryetty, w gruzach jakiéjś pelasgijskiéj budowy napisałem w jéj pugilaresiku piosenkę, na ton i miarę naszéj ludowéj o pastuszce gęsi, która włócząc się dzień cały po wsi z bębenkiem:

„Bębenek zbiła,
„Gąski zgubiła,

a potém łamiąc ręce lamentowała:

„Ach! ja nieszczęsna, cóż ja zrobiła!“

Wspominam ci o tém dla tego, abyś miał próbkę kamertonu rozmów, które nam na ruinach *Tusculum* tak mile dzień cały zajęły, żeśmy zaledwie po zachodzie słońca, z żalem na obiad i na noc do Frascati wrócili.

Nazajutrz (to jest wczoraj), zaraz po kawie, nie bardzo dobréj, ale bardzo wesołéj, puściliśmy się na całodzienną wycieczkę do Albano, dokąd powozy poszły prostą drogą i miały czekać tam na nas; my zaś sami, na osiołkach i pieszo, jak wczoraj, ruszyliśmy najprzód przez cudny las kasztanowy do *Grotta Ferrata*, téj saméj wsi czy miasteczka, gdzieśmy byli już raz na kiermaszu z Szewirewem i młodym Wołkońskim. A że i droga ztamtąd do Albano taż sama, więc powtarzać tu o niéj nie będę; tém bardziéj że, Bogu dzięki, celem naszym nie było zwiedzanie żadnych pamiątek lub osobliwości, ale wprost użycie wiosny, powietrza i towarzystwa. To ostatnie harmonizowało z piérwszemi—jak wesołość z pogodą. Przygód nie było żadnych, oprócz mojéj z osłem. Panienki chciały przejść się i pozsiadały z siodeł, sama zaś pani hrabina chciała koniecznie nas wsadzić na osły. Adam oparł się stanowczo; ja—jak zawsze damom—uległem. Alić zaledwo wsiadłem i ujechałem kilkadziesiąt kroków, osioł... (Mówią, że to bestya głupia, ale gdzie tam! Żaden zwierz przecież oprócz oślicy Balaama nie przemówił nigdy po ludzku. Ma on widać swój rozum; natura tylko krnąbrna i uparta). Otóż osioł poczuwszy innego jeźdźca, zaciął się najprzód i zaczął wierzgać, a następnie, zmuszony kijem do

ruchu, przewrócił się raptem na bok, i gdyby nie poręcz u siodła, z którego ja wyleciałem, byłby się tarzał w piasku do góry nogami. Ztąd mnie wstyd, wszystkim śmiech, a osła jego właściciel zaczął grzmocić kijem co siły. Ja wszakże wspaniałomyślnie wstawiłem się za nim, a na exkuzę jego i swoję zaimprowizowałem czterowiersz:

„Biédny osiołku! bez słusznéj przyczyny
Pan twój okrutny skarał cię tak srogo,
Kto raz był sługą panny Marcelliny,
Prócz niéj, za pana mieć nie chce nikogo.—

I tak śmiejąc się, rozmawiając, kłócąc się lub dysputując— przed południem doszliśmy do Albano, (dawniéj Alby, rywalki Romy), gdzie nasyciwszy się niezłym obiadem, a przecudnym widokiem na całą Kampanią Rzymską, zieloną, jak axamitny kobierzec; na morze, *Mare Tirreno*, bielące się tysiącem żaglów drobnych łodzi; na błękitne szczyty gór Latium i Sabiny, śród których po nad wszystkiemi wznosi się *Monte Cavo;*—tam, o godzinie piątéj po południu, zwróciliśmy ostatnią naszą pielgrzymkę. Góra ta sławną jest z tego, że u stóp jéj obozował Annibal, gotując się do szturmu Romy, i że na samym jéj szczycie, o 2000 stóp nad powierzchnią morza, stała świątynia Jowisza *Latialisa*, zbudowana przez Tarkwiniusza Pysznego, a w któréj tryumfatorowie Rzymscy, nazajutrz po odbytym wjeździe na Kapitol, obowiązani byli składać hołd i ofiary. Dotąd w stroméj, skalistéj drodze, która na wierzchołek prowadzi, widać ślady kół ich rydwanów, i prawdziwie dziwić się trzeba, jak

konie mogły wejść na nią. Osiołki wszakże drapały się dzielnie, i żaden się już więcéj nie przewrócił; ale my mieliśmy przytém sposobność okazać naszą troskliwość, podtrzymując damy nasze na siodłach. Miły ten obowiązek rywalizował z przyjemnością saméj prześlicznéj drogi i widoków. Droga szła ciągle pod górę, najprzód brzegiem jeziora i pyszną aleją do *Castel Gandolfo;* potém daléj do *Palazzuola*, (gdzie była niegdyś stara Alba, ojczyzna Kuracyuszów), a ztamtąd wreszcie do kresu podróży. Ale co zachód słońca z *Monte Cavo*, to już był chyba uwieńczeniem wszystkiego. *Finis coronat opus.* Adam był w zachwyceniu, i prozą improwizował dytyramby. To téż nie piérwéj, aż już wszystko na niebie zagasło, zabraliśmy się do powrótu, i za ciemna już wsiadłszy do powozów w Albano, przy xiężycu o północy dopiéro wróciliśmy do Rzymu; my z Adamem w powozie z damami. Nie drzemaliśmy ani chwili, chociaż na marzeniach nie brakło.—Bądź zdrów!

XV.

Do tegoż.

Rzym, 4 kwietnia 1830 r.

Wypij dwie szklanki maślanki,
Zjedz talerz cukrowéj pianki,
Przeczytaj wciąż trzy sielanki,

A poznasz — jeśli nie wiész — co ckliwość. Ale czyż tego samego effektu nie sprawi trzecie z rzędu opisanie naszych zamiejskich *wiosnówek*, (*majówkami* ich nie nazwać przed Majem), z których każda z natury swojéj jest rodzajem *sielanki*, z treści ma podobieństwo do *pianki*, a z opowiadań moich — ha! kto wié, czy nie do *maślanki*? Sądź jak chcesz, ale darmo! pić musisz. Listy moje nie są bynajmniéj kompozycyą oryginalną, ale wprost tylko kopią *żywych obrazów*, w których my tu sami po kolei figurujemy. Chcesz je widzieć? to patrzaj! Nie chcesz? to wola twoja! Najgadatliwszy list tém jest lepszy od żywego gaduły, że łatwiéj zamknąć oczy niż uszy; łatwiéj go nie czytając wrzucić do komina, niż gościa za drzwi wyprosić. Ja wszakże dla urozmaicenia przedmiotu, zacznę nie wprost od trzeciéj wycieczki, (którą wszakże uważam za główną treść tego listu), ale od powrótu z Albano, t. j. od daty ostatniego,

ażeby ci powiedzieć, cośmy też w mieście przez ten czas robili.

W przewidywaniu bowiem blizkiego już wyjazdu, wyszliśmy całkiem z biernéj roli i rutyny stałych mieszkańców, w jakiéj gościliśmy tutaj przez zimę, jak bociany u nas przez lato; to jest, spacerując sobie swobodnie, jak one po naszych łąkach, i polując na miłe chwilki, jak one na skaczące tam żabki. A chociaż nieraz nam przyszło zębami z zimna *klekotać* jak one, dobrze nam jednak było w tém czasowém gniazdku, które nam, jak im u nas, polsko-słowiańska zwłaszcza gościnność tu usłała, i ciągle w różny sposób starała się uprzyjemnić. Gotując się więc do odlotu, uważamy za obowiązek, aby wszem w obec i każdemu z osobna, którzy na nas byli łaskawi, wdzięczność naszę nawzajem okazać, i jak wszystkie ciekawsze miejsca i pomniki, tak i wszystkie znajome domy, po raz ostatni zwiedzić i odwizytować. Szereg tych pożegnalnych wizyt zaczęliśmy już od kulminacyjnego punktu naszych tu stosunków, to jest od królowéj Hortensyi, która nas bardzo uprzejmie, jak zawsze, przyjęła, i w ożywionéj rozmowie z Adamem, uwielbienie dla jéj rodziny odpłaciła wyrazem wysokiego szacunku i sympatyi serdecznéj dla całego naszego narodu. Pani Letycya, po złamaniu nogi, lubo wyszła z niebezpieczeństwa, dotąd wszakże nie przyjmuje nikogo; i przeto dawna obietnica królowéj, że nas jéj osobiście przedstawi, nie mogła przyjść, niestety, do skutku. Na prośbę wszakże Adama przy-

rzekła: „że złoży matce Cesarza hołd czci piérwszego polskiego poety,“ jakim wié, że jest Adam.

Na dwa następne wieczory, po powrócie z Frascati, znaleźliśmy już inwitacye w domu. Piérwszy liczny i muzykalny u państwa Siemionowych, gdzieśmy raz tylko byli przedtém z wizytą; drugi u xiężny Dietrichstein, w szczuplejszém kółku tego samego prawie towarzystwa, które się zbiera zwykle u xiężny Zeneidy. Na piérwszym byłbym się znudził, gdyby nie obecność panny Luizy Vernet, któréj już od dawnego czasu nie widziałem. A że i ona nie miała tam wielu znajomych, więc czułem, że téż wzajem rada była ze mnie; i to mię nastrajało na ton poetycki, więcéj niż wszystkie symfonie i trele, które z kolei następowały po sobie, nie zostawując miejsca i czasu innego rodzaju zabawie. Adam owszem był z tego kontent, że nie miał potrzeby rozmawiać; ale za toż u xiężny Dietrichstein musiał nieborak przejść przez najprzykrzejszą dla siebie próbę; to jest, czytać sam głośno swojego *Farysa*, w tłómaczeniu francuzkiém, które xiężna Zeneida, na prośbę gospodyni, umyślnie z sobą na ten cel przywiozła. Adam był zły formalnie, ale się nie mógł wywinąć. A wszakże, gdyby w nim była choć żyłka próżności autorskiéj, miałby tu pole do jéj nasycenia; i to nie tylko w ogólnych komplementach, ale w istotném współczuciu słuchaczy. Jak więc niegdyś przysłane mu konfitury, tak i tu całą słodycz téj przyjemności ja właściwie spożyłem za niego. On zaś, pomimo wszelkich usiłowań panny Anastazyi, która się do niego wdzię-

czyła, nie wprzód ochłonął ze złego humoru, aż gdy Szewirew zaczął czytać cały swój przekład „*Obozu Wallensteina*“ Szyllera, który jest rzeczywiście doskonały. Adam tak był nim zachwycony, i tak się nakoniec ożywił, że był prawdziwie bohaterem wieczoru w rozmowie, którą zwłaszcza z panną Anastazyą, Bonstettenem i z panem Douby, o cało-europejskiéj poezyi dramatycznéj prowadził; zestawiając i porównywając nawzajem: południową z północną, Romańską z Germańską, katolicką z protestancką; to jest, hiszpańską z XVI wieku, ze współczesną jéj angielską, i z późniejszą niemiecką. Francuzi bowiem, podług niego, właściwéj sobie formy dramatu nie stworzyli dotąd u siebie; chociaż po nich się on to właśnie spodziewa, że kiedyś stworzą prawdziwie nowożytny. historyczny dramat, którego już piérwsze zarody upatruje w znajomych tobie „*Les soirées de Neuilly*“ a mianowicie w „*Sprzysiężeniu Malleta.*“ Tylko, że miejscem przedstawienia takich dramatów, nie będą już teatralne sale, ale chyba cyrki lub place publiczne; tak jak i same dramata nie będą tylko dla zabawy możnych próżniaków, ale raczéj dla nauki ogółu obywateli, który z nich będzie się uczył historyi przeszłości, jak Grecy uczyli się poetyckich tradycyj swoich. Cały zaś ten przyszły stan rzeczy, łączy on w przepowiedniach swoich z powrótem kiedyś Napoleonidów, którzy mają rozwijać w rzeczywistości na świecie, co Opatrzność, jako zaród idei, geniuszowi ich protoplasty natchnęła.—Te jego historyozoficzne poglądy wywołały żwawą dysputę z p. Douby, w któ-

réj Adam przy końcu był prawdziwie jakby natchniony, tak, że wszyscy z uszanowaniem zamilkli, a panna Anastazya, ze złożonemi rękami, wpatrywała się w niego jak w cudowny obraz. Postrzegł on to wrażenie, i sam zmienił je raptem, przechodząc w ton żartobliwy, a najprzód z samego siebie. To też cała reszta wieczoru przeszła na wesołém opowiadaniu różnych anegdot, politycznych zwłaszcza i literackich. Muszę przytoczyć ci jedną, którą opowiadał Bonstetten, na dowód, że i gdzieindziéj na świecie są tacy literaci i redaktorowie, których lekkość i płytkość z jednéj, a z drugiéj strony junakierska zuchwałość w pisaniu i sądzeniu *ex cathedra* o wszystkiém, w podziw nieraz wprawiały nas prostych Litwinów. Jakiś *facetus* z Genewy przesłał do gazety *Quotidienne* w Paryżu wiadomość o wybuchłéj jakoby wojnie pomiędzy kantonami: Berneńskim i Waadtlandskim *(pays de Vaud)*; a gdy temu redaktor uwierzył, zaczął mu przesyłać co poczta biuletyny o strategicznych działaniach wojsk obu, umieszczając plac bitew na niedostępnych szczytach gór, dokąd nigdy żaden człowiek nie doszedł. Nieświadomy geografii redaktor (politycznéj gazety w Paryżu!) umieszczał je przez kilka numerów, aż wreszcie ostrzeżony widać przez kogoś, przysłał swemu korrespondentowi wyzwanie na pojedynek. Ale że ten pisał pod pseudonimem: więc wystawiony na śmieszność literat, nie miał nawet i téj satysfakcyi, aby choć siłą pięści słabość głowy swojéj osłonić. — Ale i jeszcze jedna anegdota. Wiém, jak ojcowie nasi, (twój i mój), nie-

nawidzą austryackiego *Beobachtera*, z którego wyciągami zazwyczaj częstuje ich *Kuryer Litewski*. Sądzę więc, że im to zrobi przyjemność. — Otóż redaktor téj gazety, jako organu Metternicha, piorunował ciągle na Greków za ich powstanie przeciw Padyszacha. Aż dnia jednego odbiera ze Stambułu *firman* i pakiet z pieczęcią sułtańską, mianujący go Baszą o trzech buńczukach; ale że *pies niewierny* nie wart jest ogonów końskich, więc mu Sułtan przysyła buńczuk o trzech oślich, który właśnie zawierał ów pakiet. Redaktor tak był niemądry, że w piérwszym zapale gniewu, ogłosił znaczną nagrodę za wykrycie sprawcy tego żartu, i tym sposobem sam go podał do wiadomości powszechnéj. — Ale co ja tu piszę cudze anegdoty, mając tyle do pisania o sobie, że nie wiém, czy to wszystko w tym liście pomieszczę. Miéj więc je sobie dla opowiadania drugim, a sam słuchaj, co następuje.

Na tym samym wieczorze u xiężny Dietrichstein, panna Anastazya zawiadomiła nas, że już ma pozwolenie, (o które trzeba prosić osobno), na oglądanie Muzeum Watykańskiego — przy pochodniach; a że już zaprosiła na ten spektakl państwo Ankwiczów, ja więc tylko dodałem prośbę, aby mi wolno było przyprowadzić z sobą Garczyńskiego, Gajewskiego i Niegolewskiego, którego ja bardzo téż lubię. Sam *Visconti*, najsławniejszy z żyjących dziś archeologów włoskich, miał być — i był istotnie *Ciceronem* naszym, a to *gwoli* starego Bonstettena, dla którego téż

to właśnie panna Anastazya urządziła całą tę artystyczno-estetyczną fetę.

O! gdyby było w mej mocy,
Pokazać ci to Muzeum;
Ten jakby z Tysiąca Nocy
Zaklęty gmach — *Elyseum*
Postaci, kształtów, lic, które,
Przez sztuki cudowną dzielność,
Ludzką już w sobie naturę
Przyoblokły w nieśmiertelność:
Tak, że stojąc między niemi,
Czujesz się jak ich towarzysz,
A zapomniawszy o ziemi,
Nie wiesz sam: żyjesz, czy marzysz?

Ale to jest wrażenie, nie obraz; a ja dałbym nie wiem co za to, gdybyś ty z opisu mojego, mógł choć raz, choć jak przez dziurkę od klucza, zajrzeć sam w głąb choć jednego z tych najpyszniejszych w świecie, tak zwanych *korytarzy,* a rzeczywiście sal, czy galeryj, niezmiernéj długości, (z jakich się składa całe to muzeum), wspartych na rzędach kolumn z najdroższego marmuru, porfiru, alabastru; brukowanych mozaiką; sklepionych arcy-dziełami malarstwa, w złotych ramach; a zapełnionych po obu stronach nieprzeliczoną mnogością posągów, biustów, pomników, i wszelkiego rodzaju arcydzieł rzeźby. Wtenczas dopiéro mógłbyś chyba pojąć, jakie to czarnoxięzkie wrażenie sprawić mogło wejście i przejście po tych zda się nieziemskich gmachach, pogrążonych w ciemnościach i ciszy nocnéj, a oświecanych tylko koleją czerwoniawą łuną pochodni, w któréj białe postacie i twarze

posągów ukazywały się i znikały jak widma — podobne też do zjawienia się duchów, obudzając w patrzących wzruszenie. Ale że ci, niestety, opisać tego nie umiem, więc musimy poprzestać oba na prozaicznych szczegółach: że było nas osób dwadzieścia kilka; żeśmy się zgromadzali w dziedzińcu tak zwanym *Belwederskim*, ze wspaniałym portykiem do około, (który już sam od razu jak w nowy świat nas przenosił), a po czterech rogach którego są właśnie cztery osobne przybytki, (tak zwane *gabinety*), gdzie się mieszczą najsławniejsze, nie tylko w tém muzeum, ale i w całym świecie „cuda dłóta“: *Apollo* (Belwederski), *Laokoon*, *Antinous* albo *Merkury*, a z nowszych *Perseusz* i *Gladiatorowie* Kanowy. Od nich więc najprzód zaczęliśmy przegląd — i dobrze! Bo na „głodny ząb i łakome ucho“ ciekawości naszéj, piérwsze obfite danie erudycyi Viscontego, tak artystycznéj, jak archeologicznéj, nie tylko nie sprawiło przesytu, ale tycząc się owszem tych kulminacyjnych arcydzieł, poszło nam na istotny pożytek. Ale inaczéj się rzecz miała, gdyśmy się zapuścili w nieskończony labirynt korytarzy, a przez trzy przeszło godziny będąc ciągle na nogach, tak wreszcie czuliśmy się znużeni, że nawet same panienki, które mię przedtém gromiły surowo za moje ciche apostrofy do nich, podczas uczonych wykładów professora: teraz same, wymównym uśmiechem i westchnieniem, wtórowały parafrazie mojéj sławnego wykrzyknika Ryszarda III-go, kiedy woła o konia śród bitwy: „*A horse! a horse! my kingdom for a horse!* (konia! konia! królestwo moje za konia!).“

Ja zaś wzdychałem nad uchem panienek: „*Une chaise! une chaise! tout ce Musée pour une chaise!*“ — A tymczasem niezmordowany Visconti zatrzymywał nas co chwila przed lada amorkiem, który mu się więcéj podoba, (a zna je wszystkie, jak astronom gwiazdy), i wyczerpując do dna wszystkie jego zalety, sam się ich admiracyą zapalał. Wspominałem sobie Byrona, który się uskarżał, że znienawidził Horacyusza dla tego, iż mu go nadto w szkołach admirować kazano; i gdyby nie spotkanie się czasem z ciepłą rączką w cieniu, albo nie słówko ożywcze do ucha: zmartwiałbym i skamieniał od chłodu martwych marmurów. — Ale i wszyscy inni mieli już ich zadość; i nie z mniejszą radością, jak Orfeusz z Pól Elizejskich, (nie mówię z piekła), spójrzawszy u drzwi czule jak on po za siebie, wyszliśmy wreszcie na świeże powietrze. Panna Anastazya podała projekt, aby korzystać jeszcze ze wschodu xiężyca i przejść się po Watykańskim ogrodzie. Noc była przecudna: szmer fontann, śpiew słowików, cienie drzew, światło xiężyca, i wonność balsamiczna w powietrzu, orzeźwiły nas i zachwyciły, a różnica wrażeń dzieł natury i sztuki, była przedmiotem długiéj, zajmującéj rozmowy, która się przeciągała jeszcze i przy wieczerzy u pani Klustin. Owoc jéj w myśli mojéj jest taki: Wszelkie, jakiebądź dzieło sztuki, ma, i mieć musi koniecznie, swoję miarę porównania w naturze—bądź fizycznéj, bądź duchowéj człowieka, i najprzód podług téj miary jest, i być musi sądzone, nim na sławę i chwałę zasłuży. Dla dzieł natury, téj miary poró-

wnania nie ma ani w umyśle, ani w uczuciu, ani nawet w imaginacyi ludzkiéj; przeto nie ulegają one żadnym poprzednim sądom, aby przez nie dopiéro podziw albo uwielbienie obudzić. — W sztuce mistrzem jest człowiek, w naturze, Bóg-Stwórca. — Wrażenie najwyższych dzieł sztuki jest zawsze tylko pośrednie, umysłowe—ludzkie; wrażenie dzieł natury, bezpośrednio duchowe — Boskie. — Była więc, jak widzisz, mowa i o Bogu; bo nikt z biorących udział w téj rozmowie, (nie tak jak niegdyś Göthe z Queteletem w Wejmarze), natury nie brał za Boga, ani Boga za jedno z naturą.

Jeszcześmy siedzieli u stołu, kiedy zegar wybił dwunastą; i w téjże chwili wniesiono na blacie ogromną jakąś, szczególniejszą rybę, z rozdziawioną szeroko paszczą i nastrzępionemi skrzelami, w któréj piérwsza xiężna Zeneida odgadła, śmiejąc się głośno: *le poisson d'Avril*. Gdyż była to ryba cukrowa, nadziana wewnątrz lodami, a z uderzeniem dwunastéj godziny nastał właśnie *Prima Aprilis*. Zaczęliśmy go więc bardzo wesoło, opowiadaniem różnych konceptów zwodzenia; i dopiéro około drugiéj, państwo Ankwiczowie odwieźli nas łaskawie do domu. Nie zasnęliśmy jednak zaraz, planując, w jakiby sposób zwieść zgrabnie nasze panienki. Plany się te nie udały. Ja zapłaciwszy dwa *paole* publicznemu *skrybie*, który zasiada codzień na *Monte Citorio*, przynosząc z sobą składane krzesełko i stolik, a pisząc wszystko, czego kto zażąda: kazałem mu napisać *una lettera molto affetuosa* do nieznajoméj jakoby osoby, którą

widuję tylko w kościele, ale dowiedziawszy się gdzie mieszka, uprzedzam ją, że za pierwszą jéj po tym liście bytnością w tymże kościele, zbliżę się do jéj ławki i powtórzę ustnie, co już tu sam pan *Scriba* powinien czule i pięknie wyrazić. Jakoż wywiązał się z tego dość zręcznie; ja tylko wcale niezręcznie kazałem zaadressować list bezimiennie „*alla bella Signora Polacca, Via Mercède N.* 9.“ Adress ten zdradził cel listu; a że przytém panienki domyśliły się źródła, więc go nam za przyjściem naszém nierozpieczętowany oddano, i to jeszcze z nadpisem na kopercie: *Prima Aprilis*. Adam zaś chciał był pójść, ale zalenił się i nie poszedł, do Stattlera, aby tenże w imieniu Craffonarego, który maluje portret panny Henryetty, wezwał ją, aby dziś o południu stawiła się na posiedzenie, koniecznie w sukni balowéj, o co właśnie między nimi spór idzie. Trzeba ci bowiem wiedzieć, że *Craffonari*, (najsławniejszy tu dziś portrecista), od kilku już tygodni pracuje nad tym portretem, i że Adam na każde prawie posiedzenie towarzyszy wraz z matką pannie Henryecie. Portret zaś jego samego wymalował już bardzo pięknie i podobnie kochany nasz i poczciwy *Stański*, (bo tak z polska przezwaliśmy Stattlera), którego piękną narzeczoną już znamy, a z nim samym w najprzyjaźniejszych zawsze jesteśmy stosunkach.

A teraz, „czas do méj treści! „*Now to my theme!*“ jak mówi Byron. Treścią albowiem główną tego listu, w myśli mojéj przy jego zaczęciu, miała być właśnie trzecia nasza *Sielanka*, którą umyślnie tak długo

przedzieliłem od drugiéj czém inném — choćby jak maślankę rumiankiem. „A znasz ty rumianek Rzymski?“ — Ja dopiéro piérwszy raz w życiu dowiedziałem się o nim podczas téj podróży. I będziesz miał poniżéj relacyą o tém.

Dwaj dobrzy przyjaciele domu państwa Ankwiczów, x. *Proja* i x. Biskup *Castellani, Monsignor Sacrista de Sacri Pallazzi*, to jest mający dozór nad katakumbami i rozdawca relikwii śś., obaj z zakonu xięży Augustyanów, oddawna już namawiali samą panią hrabinę, aby odbyła pielgrzymkę do *Genezzano*, gdzie jest najpiérwszy klasztor tego zakonu, położony w górach *Abruzzo*, a słynący cudownym obrazem *Pocieszenia N. Panny*, który tam także cudownym sposobem, przed wieki z Negrepontu się dostał. A że droga do Genezzano prowadzi przez *Palestrinę*, a Palestrina jest to dawna *Preneste*, stolica Etrusków, to jest najdawniejsze z miast włoskich, przed przyjściem jeszcze Eneasza z Troi, przez Cyklopów dla syna bożka Wulkana stawiane: a zatém i sam pan hrabia, jako archeolog, oddawna pragnął je zwiedzić. A zatém, dnia 2 Kwietnia, to jest przedwczoraj, wyruszyliśmy tamże w tym podwójnym celu; raniéj niż kiedykolwiek, bo zaraz po szóstéj, i w trzech lekkich parokonnych powozach; bo zwykłe towarzystwo nasze powiększyło się o $^1/_4$, a to *plus* składali: Stattler i Garczyński z Gajewskim. Widzisz więc, że się Garczyński nawrócił. A jak? — Masz tu o tém jeszcze jeden epizod.

Prócz ciebie, w którym wszystko, co mi nie do gustu, gromię wręcz, jak z pistoletu: (bo wiém, że nic na wspak nie weźmiesz, a wszystko wspaniałomyślnie przebaczysz); względem innych przyjaciół mam wżdy ten obyczaj, że gdy mi się w nich co nie podoba, upatruję chwili stosownéj, aby im to gładko powiedzieć. Otóż nie podobało mi się w Garczyńskim, że nie pojechał z nami do Frascati. Ale nie mówiłem już nic o tém wróciwszy; a że i Adam także nic nie mówił: widziałem, że go to już trochę korciło. Tymczasem poszliśmy z nim we dwóch do Kolosseum, tegoż dnia, cośmy mieli być w wieczór w Muzeum Watykańskiém. On był mi wdzięczen za to, że pamiętałem o nim i wyjednałem dlań pozwolenie uczestnictwa. Z tego przyszła rozmowa serdeczna, a z téj rozmowy assumpt do wypowiedzenia mu tego, co mi ciężyło na sercu: to jest zdania o jego dziwactwach, i o przesadzie, choć w dobrém. Pokora, z jaką słuchał, wzmagała elokwencyą moję, tém bardziéj, że była w niéj w gruncie i *oratio pro domo sua*. Jak bowiem kiedyś czcigodny mój Mentor łajał mię i gromił straszliwie: że się wolę włóczyć, niż uczyć; wpatrywać się we wstążki, niż w xiążki; ja przeciwnie, w roli Mentora, zarzucałem memu Telemakowi, że poniewiera kwiatami życia; a że tego nie czyni dla zbawienia swéj duszy, więc musi chyba czynić dla pychy, choć ją ubiera w pozór cnoty obowiązku. Nie wyliczam ci wszystkich dalszych argumentów, któremi szermowałem jak szablą, kiedy się już ręka rozmacha; ani wiém, który trafił do jego przekonania. Ale dość, że

się musiał przekonać; bo rzucił mi się w końcu na szyję, i zowiąc mię szczęśliwym, sam, omal nie ze łzami, wyznawał że cierpi, i że sam sobie rady dać nie umie. Ja więc ofiarowałem się mu za lekarza, a pierwszy recept, który przepisałem, był ten, aby od panienek nie stronił, a z nami na *Sielankę* pojechał. Adam aż się trzymał za boki, kiedy mu opowiadałem tę scenę; to jest (mówiąc jego słowami), kiedy taki latawiec i próżniak, jak ja, *admonitował* takiego sensata i filozofa, jak on, a filozof słuchał jak student. Ty miéj w tém rys charakteru, czy raczéj może tylko excentryczności Stefana; a z tego możesz wnosić, jak go można kochać. — Zgodził się więc jechać z nami; ale pod tym wszakże warunkiem, ażeby państwo Ankwiczowie zaprosili razem i Gajewskiego. Co kiedy nastąpiło — jedziemy. Adam i Strzelecki z damami; ja z Garczyńskim i Niegolewskim; sam pan Ankwicz z resztą towarzystwa.

Z Rzymu do Palestriny, jest około 5 mil naszych. Droga przez Kampanią nic już dla nas nie ma nowego; ale *ciceronuję* w niéj za to Garczyńskiemu, który się wszystkiém zachwyca, i cieszy się, że mię posłuchał. Dzień prześliczny, ale zbyt już gorący. Biédne konie prawie ustają. O południu jesteśmy już na miejscu. Miasteczko brzydkie, (liczy 6,000 mieszkańców), a co gorsza, *locanda*, to jest oberża, szkaradna; a co najgorsza, to że nic w niéj innego nie ma na śniadanie, prócz sałaty i fig suszonych. Ja upatruję w tém przymusową *wigilię* do jutrzejszéj naszéj pielgrzymki; ale wtém mądry Strzelecki wzbudza podziw ogólny

przezornością swoją. Wydobywa z powozu doskonałe *salami*, t. j. wędlinę, pieczeń, ciastka i pomarańcze, w które się zaopatrzył, nic nie mówiąc nikomu, i promienieje radością uprzejmego Amfitryona, widząc jak jego goście krzepią ochoczo siły przed archeologiczną wycieczką, w któréj on ma być *Ciceronem*.

Piérwszym jéj celem jest *Monte di S. Pietro*, ogromna skalista góra, panująca po nad miasteczkiem, z ruiną średniowiecznego zamku, a raczéj formalnéj twierdzy, która się też *cytadellą* nazywa. Najpiękniejszą ozdobą tych ruin, są prześliczne festony bluszczu, rozwieszone wszędzie po ścianach i tworzące prawdziwe „zielone arabeski“. Dla nich samych jednakże nie warto byłoby piąć się w górę, a gorzéj jeszcze schodzić, po usuwających się pod nogami kamieniach; gdyby trudu nie wynagradzał czarodziejski widok na całą Kampanią Rzymską i na otaczające ją góry i morze. Nasyciwszy się nim dowoli, i odpocząwszy, po zejściu, na ziemi w prześlicznym lasku sosnowym: idziemy widzieć owe sławne mury Cyklopów, budowane z ogromnych brył granitowych, które może nadzieją obrony ozuchwalając mieszkańców dawnéj *Prenesty*, ściągały tylko na nich i na nią coraz nowe klęski i zniszczenie, i to w najodmienniejszych epokach i okolicznościach. Piérwszym, który miasto zburzył do szczętu, a mieszkańców w pień wyciął, był Sylla, podczas wojen z Maryuszem. Późniéj wszakże on sam, na témże miejscu, zbudował tak olbrzymią świątynię Fortuny, że całe miasto dzisiejsze mieści się w obrębie jéj ruin. Ale i ono samo jest już tylko

odroślą dwóch poprzednich *Palestryn*, większych daleko i bogatszych od teraźniejszéj, ale także po dwakroć, raz w XIII, drugi raz w XV wieku, zdobytych szturmem i z ziemią zrównanych. O tém wszystkiém nauczał nas Strzelecki podczas obiadu, którego najsmakowitszą przyprawą był głód; a zaś największém uweseleniem wieczoru—rumianek. Pan Ankwicz czuł się niezdrów, i chciał się nim leczyć. Panienki same nawarzyły go tyle, że potém chciały gwałtem wszystkich nim uraczyć. Ztąd opór, spory, żarty, i wesołość ogólna. Adam z wielką wymową bronił siebie i drugich, i nakoniec zmuszony uledz, przyjął to jako pokutę na intencyą jutrzejszych penitentek. Ja wychyliłem duszkiem moję filiżankę, zaimprowizowawszy piérwéj czterowiersz:

Ha! gdy to ma być pokuta,
Muszę wypić, choć nie chce się.
Toć rumianek nie cykuta!—
Na cześć twoję, Sokratesie!

Rumianek rzymski wszakże nie jest tak zły, jak sobie wyobrażałem. Ma daleko więcéj goryczy, ale za to mniéj ckliwego zapachu, niżeli nasz zwyczajny. NB. trzeba go pić bez cukru.

Przed rozejściem się do snu, Strzelecki wystąpił z projektem, ażeby panie same jechały do Genezzano, a mężczyzni tymczasem zwiedzili starożytną *Gabią;* ale to tak starożytną, że jakiś średniowieczny pisarz włoski powiada o niéj: „że Romulus i Romus chodzili tam na akademią, na którą ich dziad Numitor wyprawił.“—Sam pan Ankwicz nie był od tego; ale

damy tak się tém obraziły, że nawet nie protestując zdały to nam całkiem na wolę. Ja więc piérwszy podniosłem *veto;* ale to może nie miałoby skutku, gdyby zapytany z kolei Adam nie odpowiedział stanowczo, że jedzie do Genezzano, i „że woli katolicką pielgrzymkę, niż deptanie pogańskich ruin, których i tu już mieliśmy do syta.“ Projekt więc Strzeleckiego upadł; ale panienki, za sam jego pomysł, nie podały mu nawet ręki na dobranoc.

Ale noc ta i dla nas wszystkich nie mogła nazwać się dobrą. Mieściliśmy się jak śledzie w beczce; dla młodszych, łóżek i pościeli nie stało. Ja z Garczyńskim spaliśmy na wąziutkiéj kanapce, z przystawionym szeregiem krzeseł, twardych—ale gdybyż choć równych, jak deska! Mimo to:

Usnąwszy wesoło gwarząc,
Spaliśmy rozkosznie marząc,

z wielkiém niezadowoleniem musieliśmy wstawać i ubrać się o piątéj, bo obudzili nas *wetturyni*, czyli raczéj właściciele mułów, które zaprzężone już zamiast koni, brzękadłami uprzęży pod oknami *lokandy* dzwoniły. Konie nasze zostały w Palestrinie; gdyż droga do Genezzano jest tego rodzaju, że tylko albo na osiołkach konno, albo mułami w zaprzęgu może być bezpiecznie przebytą. Kręta, stroma, urwista, wije sie między dzikiemi, skalistemi górami, niekiedy tuż nad brzegiem przepaści, w które koń łatwoby się uśliznął. My jednak ani pomyśleliśmy o niebezpieczeństwie, upajając się wonią górskiego powie-

trza i świeżością wiosennego poranku. Brak tylko śpiewu ptasząt i tu raził ucho.

Po dwugodzinnéj podróży w pustyni, ujrzeliśmy nakoniec przed sobą domki, rozrzucone na pochyłości góry i przyczepione do niéj jak jaskółcze gniazda — (to *Genezzano!*)—i stanęliśmy wkrótce przed wspaniałym, jak na pustynię, kościołem, który wespół z poważnym, średniowiecznym klasztorem, cały spłaszczony wierzch góry zajmuje. Jakby na nasz przyjazd czekano—zaledwieśmy weszli do środka, ozwał się dzwonek, i tuż za nim organy, i solenna wotywa wyszła z zakrystyi, udając się do pięknéj i bogatéj kaplicy, gdzie się cudowny obraz Matki Boskiéj znajduje. Wysłuchaliśmy więc najprzód mszy świętéj, którą Adam całą przeklęczał; jak niegdyś w Ostréj Bramie ze mną, w dzień swego wyjazdu z Wilna. Po mszy, damy się spowiadały, my zaś tymczasem oglądaliśmy kościół. Ja wolałbym był raczéj pójść za ich przykładem; ale nie czułem się dość przygotowanym, a *ex promtu* jakoś nie śmiałem; a wreszcie mam przed sobą cały wielki tydzień. Sam pan Ankwicz udał się do Przeora, z listem od x. Biskupa *Castellani*, który sam w skutek tego przyszedł do kościoła, i po udzieleniu Kommunii świętéj, damy i całe towarzystwo do klasztoru na śniadanie zaprosił. Klasztor jest bardzo czysto i porządnie utrzymany; sądząc zaś z wychodzących bez przerwy mszy w kaplicy i przy innych ołtarzach, wnieśćby można, że liczba zakonników musi być bardzo znaczna. Zresztą potwierdzał to także i długi stół w refektarzu, na którym nam do śniada-

nia nakryto. Braciszek wniósł na tacy 12 białych kubków z uchami; w każdym na dnie były dwa żółtka, posypane miałko tłuczonym cukrem, które każdy z nas miał sobie rozbijać. Nie wiedzieliśmy co to znaczy, a Adam odezwał się głośno: „Muszą nas mieć za suchotników, kiedy każą nam pić *hogel-mogel*.“— Ale wnet tenże braciszek wszedł powtórnie z ogromnym imbrykiem, czy raczéj dzbanem gorącéj kawy, i nalewał ją nam upominając, abyśmy ciągle żółtka rozbijali. Smakuje to wcale nie źle; lepiéj daleko niż z tutejszą śmietanką, która nawet nie ma pretensyi do tego tytułu, i po prostu nazywa się mlekiem. O mleko to nawet tak trudno w ogólności we Włoszech, że np. w żadnéj kawiarni w Rzymie nie znajdziesz już po południu *café con latte*. Bydło zazwyczaj pasie się przez całe lato w górach, i tam zaraz na miejscu robią z mleka sery na zimę. Miejsce masła zastępuje zwykle oliwa. Nam za ciasto do kawy służyły suszone grzanki i chleb świeży, źle wypieczony. Przy śniadaniu x. Przeor, rozmawiając z panem Ankwiczem, opowiadał ciekawe szczegóły o klasztorze, którego piérwszym fundatorem miał być sam Św. Augustyn, i o sposobie życia zakonników, którzy się sami trudnią gospodarstwem, i własnemi rękami uprawiają w ogrodzie owoce i warzywo. Zwiedzając po śniadaniu ten ogród, podziwialiśmy czystość, porządek i gust artystyczny w urządzeniu i utrzymaniu szpalerów, altan i kwiatowych klombów; nadewszystko zaś samo położenie miejsca i uroczystą jego spokojność i ciszę. Ztąd wywiązała się długa rozmowa

o życiu zakonném, w któréj Adam z takiém przejęciem się i zapałem wykazywał jego konieczność w społeczeństwie ludzkiém, i tak poetyckiemi farbami kreślił jego duchowe rozkosze: że taki nawet przeciwnik, jak Strzelecki, musiał się w końcu uznać pokonanym; a zaś panna Marcellina, która jedna z pomiędzy nas wszystkich ma pociąg do tego życia, tak była poruszoną słuchając, że aż łzy mimowolnie popłynęły z jéj oczu. Zawstydziła się ich sama nieboga; ale łzy te nie spadły naprożno. Adam, ujrzawszy je, spoważniał raptem, i pod ich to niewątpliwie wpływem, zakwitnął w myśli jego jeden z najpiękniejszych kwiatków poezyi naszéj, który ci tu wnet przepiszę. Bo o samym powrócie do Rzymu, nie mam nic ciekawego do opowiadania. W Palestrinie przemieniliśmy tylko znowu muły na konie, i po najnędzniejszém śniadaniu, o 8 w wieczór zajechaliśmy wprost na *Via Mercède*, gdzie na nas z obiadem czekano.

Adam wiersz swój musiał ułożyć w drodze, bo go za powrótem do domu od razu na czysto napisał. Ty zaś miéj go w tym liście za zielony liść palmy—w pustyni; bo dziś tu u nas palmowa Niedziela, która u was będzie dopiéro za tydzień. Przyszły więc, da-li Bóg, mój list zacznę już chyba od *Alleluja;* a tymczasem na dzisiaj; *Vale!*

DO MARCELLINY ŁEMPICKIÉJ.

W GENEZZANO.

Dziś cię za stołem swym Chrystus ugościł.
Dziś tobie Anioł nie jeden zazdrościł.

Ty spuszczasz oczy, które Bóztwem gorą;
Jak ty mię swoją przerażasz pokorą!
Święta a skromna!—Grzesznicy nieczuli,
Gdy my w spoczyniku skroń ospałą złożym,
Tobie, klęczącéj przed Barankiem Bożym,
Jutrzenka usta modlące się stuli.
Wtedy zlatuje Anioł twój obrońca,
Jasny i cichy, jak światło miesiąca:
Zasłonę marzeń powoli rozdziela,
A troskliwości pełen i wesela,
Z takiém nad tobą schyla się objęciem,
Jak matka nad swém senném niemowlęciem.
Jeżeli promień nieśmiertelnéj łaski
Zbyt żywo w oczach Anioła jaśnieje,
I gdy się senna zbyt żywo rozśmieje:
Anioł łagodnie przygasza swe blaski,
Stula nad senną zasłonę marzenia,
I odlatuje biorąc twe westchnienia.
Lecz nim odleci, kładzie wdzięki nowe,
Jak nowe suknie dziecięciu pod głowę.—
Tak się piastunka jego codzień budzi,
Z nową miłością u Boga i ludzi.—
Jabym dni wszystkich rozkosz za nic ważył,
Gdybym noc jedną, tak jak ty, przemarzył.

XVI.

Do Ignacego Chodźki.

Rzym, 11 kwietnia 1830 r.—Wielkanoc.

Alleluja! Słyszę huk dział na zamku Ś-go Anioła i weselny odgłos dzwonów po mieście, i zerwałem się ze snu równemi nogami, aby wam piérwszym w téj chwili powiedzieć *Alleluja*. Co do opisu Wielkiego Tygodnia, który pamiętam że ci obiecałem, będziesz miał o tém osobny artykuł, i notabene w stylu literackim, bo mam go już zaczęty, i nie tylko dla ciebie i dla was, lecz i do przyszłorocznéj *Melitèli* przeznaczam. W liście tym dodam tylko szczegóły o sobie, które prócz was nikogo obchodzić nie mogą, i nad któremi téż pisząc .głowy sobie nie łamię. Że zaś nie jest to praca, a więc i żadne naruszenie święta: nie będzie zdaje się grzechem, że mając już pióro w ręku, dziś najprzód powiém ci o tém, cośmy robili między Palmową Niedzielą a Wielkim Czwartkiem, od którego się tu właściwie *Wielki Tydzień* zaczyna.

Otóż owéj Niedzieli byliśmy razem z Garczyńskim na uroczystéj processyi kardynałów z palmami, które najprzód kardynał Pacca, w zastępstwie Ojca św., poświęcił i każdemu z nich po kolei rozdawał. Widok rzeczywiście wspaniały; chociaż wspanialszym byłby

niewątpliwie w kościele Ś-go Piotra. Ale i ten i wszystkie inne wielko-tygodniowe obrządki, odbywają się tutaj nie w nim, lecz w pałacowéj Watykańskiéj kaplicy, zwanéj Syxtyńską, która światową swą sławę zawdzięcza wszakże nie temu, ale znajdującym się w niéj freskom Michała Anioła, między któremi, jak wiész, piérwsze miejsce trzyma „Sąd Ostateczny.“ Tłok w nim lecących w piekło potępieńców, nie był większy od tłoku w kaplicy; a więc i my w niéj piekliśmy się jak w piekle, a przynajmniéj jak w łaźni. Za toż rajskiéj prawdziwie rozkoszy doznaliśmy tamże we Środę, słysząc sławne *Miserere*, wykonywane przez samych śpiewaków, ale których głosy naśladują niekiedy różne instrumenta, a raczéj są same jakby ideałem ich harmonii i wdzięku. Adam był w zachwyceniu, i mówi: że w Niebie chyba mogą śpiewać piękniéj. Przy końcu zwłaszcza, cała massa głosów zlanych w jedno, jakby jakaś łuna świetlana, jakby jakaś ściana z kryształu, wznosi się, szerzy się, rośnie... i tak jakoś istotnie porywa za sobą, że gdy w końcu nagle zamilknie, czujesz się jakbyś został na powietrzu, zkąd musisz znów wracać na ziemię. Po błogosławieństwie Papiezkiém, jest to największe i najmilsze wrażenie z całego tu Wielkiego Tygodnia, które się jeszcze i w Piątek ponawia. Ale o tém niżéj.

W Poniedziałek, po obiedzie u państwa Ankwiczów, korzystając z prześlicznéj pogody, przyprowadziliśmy nakoniec do skutku oddawna już ułożony projekt zwiedzenia przy pochodniach Forum i Kolosseum. Obraz tego wieczoru stoi mi dotąd w oczach

jakby jakaś *Fata Morgana.* Kolosseum znasz pewnie z rysunku. Wyobrażaj więc sobie, co mówię. Blask ośmiu płomienistych pochodni, wkoło krzyża środkowego stojących, rozlewa się po całéj arenie i krwawą łuną pełga i faluje po ścianach. Co w tych falach mogło się komu odbijać z przeszłości (ma się rozumiéć „przed oczyma duszy"), to już nie do mojego obrazu należy. Ja tylko opowiadam com widział widomie.—Pochodnie rozbiegają się nagle, i na chwilę nikną w ruinie. Ale wnet zaczynają błyskać przez otwory, a niosący je, jak tancerze w kontredansie, wiedzą już widać z góry gdzie się zwrócić, gdzie stanąć, zkąd je wytknąć i jak niemi wywijać, aby tworzyły zawsze jakby jednę umówioną figurę; jakby jakąś ciągłą konstellacyą, nie gwiazd, ale iskrzystych, ogoniastych komet, od których smugi czerwonego światła, coraz zkąd inąd padając z wysoka, co chwila nowe kształty zdają się nadawać arenie i coraz nową część ruin odsłaniają przed okiem. Ostatnią część tego spektaklu stanowi ukazanie się prawie razem na najwyższych dostępnych punktach, wszystkich tych ośmiu promienistych świateł, w których blasku, niosący je ludzie, wyglądają jak czarne djabełki; bo jużciż niepodobna równać ich do posągów, (które tam może niegdyś stały rzeczywiście), kiedy patrzącym z dołu nie zdają się większymi od kawek albo puszczyków: co właśnie w owéj chwili, wystraszone ich światłem ze swoich kryjówek, migały z krzykiem nad naszemi głowami, częścią powiększając wrażenie, częścią tylko pobudzając do śmiechu.

Byliśmy wszyscy w artystycznéj extazie; i nie zmniejszyła jéj wcale zmiana w oświetleniu obrazu, to jest, kiedy pochodnie nakoniec pogasły, a miejsce ich zastąpił blask wschodzącego xiężyca. I kto wié nawet, czy wpływ jego światła nie przyczynił się może najwięcéj do téj cichéj, łagodnéj, a jakoś dziwnie rozkosznéj tęsknoty, która ogarnęła nas wszystkich, i o któréj rozmawiano wracając — nie wprost jeszcze do domów, ale na *Via Mercède*, gdzie czekała już na nas upragniona, gorąca herbata. Towarzystwo składało się z czternastu Polaków i Polek, i z pani Klustin z córką i trzema swymi szwajcarskimi gośćmi: pp. Bonstettenem, De Luc i Douby, z którymi my dwaj nazajutrz, na zaproszenie pani Klustin, mieliśmy odbyć, i odbyliśmy rzeczywiście, niemniéj może uroczą wycieczkę nad morze—do Ostii.

Ostia sławny niegdyś port Rzymski, przy ujściu lewego ramienia Tybru, dziś nędzna i prawie pusta, z powodu *malaryi*, mieścina, nie wartaby sama przez siebie być celem osobnéj wycieczki. Ale staruszek Bonstetten chciał jeszcze oglądać te miejsca, które zwiedzał i opisał za młodu; i ztąd powód téj nowéj zamiejskiéj *wiosnówki*. Odległość cztery nasze mile od Rzymu; droga przez *Kampanią* znajoma. Na miejscu, oprócz gruzów Ostii dawnéj, (mającéj niegdyś stutysięczną ludność), krzewami i chwastem porosłych, nic zgoła godnego widzenia. Tyber wprawdzie piękniejszy niż w Rzymie, wije się w setki zakrętów, ale brzegi płaskie i puste. A jednak, jak już wspomniałem, wycieczka ta była uroczą. Dank za to, prócz

towarzystwa, należy wyłącznie—morzu. A rozkoszowaliśmy się jego widokiem nie w Ostii, ale o parę wiorst ztamtąd, w *Castel Fusano*, prześlicznym zamku księcia *Chigi*, zbudowanym na miejscu sławnéj niegdyś villi Pliniusza młodszego, *Laurentium*, którą on sam podobno bardzo pięknie opisał. Pałac leży śród lasu, nie parku, sosnowego i dębowego, który się aż do morza i wzdłuż brzegów jego rozciąga. Dzień był jasny, słoneczny, ale wiatr silny i ciągły. Fale jak pasma gór śnieżnych, wznosiły się jedne nad drugie i literalnie piętrzyły się w obłoki. Ja raz pierwszy widziałem rozhukane morze. Widok na pozór jednostajny i nudny, a jednak tak wciąż nowy i pociągający, jak życie — nawet gdy los niém nieraz jak wiatr morzem miota. My pod zasłoną rozłożystych dębów, sami prawie nie czuliśmy wiatru; ale szum jego i świst po gałęziach, zlewał się, jak napowietrzny akkord, z szumem i rykiem bałwanów, rozbijających się o brzegi i konających prawie u stóp naszych. Wrażenie było nie do opisania. Żal nam było odejść nawet na obiad. Przyniesiono go więc nam nad morze, i zastawiono pod drzewami na ziemi. Ucztowaliśmy prawdziwie po rzymsku, wpół leżąc; a rozmowa była tém żywsza, że musiała, by się dać słyszeć, przezwyciężać szum lasu i morza. Adam właściwie nie improwizował, ale widocznie był w nastroju ku temu, i w tém niekiedy co mówił, było tyle i takiéj poezyi, że zachwycona panna Anastazya, wpół żartem zrobiła uwagę, że duch Wirgiliusza tak może stoi przy nim w téj chwili, jak niegdyś z Dantem spacerował po piekle.

Wirgiliusz albowiem i jego *Eneida* były głównym przedmiotem rozmowy; gdyż byliśmy właśnie w okolicach, gdzie się część jéj akcyi odbyła, a które kiedyś Bonstettten opisał. Mieliśmy nawet ochotę zwiedzić stolicę Turnusa, *Ardeę*, ale czasu na to nie stało. Mnie zaś z owego *dictum* panny Anastazyi, wiész jakie przyszło do głowy wytłómaczenie naszego przysłowia: „Tłucze się jak Marek (czy jak mara) po piekle?“— Oto, że pierwiastkowo nie był to ani *Marek*, ani *Mara*, ale *Maro*. Ktoś może z naszych kiedyś panów czy uczonych, którzy sami uczyli się w Padwie, użył go dla popisu ze swojéj znajomości *Komedyi* Danta; a dworzanie albo uczniowie, powtórzyli je szlachcie; w ustach któréj, nieznany jéj łaciński *Virgilius Maro*, przemienił się w polskiego *Marka* albo *Marę*. Adam śmiał się z mego domysłu, chociaż przyznał, że nie jest całkiem, albo mniéj bez sensu, jak tyle innych etymologicznych wywodów.

Ale dość już tego bazgrania! Adam śpi jeszcze, a trzeba go budzić; bo niezadługo czas iść do kościoła, gdzie mamy widzieć celebrę i wielką benedykcyą Papiezką. A więc raz jeszcze *Alleluja!* i na dziś *Vale!*

12 kwietnia, w nocy.

Otóż już i po świętach! a nim ci powiém, jak nam one przeszły, masz najprzód obiecany:

Wielki Tydzień w Rzymie.

Być we Włoszech, a nie być w Rzymie podczas Wielkiego Tygodnia, jest to podług przysłowia: być

w Rzymie a nie widzieć Papieża; grzech równie nieodpuszczony w oczach ciekawych podróżników, jak sędziów, którzy ich kiedyś za powrótem do kraju mają badać i sądzić, jak użyli czasu podróży. To też będąc już w Rzymie, dosyć jest wyjść przed Niedzielą Kwietną na gościńce ku miastu wiodące, ażeby się przekonać o natłoku ciekawych pielgrzymów. Mówię *ciekawych* tylko, gdyż pomimo usiłowań najżywszéj wyobraźni, trudno jest w modnych koczykach, pozłocistych landarach, opakowanych wetturach, przy odgłosie trąbek pocztarskich, lub aryj z nowych oper, przez wetturynów śpiewanych, dopatrzyć owych dawnych pobożnych pątników, co z brzemieniem tylko swych grzechów, w kapturze i włosiennicy, z kosturem w ręku i torbą na plecach, szli piechotą z najdalszych krain na miejsce powszechnego odpustu, pokutne psalmy śpiewając. Wprawdzie i to powiedzieć trzeba, że ktoby dziś z takiém uczuciem przybył do stolicy chrześcijaństwa, dla obchodzenia najświętszéj w chrześcijaństwie pamiątki; dla zbudowania się widokiem obrzędów, w najwspanialszéj na świecie świątyni, przez najwyższego naczelnika wiary odprawiać się mających; jakżeby się zadziwił, zgorszył, albo zasmucił, widząc, iż oprócz jednego tylko błogosławieństwa Papieża, wielkiego rzeczywiście i uroczystego obrzędu, wszystkie inne zdają się być zamienione na jakieś sceniczne widowisko, pokazywane za biletami, dobrze jeszcze że niepłatnemi, i przeznaczone jedynie dla zwabienia i zabawy cudzoziemców, po większéj części różnowierców (Anglików), a to tak dalece, że żaden rodowity

Rzymianin, a cóż dopiéro ubogi pielgrzym, biletów tych nawet dostać nie może. Pielgrzym taki, gdyby był z naszego kraju, pożałowałby może nieraz owych prostych, ale pełnych wrażenia obrządków swego parafialnego kościoła, gdzie wszystko w dniach męki Pańskiéj nosi cechę opustoszałego domu, którego Pan leży na marach; owego grobu w ciemnicy, otoczonego ludem pełnym wiary, modlącym się i płaczącym, jakby nad rzeczywistym grobem Zbawiciela; owéj nakoniec rezurrekcyi nocnéj, gdy z łona grobowego milczenia, przy zmieszanym odgłosie trąb, dzwonów, moździerzy i organów, zabrzmi nagle wesołe „*Alleluja*,“ rozjaśnią się ołtarze i ściany, a promienne monstrancyum, z grobu wyjęte, zabłyśnie nad ukorzonym ludem, jak widomy symbol zbawienia, wschodzącego dla nas z bram śmierci!...

Nic z tego nie znaleźć w Rzymie. Wszystkie obrzędy odbywają się tu nie w kościele Ś-go Piotra, jakby się spodziewać należało, lecz w prywatnéj kaplicy Papiezkiéj, Syxtyńską zwanéj, i w ciaśniejszych jeszcze pokojach Watykańskiego pałacu, zdolnych ledwo pomieścić dziesiątą część widzów, tłoczących się jakby na teatr. Nic nie pomogą bilety, przez kardynałów lub posłów zagranicznych dawane. Trzymający straż Szwajcarowie, w ubiorze z XIV wieku, w pancerzach, pstrych kubrakach, czerwonych pończochach i okrągłych kapeluszach z piórami, odpychają halabardami, bez różnicy płci i wieku, tych wszystkich, co albo się już zmieścić nie mogą, lub się im nie podobają z pozoru. Wynikające z tego zgiełk, zamieszanie i często

formalne bitwy, mącą na samym wstępie wszelkie religijne uczucie. Szczęśliwy, kto się wedrze przebojem, lub czyhając na wejście którego z kardynałów, uczepi się kraju szat jego, i pchając go bez ceremonii przed sobą, ustrzeże się ręki Szwajcara, co go zwykle chce schwytać za kołnierz. Myśmy w tém byli szczęśliwsi od drugich, i to dość osobliwszym sposobem, bo za pomocą znajomego nam kalwińskiego pastora z Genewy. Krewny jego, naczelny dowódzca Szwajcarów, dał nam niemniéj osobliwe bilety: imię swoje napisane na dwójce i trójce żołędnéj, z wycisnioną na laku pieczęcią. Na widok tego talizmanu, halabardy schylały się przed nami, lub same rozpędzały tłumy, niechcące ustąpić nam z drogi. Tym sposobem, we Czwartek, o godzinie szóstéj rano, dostaliśmy się do kaplicy Syxtyńskiéj. Nabożeństwo zacząć się miało o siódméj; ale nikt na świecie nie potrafiłby zgadnąć nie widząc, na czém schodził czas oczekiwania Anglikom i Angielkom, składającym przynajmniéj połowę zgromadzenia. Oto na jedzeniu i wzajemném częstowaniu się śniadaniem, którego nie pospieszyli zjeść w domu. Z worków, z koszyków, z papierków, wychodziły koleją ciasta, bułki, a nawet grzanki chleba z masłem, nakładane wędliną, i znikały pod białemi, jak wilcze, zębami wyspiarzów, którzy nawet ust chustką zakrywać nie raczyli.

Oburzający ten widok, więcéj niż tłok i gorąco, wygnał nas z kaplicy na korytarz, gdzie jak łódź na uwięzi, pochylani ustawicznie w tę i ową stronę ruchem skupionego tłumu, równo z końcem nabożeń-

stwa, uczuliśmy się, jak taż łódź, porwani prądem ciżby, i przez różne ganki i korytarze, zaniesieni na wierzch krużganków, otaczających plac św. Piotra, zkąd mieliśmy się przypatrywać błogosławieństwu Papieża. Dwa razy ma ono miejsce podczas Wielkiego Tygodnia: w Wielki Czwartek i w piérwszy dzień święta. Ostatnie jest daleko wspanialsze i uroczystsze, i ztąd nosi nazwanie: Błogosławieństwa większego (*La benedizione maggiore*). O niém téż wspomnę obszerniéj; zwłaszcza, że w obu razach obrzędy są jednakie; kolor tylko szat Ojca Św. i kardynałów odmienny— we Czwartek, fioletowy; w Niedzielę: Papież w bieli, kardynałowie w purpurze.

Zaraz po błogosławieństwie we Czwartek następuje tak zwana *Lavanda*, to jest umywanie przez Papieża nóg ubogim pielgrzymom. Obrzęd prawdziwie wspaniały i wzruszający. Odbywa się on w bocznéj kaplicy przy kościele św. Piotra, gdzie się znajdują zebrani natenczas, prócz kardynałów i dygnitarzy kościelnych, wszyscy zagraniczni posłowie, i cały wielki świat Rzymski; urzędnicy w wielkich mundurach, damy w czerni, i tylko w welonach na głowie. Ojciec Św. zasiada na tronie pod baldachinem, mając po obu stronach szereg kardynałów. Pielgrzymi, w liczbie 13, ubrani w długich, białych sukniach, w jakich zwykle Apostołów malują, w wysokich nakształt infuł czapkach, siedzą w półkole na podwyższonych siedzeniach. Liczba 13 jest na pamiątkę cudownego niegdyś zjawienia się Anioła pomiędzy dwunastu pielgrzymami, podczas kiedy jeden z piérwszych papieżów

względem nich tego obrzędu dopełniał. Ojciec Św. po odmówieniu obrzędowéj modlitwy, przepasuje się białém płótnem, i mając po za sobą kilku kardynałów, niosących miednicę, nalewkę i ręczniki, zbliża się po kolei do każdego z pielgrzymów, i powitawszy go niskim ukłonem, leje wodę na obnażone nogi, i otarłszy je potém ręcznikiem, całuje. Tak mię przynajmniéj zapewniali stojący bliżéj, gdyż sam za tłumem pocałowania dójrzeć nie mogłem. Pielgrzymi w czasie umywania nóg zdejmują czapki, i zaraz po umyciu otrzymują z rąk kardynała ogromny pęk kwiatów, przez Papieża wprzód poświęconych. Po skończonym obrządku, udają się rzędem do przyległéj sali, gdzie na nich czeka stół zastawiony obficie i uwieńczony kwiatami, a którego nakrycie i osobne przed każdym zastawione potrawy i wina, może każdy z nich zabrać z sobą do domu, lub komu się podoba odesłać. Na ten koniec, za każdym stoi ogromny kosz, do którego słudzy półmiski i butelki pakują. Jeden tylko z pomiędzy trzynastu, Polak, xiądz Zamojski z Galicyi, (gdyż sami tylko xięża kapłani na pielgrzymów wybierani bywają), przypadający na siebie udział, darował usługującym do stołu sługom papiezkim.

Aby wyjść z obiadowéj sali pielgrzymów, chcąc nie chcąc trzeba przechodzić przez drugą, gdzie wszyscy kardynałowie u jednegoż stołu jedzą Wieczerzę Pańską. Posągi dwunastu Apostołów z lanego srebra, służą za wspólną ozdobę stołu. Zresztą każdy kardynał jé osobne potrawy, z własnéj kuchni, na srebrze i porcelanie z własnego swego kredensu, mając

za krzesłem dwóch lub trzech służących w liberyi i częstując niekiedy przysmakami znajomych sobie widzów. Wszystko to ma pozór *pańskiego* obiadu, ale nikomu pewno z chrześcijan nie przypomniałoby *Wieczerzy Pańskiéj*.

Jestto ostatnie Wielko - Czwartkowe widowisko w Watykanie, na które wygłodniali od rana widzowie cisną się z niezmordowaną ciekawością, jakby się chcieli nasycić zapachem kardynalskich przysmaków. Wyszedłszy ztamtąd, odetchnęliśmy świeżém powietrzem dopiéro o godzinie 4-téj po południu.

Z większém bez porównania uczuciem, widzieliśmy nazajutrz wieczorem, w klasztorze *Trinitá dei Pellegrini*, umywanie nóg siedmdziesięciu prawdziwym pielgrzymom, przez jednego z kardynałów, (xięcia Odescalchi), i kilku piérwszych panów świeckich, którzy im sami potém usługiwali do stołu. Klasztor ten z przeznaczenia swojego obowiązany jest, ze składkowych dochodów, dawać pomieszkanie i żywność przez trzy dni wszystkim przybywającym do Rzymu pielgrzymom. Wzruszający był widok ludzi z różnych stron i krajów, po większéj części starców, w ubiorze pielgrzymskim, siedzących u jednego stołu, połączonych braterstwem wiary, ugaszczanych w imię Chrystusa! Wieczerzę ich składały: makaron, ryby, suszone winogrona, jabłka, chleb, woda i wino. W oddzielnych izbach, gdzie mężczyznom wchodzić nie wolno, piérwsze damy rzymskie oddają równąż posługę pielgrzymkom.

W Wielki Piątek, groby ani tak pięknie przybrane, ani tak tłumnie odwiedzane, jak po naszych miastach. W Watykanie Grób Pański urządzony jest w kaplicy Paulińskiéj i odznacza się tylko pięknem oświetleniem. Nad wieczorem w kaplicy Syxtyńskiéj ponawia się sławne *Miserere*, wykonywane przez śpiewaków papiezkich, które już tamże odbywa się najprzód we Środę. Trudno jest oddać słowami urok téj muzyki wokalnéj; to tylko można powiedzieć, że żadna muzyka na świecie nie zdołałaby sprawić równie wzruszającego wrażenia. Głosy naśladują doskonale różne narzędzia muzyczne: flet, harmonikę, a niekiedy brzmienie organu. Samo *Miserere* nie trwa dłużéj nad 20 minut, ale poprzedzone jest śpiewaniem psalmów, podczas których gaszą koleją wszystkie światła, palące się w świeczniku obok ołtarza, tak, że śpiewanie samego *Miserere* odbywa się w zupełnéj ciemności, co téż niemało wrażenie jego powiększa. Po ukończeniu, kardynałowie, wraz z ludem, udają się processyą do kościoła Ś-go Piotra, gdzie następuje ukazywanie z krużganku relikwii św. Krzyża i chustki św. Weroniki, z wizerunkiem oblicza Zbawiciela. Kardynałowie i lud cały na kolanach cześć im oddają.

W Wielką Sobotę, bazylika św. Jana Laterańskiego jest przedmiotem ciekawości ogólnéj. Tam bowiem rano przede mszą odbywa się uroczysty obrzęd chrztu nowo-nawróconych: Żydów, Turków, lub heretyków, a to z chrzcielnicy Konstantyna W., z któréj on sam był niegdyś ochrzczony. Podczas mszy następuje

konsekracya xięży, a nakoniec święcenie wody. Właściwéj Rezurrekcyi nocnéj ani wieczornéj tu nie ma; zastępuje już ją msza ranna, podczas któréj *Alleluja* śpiewają.

W piérwszy dzień Święta, równo ze wschodem słońca, huk dział i dziwnie wesoły odgłos dzwonów (*en carillon*) po mieście, jest piérwszém odpowiedniém uroczystości hasłem. Na wałach zamku Św. Anioła zatknięte białe chorągwie, z herbami miasta Rzymu i panującego Papieża, powiewają nad drogą do Ś-go Piotra wiodącą i same ją zdają się wskazywać. Mszę św. przy środkowym ołtarzu odprawia zwykle sam Papież, siedząc na tronie, twarzą obrócony do ludu; po bokach, podług starszeństwa, siedzą rzędem kardynałowie i biskupi, w pontyfikalnych ubiorach, a sześciu z nich w ornatach służy do mszy Ojcu Św. Wspanialszy jeszcze widok z drugiéj strony ołtarza! Cały kościół Ś-go Piotra napełniony ludem! który się w nim nawet pomieścić nie może, i widać przez drzwi otwarte, jak z odkrytemi głowami cały plac i krużganki zapełnia. Po skończoném nabożeństwie, obie massy łączą się z sobą na placu, oczekując na błogosławieństwo Papieża.

Ktoby chciał choć w najmniejszéj cząstce pojąć wielkość i wrażenie tego obrzędu, niech nie zważa na słowa opisu; ale jeśliby widział choć rycinę Rzymu, niech sobie wystawi w myśli ów przepyszny plac Św. Piotra, z facyatą kościoła jego w głębi, z olbrzymiemi krużgankami po bokach, z dwówa najpiękniejszemi w świecie wodotryskami i obeliskiem w pośrodku,

zamknięty z czwartéj strony od miasta kilkudziesięciu rzędami powozów, napełniony kilkunastu albo i więcéj tysiącami ludu, oczekującego z religijném wzruszeniem na ukazanie się i błogosławieństwo Namiestnika Chrystusowego; a nad tém wszystkiém błękitne niebo włoskie i pogodne słońce kwietniowe! Powietrze drży od gwaru i migoce od blasku. Wtém w głębi ciemnego okna, nad przysionkiem kościelnym, promień słońca odbił się o coś jasnego — i błysnął jak błyskawica. W jednéj chwili cichość powszechna; wszystkich oczy w jeden cel wryte! Jasność w oknie powiększa się, wysuwa, i jednym razem, za pomocą urządzonéj ku temu machiny, ukazuje się nad przysionkiem Papież siedzący na tronie, w białych szatach, w tyarze, otoczony kardynałami w purpurze, w półkole stojącymi za tronem. Huk dział, dźwięk dzwonów, odgłos trąb, bębnów i rozstawionych muzyk, zabrzmiały razem jak piorun, i również nagle zamilkły. Papież powstaje z tronu, podnosi obie ręce ku Niebu, i modli się za lud, nad ludem. Cichość, jakby nikogo nie było; wrażenie nie do opisania. W téj chwili nikt zapewne z obecnych nie myśli o różnicy wyznania.

Papież opuszcza ręce, i zwracając się na trzy strony, błogosławi „miastu i światu“ (*urbi et orbi*). Znów działa, dzwony, bębny i muzyka jak przedtém—zmieszane niespodzianie tą razą z ogolném rżeniem koni, przerażonych widać tém nagłém przejściem z milczenia do wrzawy, ale które dziwnym sposobem we wrażeniu się ludzkiém odbiło!... Cały lud upadł na kolana w pokorze i w milczeniu, jak gdyby po przyjęciu

Sakramentn ołtarza. Papież usiadł znowu na tronie; chwilę jeszcze pozostaje na miejscu; powtarza błogosławieństwo siedzący, usuwa się w głąb okna, i znika.

Kto raz był świadkiem téj chwili, na pewno nie zapomni jéj nigdy!

Wieczorem urocze oświetlenie kopuły i kościoła Ś-go Piotra, a nazajutrz wspaniały fajerwerk, tak zwana *Girandola*, na zamku Św. Anioła, kończą uroczystości świąt Wielkanocnych w Rzymie.

Tyle jest słów artykułu dla mającéj go czytać w druku publiczności; ale dla was muszę jeszcze dodać słóweczko o illuminacyi i fajerwerku, o których w nim dla tego tak tylko krótko wspomniałem, że się nie czułem na siłach powiedzieć tego, co chciałbym, i jak warto. Jest w tém coś tak cudnego, tak czarodziejskiego, że nie mogę przewieść na sobie, abym choć jak zwierciadło *zajączka*, choć jak iskierki ich blasku, na myśl waszą nie rzucił. Zamknij więc najprzód oczy i wyobraź sobie plac i kościół Ś-go Piotra, które wiém że znasz pewnie z rysunku. Kopuła wielka i obie poboczne; cały fronton kościoła, i oba plac otaczające krużganki; wszystkie spojenia dachu, wszystkie gzemsy, podstawy i kapitele kolumn; słowem wszystkie punkta wydatne, gdzie się lampy utrzymać mogą; wszystko to gore, płonie, pała — i to nie migotnemi, osobnemi lampami, jak u nas, ale osłonionemi papierem, napuszczonym oliwą, przez który płomienia nie widać, ale tylko nieruchomy blask jego zlewa się

w nieprzerwane linie światła, które, jak hafty ogniste, znaczą wszystkie kontury rysunku téj najwspanialszéj na świecie budowy. Najwyższa część kopuły z oknami, tak zwana *latarnia*, (tą razą prawdziwie czarnoxięzka), zdaje się być całkiem przejrzystą, a krzyż górujący nad banią, na tle czarném nocnego błękitu, świeci zda się między gwiazdami, jak jakaś nowa konstellacya niebieska, przy któréj wszystkie dawne bledniejąą. Wszystko to zapala się za dnia; tak, że gdy zmierzch padać zaczyna, cały ten ogrom ognisty zjawia się jakby sam przez się, i tylko coraz widomiéj występuje, zadziwia, zachwyca!... Ale myślisz że na tém koniec? Gdzie tam! To tylko podmalówka obrazu. Punkt o godzinie dziesiątéj, słyszysz trzykrotne uderzenie we dzwonek. I oto z wierzchu i z dwóch ramion krzyża wybuchły razem trzy ogniste pochodnie; i w téjże chwili, w témże okamgnieniu, dachy kopuł, kościół, krużganki, oblały się podobnemiż ogniami, jakby grad meteorów osypał je z góry. Potop nowéj światłości lunął jakby falą po ziemi, i błyskawicą odbił się na niebie. „*Fiat lux*“ w całém znaczeniu, przy zasiewie firmamentu gwiazdami! — Ale jakże się to dzieje? zapytasz. Muszę ci dać zaraz odpowiedź, abyś mię nie posądził, że przesadzam czy kłamię.

Do obsługi kościoła Ś-go Piotra, do utrzymania w porządku i czystości wszystkich jego szczegółów i części, od podziemia do szczytu krzyża, jest cała osobna klassa ludzi, (zwanych téż *Sanpietrini*), którzy się gnieżdżą, rosną, wychowują i żyją tylko w cieniach jego dachu, a jak strzelcy alpejscy po skałach,

tak pną się, skaczą i biegają po gzemsach, szczytach i stromych wyżynach, gdzieby żaden inny śmiertelnik ani się wdrapać, ani ostać nie mógł. Otóż ci *Sanpietrini* stanowią właśnie ową maszyneryą, za pomocą której ta się cudowna zmiana dekoracyi odbywa. Rozstawieni po dachach i gzemsach, każdy ma do zapalenia nie więcéj nad trzy pochodnie, połączone pomiędzy sobą siarkowanym sznurkiem, tak, że za przytknięciem doń lontu, wszystkie się zapalają od razu. Operacya ta wszakże tak jest niekiedy niebezpieczną, że wszyscy biorący w niéj udział spowiadają się zwykle rano, jak żołnierze przed bitwą, i rzadko się podobno bez przypadku obywa. My nic przedtém nie wiedzieliśmy o tém, i dobrze! bo nam żadna myśl smutna uroku wrażenia nie psuła. Oglądaliśmy zaś to wszystko najprzód z daleka, z *Monte Pincio* i innych punktów miasta, a potém z placu przed kościołem Ś-go Piotra, stojąc we trzech, (t. j. my dwaj i Garczyński), za otwartą landarą państwa Ankwiczów, jak zwyczajne *trio* lokajskie za każdą kardynalską karetą. Damy wprawdzie chciały koniecznie zaprosić Adama do środka, ale on miejsce tam swoje ustąpił pani Węsierskiéj z córeczką, która wraz z nami była na *święconém*.

Święcone to na *Via Mercède* odbyło się całkiem po polsku: licząc w to hojność, świetność i uprzejmość przyjęcia. Było osób przeszło czterdzieści, prawie wszyscy bawiący w Rzymie Polacy, a nadto dwóch Biskupów i kilku *Monsignorów* Włochów. W środku stołu figurował baranek z chorągiewką czerwoną

z białém, a obok najrozmaitszych ciast, wędlin i zwierzyny, były też polskie baby i mazurki, fabrykacyi domowéj, tudzież indyk z nadzianiem i dwoje prosiąt, z chrzanem w zębach. Ten ostatni specyał sprowadzony był umyślnie zdaleka, i to zwłaszcza *gwoli* Adama, który kiedyś mówił o sobie, że go to za dzieciństwa najwięcéj na *święconém* bawiło. A przypomnieliśmy też wszyscy nasze czasy dziecinne, asystując w Sobotę poświęceniu stołu. Obrzędu tego dopełnił młody xiądz Polak, z Galicyi, którego wtedy widzieliśmy raz piérwszy, i tyle tylko wiedzieliśmy o nim, że się nazywa Zamojski. Ale nazajutrz przy święconém wszczęła się mowa o wieczerzy pielgrzymów w sali watykańskiéj, i ja między innemi opowiadałem mój podziw i pokusę pożądliwości na widok nadzwyczajnéj wielkości pomarańczy, smażonéj w cukrze, a wieńczącéj, jako korona, piramidę z ciast i cukrów przed jednym z pielgrzymów; o czém zaraz tamże na miejscu Adamowi mówiłem. Ledwom skończył, pani Ankwiczowa z uśmiechem szepnęła cóś do ucha pannie Marcellinie, a ta wyszedłszy na chwilę, wraca wnet niosąc pompatycznie na tacy, i ofiaruje mi tę samą pomarańczę—o! dziwy! Wtedy to dowiedzieliśmy się dopiéro, że x. Zamojski, za rekomendacyą pani Ankwiczowéj, był także jednym z pielgrzymów; że przed nim to właśnie stała owa pomarańcza, i że on, korzystając z przywileju, lubo całą resztę potraw i nakrycie służbie papiezkiéj darował, ten jeden wszakże półmisek z cukrami excypował dla siebie, i takowy, w hołdzie wdzięczności, protektorce swojéj odesłał.

Słysząc to Adam, oświadczył głośno i uroczyście, że od dziś dnia rozstaje się ze mną, a to biorąc za przykład mądrego Solona, który uciekł od Polykratesa, widząc, że mu się wszystko nazbyt wiedzie i składa po myśli. Ztąd długa, gwarna i wesoła rozmowa o szczęściu, która całe młodsze towarzystwo przy święconém zajęła, a skończyła się wniesieniem toastu za zdrowie i za spełnienie *wszystkich* życzeń Adama. Był to żart, niby dla ubłagania go dla mnie; ale w tonie wielu życzących nie trudno było odgadnąć myśl głębszą, którą, sądzę, że i sami gospodarze pojęli, a biédna panna Henryetta płoniła się ciągle jak róża. Obyż się te życzenia ziściły!

Ale miałem ci jeszcze powiedzieć o fajerwerku, czyli tak zwanéj *Girandoli*, która się w drugi dzień święta na wałach zamku Ś-go Anioła odbywa i z któréj właśnie przed godziną wróciłem. Jestto to samo dziwowisko ognia, tylko że na „*inszy manier*“ w illuminacyi, z góry na dół; w *Girandoli*, z dołu do góry. Sam okrągły kształt wałów i położenie ich nad samym Tybrem, dziwnie się już na scenę fajerwerku nadaje. Za daném hasłem z działa, trzy najprzód ogniste balony wzniosły się jednocześnie w powietrze; i tuż zaraz kilkaset rac razem śmignęło w górę z całéj okrągłości wałów, i cały zamek osypało gwiazdami; i tuż zaraz ściany tych wałów zapłonęły w ogniste festony, z herbem papiezkim i z tyarą w pośrodku. A cóż dopiéro mówić o różnobarwnych młynkach, kołach, fontannach, kaskadach, które wciąż, siejąc iskry i gwiazdy, kręciły się, tryskały i spadały do Tybru,

dwojąc się w jego falach i gasnąc w nich z trzaskiem i sykiem; aż nakoniec wybuch wulkanu, zionąc tysiącami szmermelów i tęczowym ogniem bengalskim, zamknął to dwugodzinne cudne widowisko. Gdyby za czasów Nerona znano proch i pirotechnikę dzisiejszą, nie potrzebowałby palić Rzymu, aby się dziwom ognia przypatrzyć, i pewnoby na takim fajerwerku poprzestał.

Widzisz więc z tego wszystkiego, że jest mi czego powinszować świąt w Rzymie; a że list ten jest już dowodem, że mimo tylu i tak nowych wrażeń, ciągle jednak myślałem o was: toć mam, zdaje się, wszelkie prawo myśleć, i że wy też dzieląc się jajkiem, cząsteczkę jego, przeznaczoną dla mnie, rozdzielicie pomiędzy siebie.

My jutro raniuteńko z pp. Ankwiczami jedziemy na cały dzień do Tivoli, a potém mamy jeszcze w projekcie dalsze peregrynacye za miasto. A więc tymczasem *Dobranoc*, i na dziś, *Finis!*

XVII.

Do Juljana Korsaka.

Rzym, 14 kwietnia 1830 r.

Tłómaczu Horacego! wiem, że tobie gwoli
Powinienbym szeroko pisać o Tivoli,
Gdzieśmy wczoraj dzień cały, jak on co rok latem,
Poili się téj samej aury aromatem,
Zachwycali wzrok temiż wdziękami natury,
Patrząc na Rzymskie pola i Sabińskie góry,
I nastawiali ucha na szum téjże wody,
Przy którym on tam może skandował swe ody,
Lub słodkim, jak my wczoraj, lubując się wczasem,
Spacerował z Wirgilim, albo z Mecenasem.

Ale cóż, kiedy ja sam w téj chwili jestem tak niewywczasowany, zmordowany i roztrzepany, że ani sposób myśleć o skupieniu myśli; i przez gwałt tylko biorę pióro do ręki, aby choć tylko dla ciągu, naszkicować jako tako to *wczora;* bo na *dziś* i na *jutro* mamy już tak szczelne programy, że innéj chwili na to mieć nie będę; a zaś pojutrze znowu wyjeżdżamy w góry, i to na całe trzy dni, do *Subiaco.* Szczęściem, że droga idzie przez Tivoli, gdzie znów pewno popasywać będziemy, a więc będę mógł jeszcze dodać co, albo sprostować. I w tym celu list ten myślę wziąć z sobą i kontynuować w podróży, gdzie i jak

wypadnie. A kto wié nawet, czy téj saméj metody nie zastosuję i do następnych listów przed wyjazdem z Rzymu. Bo wyjazd ten ma nastąpić z początkiem maja; a tyle jeszcze mamy do widzenia, tyle rzeczy do załatwienia, tyle wizyt do oddania, że na długie pisanie czasu pewno nie będzie. A zresztą każdy dług łatwiéj spłacać ratami, niżeli ryczałtem.

Ale jedźmy już do *Tivoli!* — Towarzystwo to samo, co do *Genezzano*. Garczyńskiego nie trzeba już było namawiać. Recept mój poskutkował widocznie. Panienki mówią już o nim: że miły; a on mi sam powiada, że ani wiém, ani domyślić się nie mogę, co dlań i ile dobrego zrobiłem. Intryguje mię to moje niewiadome dobrodziejstwo, ale dałem już pokój próżnym zapytaniom, i tylko jako dobrodziej śmieléj hołdu posłuszeństwa wymagam i drappuję się w togę Mentora. On się temu bez oporu poddaje, i kochamy się wzajem coraz bardziéj. Otóż tedy jedziemy do Tivoli. Ja dla miłości jego, żeby jechać z nim razem, zrzekłem się nawet miejsca w powozie z damami, które na mnie przypadało z kolei, i odstąpiłem je znowu Strzeleckiemu. Chociaż była w tém i druga przyczyna.—„*Vivre et laisser vivre*,“ jest to moja ulubiona dewiza. A że lubię sam lgnąć do ludzi; więc też nie czuję większéj przyjemności nad tę, jak kiedy mogę kleić i wiązać między sobą tych, których sam lubię. Na Strzeleckim przekonałem się niedawno, że i egida Minerwy nie zasłania śmiertelnych od strzał Kupidyna. Poznawszy go, byłem pewny, że on kamiennym tylko boginiom hołduje; aż tu

raptem niespodziewanie błysło mi nowe światło, jak *zajączek* w oczy. Widzę, że w obec panny Marcelliny, uczony nasz archeolog podziela los Pigmaliona; biéda tylko, że bardzo wątpię, czy mu ta nowa Galatea da się wywieść ze stanu zimnego marmuru. Témbardziéj wszakże chciałbym mu dopomódz, że się także dowiedziałem przypadkiem, iż mię z początku miał i brał za rywala, i szlachetnością tylko swego charakteru musiał zapewne w sobie przezwyciężać uczucie, jakie w nim to przypuszczenie względem mnie mogło obudzać. Teraz to już całkiem minęło; i choć nie jestem jego konfidentem, on wié jednak, że go odgadłem, i odtąd w całém postępowaniu mojém widzi we mnie szczerego swego sprzymierzeńca, który mu choć w ten sposób chciałby odwdzięczyć przymierze w interessach Adama. Interessa te, od świąt zwłaszcza, zdają się stać lepiéj, niż kiedy; i przeto wszyscy w różowych humorach, jedziemy i dojeżdżamy nakoniec do Tivoli—ominąwszy po drodze, jak i ja tu omijam, siarczane jezioro *Solfatara* i sławny grobowiec rodziny *Plautia*, do pomnika *Cecylii Metelli* podobny; oraz sławniejszą jeszcze *Villa Adriana*, którą dopiéro mamy zwiedzić wracając.

Tivoli, dawne *Tibur*, ulubiona niegdyś rezydencya letnia wielkich panów i poetów Rzymskich, jest dziś bardzo ładném miasteczkiem, na pochyłości skalistego wzgórza, porosłego lasem oliwnym. Oprócz historycznych pamiątek i malowniczych widoków, zaleca się i słynie zwłaszcza swemi wodospadami, jak Szaffuza kataraktą Reńską. Rzeka *Anio* albo *Anie-*

ne, zwana dzisiaj powszechnie wielkim, a raczéj grubym Tybrem, *Teverone*, (gdyż jest to zgrubiałe nazwanie Tybru (*Tevere*), odpowiadające naszemu *Tybrzysko*), roztrąca się tu i przedziera przez skały, znać trzęsieniem ziemi rozpadłe, i z szumem, rykiem, łoskotem, hałasem, wali się z wysokości w przepaście, tworząc większe i mniejsze kaskady, tak zwane *Cascatelle*, które w piękności nie ustępują Alpejskim. Po nad główną, nad samém urwiskiem góry, wznosi się owa sławna świątynia Sybilli, która za wzór służyła Puławskiéj. Niewielka, ale prześliczna i dobrze zachowana. Kształt ma okrągły, i otoczona kolumnami. Druga obok czworograniasta, miała być świątynią Westy, a dzisiaj jest kościołem Ś-go Jerzego.

Napatrzywszy się z góry skoków katarakty, poszliśmy widzieć ją z dołu, na samo dno przepaści, do tak zwanéj *Groty Neptuna*. Jest to pieczara, albo jama w skale, nie wykuta, lecz naturalna, gdzie zapieniona woda lecąc z góry, wpada, „wre, szumi, i huczy, i pryska;“ kłębi się i paruje jak w kotle na ogniu; aż jak z kamiennéj wanny, za wyjęciem szpuntu, leci gdzieś daléj w otchłań niedojrzaną. Jeśli może pamiętasz w *Fire-Worshippers* (Czcicielach Ognia) Moora, opisanie podziemnéj jaskini, przez którą Gwebry płyną ze swą branką:

„*Gloomy, as that eternal porch,*
„*Through whid departed spirits go.*“
(Czarnéj jak brama, przez którą z ohydą,
Po strasznym sądzie potępieńcy idą);

to masz wyobrażenie i téj, i drugiéj jeszcze podobnéjże pieczary, zwanéj *Grotą Syren*, po drugiéj stronie téjże katarakty, gdzieśmy omal nie pokręcili karków, schodząc po stromej, wązkiéj, a ślizkiéj od błota ścieżynie. Nie szliśmy jednak wcale z miną potępieńców, podając rękę aniołkom; a co we środku, to ubawiliśmy się owszem po studencku, oblewając się nawzajem wodą, co nas już sama przez się oblewała rosą. Było to na pamiątkę wczorajszego *Szmigusu*. Adam tak mi chlusnął za kołnierz obiedwiema rękami, że literalnie na plecach byłem zmokły do nitki, i bałem się żeby febry nie dostać. Śpieszyliśmy więc wyjść co prędzéj na słońce, nie uważając wcale na uczony wykład Strzeleckiego, który damom początek i znaczenie *szmigusowego* zwyczaju tłómaczył. Za czasów pogańskich było to ku czci bogiń rzek i jezior; w chrześcijańskich zaś zostało jako pamiątka chrztu ludu za Mieczysława. Panienki téż nie bardzo słuchały, i więcéj je zajmowały wyścigi nas młodszych, cośmy się chcieli przez to rozgrzać i rozruszać.

Od Zachodu góra, na któréj leży dzisiejsze Tivoli, dzieli się od przeciwnéj głębokim wąwozem, który stanowi główną piękność miejsca. Do niego to spadają sławne *Kaskatelle*, tworząc rzekę płynącą w głębi. Piérwszy spad ma dwa piętra i pięć głównych gałęzi; drugi i trzeci liczą ich także po kilka. Pochyłość przeciwnéj góry porosła starym lasem oliwnym; owoc z drzew dotąd niezebrany. Przeszedłszy most nad częścią rzeki zwanéj *Wodą Złotą*, wchodzi się do *Villi Mecenasa*, nad samym spadkiem kaskatel, pa-

nującéj nad całym wąwozem, z widokami na Kampanią Rzymską i na góry Sabińskie. Obwód jéj rozciągał się niegdyś szeroko; pod nią zaś podziemnym tunelem przechodziła jedna z wielkich dróg Rzymskich, *Tiburtina*. Dotąd widać ślady portyków otaczających niegdyś wewnętrzny dziedziniec, gdzie było pewnie miejsce biesiad i rozmów uczonych, a także i ślady piwnic, zkąd też pewnie przynoszono ów *Falern*, z którego biesiadnicy czerpali natchnienie. My także naśladowaliśmy ich pod tym względem, tylko że pijąc *Bordeaux* a nie *Falern*, i to nie w téj klassycznéj villi Mecenasa, ale w sąsiedniéj romantycznéj *Villi d'Est*, gdzie Ariosto, jak mówią, bawiąc na dworze właściciela jéj, Kardynała, większą część swego *Orlanda* napisał. Widocznie Muzy lubiły to miejsce, choć w innéj zapewne toalecie wdzięczyły się do Ariosta, niż do Horacyusza albo Katulla, którego villa jest także w pobliżu. Horacyusz miał swoję daléj w górach, gdzie dopiéro w Piątek będziemy. Tymczasem z rozkazu pana Ankwicza przyniesiono nam do villi d'Est nasze zapasy podróżne i parę potraw z oberży, i chociaż pod cieniem cyprysów, biesiadowaliśmy bardzo wesoło. Nadewszystko radbym ci powtórzyć *in extenso* długą i nader ożywioną rozmowę, *à propos* Horacyusza, w któréj Adam, jak najżarliwszy klassyk, z zapałem godnym Koźmiana, stawał w obronie piękności formy i języka w poezyi, w któréj Garczyński, Strzelecki i panienki samych tylko wysokich myśli i uczuć szukali. Cała różnica między nim a warszawskimi naszymi klassykami jest w tém, że ci panowie

w formie i języku widzą tylko architektoniczny porządek i retorykę stylu, on zaś pod temiż samemi wyrazami rozumie harmonią, ton i koloryt słowa, bez których żadna sama myśl i uczucie poezyi nie stworzy; kiedy przeciwnie sama piękna forma i język, niezależnie nawet od treści, mogą obudzać poetyckie wrażenie, jak melodya piosnki, nócona bez wyrazów. Są nawet poeci, którym sama forma i język imię to zapewnia, chociaż pod względem treści, do retorów właściwiéj należą. Takim jest u nas Trembecki. Wiesz, jak go Adam uważa za mistrza, i jak wszystkim nam kazał studyować go i uczyć się na pamięć; kiedy tymczasem Krasicki, prawdziwy i wielki poeta, pomimo całéj doskonałości formy i języka, która słuszną admiracyą obudza, za wzór w tym względzie drugim służyć nie może; bo jest to jego przyrodzona własność, która stanowi wprawdzie cechę każdego istotnego poety, ale sztuką drugiemu naśladować się nie da. O to szła właśnie gorąca dysputa, w któréj ja byłem tylko jak zakrystyańczyk, dosypujący do trybularza kadzidła, to jest, zdobywałem się na cytaty przykładów ku poparciu twierdzeń Adama. Między innemi przytoczyłem téż i twoję strofkę:

„Po dolinie
Brenta płynie,
Po niéj pływa cień gondoli.

Z szumem wiosła
Fala niosła
Tęskną nótę barkaroli.“—

Adam zaś, *à propos* otaczających nas cyprysów, deklamował z niemniejszém upodobaniem, i to po razy kilka, wiersz Olesia:

„Cyprys wzrostem swym dumny,
W Maju nawet ponury,
Smutnie wznosi do góry
Kształt grobowéj kolumny;“—

mówiąc przytém, że za każdém spójrzeniem na cyprys, wiersze te przychodzą mu na pamięć. Ale nie widziałem go nigdy tak rozpływającego się nad pięknością wiersza i tak deklamującego z rozkoszą i zapałem, jak gdy cytował strofkę Trembeckiego:

„Czy to Lapońskie zaprzężesz renny,
Które cię w szybkiéj przyślizną sani,
Czy to z odwagi chcąc być imienny,
W Mongolfiera nawiedź nas bani.“

Powtarzał to razy z dziesięć, zmuszając wszystkich słyszeć i widzieć w tych wierszach: i brzęk dzwonków zimowéj uprzęży, i połysk gładkiéj drogi po śniegu, i szybkość koni i jazdy, i nakoniec poważne wzdymanie się balonu!...

Pomimo wszakże wszystkich tych cytat i przekonywań, pokazało się nakoniec, że my tylko, uczniowie Borowskiego, mamy widać wszczepione nam przezeń to jakieś muzykalne poczucie i upodobanie w saméj harmonii słów i rytmu wiersza, bez względu na myśl jego i znaczenie. Adam zaś za powrótem do domu, szeroko o tém rozmawiając ze mną, uważał owszem za dobry symptom w ogóle czytelników, że

się nie dają uwieść saméj formie; chociaż to wcale nie powinno zwalniać piszących od jak najtroskliwszego baczenia na formę. Bo jakkolwiek może profani doskonałości jéj nie potrafią ocenić szczegółowo; usterk każdy niezawodnie poczują; a przez to i ogólne wrażenie się spaczy.

Ale masz tobie! Miałem pisać króciutko, a widzę że znów wpadłem w zwykłą moję wadę—gadulstwo. Wybacz! nałóg druga natura. Zatoż nie wrócę już do Tivoli, chyba znowu pojutrze, i o *Villi Adriana*, którą przelotem tylko przebiegliśmy o zmroku, przelotem też powiem tylko, co ona jest: bo jak jest, to sam chyba pojutrze lepiéj za dnia obaczę.

Wiesz, że kiedyś Rzymianie, podbijając kraje, nie tylko królów ich, ale i bogów zabierali w niewolę, i przewiózłszy w tryumfie za wozem zwycięzcy przez Romę, stawiali ich potém w Panteonie. Otóż coś na wzór tego, Cesarz Adryan, objechawszy swe państwo, cokolwiek widział w niém gdzie pięknego, pod względem architektury, chciał to zawsze mieć przed oczyma, i w tym celu wybrawszy sam stosowne miejsce, kazał na niém budować wierne kopie wszystkich tych gmachów, które mu przed innemi utkwiły w pamięci. Tym sposobem powstał prawdziwy „Panteon gmachów," jak go trafnie nazwał Garczyński, to jest, na przestrzeni mającéj obwodu dwie mile nasze, stanęły obok siebie najpiękniejsze: świątynie, teatra, cyrki, thermy, łuki, portyki, egipskie i greckie, otaczające pałac cesarski. W ogrodzie zaś urządzono

podobieństwo najsławniejszych okolic, jak np. dolinę *Tempe*, *Pola Elizejskie*, *Tartar*, i t. d. Nieprawdaż, że rezydencya wspaniała? Ale dzisiaj z tego wszystkiego to tylko *ruina ruin*, emblemat do dewizy: „*Sic transit gloria mundi!*“

Dla rozrywki więc téj smutnéj myśli, masz tu jeszcze anegdotkę o Adamie, która nam śmiechem wczoraj zakończyła dzień. Powróciwszy o 11 do domu, długośmy jeszcze gadali. Lampa paliła się na stole. Adam tak był zajęty przedmiotem rozmowy, że wypaliwszy jednę fajkę, z pośpiechem nałożył drugą, i trzymając ją w ustach wspartą na stoliku, zaczął krzesać ogień krzesiwkiem. Rozumiałem że go to bawi, i nic nie mówiłem. Ale gdy wnet uderzywszy się w palce, rzucił z gniewem krzesiwko o stolik i zrobił gest jak do wyjścia—co się często zdarzało—po ogień do kuchni; parsknąłem śmiechem wskazując na lampę. Rozśmiał się także szczerze, i *diapazon* rozmowy z poważnego przeszedł w wesoły. Adam obiecuje mi wydać świadectwo na piśmie, z przyłożeniem herbowéj pieczęci, dla przesłania go Czeczotowi, że jestem dlań nie tylko dogodnym, ale potrzebnym i pożytecznym towarzyszem podróży. *Vale!*

---

15 kwietnia, rano.

Macedończyk Wodzicki dawał nam wczoraj obiad pożegnalny *al Lepre*, bo za dni kilka wraca do Kra-

kowa. Od czasu marsowéj jego względem mnie intencyi, żyliśmy z nim w ściślejszéj unii niż przedtém. Czystéj krwi z Lechitów Lechita! Serce złote, ale głowa jak balon. Kierować się nie daje, ale buja zawsze wysoko.—Obiad był bardzo wesoły. Było osób jak raz dwanaście, i to z różnych okolic kraju. Adam z przedziwnym dowcipem charakteryzował odcienia każdéj. Dostało się przytém każdemu; ale się nikt za prawdę nie gniewał. Gdy zaś przyszło do *kochajmy się*, Judasza pewno między nami nie było.—Przed obiadem Adam zaprowadził do państwa Potockich i zaprezentował im Karczewskiego, o którym przedtém już mówił. Skutkiem tego zamówili u niego kilka obrazów z widokami Rzymu, a uprzejmą grzecznością ujęli samego artystę. Obie panie szczególniéj, (pani Arturowa i pani Alfredowa), są dla mnie ideałem powagi i wspaniałości królewskiéj; co w nich wcale nie zmniejsza uprzejmości, ani słodyczy niewieściego wdzięku.—Następnie oddaliśmy kilka wizyt *pour prendre congé*, między innemi u Verneta. Z miłą panną Luizą rozstaliśmy się bardzo serdecznie. Obiecała że nie zapomni o nas, i wyznała: *qu'elle aime beaucoup les Polonois*.“ — Z obiadu wprost, z połową gości, poszliśmy do Parczewskiego, i przebyliśmy tam cały wieczór. Ma się niby to lepiéj. Doktor wysyła go w góry.

Tak więc za dni niewiele rozpierzchniemy się wszyscy w różne strony świata. Bo i xiężna Zeneida, z całym domem, wyjeżdża téż na czas jakiś w góry. Państwo Ankwiczowie wracają do Galicyi, ale

znów na rok przyszły mają przybyć do Rzymu. Strzelecki z młodym xięciem jedzie z nimi razem. Jedna tylko pani Klustin, z panną Anastazyą, wybierają się w jednę drogę z nami, do Neapolu, a potém ztamtąd do Genewy, gdzie i my także w końcu lata być mamy. Zapraszają nas bardzo uprzejmie szanowni ziomkowie Tella, którzy sami także w tych dniach uciekają ztąd od skwarów i *malaryi* na brzegi błękitnego *Lemanu;* a najukochańszy mój staruszek Bonstetten obiecuje zaprezentować mię wszystkim najpiękniejszym jego Ondynom, od których on sam, jak stary fenix na stosie od słońca, czerpie siłę na przyszłe odrodzenie. Od poczciwego także Allana miałem list z Neapolu, przed samém wsiadaniem na okręt, na którym do Kadyxu popłynął. A mieliśmy też listy z Wejmaru. Pani Ottilia bardzo czule pisała do Adama, oświadczając mu uprzejmą pamięć *Papy* i wszystkich innych mieszkańców Wejmaru, w których wspomnieniach on, (jak się wyraża), „jasny ślad swego przejścia zostawił.“ Pan August wybiera się do Włoch; i sam w przypisku do listu żony dodaje: że w każdém mieście będzie się dopytywał o nas w ambassadach, żeby się z nami mógł spotkać. My tymczasem w tych dniach już niewątpliwie czekamy tu przybycia Adolfa (Januszkiewicza), którego dotąd stan zdrowia zatrzymywał po drodze. Tak to ludzie, jak paciorki w kalejdoskopie, zbiegają się i rozbiegają w tém życiu, tworząc coraz to nowe gruppy i figury! W ilu to już takich figurach i ja także figurowałem, a składające je niegdyś paciór-

reczki, gdzie się to już do dziś dnia nie rozsypały po świecie, i pewno się już na nim w tę samę figurę nie zbiegną! Bogu dzięki przynajmniéj — i daj Boże w dobrą chwilę powiedzieć! — że żadna z tych, które były najbliżéj, (oprócz jednego Ludwika Spitznagla), nie stoczyła się dotąd w otchłań wiecznego rozstania. I gdyby mi dziś umrzeć przyszło, to kto wié, czy nie najlepszym może moim *ciceronem* w świecie duchów, byłby właśnie ten sam Emmanuel Lachnicki, który mi tu najwięcéj mówił o duchach; i takby może uprzejmie oryentował mię na tamtym świecie, jak raczył oryentować w Warszawie. Bo nie wiém czy ty wiész lub pamiętasz, że jadąc piérwszy raz do Warszawy z moim krewnym w r. 1825, zjechaliśmy się na popasie za Grodnem z Lachnickim, który jechał téż swemi końmi, i odtąd ja całą dalszą podróż z nim razem w jego powozie odbyłem. To zaś musisz wiedzieć na pewno, że był to swego czasu najgorliwszy *Magnetyzer* w Wilnie; redaktor i główny autor „Pamiętnika Magnetycznego," który własnym kosztem wydawał. Otóż główna nasza rozmowa w podróży była ciągle o świecie duchów, których ja się naówczas po studencku tylko lękałem, a on przeciwnie z niemi po bratersku w myśli obcował. I, Panie świeć nad duszą jego! nauczyłem się wtedy od niego wiele dobrych rzeczy, które tém głębiéj utkwiły mi w pamięci i w sercu, że będąc wkrótce świadkiem jego chwil ostatnich, i patrząc potém na wyraz pięknéj jego twarzy na marach, poczułem po raz piérwszy sam w sobie, że śmierć nie jest tak straszną jak ją malują,

kiedy się ją z krzyżem w sercu spotyka, a idzie się za nią w świat duchów. Mimo to, nikt pewno rzewniéj nademnie nie płakał po nim w Warszawie; tém bardziéj, że cała wtedy Warszawa była głównie zajęta pogrzebem Staszica.

Ale nie myśl, że piszę to dla tego tylko, aby ćwiartkę czémkolwiek zapełnić; gdyż jest to owszem w związku z programem naszym na dzisiaj, i w ogólności z zamiarem moim, ażeby ci w tym liście coś o wszystkich tu bliższych naszych znajomych powiedzieć.—Otóż obiadujemy dzisiaj u państwa Dernałowiczów, to jest, właściwiéj mówiąc, u niéj saméj; bo on sam możeby nas nie prosił, a mybyśmy też może nie poszli do niego. Ale co u niéj, to ja zwłaszcza bywam najczęściéj jak mogę, i niestety, widzę coraz wyraźniéj, że dni jéj są policzone, chociaż sama wcale tego nie czuje. Biédna kobiéta! nie dla tego, że ma umrzeć tak młodo, ale że musi umierać, kiedy tak jeszcze żyć pragnie. Nieraz słysząc ją projektującą na przyszłość, czuję jak mi się łzy cisną do oka, i prawie zawsze wtedy myślę o Lachnickim, o którym też i bez tego codzień przy pacierzu wspominam. — Zatoż wieczór dzisiejszy obiecuje nam być bardzo wesołym, bo razem z całém polskiém towarzystwem jesteśmy zaproszeni do xięztwa Sanguszków. Xiężna Iza codzień piękniejsza!

Dnia 16 kwietnia, godzina 5 rano.

Wychodzimy na *Via Mercède*, zkąd mamy jechać zaraz do *Subiaco*. Półarkusz ten biorę z sobą,

wraz z kałamarzykiem podróżnym, aby nań tuż *in loco standi* jak mak świéże wrażenia otrząsać.

Godzina 10, Villa Adriana.

Ach! co za ranek! ach! co za wonność!
Ach! co za drzewa! co za zieloność!
Istny tron Fauny, Flory i Wiosny!
Mirt, laury, dęby, cyprysy, sosny,
A takie stare, olbrzymie, dziwne!
I pełne jagód lasy oliwne,
I pełne kwiatów łąk ich kobierce,
Tak rozrywają oczy i serce,
Że choć chcesz myśleć o miejsc tych losie,
Jak o umarłych w Wilnie na Rossie [1]):
Darmo! bo urok życia natury
Tak bije na cię z dołu i z góry,
Że ani sposób czuć, choć pamiętasz,
Że ten gaj, ogród, Eden—to cmentarz!

I oto masz summę wrażeń, jakie wynoszę z Villi Adriana, gdzieśmy przez całe dwie godziny nie chodzili, ale biegali, uciekając od Strzeleckiego, który chciał nam wszystko tłómaczyć, podczas kiedy my tylko z wszystkiego chcieliśmy zbierać samę śmietankę wrażeń. Teraz trzeba już jechać, bo pan Ankwicz pędza, a Strzelecki tuż przy mnie kłóci się z panienkami, zarzucając im i całéj płci niewieściéj, że dla sensacyj po drodze, gotowe zawsze zapomnieć

[1]) Nazwanie jednego z cmentarzów Wileńskich.

o głównym celu podróży.—Piszę to na zwaliskach tak zwanych *Cento Camarelle*, to jest koszar gwardyi Pretoryańskiéj, które były tuż obok pałacu Cesarza.

Godzina 1 po południu, Vicovaro.

A co to jest Vicovaro?
Młyn, w wąwozie, nad pieczarą,
Albo raczéj nad otchłanią,
Gdzie się wody rzeki *Anio*
Walą, pienią, wrą, bałwanią.
A nad niemi, w kształcie łuku,
Most aż zda się drży od huku,
Jak my na nim, patrząc w przepaść,
Drżym ze strachu, by w nią nie paść.
Teraz panowie i panie
We młynie jedzą śniadanie,
Ja to piszę na kolanie,
A wnet mamy wsiąść na osły,
By nas dalej w góry niosły.

Bo wśród tych to gór (Sabińskich) leżała sławna owa villa Horacyusza *Ustica*, któréj ślady mamy oglądać; i najpiękniejsza droga tędy do Subiaco jest tylko dostępną dla osłów, albo dla tych, co sami jak osły wolą iść raczéj, tak jak ja, piechotą. Do Tivoli aniśmy zajrzeli. Zostawiamy to sobie na powrót.

Godzina 3, Colle del Poetello.

Tak się nazywa dziś miejsce, gdzie miała stać jakoby villa Horacyusza; gdyż prócz sztucznego znać

nasypu ziemi, tworzącego spłaszczony pagórek, żadnych ruin nawet nie widać, a wkrąg na nim zasiane proso, odejmuje mu nawet poważny pozór mogiły. Tuż po za nim wznosi się góra *Monte del Corgnaletto*, o której poeta w swych wierszach pod imieniem *Lucretilis* wspomina; nazwisko zaś bliskiéj wioski *Rustica*, widocznie od dawnego *Ustica* pochodzi.— Nie było więc tu po co drapać się po górach. Ale droga piękna i miła. Strzelecki deklamuje wyjątki z *Ód* i *Listów;* Adam idzie tuż przy osiołku panny Henryetty, który zląkł się był czegoś i omal jéj nie zrzucił. Ja także deklamuję czasem to i owo, i assystuję zwłaszcza saméj pani Hrabini, która mię za to z osiołka parasolką swoją osłania. W ogólności wesoło i gwarno; wszyscyśmy w różowym humorze; a choć upał nieco dokucza, cień drzew i wonny powiew górskiego zefiru odświeża powietrze i myśli. Odpoczęliśmy, i ruszamy daléj.

Godzina 7, Subiaco.

Uf!!! Po sześciu godzinach wędrówki, można w siódméj, i warto odpocząć. *Locanda* wcale nie zła; mamy pokój osobny o dwóch łóżkach. Adam wylega się na swojém, a jest bardzo kontent z podróży. Ja téż, jak ów Dafnis w sielance, przypędziwszy „ucieszne kozy:“

„Przylegnę, i strudzenia, lubo snem swobodnym,
Lubo będę zabywał“—(on co nie był głodnym,
Łatwo sobie mógł mówić), „śpiewaniem łagodném;“

ale co ja, to chyba dymem cygara będę oszukiwał podniebienie, nim nas zawołają na obiad. Ale u was dziś Wielki Piątek; więc nawet poczuciem głodu miło mi jest łączyć się z wami.

Godzina 11 w nocy.

A co to jest Subiaco? Jest to dość spore miasteczko (6,000 mieszkańców), jak wszystkie średniowieczne włoskie, ciasne, ciemne i niezalecające się czystością. Ale położenie malownicze: na pochyłości skalistéj góry *Cavo*, ślicznym gajem porosłéj; nad głębokim wąwozem, między nagiemi, wysokiemi skałami, w który rzeka spada kaskadą. Sława atoli miejsca, która nas tu ściągnęła, polega mianowicie na tém, że tu powstał najpiérwszy klasztor Benedyktynów, a przedtém jeszcze sam Św. Benedykt, założyciel zakonu, w końcu V wieku, trzydzieści lat na pustyni przemieszkał. Siostra tylko jego, Św. Scholastyka, nie chcąc rozdzielać się z bratem, którego całą duszą kochała, wybłagała téż sobie pozwolenie, aby mogła w pobliżu jego, także jako pustelnica zamieszkać. Dziś obok grot w rozłomach skały, w których żyli samotnie oboje, raz na rok się tylko widując, wznoszą się piękne kościoły i klasztory Benedyktynów i Benedyktynek, sławne jako pomniki architektury gotyckiéj z XI i XIII wieku. Wszystko to mamy zwiedzać i oglądać jutro, pod przewodnictwem zapewne samego Opata, do którego pan Ankwicz ma list polecający z Rzymu. Dziś tylko po obiedzie, prawdziwie Wiel-

ko-piątkowym, odbyliśmy po xiężycu pielgrzymkę do obu tych grot pustelniczych, a wspominając wpływ i zasługi zakonu Benedyktynów w chrześcijaństwie i cywilizacyi nowożytnéj, Adam zestawiał te groty z widzianą dzisiaj rano Villą Adriana. Tam pan świata, nazwany i mieniący się Bogiem, buduje sam sobie, jak Bogu, najwspanialszy na świecie przybytek, bo ze wszystkich najwspanialszych gmachów świata złożony; a jakaż zeń korzyść dla świata? jakiż po nim ślad dzisiaj na świecie? Tu człowiek przez miłość dla Boga wyrzekający się świata i ludzi, aby tylko swą duszę, na obraz Boski stworzoną, za śladem Syna Bożego, ku doskonałości Ojca przybliżyć: staje się, nie myśląc sam o tém, jednym z największych dobroczyńców świata i ludzkości, cywilizatorem barbarzyństwa, krzewicielem rolnictwa i oświaty. I oto po upływie czternastu wieków, kiedy na całéj kuli ziemskiéj, tysiące w imię jego wzniesionych przybytków, chwałę jego niejako z chwałą Bożą jednoczą: sama ta dzika jaskinia, w któréj krył się przed światem, jest dziś przedmiotem czci pobożnéj dla tych, którzy z obojętnością, jeżeli nie ze wzgardą, przed godzinami kilku gruzy villi Cezara deptali. A tenże sam Totilla, król Gotów, który właśnie villę tę zburzył, czyż on sam, jak powiada legenda, nie upadł na kolana przed tym pustelnikiem, ślubując zaprzestanie okrucieństw, o które go mąż święty, bez względu na swe własne bezpieczeństwo, strofował? Trzebaż wymowniejszego dowodu, kto rzeczywiście rządzi i panuje nad światem: Cezar, czy Bóg? ciało czy duch? albo wyrazistszego

symbolu, gdzie duch taki, który Bóg bierze za narzędzie swoje, woli i może raczéj rezydować na ziemi: czy w Villi Adriana, czy w jaskini Subiaco? to jest, czy w potędze i pysze światowéj, czy w świętości i w pokorze chrześcijańskiéj? Adam mówił to wszystko tak prosto, ale zarazem z takiém namaszczeniem, że go wszyscy jak kaznodziei słuchali, i nikt nie śmiał wziąć tego za temat do potocznéj dalszéj rozmowy. Ja tylko nieco późniéj, pozwoliłem sobie téj przyjemnostki z Garczyńskim, że przedłużałem daléj tęż miarę porównania pomiędzy Św. Benedyktem a Heglem *et Compagnie*. Dobranoc!

Subiaco, 17 kwietnia, godz. 6 rano.

Dzień dobry! Nie śpię już od godziny. Obudził mię szczególniejszy jakiś gwar pod oknami. Spójrzę, aż tuż na placu fontanna kamienna, otoczona żelaznym poręczem, a wkoło niéj tłum dziewcząt większych i mniejszych. (*Notabene*, kobiéty w tych okolicach słynne są z piękności, i ubiór mają bardzo malowniczy, tak, jak np. u nas w Biłgoraju). Otóż mnóstwo tych miłych żyjątek, z kształtnemi miedzianemi naczyniami na główkach, przychodzi wciąż i odchodzi, i kupi się, i śmieje się, i gwarzy, i swawoli, czerpiąc wodę z fontanny. Bawił mię niezmiernie ten widok, ale póki spał Adam, okna otworzyć nie śmiałem. Ubrałem się tylko co prędzéj, i gdy się nakoniec obudził, otworzyłem, i zacząłem się kłaniać bardzo grzecz-

nie przez okno. Postrzegły to i raptem zamilkły; ale wszystkie patrzały ku mnie, a niektóre i główką kiwały nawzajem. Adam zburczał mię po mentorsku, grożąc, że jeszcze Włoch jaki gotów przyczepić się i sprawić mi za to *bastonadę*. Nie dla tego jednakże nie mogłem zejść na dół, ale że wszyscy zaraz idziemy do kościoła.

Godzina 3 po południu.

Upał taki straszny na dworze, że choć smaż naleśniki na słońcu. To też odbywamy *siestę*, siedząc każdy w swym kącie, z żaluzyami zamkniętemi u okien, a po klasztornym obiedzie u OO. Benedyktynów. Jesteśmy więc jak prawdziwi pielgrzymi, których zwykle podejmują klasztory. Ojciec *Tommaso*, Opat, poważny i uczony jak widać człowiek, robił nam sam honory domu, pokazując po nabożeństwie kościół, klasztor i ogrody klasztorne, gdzie sami xięża, stosownie do reguły zakonu, uprawiają jarzyny, zboże i wino. Opisywać ci tego nie będę, równie jak i kościoła Św. Scholastyki, dokąd z polecenia Opata przewodniczył nam także bardzo poważny kapłan, *Padre Benedetto*. Wspomniałem już zdaje się wyżéj, że to są sławne zabytki najdawniejszéj gotyckiéj architektury we Włoszech. Wprost ztamtąd, mimo grot świętych, powróciliśmy na godzinę piérwszą, na zaproszony obiad w refektarzu, gdzie już xięża swój byli skończyli. Obiad był postny, rybny, i wcale niewymyślny;

ale oprócz uprzejmości i światłéj rozmowy gospodarza, zaprawiał go nam szczerą wesołością jowialny humor Brata Kanaparza (*Fra Angelico*), który nam sam posługiwał do stołu, i z każdego półmiska, który przynosił, sam w bardzo dowcipny sposób, zachwalając go niby, żartował. Na jarzynę, obok cienkich i całkiem zielonych szparagów, były jakieś gorzkie korzonki, które się zowią nawet *Cardi Benedicti*, na pamiątkę, że sam Św. Benedykt karmił się niemi żyjąc tu w pustyni, a potém ich uprawę braciom zakonnym zalecił. Ale oprócz tych *kardów*, są tu jeszcze i specyalne *róże Św. Benedykta*, rosnące dziko wkrąg jego kapliczki, szczególnego istotnie i jakby krwistego koloru. Legenda o nich jest taka. Kiedyś były to róże zwyczajne. Ale raz Święty, dręczony jakąś pokusą, nie mogąc jéj pokonać inaczéj, rzucił się między ich ciernie, i tarzał się w nich dopóty, aż się całkiem krwią jego oblały. Odtąd kwiaty przybrały ten kolor. Zaopatrzyłem się w nie jako w talizman, i tobie kilka listków oskubię z nich i poszlę. Zjedz je, lub zaléj jak tyzannę, i wypij. Djabeł nie śpi i czyha na każdego z nas, jak ryczący lew na baranków. A komu nie stać na heroizm Świętych, niech przynajmniéj choć pamięć o nich wesprze go czasem w chwili niebezpiecznéj!

---

[1] *Godzina 11 w nocy.*

Czy mi się śniło, pisząc to o trzeciéj, że dziś jeszcze, i to sam na sobie, doświadczę jakby skutku mego ta-

lizmanu, to jest, że doznam wrażenia, któreby samo przez się mogło łatwo stać się pokusą, a które przecież było tego rodzaju, że gdybym śmiał je przypisać sam sobie, mogłoby to mieć minę przechwałki. Przypisuję więc je wyłącznie cudownym różom Św. Benedykta, które mam w pugilaresie na sercu, i powiém ci o tém wyraźniéj, ale tylko poczekaj, z kolei. Najprzód muszę rzecz skończyć z martwemi pięknościami natury; bo domyślasz się już pewno, że tu będzie mowa o żywéj.

Otóż skoro nieco schłodniało, wybraliśmy się w góry za miasto, ażeby się okolicom przypatrzyć. Panorama rzeczywiście prześliczna. Oprócz malowniczego położenia miasta, nad wąwozem z kaskadą i rzeką, widok na okoliczne góry ma jakby coś nadziemskiego. Z jednéj strony góry *Abruzzo*, piętrzące się, zielone, oblane ogniem zachodniego słońca, ciągną się aż do granic Neapolitańskich; z drugiéj, pasma gór Apenińskich, w zasłonie mgły różowo-błękitnéj, gubią się w niedojrzanéj przestrzeni i zdają się gdzieś rozpływać w powietrzu. Śpieszyliśmy jednak z powrótem, mając zapowiedzianą na wieczór rewizytę Ojca *Tommaso*. Fontanna przed oknami naszemi była znów otoczona gronem kobiét czerpiących wodę. Mogłem tedy przypatrzyć się im zblizka, i z piękniejszemi nawet próbowałem zawiązać rozmowę. Wtém, patrzę, zbliża się jedna, z małém dzieckiem na ręku, z błyszczącém naczyniem na głowie, w malowniczym stroju Albanek, to jest w bieli i w gorseciku błękitnym. Wpatruję się, i szczerze ci mówię, że skamieniałem

z podziwu. Istna żywa Madonna Syxtyńska! Nie pamiętam, ażeby kiedy jakakolwiek piękność tak nagłe i tak silne zrobiła na mnie wrażenie; a przytém taka jakaś cześć mię ogarnęła, jak gdybym anioła zobaczył. Uczucie to dotąd tkwi we mnie. Garczyński i Feliś Niegolewski, którzy szczęściem stali tuż przy mnie, oddali mi świadectwo, że nie przesadzam w pochwałach, którym wprost na słowa moje, niestety, nikt, a szczególniéj Adam, wierzyć nie chciał. Dowiedziałem się potém o niéj, że jest żoną ubogiego krawca; że słynie w mieście równie z zalet moralnych jak z wdzięków, i że ma godne siebie imię *Angelika*.

Po odejściu więc Ojca *Tommaso*, rozmowa o piękności zajęła nam cały wieczór, i naturalną koleją przeszła do miłości. Strzelecki, decyfrując rano stare nagrobki, wyczytał na jednym, że spoczywająca w nim niejaka *Affra*, z miłości w kwiecie wieku umarła. Ten napis i ta moja żywa Angelika, tak rozmarzyły wyobraźnię nas wszystkich, że sam Strzelecki nakoniec obiecał solennie damom, że napisze z tych tematów powieść, i że w nią wplecie całe nasze grono dzisiejsze. Podziękowaliśmy mu wszyscy za tę łaskę, jeżeliby los Affry miał być treścią dzieła, i zaczęliśmy poddawać każdy swoje pomysły. Adam, ze zwykłą swoją konceptowością, radził na zakończenie bastonadę i spławienie w fontannie admiratora cudzéj żony przy niéj; ja zaś na seryo, oprócz stosownéj treści, proponowałem nawet tytuł: „Róże Ś-go Benedykta,“ i Strzelecki przychylił się ku temu. Wątpię, czy z tego co będzie; ale to planowanie ubawiło nas wszyst-

kich.—Teraz już po 12-éj, i właśnie w téj chwili u was muszą się odbywać po kościołach rezurrekcye nocne. A więc i ja ci na *dobranoc* mówię: *Alleluja!*

Dnia 18, Niedziela, godz. 7 rano. Subiaco.

Alleluja i dzień dobry! Wróciliśmy z kościoła i wyjeżdżamy w téj chwili. *NB.* Subiaco nazywało się dawniéj *Sub lacum*, od sztucznych jezior za czasów Nerona, który miał tu swą villę na lato. A więc villa Nerona stała się za czasem pustynią, w któréj mieszkał Św. Benedykt!!! Mój Boże! co się to dzieje na tym globie ziemskim! Słyszałem o tém wczoraj od Ojca *Tommaso* i cały czas dziś myślałem w kościele.

O południu, w Tivoli.

Popasujemy tu i odbywamy *siestę* pod cieniem tychże samych cyprysów w villi d'Est, co piérwiéj. O Tivoli nic więcéj do dodania nie mam. Przy śniadaniu w oberży, Adam kazał gotujące się jaja ugotować na twardo i na czerwono, w łusce od cebuli, i częstował niemi towarzystwo, na pamiątkę święconego dziś u was. Strzelecki gniewał się o to, i po żywéj z tego względu dyspucie, poszedł zły w inną stronę z Gajewskim. My tymczasem „idziemy w bitki,“ i taczamy czerwone jaja. Mądra zabawa literatów, na ruinach klassycznéj villi Mecenasa!

Godzina 11 w nocy, Rzym.

Otóż i koniec naszych miłych majówek! Ale trzebaż, że jak piérwsza do Fiumicino, tak i ta dziś ostatnia w Villi Adriana, zakończyła się jakby znakiem złéj wróżby. Tam cyganka, tu żmija. Z Tivoli, na resztę popołudnia, zajechaliśmy raz jeszcze do Villi Adryana. Panienki chciały zajrzeć do jakiéjś pieczary, gęstym bluszczem zarosłéj u wnijścia. Adam podając rękę pannie Henryecie, cofnął się nagle i ją wstecz pociągnął. Ujrzał tam bowiem okropną, jak się wyraził, żmiję, całą białą a w centki czarne, z błyszczącemi oczyma, która na szelest wchodzących wspięła się i syczeć zaczęła. Adam tak ją malowniczo opisał, że nieustraszony Strzelecki chciał koniecznie obaczyć ją zblizka. Nie pomogły przekładania Adama i samego p. Ankwicza. Ale gdy w końcu panna Marcellina powiedziała bardzo łagodnie: „Ja pana proszę," dał się odprowadzić jak baranek.—Ukazanie się wszakże téj żmii przykre jakoś na wszystkich zrobiło wrażenie, choć je chcieliśmy potém załagodzić żartami.—Ja w powrócie do Rzymu zacząłem w myśli pożegnanie jego, które, zdaje się,że prędko dokończę, a więc przyszlę ci może w przyszłym liście. Ten pieczętuję dziś jeszcze, aby mi już w głowie nie mącił. Bądź zdrów!

XVIII.

Do tegoż.

Rzym, 20 kwietnia 1830 r., rano.

Wiersz gotów i Adolf (Januszkiewicz) przyjechał. Dwa poetyczne fakta dnia wczorajszego. Dobrze, że pierwszy poprzedził drugi, bo po spotkaniu się z Adolfem, nie miałbym czasu myśleć już o wierszach. Ale i samo to spotkanie miało w sobie coś poetycznego. Odniósłszy list do ciebie na pocztę, wstąpiłem do kościoła *San Luigi de Francesi* na mszę, jako w drugi dzień waszego święta. Wyszedłszy z myślą o was, lub deklamując zcicha wiersz świeżo napisany w nocy, nie widzę co się dzieje koło mnie, i wchodzę machinalnie na *Via del Orso*. Aż tu chwyta mię ktoś za rękę i wykrzykuje głośno moje imię. Spójrzę—Adolf! który wczoraj w wieczór przyjechał i szedł najprzód na *Via del Orso* szukać numeru naszego mieszkania. Zaprowadziłem go więc do Adama, gdzie zastaliśmy właśnie Garczyńskiego. Z prawdziwą rozkoszą zaznajomiłem ich między sobą. Obaj mili mi równie, obaj piękni, jak *Dzień* i *Noc* Michała-Anioła; to jest, Garczyński jasny blondyn, Adolf ciemny brunet. Gdybyś był ty i Ignacy, a cóż dopiero Czeczot, Żegota i Witwicki, miałbym wszystkich najmilszych płci męzkiéj.

Adam ucieszył się niemniéj z przyjazdu Adolfa. Ale biédak cierpiący jest dzisiaj. Boję się, czy się nie zaziębił onegdaj; bo po dniu skwarnym wieczór był chłodnawy, a on cały czas jechał bez płaszcza, i jeszcze mnie ofuknął, niewdzięcznik, gdy go po kilka razy ostrzegałem. Wczoraj zaś, pomimo znużenia, musieliśmy być jeszcze na obiedzie u xięcia Gagaryna, gdyż za powrótem z Subiaco, znaleźliśmy w domu inwitacyą jego na Niedzielę; a gdy wczoraj, na żądanie Adolfa, poszedłem z nim do ambassady, aby go zaprezentować i wyexkuzować się, żeśmy nie byli: xiąże znowu i nas i jego na obiad wczorajszy zaprosił. Między wielu innymi gośćmi, była cudnie pięknie Greczynka, piérwsza z rodu Hellenów, którą w życiu widziałem, i przy któréj siedziałem u stołu. Jéj także imię Helena. Dość niechby taką była żona Menelausa, a nie dziw, że nawet staruszkowie Trojańscy, patrząc na nią, jak mówi Homer, nie śmieli całkiem potępiać Parysa, lub, że ją Grecy tak odebrać chcieli! Wczorajsza moja sąsiadka jest także „cudzym przykuta pierścieniem," to jest, żona greckiego konsula w Livorno, przybyła tu w gościnę do krewnych. A jaka przytém grzeczna i rozmówna! Szkoda, że nie ma już czasu korzystać z téj miłéj znajomości. Bo oprócz mnóstwa zajęć przed wyjazdem, muszę być *ciceronem* Adolfa po Rzymie, ku czemu nabyłem już wprawy, spełniając téż funkcyą przy Garczyńskim. Czekam właśnie ich obu, aby iść razem na kopułę Ś-go Piotra. Adolf czuje dość siły, aby tę wyprawę przedsięwziąć, a Rzym najprzód chce z góry obaczyć.

O północy.

Licz-że tutaj człowieku na jaką przyjemność! Przyjazd Adolfa miał mi być jakby kopułą pobytu w Rzymie. *Finis coronat opus.* A oto powróciwszy z nim z kopuły Ś-go Piotra, znalazłem Adama tak słabym, że już nie mógł iść nawet na pożegnalny obiad do xiężny Wołkońskiéj, która miała wyjechać jutro, ale dowiedziawszy się o słabości Adama, wstrzymuje się aż ozdrowieje. Nie chciałem téż iść sam jeden, ale Adam mię zmusił koniecznie. Adolf z Garczyńskim pozostali przy nim i przed chwilą dopiéro odeszli. Adam śpi niby, ale ma gorączkę. Nie mam nawet humoru przepisywać ci wierszy. Dobranoc!

---

24 kwietnia.

Przez trzy dni ani tknąłem pióra, bo chybabym ci pisał same biuletyny, a ja tego się właśnie bałem. Doktor wprawdzie nie straszył, mówiąc, że to jest zwykła Rzymska wiosenna gorączka; ale gorączka w ciele, to jak burza w powietrzu. Co wiész, kiedy może błysnąć i zagrzmieć? Najbezpieczniéj siedzieć cicho i Panu Bogu się polecać. To téż dziś, Bogu dzięki, Adam jest już stanowczo lepiéj. Przez te wszystkie dni ja z Garczyńskim luzowaliśmy się na przemian; kiedy jeden zostawał przy chorym, drugi Adolfa oprowadzał po mieście. W wieczór dopiéro schodziliśmy się wszyscy, i gdy się Adam czuł lepiéj, bywało niekiedy wesoło. Poczciwy Feliś, Stattler, Strzelecki i Gajewski dotrzymywali nam wiernie kompanii. Je-

dnego wieczora był też pan Ankwicz, drugiego Szewirew, nie mówiąc już o odwiedzających we dnie, których ja zwykle przyjmowałem w przedpokoju, będącym razem i *dormitorium* naszém. Adam leżał na kanapie w salonie. Chciały także odwiedzać i damy, ale je Adam odprosił, i tylko ja codziennie posyłałem im lub zanosiłem biuletyny. Dziś jest ostatni *wielki wieczór* u nas, bo już jutro chory zacznie wychodzić; skoro zaś wyzdrowieje zupełnie, gotujemy siurpryzę dla naszych pań z *Via Mercède*, to jest piknik w *Villi Pamphili*. Strzelecki ma już pozwolenie właściciela jéj, xięcia Chigi, który nie tylko pałac, ale nawet cały swój kredens oddaje nam na ten dzień do użycia.— Adolf z Garczyńskim przypadli od razu do siebie, jak zwykle Litwin z Wielkopolaninem. Dziś prowadzę go do państwa Ankwiczów.

Godzina 12 w nocy.

Grande soirée udał się przewybornie. Przypomniały się nam czasy Wileńskie. Oprócz zwyczajnych gości, był Jaźwiński, Albin Węsierski, Karczewski i Wodzicki, który jutro dopiéro wyjeżdża. „*Viel gescherzt und viel gelacht*,“ jak mówi Gellert w piosence. Między innemi Adolf ciągnął kabałę dla obecnych z Horacyusza, który leżał na stole. Dla mnie wypadło: „*Funus atque imagines ducant triumphales tuum.*“ (Pogrzeb twój i obrazy tryumfalne niech wiodą). Nie było w tém istotnie żadnego znaczenia; ale Adam, w przystępie dobrego humoru, wziął się do parafrazy i komentarzów, twierdząc, że

dość jest zmienić parę liter w tym wierszu, a będzie i sens i znaczenie, i nie dwuznaczna nawet prawda wyroczni; to jest, dość w piérwszym wyrazie zamiast *n* położyć *m*, w czwartym zamiast *a*, *u*, a w ostatnim zamiast *tu*, *e*, a wypadnie: *Fumus atque imagines ducunt triumphales eum.* (Dym i obrazy tryumfalnie wiodą go).

Otóż dym (*fumus*), podług niego, miał znaczyć *fiu fiu* w głowie, a zaś *imagines* piękne twarzyczki; tylko że w tym razie *triumphales* powinno się tłómaczyć przez *tryumfujące*. Śmiałem się szczerze razem ze wszystkimi, ale uderzywszy się w piersi, czuję sam rzeczywiście, że jest w tém sens i, niestety, kęs prawdy. Wprawdzie dotąd tryumf *obrazków* trwa tylko póty, póki ja sam zechcę; ale cóż, kiedy jedne zastępują drugie, a wola moja nigdy na tym punkcie nie słabnie. Ach! a gdy idzie o pracę, o naukę, poprawę— wzdycha się tylko i szepce: *Fiat voluntas tua!* Cała nadzieja w miłosierdziu Sędziego, że odpuści, jako i ja odpuszczam; a cała pociecha w tém chyba, że się sam poczuwam do winy; bo przecież ludzie i piszą i mówią, że kto już z gruntu i bez nadziei głupi, ten się ma sam zazwyczaj za świętego albo za mędrca. A jednak musi to być miła sensacya, myśleć tak samemu o sobie! Mnie najbardziéj strach byłoby umrzeć, nie zostawiwszy po sobie nic nad to, co się dotychczas napisało i, niestety, wydrukowało. Nie wiém czy to jest postęp, że mi się tak wszystko złém zdaje, parę rzeczy ledwo wyjąwszy. Ale jest to cierń moich myśli, który mię i w téj chwili bodzie i pikuje. Spowia-

dam się dla ulgi serca; bo te trzy dni choroby Adama były dla mnie prawdziwie jakby czasem rekollekcyj, podczas których sam w sobie rachunek sumienia robiłem, i dla tego to może ten żarcik kabalistyczny wzbudził we mnie jakby rodzaj zgryzoty. A jednak—gdybym się nie wstydził sam siebie, gotów byłbym, jak penitent po wyjściu z kościoła, zabrać się wnet do przepisania ci tego wiersza, o którym na początku listu wspomniałem, a który Adam, Stefan i Adolf—nie chwaląc się—chwalili. Przeznaczony on jest do sztambucha panny Henryetty, a poświęcony wspólnie jéj i pannie Marcellinie. Jeśli go nie odbierzesz w tym liście, znak to będzie, że go stosownie do tytułu na sam odjazd z Rzymu zostawiam. Bo co na dzisiaj, to *Buona notte!*

---

26 kwietnia, rano.

Rozpoczęśliśmy tedy smutny szereg pożegnań, przeprowadziwszy dziś aż do bramy miasta xiężnę Wołkońską z całym jéj orszakiem. Wyjechała na kilka tygodni w góry. Piérwsze wyjście Adama wczoraj było na obiad pożegnalny do niéj, gdzie on i na cały wieczór pozostał. Ja zaś z Adolfem, Garczyńskim i Gajewskim, rano najprzod byliśmy na nabożeństwie w kościele Ś-go Piotra, a wieczorem na teatrze maryonetek. Wychodząc z kościoła spotkaliśmy sławną doroczną, jako w dzień Ś-go Marka, processyą, która z kościoła pod jego wezwaniem, szła do grobu xięcia Apostołów. Składały ją wszystkie zakony i wszystkie kapituły Rzymskie. Tych ostatnich jest siedem,

tyle co bazylik. Zakonnicy w habitach tylko, kanonicy w komżach, ale wszyscy bez świéc, bez śpiewów, defilowali po parze. Defilada trwała najmniéj godzinę. Słyszałem, że liczono do dwóch tysięcy xięży. Przed każdą kapitułą niesiono *un padiglione*, to jest baldachin w szerokie pasy żółte i czerwone, i dzwonek, który się jedném uderzeniem co kilka kroków odzywał, i sam tylko przerywał ogólne milczenie. W kościele dopiéro miały się odprawiać uroczyste nieszpory, aleśmy już na nich nie byli.

Teatr maryonetek, *Teatro Fiano*, jest wielce ulubioną zabawką Rzymian; a że sala nie może pomieścić więcéj na 300 osób, każda więc reprezentacya co wieczór po cztery razy się powtarza. Bilet wejścia kosztuje 3 bajoki (9 groszy naszych). Wszystkie miejsca na parterze są równe. Zamiast lóż jest tylko mały balkonik w głębi, naprzeciw sceny, na który bilet podobno całe dwa paole kosztuje. Skoro jedna publiczność po skończoném widowisku przez boczne drzwi wychodzić zacznie, otwierają drzwi główne dla nowéj, która już tam czeka skupiona i tłoczy się na łeb na szyję. My przyszliśmy na przedstawienie już trzecie, a i tak ledwo mogliśmy się docisnąć. W gruncie rzeczy są to nasze jasełka, tylko że na większą skalę, i dla starszych znać dzieci przeznaczone. Humorystyka satyryczna, stosowana do okoliczności miejscowych, stanowi zwykły przedmiot grywanych tu sztuczek. My trafiliśmy na parodyą opery Rossiniego: „*Conradino*, *Cuor di Ferro*“, którą tu w ciągu karnawału dawano. Figurki kształtne i zręczne, po-

ruszają się i gestykulują bardzo zgrabnie jak żywe, w takt śpiewu lub stosownie do słów, mówionych za nie z za kulis. Publiczność strasznie mieszana. Od ulicznikow, tragarzy, weturynów, subretek, aż do bardzo porządnie ubranych dam i poważnych mężczyzn; wszystko to łączy się razem, siedzi obok, śmieje się i klaszcze wspólnie. Bo śmiechy i oklaski były prawie nieustające. Nie mogliśmy dobrze zrozumieć co je zwłaszcza wywoływało, ale musiały to być jakieś bardzo wesołe i dowcipne koncepta, bo sąsiedzi nasi po obu stronach, staruszek xiądz i młoda dziewczyna, nie tylko śmieli się do rozpuku, ale niekiedy nawet zwracali się ku nam z wykrzyknikami: „*Ah! ah! bellissime! bellissime!*“— Żywość wrażeń ludu włoskiego nigdzie się nie wyraża jaśniéj jak w teatrze. A jest tu i drugi teatr ludowy, *della Pace*, gdzieśmy także zajrzeli na kwadrans z Adolfem, podczas choroby Adama. Bilet wejścia kosztuje 8 bajoków. Teatrzyk wcale porządny, wązki, długi; z czterma rzędami lóż. Dekoracye i ubiory nie gorsze od Wileńskich, gdzie, pamiętam, jak raz Rogowski knotem od lampy spłowiałe oczy w obrazie Kupidyna malował. Publiczność tegoż gatunku, co na maryonetkach. Nie patrzyliśmy nawet na sztukę, któréj główną osobą był *Pulcinello*. Ja go nigdy rozumieć nie mogę, ale wiém że dla publiki Rzymskiéj jest on rodzajem żywego *Pasquina*, to jest owego kamiennego posągu, na którym tu odwiecznym zwyczajem przylepiają się różne koncepta i epigramata, tyczące się wypadków lub osób współczesnych. I nie zawadzi dodać, (czego mo-

że nie wiész), że od tego to zwyczaju i od nazwy tego posągu pochodzi wyraz *paszkwil* (pasquillo). Samo zaś imię *Pasquino*, było kiedyś rzeczywistém nazwiskiem jakiegoś złośliwego dowcipnisia, który tak się dał wszystkim we znaki za życia, że potém na pamiątkę po śmierci, posąg ten jego imieniem przezwano.

Godzina 12 w nocy.

Jeżeli słusznie życie przyrównywają do podróży, to koniec tu naszego pobytu byłby bardzo podobny do starości. Same pożegnania, rozstania, tęsknota — a cała perspektywa pociechy, że i sami zaraz wyjedziem. I trzebaż jeszcze, że całe popołudnie dzisiejsze zeszło nam na oglądaniu samych grobów, to jest mnie, Adolfowi i Garczyńskiemu, bo Adam wprost z obiadu *al Lepre*, poszedł na *Via Mercède* i tam na nas czekał wieczorem. My zaś byliśmy na grobach: Tassa, Rafaela, Hozyusza, Sobieskich i św. Stanisława Kostki. Wszystkie, prócz ostatniego, widziałem już pierwiéj; ten ostatni więc dzisiaj zrobił na mnie największe wrażenie. Ale jest w tém i inna przyczyna. Czytając kiedyś gorliwie Żywoty Świętych, miałem sam wielką ochotę zostać świętym, i za ideał do naśladowania brałem zwłaszcza św. Stanisława Kostkę. Nie męczono go jak męczennika; nie męczył się sam jak pokutnik; nie trudził się jak Apostoł lub missyonarz; kochał i chwalił tylko Pana Boga, w spokojnéj celi marzył o aniołach, i poszedł prosto do Nieba. Nie wiedziałem jeszcze naówczas, że łatwiéj może czło-

wiekowi pokutować, niżeli nie zgrzeszyć; passować się z szatanem na ziemi, niżeli, jak Anioł w powietrzu, utrzymać się w niewinności. Zawsze jednak i dzisiaj powiadam, że gdyby św. Stanisław Kostka pisał wiersze, byłby to najwłaściwszy patron poezyi i poetów. Kwitnął jak kwiat w Winnicy Pańskiéj — i chwała szlachcie naszéj, że wykwitł z jéj ducha, jak św. Kazimierz z tronu Jagiellonów. A jest téż pomiędzy nimi i pewne powinowactwo duchowe; i ztąd to może ich obu malują z lilijami w ręku. Tutaj w celi, gdzie umarł, przy kościele Ś-go Andrzeja, na *Monte Cavallo*, jest posąg jego naturalnéj wielkości, wyobrażający go w chwili skonania. Twarz i ręce z marmuru białego, suknia z czarnego, łoże i pościel z żółtego. Wyraz twarzy prześliczny, słodycz i pokój anielskie. Tak umrzeć, jest to prawdziwie zasnąć, jak mówią, w Bogu; ale jakże to piérwiéj trzeba żyć w Nim i dla Niego! Posąg ten jest dłóta rzeźbiarza Le Gros.

Jutro jest wielki pożegnalny obiad u państwa Ankwiczów, a przed obiadem mamy zwiedzić razem zamek Ś-go Anioła. Adam zapowiedział już dzisiaj, że w *Villi Pamphili* odkryto jakieś nowe bardzo ciekawe *Columbarium*, które p. Ankwicz i damy chcą jeszcze razem z nami przed wyjazdem oglądać. Ma to być nasza ostatnia wycieczka. Ani im w myśli, że ich czeka siurpryza; a ja się na to cieszę, jak student na figla. Dobranoc!

Dnia 27 kwietnia, godzina 2 po południu.

Wracamy z zamku Ś-go Anioła, ale ja z głową całkiem nabitą czém innem, a to jest, losem i obrazem Beatrici Cenci. Historyą jéj wiész. Portret jéj, arcydzieło Guido-Reniego, znajduje się tu w galeryi pałacu Barberini, a kopje są po całym świecie. Widzieliśmy go razy z dziesięć. Guido-Reni malował go po wydaniu już na nią wyroku śmierci, i nawet podobno, jak mówią, w sam dzień jéj exekucyi. Obwinięta jest w białe prześcieradło, jakby w całun, mający w tym dniu jeszcze pokryć martwe jéj zwłoki i tę główkę przecudną, dziecinną, anielską, która spaść miała pod katowskim mieczem. Malarz myślał to pewno, kiedy ją malował; i ten żal, który sam wtedy czuć musiał, wsiąknął widać w płótno i w farby, że tak dziś jeszcze z obrazu na serca widzów odbija. Nieraz patrząc na łzy się zbiera. I tożby być miała zbrodniarka? ojcobójczyni? Sam ten obraz Guido-Reniego jest już jakby obroną jéj i uniewinnieniem. Ale gdyby jéj obrońca przed sądem mówił o niéj tak, jak dziś Adam, sąd przysięgłych byłby ją niewątpliwie uwolnił. Nie zaprzeczał on winy, ale uniewinniał z powodów. Jest w tém straszna, jak mówił, tajemnica natury i dziejów ludzkich. Wielka zbrodnia, w rodzinie, w narodzie, w ludzkości, ma w sobie jakąś dziwną, demoniczną siłę, jakby wybuch potęgi i tryumfu szatana, która najczystszych nawet mrokiem swoim ośmiewa i w przepaść porywa za sobą. Gdyby słońce zboczyło z swéj drogi, cały jego świat planetarny poleciałby gdzieś w chaos i w otchłań. Ojciec jest jak słońce

w rodzinie. Bezbożność jego zbrodni obłąkała niewinną; jak polityczne zbrodnie mocarzy obłąkują narody i wieki. Zbrodnie takie nie uchodzą bezkarnie; ale skutki ich i wpływy w ludzkości, obmywają się dopiéro łzami, a odkupują się tylko krwią tych właśnie w gruncie niewinnych, którzy przez nie obłąkać się dali. Taką nieszczęśliwą ofiarą była, podług Adama, Beatrice Cenci. Zawsze go mocno zajmował jéj portret. Za każdym razem cośmy go widzieli, stał przed nim długo, wpatrywał się i milczał. Pan Ankwicz dostał był kiedyś w zimie, z jakiéjś klasztornéj biblioteki tutejszéj, i dawał mu do czytania rękopism łaciński, zawierający opis jéj processu. Nieraz o tém była rozmowa, ale zawsze tak sobie, zwyczajna. Dziś dopiéro w podziemiach zamku Ś-go Anioła pokazywano nam loch ciasny i ciemny, gdzie nieszczęsna była więziona i zkąd poszła na rusztowanie. Panna Henryetta zaczęła zachęcać Adama, ażeby o niéj dramat czy poemat napisał. To wywołało wybuch jego myśli, w rodzaju improwizacyi, ale bez żadnéj pretensyi do tego. Treść główną stanowiło to, co tu wspomniałem; ale ton głosu i wyraz twarzy mówiły więcéj niż słowa. Przy wrażeniu tego wspomnienia wszystkie inne pobladły, choć mnóstwo ich wiąże się z tém miejscem. Wszystkie dziejowe średniowieczne wypadki w Rzymie, ocierały się o mury tego zamku, który się jeszcze wtenczas nie nazywał *Anielskim*. Nazwę tę bierze dzisiaj od olbrzymiéj bronzowéj statui Archanioła Michała, który się wznosi nad nim z mieczem w ręku i depce go jak smoka—bo nie ma się czém opie-

kować. Było to kiedyś najprzód grobowe mauzoleum Cezarów, które Adryan, jak swoję villę za życia, na po śmierci dla siebie zbudować kazał. W wiekach średnich zamieniono je na fortecę, którą Alexander VI, papież, połączył z Watykanem, a późniejsi jego następcy wzmocnili i rozszerzyli. Archanioła dopiéro Benedykt XIV postawił. Dziś jestto cytadella, koszary, arsenał i turma. Widok kilkudziesięciu więźniów politycznych, wybladłych i wynędznionych, przechadzających się pod strażą po jednym z placów broni, (a jest ich aż trzy wewnątrz zamku), zrobił na nas arcy przykre wrażenie. Czyż i tu jak na Spielbergu? Zatoż widok z wałów zewnętrznych na Rzym i na okolice prześliczny. Opisywać ci tego nie myślę, a kształt zamku znasz pewno z rysunku. — Adam wzywa mię ku pomocy, żeby mu chustkę zawiązać w kokardkę, bo się jemu samemu nie udaje. A i ja muszę przebrać się na obiad.—Więc, Adieu!

Po północy.

Teraz ledwo wracamy z obiadu, to jest z *Via Mercède*. Mój Boże, jak ten czas leci! Dawno to było poznanie i piérwszy obiad witalny, a oto już i *Agape!* Życie nasze, to jak gra w szachy. Poruszamy się ciągle jak pionki, a co krok, to stosunek jednych względem drugich odmienny! Tu jeszcze, Bogu dzięki, nic się nie zmieniło na gorsze; ale dwie *partye* się grają, i w obiedwóch do końca daleko. Rok przyszły już je chyba rozstrzygnie. Dałby Bóg zamatować *królowe!* Ale jedna z nich bodaj że się

nie da sama, a przed drugą jest twarda *wieża*, któréj szturmem nie zdobyć, a *rycerz* oblegać nie umie. Ja sobie w roli *konika* tu i tam wyskakuję swobodnie; ale tęskność rycerza, jak w piosnce, „po połowie cięży i we mnie.“ Nie ma co! trzeba zostawić resztę czasowi i Opatrzności.

Obiad był i wesoły i smutny; to jest, każdy nadrabiał rezonem, a w duszy pewnie myślał o rozstaniu. Zresztą *vinum laetificat cor*, czyli jak u nas: *trunek na frasunek;* a że trunku dolewano obficie, więc i frasunku w końcu stosunkowo ubyło. Gospodarz pił zdrowie gości, goście gospodarzy, potém dam, potém poetów—w ogólności, a więc tuż i *kochajmy się*. Na strzemienne popłynęły *Lachrymae*, ale nie nasze. Osób było 22, sami Polacy. Po obiedzie panna Henryetta grała. Adam słuchał, jak „nasępiony sokół“ u Bohdana, słuchający „kwileń kukułki.“ Mnie kazano wydeklamować mój wiersz, który już do sztambuchów panienek wpisałem i zacząłem przepisywać dla ciebie. Mniéj się dziś mnie samemu podobał niż dotąd. Za zimny. Dzisiaj rzewniéj czułem rozstanie. Powiedziałem to pannie Marcellinie, i w téj, pewno ostatniéj z nią rozmowie *à parte*, było więcéj poezyi niż w wierszu. A zresztą i być tak powinno. Poezya, to uczucie w nas samych; to źródło, co bije w duszy. Wiersze, to tylko bąble albo bryzgi, co czasem na powierzchnię i nad brzeg wyskoczą.—Na wieczór przyjechali xięztwo Sanguszkowie. Piękność, to dopiéro poezya na zewnątrz! Od sielanki do ody, każda i każdego poruszy. Xiężna Iza, to *oda!* Od

stuletniego komandora Dunina, do sześcioletniéj Wincusi, córki pani Węsierskiéj, cały nasz towarzyski łańcuch zadrgał jakby od iskry elektrycznéj, gdy weszła. Ostatnia, patrząc na nią i kręcąc główką, odezwała się jakby sama do siebie: „Jaka piękna pani!“ A w téjże prawie chwili, xiężna wcale tego nie słysząc, mówiła do kogoś obok: „Ach! jakie śliczne dzieciątko!“ Ja to jeden z obu stron słyszałem, a przynajmniéj ja jeden zwróciłem uwagę na to wzajemne oddziaływanie piękności, i zakommunikowałem to zaraz Garczyńskiemu i Adolfowi. Posłużyło to nam za temat do porównywania różnych rodzajów piękności, z różnemi gatunkami poezyi. Panna Henryetta—*sielanka*; ale tylko wdzięczna, nie ckliwa. Panna Marcellina —*elegia*, ale tylko poważna, nie nudna. Starsze panie — to już jakby dydaktyka albo epos. Z Adolfem przebiegliśmy pamięcią nasze miłe kasyna Wileńskie, szukając podobieństwa do ballad, legend, i t. d. Najtrudniéj było znaleźć podobieństwo z satyrą. Trzebaby na to chyba tak zwanéj „*beauté du diable*.“ Garczyński opowiadał nam o jakiéjś pani w Berlinie, że z rysów tak była piękną, iżby się w niéj rzeźbiarz rozkochał, ale razem tak sztywną i zimną, że sam przy niéj mógłby skamienieć. Grecy widać na ten rodzaj piękności wymyślili swoję Meduzę. A i nasza Królowa Bona musiała być w tym rodzaju. Z Polkami, Bogu dzięki, rodzaj ten jakoś nie licuje. Najprostsza nasza, byle czystéj rassy dzieweczka, to zawsze jak *mazurek*, *krakowiaczek*, lub *dumka*. I pokręcić się, i pośpiewać, i pomarzyć z nią miło. Lafiryndy

tylko, Boże odpuść, to już czysta poezya Delilowska, choćby gładka, jak przekład Felińskiego! A mieliśmy téż dziś taką przed sobą; tę samę, co to kiedyś Adama, jako poetę, po francuzku najprzód witała. Jest to może jedyna osoba, z którą spotykając się tu i ówdzie, niceśmy od piérwszego spotkania w znajomości nie postąpili, kiedy z najoryginalniejszą np. excentryczką, jaką jest pani hrabina Moszyńska, zaszliśmy w bardzo dobrą komitywę. Ja zwłaszcza skaptowałem jéj względy, zaimprowizowawszy raz przy grze w szarady, szaradę do jéj faworyta, tego najobrzydliwszego kudłatego szpica, który mię kiedyś przy piérwszéj wizycie u pp. Ankwiczów tak okropnie podobieństwem sowy przestraszył. Nazywa się *Telasko*, a szarada moja brzmi tak:

Piérwsze, prosta litera; zaś dwóma *drugiemi*
Jak machnie czarnoxiężnik, różne dziwy płata.
Wszystko jest ideałem wierności na ziemi,
I dowodem, jak cnota ta w skutki bogata:
Rozum zniewala, szpetność wdziękiem opromienia—
A bez niéj—piękność nawet źródłem udręczenia.

Dzisiaj pani Moszyńska tak raczyła być czułą dla mnie, i tak trafnych mi parę rzeczy powiedziała o Adamie, admirując jego geniusz, a przytém prostotę i dobroć: że niemniéj może przez to ujęła mię za serce, jak ja ją przez moję szaradę. Ależ bo wszelka najśmieszniejsza nawet oryginalność, ma w sobie (dla mnie przynajmniéj) jakiś pewny pociąg, choćby tylko dla tego, żeby się jéj zblizka przypatrzyć; kiedy przeciwnie lafiryndyzm wstręt tylko i nudę obudza. Tam

przynajmniéj jest ruch i życie; tu prosta malowana lalka—tylko że nie dla zabawy dziewcząteк.

Z obecnych na dzisiejszym wieczorze, muszę jeszcze wspomnieć o jednym, o którym nie pamiętam żebym kiedy wspominał. Bo niepodobnaż wyliczyć wszystkich po imieniu, których się w towarzystwie spotyka, póki się chyba z nimi w bliższy jakiś lub szczególniejszy stosunek nie zajdzie. Ależ my z xiędzem Scypionem, o którym właśnie chcę mówić, oddawna już jesteśmy w bardzo dobrych stosunkach, spotykając się często w domu państwa Ankwiczów; tylko że w chwilach pisania do ciebie, myśl jakoś nigdy nie doszła do niego—w dłuższe zwykle po drodze plątając się sukienki. Otóż jestto młody kapłan z Krakowa, światły, uczony, gładki w obcowaniu, a także i na obliczu, który w zwyczajném kółku naszém na *Via Mercède* reprezentował stan duchowny, po wyjeździe x. Zajączkowskiego, zupełny z nim stanowiąc kontrast. Tamten, choć także uczony i przystojny, ale samą już swoją postawą, (wysoki, silny, barczysty), przypominał raczéj bernardyńskiego kwestarza, niż missyonarza-apostoła, a rubasznością tonu w rozmowach i manierach zdradzał nieraz nawyknienia żołnierskie: gdyż istotnie żołnierkę najprzód, przed wejściem do stanu duchownego, traktował. Pamiętasz może piérwszą jego dysputę z Adamem, o któréj ci kiedyś pisałem. Przełożony Missyonarzy w Rzymie upominał go nawet, jak mówiono, o te wybuchy porywczości w dysputach, i to podobno przyśpieszyło wyjazd jego z Rzymu. W xiędzu Scypionie przeciw-

nie, jak w obejściu tak i w rozmowie znać od razu człowieka z wyższém towarzyskiém wykształceniem i spokojną łagodną naturą, co go czyni nader miłym kompanem i sympatyą ku niemu obudza. W rozmowie z nim ostatnim przed wyjściem, pożegnałem dziś niejako miły ten salon, przypomnieniem różnych chwil miłych, któreśmy w nim wspólnie spędzili.

Ale potrąciwszy o stan duchowny, chcę tu jeszcze choć zanotować przynajmniéj imiona kilku innych naszych kapłanów, którycheśmy tu w Rzymie poznali, a o których gdzieindziéj wspomnieć mi już nie przyjdzie. Piérwszym jest xiądz Brzozowski (Rajmund), ostatni rektor akademii Jezuickiéj w Połocku, i jeden z głównych wydawców tamecznego „*Miesięcznika*“. Jest to siedmdziesięcioletni staruszek, miły, słodki, łagodny, a przytém niepospolicie rozumny. Przywiązany serdecznie i tęskniący do kraju, prowadzi tu życie samotne, osładzając je sobie, jak mówi, głośném codzień czytaniem wyborowych dzieł polskiéj literatury i pisaniem „*Słownika Pisarzy Polskich.*“ Dawałem mu do czytania poezye Adama, które mu bardzo przypadły do serca i ojcowską przychylność dla autora zjednały. Adam go téż bardzo poważa. Byliśmy u niego razy kilka, a ja z długich nieraz ich rozmów o Jezuitach, tę zwłaszcza odniosłem korzyść, że z przekonania w sobie sprostowałem zdanie, które dotąd jak *za panią matką pacierz* powtarzałem wprost za drugimi, to jest, że Jezuici umyślnie ociemnili Polskę. Zakon ich, jak wszędzie tak i u nas, przy piérwszém zaprowadzeniu swojém, był owszem najczynniejszym

krzewicielem oświaty, czego mu i najwięksi przeciwnicy nie przeczą; a jeśli z czasem pod tym względem zleniwiał: pochodziło to nie z ducha i zasad zakonu, ale raczéj z charakteru i usposobienia naszéj szlachty, która u nas wyłącznie zakon ten składała. W innych albowiem krajach, w tymże czasie, Jezuici gorliwie pracowali w naukach, a nawet i u nas większa część pojedynczych pisarzy, od końca XVI do połowy XVIII wieku, wyszła z ich szkół lub z ich zakonu. Wadliwość systematu nauczania w szkołach, wynikała téż nie wprost z winy zakonu, ale raczéj z ogólnych pojęć i okoliczności ówczesnych; bo przecież i Akademia Krakowska, wieczna przeciwniczka Jezuitów, do czasu reformy Konarskiego, na nic lepszego zdobyć się nie mogła. Myśli te zwłaszcza wypowiadał Adam, a xiądz Brzozowski, lubo zawsze obrońca zakonu w ogólności, nie odpychał jednakże sprawiedliwych zarzutów, tém bardziéj, że i sam Adam tuż przy nich chętnie łagodzące je okoliczności przytaczał. I rzecz to prawdziwie rozkoszna być świadkiem takich rozpraw pomiędzy mądrymi, kiedy w nich obie strony prawdy tylko szukają. Ale niechże kto popróbuje w ten sposób dysputować naprzykład z xiędzem Zajączkowskim z Warszawy! To téż ja podobne dysputy między Litwinami tylko słyszałem.

Z drugim znajomym tu naszym xiędzem Wilczyńskim, Bazylianem, także Litwinem, dysput nawet nigdy nie było, a tylko szczera miła pogadanka—jak wiejski podwieczorek u naszego proboszcza, od mleka, jajecznicy i ogórków z miodem. X. Wilczyński jest

tu także *quasi* proboszczem przy kościele *Santa Maria del Pascolo ai Monti*, jedynym tego obrządku w Rzymie, gdzie jest obraz N. P. Maryi Żyrowickiéj w ołtarzu. Ja jako dawny uczeń Bazylianów w Borunach, chodziłem tam niekiedy na mszę, dla przypomnienia sobie czasów szkolnych. Adam zaś lubi zwłaszcza x. Wilczyńskiego za jego śpiewającą wymowę litewską.

Mieszka téż jeszcze w Rzymie znakomity bardzo, jak mówią, z nauki i pobożności, xiądz Stanisław Chołoniewski, z Wołynia. Zaznajomił nas z nim pan Alexander Potocki, ale że się on rzadko towarzystwu udziela, nie mieliśmy sposobności wejść z nim w bliższą zażyłość. Adam wszakże ma o nim wysokie wyobrażenie, i jutro właśnie wybieramy się do niego z pożegnaniem.

Ale najgłówniejszym programem na jutro jest urządzenie na pojutrze pikniku w *Villi Pamphili*. Będzie to nasze babie-lato w Rzymie. A ten list, to jak ostatni listek prawdziwego lata. Dobranoc!

28 kwietnia, godz. 2 po południu.

Nie pamiętam rozkoszniejszego zajęcia, jak miałem dziś całe rano, dopomagając Strzeleckiemu w urządzeniu jutrzejszego festynu; chociaż kto wié, czy to właśnie nie pamięć czegoś podobnego przyczyniała się może najwięcéj do téj serdecznéj, poetycznéj rozkoszy. Wciąż mi bowiem stały na myśli przygotowania do podwieczorku w Dziewiętni, któryśmy tam

kiedyś przed laty urządzali razem z Ignacym, na przyjęcie piękuych jego sąsiadek z Ruskiego Sioła; a samo to przypomnienie faktu obudzało też zda się w duszy i cały szereg ówczesnych marzeń i wrażeń, tém bardziéj, że się z niemi dzisiejsze jak jedwab w jeden sznurek splatały. A jednak co za różnica sceny! Tam skromny szlachecki dworek, w zakątku parafii Wojstomskiéj; tu wspaniała xiążęca *Villa Pamphili*, w Rzymie! Tam współrajcą co do układu podwieczorku, był stary łysy kucharz Michał, w szaréj kapocie; tu wymuskany elegancki *Credenziere* xięcia Chigi, który nie tylko nam sali, ale nawet kredensu i sreber stołowych do użycia na jutro pozwolił. Strażnik tego wszystkiego *Signor Credenziere* ma być także zarazem i liwerantem biesiady. Całe podobieństwo jest w tém, że mamy ufetować ładne, miłe panienki, i że serce widać jeszcze nie schłodło. Program obiadowego śniadania (*dejeuner dinatoire)* jest taki: Najprzód wstępna przekąska, śledzie, ostrygi i t. d. Potém rosół w filiżankach, i do tego jakieś *crocchetti*, po naszemu, paszteciki. Potém kotlety *à la Milanese* (z dyspozycyi mojéj), ze stosownem ugarnirowaniem. Potém jakieś „morskie pławaczki.“ Potém szparagi, karczochy, i t. d. na jednych półmiskach obok. Potém na pieczyste— bażanty! Słyszysz? Nie kurczęta, nie bekasy nawet — ale bażanty! i to z zachowaniem na rożnie złocistych i srebrzystych czubków swych i ogonów, jak niegdyś pawie na ucztach rycerskich. Jutro zaś ma to być uczta czysto poetycko-panieńska. Adam radził wyprawić czysto polsko-litewską, i to podług

starożytnych przepisów „*Doskonalego Kucharza*,“ to jest staréj obdartéj xiążki, którą, jak co dobrego, ma w podróżnéj bibliotece swojéj i odczytuje nieraz z wielką przyjemnością. Ma się rozumieć, że ten projekt upadł, i Strzelecki otrzymał zupełne pełnomocnictwo co do urządzeń kulinarnych fety. Ale i część jéj estetyczna zaniedbaną nie będzie. Prócz pysznéj zastawy stołu, od sreber, kryształów, wazonów, cały stół będzie obwiedziony girlandami z kwiatów. Przy wetach: od cukrów, lodów, galaret, i t. d. ma się odezwać muzyka, wtórująca toastom „przezdrowia“, a zaś przy podwieczorku, o zachodzie słońca w ogrodzie, *Signor Credenziere* obiecuje nam ukazać w oddaleniu balet, to jest taniec ludowy *saltarellę*, wykonany przez ogrodniczków i ogrodniczki miejscowe. Przytém wszystkie fontanny mają być puszczone, a barometr zapowiada pogodę. Słowem, ptasiego mleka braknąć chyba będzie; a zaś śpiew ptasi, którego tu nie ma, ha! może poezya zastąpi. Od opisu zatém téj fety zacznę list następny; a tymczasem ten kończę i odniosę na pocztę, idąc na pożegnalny obiad do pani Klustin, gdzie téż mamy widzieć wieczorem całe bliższe ich towarzystwo, które i dla nas było tak uprzejme.

Wracając z Villi Pamphili, wpadłem na chwilkę jeszcze do muzeum i do galeryi Watykańskiéj, dla spójrzenia po raz ostatni, ale tylko na dwa przedmioty: na *Apollina Belwederskiego* i na *Przemienienie Pańskie* Rafaela. Tu i tam w ludzkiéj postaci uosobienie, wcielenie idei bóstwa: pogańskiéj i chrzescijańskiéj. Bożek zstąpił z Olimpu i stoi na ziemi. Bóg-Człowiek

duchem Bożym wznosi się po nad ziemię i ulatuje ku Niebu. Rzeźba tu nie podołałaby malarstwu, tak jak tam malarstwo rzeźbie. Żeby tak glinę i marmur ożywić, trzeba iskry Prometeusza. Żeby tak płótno przemienić w widzenie, trzeba żeby je chyba Anioł Rafael objawił. To też symbolem natchnienia w pogaństwie jest, podług mnie, Prometeusz, który ogień z Nieba wykrada; w chrześcijaństwie, Anioł Zwiastunnik, którego sam Bóg Ojciec przysyła.—Bądź zdrów!

XIX.

Do tegoż.

Rzym, 30 kwietnia 1830 r.

„*O! quam vana, quam fallax spes hominum est!* [1])." Rozumiałem, że tęczowemi farbami zacznę list dzisiejszy, opisując wczorajszą fetę; a oto zamiast tęczy, straszna czarna chmura, z której piorun niezawodnie wypadnie. Xiądz Parczewski jest umierający. Onegdaj, idąc na obiad, zachodziłem jeszcze do niego i znalazłem go owszem lepiéj, niżeli kiedy. Dziś albo jutro rano wybierał się do Albano na lato. Ja z Adolfem mieliśmy go tam przeprowadzić, a potém, jadąc do Neapolu, zajechać do niego z Adamem. Opowiadałem mu cały program przygotowującéj się fety. Dzielił szczerze moje zajęcie i żałował, że nie może być z nami. Nadewszystko chciałby był podziękować pani Ankwiczowéj za tyle dowodów dobroci i troskliwości prawdziwie macierzyńskiéj. Przez cały bowiem ciąg choroby przysyłała mu codzień rosół polski, a często i delikatniejsze przysmaki ze swojéj kuchni. Na przyszłą zimę obiecywał sobie, że będzie u nich częstszym gościem niż przedtém. W Albano miał pi-

[1]) „O! jak próżna, jak zwodna jest nadzieja ludzi!"

sać dalej swego „Władysława Białego,“ który ciągle myśl jego zajmował. Słowem, chorobę swoję uważał za skończoną, i ani cień złego przeczucia nie przeleciał nam obu przez głowę. Ja wczoraj przy obiedzie, w imieniu i z polecenia jego, wniosłem toast wdzięczności dla państwa Ankwiczów; przyczém szeroko mówiliśmy o nim, i ja głupi tryumfowałem, że się sen jego złowieszczy nie sprawdził. Teraz nie śmiem i wstydzę się prawie wspomnieć nawet o tym obiedzie, dla tego właśnie, że był taki wesoły i miły, a tu już złe wisiało nad nami.—Po zachodzie już słońca wracaliśmy wszyscy piechotą; a ja, idąc przez *Via del Orso*, wbiegłem na chwilę do domu, żeby wziąść płaszcze dla siebie i dla Adama. Aż tu mi gospodyni, z jakąś dziwną miną, podaje kartkę—na którą ledwo spójrzałem, przeszyło mię jak sztyletem. Na oddartym świstku papieru napisano było tylko ołówkiem: „Źle ze mną, mój Edwardzie! przyjdź zaraz jeżeli możesz.“ Pismo tak było zmienione, że ledwo rękę Parczewskiego poznałem; służąca zaś, co tę kartkę przyniosła, powiedziała naszéj gospodyni, że ten pan, co ją przysłał, umiera. W pięć minut byliśmy już przy nim. W progu spotkaliśmy się z xiędzem, który na własne wezwanie chorego, wyspowiadał go już był przed przyjściem naszém i ŚŚ. Sakramentami opatrzył. Powiedział nam, że nie ma nadziei. O piątéj po południu, bez żadnéj widocznéj przyczyny, prócz chyba, że wprzód nieco pakował swój tłómok do drogi, krew nagle rzuciła mu się ustami, a doktor Pasqualini powiada, że mu znać pękło w piersiach jakieś krwiste

naczynie, i że krew płuca zalewa. Leżał blady jak ściana, chustkę trzymając na ustach. Skoro nas ujrzał wchodzących, poruszył zlekka głową i rękę ku nam wyciągnął. Doktor zabronił mu słowa przemówić; ale samo jego spójrzenie było wymowniejsze niż słowa. Śmierć zda się zajrzała mi w duszę—i wszyscy byliśmy jak rażeni piorunem, który z pogodnego nieba uderzył. Po takim dniu, taki wieczór! Adolf, ja i Niegolewski zostaliśmy na noc przy chorym. Adama wyprawiliśmy gwałtem. Garczyński poszedł za mnie nocować z nim razem. Zluzowali nas dziś rano o szóstéj; a teraz my z Adolfem przyszliśmy tutaj przespać się z godzinkę. Bo i Adolf biédny tak słaby, że choć sam zapomina o sobie, mnie, patrząc na niego, strach bierze. Ach! strach o wszystkich, co żyją i których się kocha! Ledwo widzę co piszę; ale chciałem napisać koniecznie.

Dnia 1 maja—wieczorem.

Skończył już swoje cierpienia. Skonał dzisiaj o piérwszéj w nocy. Cały dzień wczoraj przebyliśmy przy nim. Dnia tego nie zapomnę nigdy. Piérwszy był taki w życiu mojém; Boże daj, żeby i ostatni! Od rana, w skutek lekarstwa, krwotok ustał, ale pozostało duszenie i brak oddechu. Mógł przecież i chciał mówić, chociaśmy mu wzbraniali. Ale powiedział: „Pozwólcie! mnie już nic nie zaszkodzi; a toż moje ostatnie słowa!“—Nie mówił wszakże ciągle, ale znać było, że myśl pracowała, i rezultat jéj chciał wypowiedzieć. Najzupełniejszą bowiem przytomność do

ostatniéj chwili zachował. Dyktował mi co miałem napisać do matki, odsyłając jéj, za pośrednictwem ambassady, pozostałe rzeczy, xiążki i rękopisma. Łzy nieraz przytém przerwały mu mowę. A była to jedyna chwila rozrzewnienia. Obraz boleści matki był widać najboleśniejszym dla niego. O sobie mówił poważnie i spokojnie. „Żal mi umierać, wyznaję; ale się nie boję. Ten sam Bóg jest tam, co i tutaj. Jak mię prowadził tutaj, ufam że i tam będzie. Bez woli Jego, wiém, że się nic nie dzieje, a miłosierdzie Jego bez granic.“—Po razy kilka powracał do tego, że najbardziéj sobie wyrzuca, iż więcéj myślał o sławie u świata, niż o udoskonaleniu i zbawieniu duszy. „A teraz widzę jasno jak na dłoni, rzekł, że to jest jedyny prawdziwy cel naszego życia, a wszystko reszta *vanitas vanitatum*.“—Nie taił wszakże, że i w téj nawet chwili smutno mu jest pomyśleć: „że śladu nawet po nim nie zostanie.“—„Ale Bóg widział—dodał z uczuciem — że chciałem, wedle sił moich, służyć szczerze Jemu i ojczyznie. Bóg nie dopuścił — wola Jego święta! Wy przynajmniéj zmówcie za mnie pacierz po polsku!“—I w słowach tych czuć było jakby odcień goryczy. Gdy zaś nas płaczących obaczył, wyciągnął ku nam rękę, i bardzo uroczystym, poważnym tonem rzekł: „Nie płaczcie! Życie dla mnie nie było rozkoszą. Proście tylko, żebym już prędzéj skończył te męczarnie. Prędzéj czy późniéj, przyjdziecie tam wszyscy.“—To były ostatnie słowa, które do wszystkich w ogólności przemówił. Ale przedtém rozmawiał po kolei z każdym, i dziękował za dowody przy-

jaźni. Mówiąc ze mną, przypomniał swój sen o Ludwiku, i zacytował epigraf z Dziadów: „Są rzeczy na ziemi i na Niebie, o których ani śniło się naszym filozofom.“—W ogólności we wszystkiém, co w tym dniu powiedział, było tyle uczucia, prawdy, namaszczenia, że daj Boże tylko pamiętać i umieć z tego korzystać, żeby zasłużyć na takie skonanie!—Skonał tak lekko, że aniśmy spostrzegli. Pożegnawszy się niejako z nami, zamknął oczy i odwrócił się jakby chciał zasnąć. Nie spał jednak, i z ruchu ust widać było, że musiał modlić się w myśli. Kapłan, który go spowiadał, odwiedził go zrana i powrócił raz jeszcze wieczorem. Z nim ostatnim rozmawiał może jaki kwadrans po cichu; poczém tak się uspokoił, iż pewni będąc że zasnął, odeszliśmy wszyscy od łóżka i siedzieli koło stolika, zbliżając się wtedy tylko gdy się poruszył lub jęknął, dla podania mu lekarstwa albo napoju. Stan taki trwał cały wieczór. Duszenie i brak oddechu przychodziły paroxyzmami, ale bolów przytém nie było. Dopiéro około północy paroxyzm był dłuższy i cięższy, ale się znów uspokoił. Nakoniec około piérwszéj, słyszymy jakby długie, głębokie westchnienie. Przybiegamy—już go nie było.—Pomódlcież się i wy za niego po polsku! Bo nie jest to tylko strata dla przyjaciół, ale istotna dla kraju i dla literatury naszéj.

Dnia 3 maja, godz. 2 po południu.

Powracam wprost z pogrzebu, a tak mi jakoś smutno, ciężko, okropnie, że sam sobie wytłómaczyć tego

nie umiem. Nie jest to bowiem prosty żal czy smutek; ale jakby grobowy kamień jakiś spadł na mnie i tłoczy mię swoim ciężarem. Lubiłem go jużciż szczerze i serdecznie; ale jak wielu innych. Nie był on przecież dla mnie żadną taką podporą w życiu, bez którejbym obejść się nie mógł. Śmierci tak spokojnéj, tak pięknéj, tak pełnéj wiary i nadziei, zazdrościćby raczéj, niż płakać. Wszystko to mówię sam sobie, i czułem nawet w piérwszych chwilach wrażenia. Potém zajęcia się około pogrzebu i spełnienia ostatniéj woli zmarłego, trzymały mię w ciągłém roztargnieniu, tak, że czasu na smutek nie było. Wczoraj dopiéro, gdy go już złożono do trumny, ja zostawszy sam jeden w pokoju, przykląkłem przy niéj żeby zmówić pacierz, i wpatrując się w tę twarz tak pełną łagodności i pokoju, i prawie uśmiechniętą, doznałem owszem najprzód jakby jakiéjś duchownéj pociechy, i z tém uczuciem powstając, pocałowałem go w czoło. W téj chwili dziwna zmiana zrobiła się we mnie. Chłód tego czoła przeszył mię na wskróś jak zimném żelazem, a wszystkie zda się uczucia i myśli zwarzyły się jak kwiaty od mrozu. Rzekłbym, że powiew śmierci powionął na duszę i życie jednym razem zakrzepło. Stan ten osobliwszy trwa dotąd, i rady z nim dać sobie nie mogę. Ufam przecież, że to tak długo nie będzie. Ale w téj chwili wybacz, że ci o tém piszę; bo mówić żywym głosem wstydzę się i nie śmiem nikomu, a może lżéj mi będzie, gdy powiém. Od chwili nawet tego pocałunku, nie śmiem pocałować Adama, ani nikogo z tych, których kocham; i choć byłem dziś

rano w kościele, i w obec katafalku sam jakby wiatyk przyjąłem, boję się jakoś, żeby tego poczucia śmierci, które wyraźnie tchnie we mnie, w kogo drugiego nie przelać. Gdyby był umarł w ciągu swojéj choroby — byłem na to przygotowany, i wrażenie zapewne nie byłoby takie. Ale tak niespodziewanie, tak nagle! i to w dniu tak wesołym, tak miłym! i to jakby na zakończenie pobytu w Rzymie, który był dla mnie najważniejszą może epoką w życiu pod względem odmian wewnętrznych! Nie jestże to znak jaki, przepowiednia, symbol, że i samo to życie przed końcem będzie musiało przez coś podobnego przechodzić? Wiém ja i mówię sam sobie, że to jest głupstwo, fantazya, marzenie, i że najlepiéj przyszłość Panu Bogu zostawić. Ale cóżem ja winien, że mi to gwałtem ciśnie się do głowy? A ty przecież nie weźmiesz mi za złe, że dzieląc zawsze z tobą tyle miłych wrażeń, tą razą i smutne podzielam. Obecni mają dosyć na swojém, abym im jeszcze moje urojenia narzucał. Adam zwłaszcza tak jest smutny i przywalony, że samby raczéj potrzebował pociechy, któréj ja mu, niestety, udzielić nie mogę. Państwo Ankwiczowie wyjeżdżają jutro rano, a wyjechaliby już onegdaj, gdyby nie ta śmierć Parczewskiego i chęć oddania mu ostatniéj posługi. Wczoraj o piątéj po południu przenieśliśmy go z jego mieszkania do polskiego kościołka Ś-go Stanisława (*ai Polacchi*), który dla tego nazywa się polskim, że go kardynał Hozyusz umyślnie dla pielgrzymów polskich, wraz z należącém doń *hospitium*, fundował. Kościo-

łek ten zostaje tu dzisiaj pod rozporządzeniem ambassady, i xiąże Gagaryn tak był dobry, że pozwolił na złożenie w nim w sklepie zwłok Parczewskiego, jako kapłana. Prócz kilkunastu xięży z parafii, w któréj mieszkał, i kilku nieznajomych kapników, z twarzą zakrytą kapturem, my tylko sami Polacy postępowaliśmy za trumną, którą nieśli słudzy kościelni. Mnie ciągle stała w myśli ostatnia nasza przechadzka i rozmowa przy kolumnie Cestyusza o smutnym losie umierających na cudzéj ziemi. Dzisiaj, po odśpiewaniu exekwii i po mszy, którą celebrował sędziwy x. Brzozowski, spuszczono go w oczach naszych do grobu przed wielkim ołtarzem, gdzie się już wiele trumien polskich znajduje. Złożyliśmy się wszyscy na marmurową tablicę, któréj napis ułożyć ma Adam. Oby mu była lżejszą, niż mnie moje obecne wrażenie!

Dnia 5 maja.

Zadziwisz się może — i słusznie — gdy ci powiém, że wrażenie to, o którém tylko co tu wyżéj czytałeś, zmieniło się we mnie równie prawie nagle, jak przyszło; i to wcale nie w skutek własnéj woli czy siły rozumu, który się próżno chciał z niego otrząsnąć; ale téż, wierz mi, że nie w skutek saméj tylko wrażliwéj lekkomyślności, o którąbyś mię może posądził. Ja sam, wyznaję ci szczerze, uważam jedno i drugie za opatrzne dla mnie zrządzenie, które mię najprzód poskromiło w bujaniu, a potém samo z upadku podniosło.— Śmierć i pogrzeb przyjaciela, ani téż rozstanie się z przyjaciółmi, jakimi byli dla nas państwo Ankwi-

czowie, nie są już, Bogu dzięki, tém ostatniém wrażeniem, które wynieść lękałem się z Rzymu, jako symbol proroczy na przyszłość. Wrażeniem tém w téj chwili jest posłuchanie u Ojca Świętego, i prawdziwie ojcowskie jego błogosławieństwo. Przyszło mi ono równie niespodzianie jak smutek, i ożywiło, jak tamten odrętwił. Posłuchaj, jak się rzecz miała.

Państwo Ankwiczowie wyjechali wczoraj rano, jak mieli. Strzelecki z młodym xięciem Czartoryskim udali się razem z nimi w tęż drogę. Siedmiu nas, w dwóch powozach, przeprowadzało ich za miasto. Na *Ponte Mole* wysiedliśmy wszyscy, mając się tam ostatecznie pożegnać. Adam jeden jechał z damami. Ale tu pani Ankwiczowa zrobiła projekt, aby przeprowadzić ich jeszcze daléj, do piérwszego popasu w Storta. Adam wzbraniał się, ale tylko dla tego, że chciał koniecznie wyjechać także nazajutrz, a jużciż trzeba było przygotować się do podróży. Ja więc czując, że mu to zrobi przyjemność, wziąłem te wszystkie przygotowania na siebie, i wyprawiwszy go daléj z damami, wraz z Garczyńskim i Gajewskim, sam z Adolfem, Stattlerem i Niegolewskim, powróciłem do miasta. Było to z mojéj strony—nie chwaląc się—poświęcenie, na które w inném usposobieniu wewnętrznem, kto wié nawet czybym się był zdobył, albo czyby mi ono przyszło było na myśl. I trzebaż, że temu to właśnie winien jestem to jedyne może w téj chwili, a przynajmniéj najskuteczniejsze lekarstwo, t. j. nowe żywe wrażenie, które mię z poprzedniego złego uleczyło. I to jest właśnie, co ja nazywam pro-

widencyonalnością w życiu; czego już wiele razy sam na sobie doznałem, a może i każdy doznaje. Przenieś to od szczegółu do ogółu, od atomu do ogromu, a dójdziesz aż do Opatrzności dziejowéj.

Odwiózłszy Niegolewskiego do domu, wstąpiłem do pani Węsierskiéj, ciotki jego, aby się z nią przed wyjazdem pożegnać. Aż tu widzę jakiś ruch niezwyczajny. Przygotowują suknie, zawijają papiloty Wincusi, widocznie wybierają się dokądś. Monsignor Brutti oznajmił przed godziną, że Ojciec Święty dzisiaj o południu będzie w pałacu Kwirynalskim, gdzie na prośbę xiężny Stolnikowéj Czartoryskiéj, ma dawać posłuchanie prywatne jéj saméj i wnukom jéj, xięztwu Sanguszkom, i że on, (Monsignor Brutti), korzystając z okoliczności, wyjednał też podobne dla pani Węsierskiéj z familią, które ma być zaraz po piérwszém. Pani Węsierska tak była dobra, że mię do grona familii przyjęła. Skoczyłem więc co prędzéj do domu, żeby się przebrać stosownie, i o kwadrans na piérwszą byliśmy już w anti-kamerze przed miejscem posłuchania, gdzie na nas czekał uczynny nasz *cicerone*, umierając, jak się wyraził, ze strachu, ażebyśmy się nie spóźnili. Jakoż nie upłynęło może minut dziesięć, gdy xięztwo Sanguszkowie wyszli ze swą babką, i na nas kolej wejścia przypadła. Oboje oni byli do łez poruszeni doznaną uprzejmością i dobrocią przyjęcia. Ale choć o tém ciągle i od wszystkich słyszałem, nigdybym nie mógł nawet wyobrazić, nie widząc, ażeby ta uprzejmość i dobroć mogły dochodzić do takiego stopnia, w jakim je Pius VIII posiada.

W prostym proboszczu, a nie to w Papieżu, jeszczeby mogły uchodzić za typ chrześcijańskiéj pokory. Wierzaj mi, że nie przesadzam, i słuchaj!

W środku obszernéj sali, która jest zarazem kaplicą, przy stoliku pod jedną z kolumn, Ojciec Święty siedział na krześle wysokiém, z poręczami, w kształcie tronu, jak go zwykle malują, karmazynowym axamitem powleczoném. Sam był ubrany biało, w sukni krojem zakonnym, przepasanéj pasem tegoż koloru. Na głowie miał purpurową *kalotkę*, a na nogach, opartych na miękkim podnóżku, téjże barwy axamitne trzewiki, bogato złotem haftowane, z krzyżem wyszytym i relikwiami za szkłem w pośrodku, któreśmy najprzód, podług zwyczajnego obrządku, jako katolicy, przykląkłszy ucałowali. Ale trzebaż było widzieć ten uśmiech niewymównéj słodyczy, ten wyraźnie jakby ambarass, który się na poważnéj i łagodnéj twarzy starca malował, kiedy przy dopełnieniu téj ceremonii, każdego z nas z kolei oburącz z ziemi podnosił, i ściskając po ojcowsku za rękę, pierścień na swojéj do pocałowania podawał. „*Bien obligé*, *Madame la Princesse! bien obligé*, *Monsieur!* przemawiał przytém do każdego z kolei. Biédna pani Węsierska nie wiedziała co począć z tym swoim xiążęcym tytułem: czy go przyjąć, czy protestować? gdyż widocznie staruszek nawykł był do niego podczas audyencyi poprzedniéj, i używał go pewno nie myśląc, w pośpiechu uprzedzającéj grzeczności. Ale nie sposób było sprostować omyłki, gdyż wnet obracając się ku niéj i ku wszystkim, zaczął się exkuzować i przepraszać, że nie

mówi dobrze po francuzku. „*Je comprends la langue, je comprends; mais je ne l'avais pas en usage.*“ Gdy się więc Jaźwiński odezwał, że wszyscy rozumiemy po włosku: „*Bravo, bravo, bravo!* zawołał składając dłonie, jakby się cieszył lub za grzeczność dziękował. A było w tym tonie głosu, w tym geście, coś tak dziwnie ujmującego, że podziw i rozrzewnienie ogarnęły nas wszystkich. On zaś zwrócił się najprzód do małéj Wincusi, i żegnając ją i głaszcząc zawołał: „*O! che bella fanciulla!*“—W istocie piękna była jak aniołek—cała w bieli, z rozpuszczonemi w lokach złocistemi włoskami. Instynktem widać dziewczynki zrozumiała to dla siebie uczucie; bo nie tylko chwyciwszy się oburącz ręki Papieża, zaczęła ją do ust przyciskać i całować, ale wnet wsparła główkę na jego kolanie i w oczy mu do góry patrzała. Staruszek widocznie się wzruszył, i gdy matka prawie z przestrachem chciała poskromić zbytnią poufałość dziecka, usunął ją zlekka ręką, mówiąc z łagodnym uśmiechem: „*Lasciate, Signora Principessa, lasciate! Jo amo tanto i fanciulli!*“— i nie przestając gładzić wspartéj główki, sam coraz tkliwiéj wpatrywał się w dziecinę. Wzajemne te pieszczoty trwały ciągle przez cały czas posłuchania. Papież zaś po kolei zwracając się ku nam, zapytywał każdego o nazwisko i z jakiéj jest prowincyi Polski? Gdy przyszła kolej na mnie i gdy odpowiedziałem na to zapytanie: „*Bravo, bravo, Signor Odyniecki, di Lithuania!*“ powtórzył—i w ślad za tém zadał mi drugie pytanie, tyczące się wiary i gorliwości mieszkańców. Odpowiedzia-

łem jak mogłem, ale z niekłamaném uczuciem, a on wziąwszy dłoń moję między obie swoje i gładząc ją, po kilkakroć powtórzył: „*Bravo, bravo, giovine! mi fa molto piacere!*“—To wyrażenie *bravo* musi być jego przysłowiem, bo go prawie co chwila mówiąc do każdego używał, i zaraz obok przytém jakieś miłe słówko powiedział. To téż byliśmy wszyscy poruszeni głęboko; a jednak była chwila, żeśmy omal nie parsknęli od śmiechu. Przepraszam za tę dygressyą, ale muszę opowiedzieć: dla czego? Pisałem ci kiedyś o Jaźwińskim, że swoję chronologiczną tabelkę tak zda się narysował sobie na języku, że o niczém inném nie mówi. Otóż stojąc w antikamerze, zapytywaliśmy się żartem z Felisiem i Albinem Węsierskim, czy téż Jaźwiński i do Ojca Św. będzie mówił o swojéj tabelce? Rzecz tak się być zdawała niepodobną do prawdy, że samo to przypuszczenie pobudziło nas tylko do śmiechu. No, a więc wystaw sobie co się z nami działo, gdy Jaźwiński, odpowiedziawszy na piérwsze zapytanie Papieża, sam w ślad zatém odezwał się do niego, bardzo dobrą i płynną włoszczyzną, zapytując nawzajem, czy Jego Świętobliwość otrzymał, i co sądzi o mnemoniczno-chronologicznéj tabelce, którą miał zaszczyt Mu przesłać? Papież zmieszał się niemniéj jak my wszyscy—ale tylko z innego powodu. Zamiast bowiem obrazy, któréjśmy się bali, zaczął owszem bardzo pokornie usprawiedliwiać się i przepraszać, że nic o tém nie wié. „Musieli to zatrzymać w mojéj kancellaryi. Oni tak często robią ze mną;“—dodał obracając się ku nam wszystkim, jak gdyby się chciał

na to uskarżać przed nami. Jaźwiński już zaczynał wykład teoryi swojéj i wynalazku, kiedy na szczęście Papież przerwał mu zapewnieniem, że się o dar ten jego u kancellaryi swojéj upomni, i dziękując mu za pamięć o sobie. Nakoniec zwracając się ku wszystkim oświadczył, że jest rad bardzo z widzenia dziś tylu Polaków (*tanti Signori Polacchi*). Zrozumieliśmy, że to jest znak pożegnania. Przyklękliśmy więc znowu, a pani Węsierska, w imieniu wszystkich, poprosiła o błogosławieństwo. Ojciec Św. wzniósł nieco ręce, i odmówiwszy wpół głośno krótką modlitewkę łacińską, żegnał nas wymawiając poważnie i uroczyście: że błogosławi nas samych, i rodziny nasze, i tych wszystkich, których my sami w téj chwili Miłosierdziu Boskiemu polecamy. Dla jednéj tylko Wincusi była formułka i apostrofa osobna: żeby ją Bóg szczęśliwie na chwałę Swoję, a na pociechę matki i rodziny hodował. Chcieliśmy ucałować znów nogę, ale nam nie dopuścił, i tylko pierścień na ręku w koléj do pocałowania znów podał. Gdyśmy zaś już odchodzili, wsparł się oburącz o poręcze krzesła, a nie mogąc się podnieść, odezwał się prawie błagalnie: „*Scusate, Signori, scusate! Sono povero vecchio; i piedi tutti infiati!*“ [1]) i wskazując na nogi dodał po francuzku: „*J'ai la goutte, Messieurs, j'ai la goutte.*“— Odchodziliśmy, a raczéj cofaliśmy się, twarzą obróceni ku niemu, jak każe przyjęty obyczaj, i gdyśmy już do-

[1]) „Darujcie, panowie, darujcie! Jestem biedny staruszek; nogi całkiem pobrzękłe!“

chodzili do drzwi, skinął ku nam ręką od ust, i odezwał się raz jeszcze: „*Adieu, Messieurs! Adieu, Madame!*“

Wyszedłem jak odrodzony; i chociaż zaraz na progu Parczewski wrócił mi na myśl, wrażenie było już inne. Zamiast żalu i apatyi poprzedniéj, przyszła mi raptem ochota oddać hołd jego pamięci, rzucić kwiat na świeżą mogiłę, to jest, mówiąc po prostu, napisać wiersz na śmierć jego. I ta myśl tak mną owładła, że nim doszedłem do domu, piérwsza część była prawie ułożona *in brutto*, a gdy Adam wrócił ze Storty, druga już była gotowa na *netto*. Przepiszę ci je tu obie, bo na trzecią, jak mi się zdaje, czasu już przed wyjazdem nie będzie. Zresztą ma być w niéj tylko wierny obraz chwili ostatniéj, (bo teraz prawda w obrazach i myślach jest dla mnie kardynalném prawem w poezyi), a to właśnie masz już w tym liście.

Adam wrócił tak słodki i miękki, że choć go przyłóż do rany. Ani zmarszczył się nawet, że nic przygotowanego do podróży nie zastał. Audyencyi u Papieża zazdrości, a wiersze, które mu przeczytałem, pochwalił. O zmroku już dopiéro obiadowaliśmy *al Lepre*, a potém z Niegolewskim, Adolfem, Garczyńskim i Gajewskim, przepędziliśmy cały wieczór w Kolosseum, aby mu się po raz ostatni przy świetle xiężyca przypatrzyć.—Gdyby nie audyencya u Ojca Św., to kto wié, czy i ta przechadzka w Kolosseum nie sprawiłaby na mnie tego samego ożywczego skutku. Adam go téż zda się doświadczył. Wyszedł weselszy, niż przyszedł. Romę pożegnaliśmy na Forum. Za

powrótem do Rzymu, do północyśmy jeszcze przesiedzieli w cukierni.—Teraz idę najmować konie, bo już rzeczy upakowane. A oto masz wiersz:

Na śmierć X. Stanisława Parczewskiego.

I.

Dawnoż to było, o! mój przyjacielu!
Gdym twój rówiennik w młodości i zdrowiu,
Gdym twój towarzysz przechadzek bez celu,
Gdy ten sam jeszcze xiężyc był na nowiu,
Błądziłem z tobą nad Tybru brzegami?—
Noc była jasna, cicha i wesoła,
Niebo, jak zajrzeć, błyszczało gwiazdami,
Prócz kroków naszych—milczenie dokoła.

Pełni tajemnéj, uroczéj radości,
Przy Cestyusza staliśmy kolumnie.
Wspomnienia kraju i wspólnéj przeszłości
Do ust i myśli cisnęły się tłumnie.
Wtenczas ty, pomnę, patrząc na mogiły,
Wkrąg przed oczyma leżące naszemi,
Które w swém łonie na wieki pokryły
Pielgrzymów obcéj, oddalonéj ziemi: [1])
„O! biedni oni!—rzekłeś—każdy pewnie,
„Jak my, do kraju tęsknił lub się śpieszył;
„Każdy miał kogoś, co go kochał rzewnie,
„Nadzieją jego powrótu się cieszył!—
„Ciężko musiało być im przed skonaniem,
„Bez pożegnania, bez błogosławieństwa;
„Nikt słodkiém słowem, nikt czułém starzaniem
„Nie ulżył bólów, nie pokrzepił męztwa;

[1]) Cmentarz Angielski.

„Nikt nie wyleje łzy nad ich mogiłą.
„My obcy tylko—nie po nich się smucim.
„Kto wie, co komu Niebo przeznaczyło:
„Litwa daleko—kto zgadnie, czy wrócim?—
„Śnił mi się wczoraj przyjaciel umarły,
„Wiódł mię za sobą do ciemnego gmachu:
„Widziałem matkę, we łzach i przestrachu,
„Chciała mię wstrzymać—wtém się drzwi zawarły.“ —

Śmiejąc się, pomnę, jam twój sen tłómaczył,
Bo ach! czyż mogłem przewidzieć w tę chwilę,
By ten sam jeszcze xiężyc mnie obaczył,
Mnie—klęczącego na twojéj mogile?

II.

Boże! któż celów woli Twéj dociecze,
Kto pojmie drogi Twego przeznaczenia:
Gdy wielkie, piękne zamiary człowiecze,
Gdy geniuszu wyższego natchnienia,
Jak kwiaty wyższych światów, na tym świecie
Tak często w płonnym opadają kwiecie?

Ach! jam znał tajnie duszy jego! — cała
Była miłością Boga, kraju, cnoty!
Jam widział cele, do których myśl śmiała
Swe nieugięte kierowała loty.
Jam wiedział skarby jego wyobraźni,
I nauk, pracą zebranych wytrwałą.
Niestety! czemuż głos tylko przyjaźni
Ma być ich całą rękojmią i chwałą?

Kilka lat jeszsze—a jużby twe chęci,
Stawszy się czynem, służyły ojczyznie;
Kilka lat jeszcze—a ziomków pamięci
Imieby twoje zostało w spuściźnie!—

U stóp ołtarzy stałeś już gotowy,
W albie Pokory, w stule Poświęcenia,
By śladem Skargi, mówca złoto-słowy,
Lud swój z miłością wołać do zbawienia.

I wyobraźni pochodnię iskrzystą
Wstrząsłszy nad dziejów przeszłością ojczystą,
Jużeś był poczuł ową ducha dzielność,
Co przeszłość słowem wskrzesza w nieśmiertelność.

O! wieleś wróżył krajowi i sobie!
Ale inaczéj rozrządziły Nieba.—
I cóż nam dzisiaj zostało po tobie?
Ach! przykład chyba jak umierać trzeba.
(*Caetera desunt*).

Dnia 6 maja, o południu.

Za godzin parę wyjeżdżamy z Rzymu, ale nie wprost jeszcze do Neapolu. Weturyna dostać nie mogłem. Zapisałem się więc na dyliżans, nie publiczny, bo go tu nie ma, ale utrzymywany prywatnie przez niejakiego *Angresani*, który że jutro ztąd dopiéro wychodzi, a nam już nieznośnie jest tutaj, więc o godzinie trzeciéj jedziemy weturynem na noc do Albano, z Adolfem i Stefanem, którzy nas tam przeprowadzają, i czekać będziemy na dyliżans, którym jutro przyjedzie Feliś, mający razem z nami jechać do Neapolu. Prosił nas o to, a że go oba lubimy, więc owszem radzi z tego jesteśmy. Ostatnim aktem moim w Rzymie będzie oddanie tego listu na pocztę; przedostatnim zaś jest składanie i wkładanie do koperty w téj chwili przepisanego już oddawna wiersza na „Odjazd z Rzy-

mu.“ Ja zaś sam w tym ostatnim liście z Rzymu, błogosławię cię i żegnam po łacinie: *Deus te benedicat! Vale, et me ama!*

ODJAZD Z RZYMU,

wiersz poświęcony

Henryecie-Ewie Ankwiczównie i Marcellinie Łempickiéj.

Jedźmy! cóż nada rozstanie przewłóczyć?
Jedźmy! pierś w Rzymską uzbroiwszy stałość.
Gdzież, gdy nie w Rzymie, potrzeba się uczyć
Jak zrzec się szczęścia, i pokonać żałość?

Jedźmy! lecz jeszcze zwróćmy raz oczyma!
Widzę cię, Rzymie, i żegnam na wieki!
Żegnam ostatnią modlitwą pielgrzyma,
Gdy z twoich świątyń wraca w kraj daleki.

Żegnam ostatniém spójrzeniem malarza,
Gdy płonąc żądzą twoich mistrzów chwały,
Po raz ostatni w pamięć duszy wraża
Wcielone w płótno i w głaz ideały.

Żegnam ostatniém wieszcza zadumaniem,
Kiedy ku przyszłéj pieśni swych ozdobie,
Troskliwą myślą zbiera przed rozstaniem
Wszystko co widział, czuł, i myślał w tobie!

Miasto! dość wspomnieć twoje święte imię,
Czyjeż wnet serce żywiéj nie uderzy?
Jako świat niegdyś do ciebie, o! Rzymie!
Chwała twych wspomnień do świata należy.

Z nią najprzód serce zaręcza młodzieniec,
Kraj i swobodę gdy kochać zaczyna;
Tu myśl poety ulata po wieniec,
Po palmę Niebios duch Chrześcijanina.

Któż nie zapragnął, dawnych świadom czynów,
Nad twoją o nich podumać ruiną?
Lub cię z nadludzkich cnót i dzieł twych synów
Nadziemską jakąś nie mniemał krainą?

Nie inny urok na współczesnych ludzi
Wieszcz lub bohater zwykł rzucać zdaleka.
W kimże szlachetnéj zawiści nie wzbudzi,
Kto zblizka poznał wielkiego człowieka?

I o natrętnéj zapomniawszy chwale,
Przyjazne serce ku niemu ośmielił,
Na łonie jego myślał poufale,
Czuł jego czuciem, i swoje z nim dzielił?

Szczęsny! kto błądząc po twych, Rzymie, szczątkach,
Z grobu olbrzyma dawny wzrost ocenia,
I po twych polach, i po twych pamiątkach,
Jak bluszcz, swe skromne rozciągnął wspomnienia!

Ileż miejsc, których świat imiona święci
W poważnéj chwale czynów uroczystych,
Na wieki w sercu mojém i pamięci
Podzielać będzie urok pól ojczystych?

Tu syn Północy, z dziecka zachwyceniem,
Nowéj natury obaczyłem dzieła;
Tu, upojona innych niebios tchnieniem,
Nowy świat uczuć moja pierś objęła.

Śród nowych wspomnień, śród obrazów nowych,
Nowością wrażeń dusza odmłodniała,
Jak gdyby w wieniec kwiatów południowych,
W nowe się myśli z uśmiechem ubrała!...

Wspomnienia! po cóż stawacie przedemną?
Wdzięk wasz smutkowi rozstania urąga.—
Żegnam cię, Rzymie!—Już zasłoną ciemną
Mgła błękitnawa twój obraz zaciąga.

Nic już w niéj oko rozeznać nie zdoła.
Krzyż Watykański lśni tylko na niebie,
Jak przeżegnanie ostatnie Kościoła,
Dla tych, co z żalem patrzą po za siebie.

Znikłeś!—a przestrzeń, co chwila rosnąca,
Że dzieli wiecznie—wiém ja to, i czuję.
Lecz nieraz jeszcze, nieraz myśl tęskniąca
Ojczyste tobą pola zabuduje!...

Wy! co mię wiodąc po Rzymu ruinach,
Ziomki urocze, jak kraju wspomnienia!
O Rzymskiéj chwale, i o Rzymskich czynach,
Jak z xiąg Sybilli, uczyły z kamienia!

Znacie te róże rozwisłe wieńcami,
Po Cezarskiego niegdyś gmachu szczątkach?
Jako te róże, chwile, com żył z wami,
Kwitnąć mi będą na Rzymu pamiątkach.

KONIEC.

Biblioteka Pedagogiczna Oddział Przemyśl

SPIS RZECZY

w tomie trzecim zawartych.

		Strona
	Listy z podróży:	
I.	Do Juljana Korsaka, z Rzymu	1
II.	„ „ „ „	24
III.	„ Ignacego Chodźki „	44
IV.	„ Juljana Korsaka „	66
V.	„ „ „ „	90
VI.	„ Ignacego Chodźki „	113
VII.	„ Juljana Korsaka „	125
VIII.	„ „ „ „	136
IX.	„ „ „ „	166
X.	„ „ „ „	190
XI.	„ „ „ „	216
	KARNAWAŁ RZYMSKI.	217
XII.	„ Ignacego Chodźki „	243
XIII.	„ Juljana Korsaka „	266
XIV.	„ „ „ „	287
XV.	„ „ „ „	304
XVI.	„ Ignacego Chodźki „	325
	WIELKI TYDZIEŃ W RZYMIE.	330
XVII.	„ Juljana Korsaka „	346
XVIII.	„ „ „ „	372
XIX.	„ „ „ „	395

ERRATA.

W tomie pierwszym na str. 160, wiersze 15 i 16, przełożone są niewłaściwie: *szesnasty* należy czytać *przed piętnastym.*

Biblioteka WSP Kielce
0174609

DZIEJE LITERATURY W PO
czasów do XVII wieku, op
towicz (Wład. Syrokomla).
ne przypiskami. 3 tomy w
bnéj oprawie . . . . . .

FRYDERYK SZOPEN przez Fr. Liszta, przekład Feliçyana Faleńskiego, z portretem Szopena, 1 tom w 8-ce dużej. Cena . . . . . k. 90.

HISTORYA CYWILIZACYI W ANGLII, przez Henryka Tomasza Buckla. Z drugiego wydania angielskiego przełożył Wład. Zawadzki. Wydanie drugie, 2 tomy w 8-ce dużej. Cena . . . . . rs. 3 k. 60.

HISTORYA STAROŻYTNA wyłożona sposobem elementarnym przez Tad. Korzona, z dołączeniem 3 map, planu, tabl. synchronistycznej i 97 drzeworyt. Cena rs. 2.

KOMEDYE ALEKSANDRA Hr. FREDRY, wydanie 4-te, z portretem i życiorysem autora przez Lucyana Siemieńskiego. 5 tomów w 8-ce. Cena rs. 1 k. 50, w ozdobnej oprawie . . . . . rs. 3 k. —

KAROL DARWIN I JEGO POPRZEDNICY. Studyum nad teoryą przeobrażeń. Dzieło Ad. Quatrefages, przełożył i uzupełnił Julian Ochorowicz, 1 tom w 8-ce, rs. 1 k. 20.

KILKA MYŚLI O WYCHOWANIU I WYKSZTAŁCENIU NIEWIAST NASZYCH, przez A. Dzieduszycką, wydanie drugie w 8-ce, 1874. Cena . . . . rs. 1 k. 35.

OBRAZKI DRAMATYCZNE LUDOWE WŁ. L. ANCZYCA. Chłopi arystokraci, Łobzowianie, Błażek opętany, Flisacy, 1 tom w 8-ce. Cena . . . . . rs. 1 k. —

PAMIĘTNIK FEL. Hr. ŁUBIEŃSKIEGO ministra Sprawiedliwości, skreślił i opracował Wład. Chomętowski. Cena . . . . . rs. 1 k. —

PISMA KAZIMIERZA BRODZIŃSKIEGO. Wydanie zupełne, poprawione i z nieogłoszonych rękopismów dopełnione staraniem J. I. Kraszewskiego, z wizerunkiem poety, 8 tomów w 8-ce. Cena rs. 8, w oprawie ozdobnej . . . . . rs. 11 k. 20.

TŁÓMACZENIA A. E. ODYŃCA. 4 tomy, 2-gie wydanie. Cena rs. 3, w ozdobnéj oprawie . . . . . rs. 4.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 3 Мая 1876 года.

Druk J. Bergera,
Warszawa, Elektoralna Nr. 14.